

Nawet **perfekcyjne** małżeństwo ma swoją mroczną stronę.

IDEALNE MAŁŻEŃSTWO



Nie ma idealnych małżeństw.
Są tylko dobrze skrywane **tajemnice**.

KIMBERLY BELLE

KIMBERLY BELLE

**IDEALNE
MAŁŻEŃSTWO**

Przełożyła
Emilia Skowrońska

FILIA

Tytuł oryginału: *The Marriage Lie*

Copyright © 2016 by Kimberle Swaak-Maleski

Copyright for the Polish edition © 2019 by Wydawnictwo FILIA

Wydanie I, Poznań 2019

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce: Deborah Pendell/Arcangel

Redakcja: Paulina Jeske-Choińska

Korekta: Agnieszka Czapczyk

Skład i łamanie: Teodor Jeske-Choiński

eISBN: 978-83-8075-676-2

FILIA

Wydawnictwo FILIA

ul. Kleeberga 2

61-615 Poznań

wydawnictwofilia.pl

kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona

mrocznastrona.pl

*Ta książka jest dla Kristy Barrett, przepięknej kobiety
zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz.*

Rozdział pierwszy

Budzę się, gdy jakaś ręka łapie mnie w pasie i całą przyciąga do rozgrzanej od snu skóry. Wzdycham i wtulam się w znajome ciało mojego męża, dopasowuję plecy do jego przodu, wciągam jego ciepło. Will jest piecem, gdy śpi, a ja zawsze mam jakąś zimną część do ogrzania. Tego ranka są to stopy. Wkładam je między dwie ciepłe łydki.

– Masz lodowate palce u stóp. – Jego głos dudni w ciemnym pokoju, odgłosy we mnie wibrują. Po drugiej stronie zasłon w naszej sypialni nie ma jeszcze ranka – jest ta fioletowa chwila między dniem i nocą, jeszcze ponad pół godziny do budzika. – Zwisają z boku łóżka czy jak?

Dopiero mamy kwiecień, a marzec jeszcze nie poluzował swych mroźnych szponów. Przez ostatnie trzy dni z ołowianego nieba lał się deszcz, a zimny wiatr obniżał temperaturę do o wiele niższej niż średnia. Meteorolodzy przewidywali kolejny tydzień zimna, a Will jest jedyną osobą w Atlancie, która cieszy się z chłodu i otwiera szeroko okna. Jego wewnętrzny termostat jest zawsze ustawiony na gorąco.

– To dlatego, że upierasz się, żebyśmy spali w igloo. Chyba wszystkie moje kończyny mają już odmrożenia.

– Chodź tutaj. – Jego palce gładzą mój bok, dłoń przyciąga mnie jeszcze bliżej. – W takim razie musimy cię rozgrzać.

Leżymy przez chwilę w ciszy, obejmuje mnie w pasie, jego broda mieści się w zagłębieniu mojego ramienia. Od snu Will jest lepki i wilgotny, ale mam to gdzieś. Takimi chwilami rozkoszuję się najbardziej – to chwile, w których nasze serca i oddechy są zsynchronizowane. Chwile tak intymne jak uprawianie miłości.

– Jesteś moją ulubioną osobą na tej planecie – mruczy mi do ucha. Uśmiecham się. To właśnie te słowa wybraliśmy zamiast standardowego „kocham cię”, znaczą dla mnie też o wiele więcej. Za każdym razem, gdy padają z jego ust, są dla mnie niczym

tajemnica. – Lubię cię najbardziej, zawsze będę cię lubić.

– Ty też jesteś moją ulubioną osobą.

Przyjaciółki zapewniają mnie, że więź, którą mam z własnym mężem, nie będzie trwać wiecznie. W pewnej chwili, mówią, tę zażyłość zmrozi ogień i nagle zacznę zauważać innych mężczyzn. Będę malować policzki i usta dla bezimiennych, pozbawionych twarzy nieznanymi, którzy nie są moim mężem, i będę sobie wyobrażać, że dotykają mnie w miejscach, do których dostęp ma tylko mąż. Moje przyjaciółki nazywają to swędzeniem po siedmiu latach, a ja nie potrafię sobie tego wyobrazić, ponieważ dzisiaj – po siedmiu latach i dniu – gdy dłoń Willa gładzi moją skórę, ja nadal pragnę tylko jego.

Zamykam oczy, jego dotyk wywołuje mrowienie, które mówi mi, że prawdopodobnie spóźnię się do pracy.

– Iris? – szepcze.

– Hmm?

– Zapomniałem wymienić filtry w klimatyzacji.

Otwieram oczy.

– Co?

– Powiedziałem, że zapomniałem wymienić filtry w klimatyzacji.

Śmieję się.

– Tak właśnie mi się wydawało.

Will jest genialnym informatykiem z lekkim zespołem nadpobudliwości psychoruchowej, a jego mózg jest tak pełen faktów i informacji, że zawsze zapomina o małych rzeczach... ale z reguły nie podczas seksu. Przypisuję to niezwykle pracowitemu czasowi w pracy w połączeniu z tym, że wyjeżdża na trzydniową konferencję na Florydzie, więc jego lista rzeczy do zrobienia jest dziś dłuższa niż zwykle.

– Możesz to zrobić w ten weekend, kiedy wrócisz.

– A co, jeśli wcześniej się ociepli?

– Nie powinno. A nawet jeśli, to jestem pewna, że filtry wytrzymają kilka dni.

– A twój samochód będzie prawdopodobnie wymagał wymiany oleju. Kiedy włączałeś klimatyzację po raz ostatni?

– Nie wiem.

Ja i Will podzieliliśmy obowiązki domowe zgodnie z płcią. Samochody i utrzymanie domu to jego działka, gotowanie i sprzątanie – moja. Żadne z nas nie myśli zbyt o podziale pracy. Studia nauczyły mnie być feministką, ale małżeństwo nauczyło mnie być praktyczną. Robienie lasagne jest o wiele przyjemniejsze niż czyszczenie rynien.

– Sprawdź rachunki od konserwacji, dobrze? Są w schowku.

– No dobrze. Ale o co chodzi z tymi nagłymi wszystkimi zadaniami? Już się mną znudziłeś?

Z tyłu głowy czuję jego szeroki uśmiech.

– Może to właśnie to, co we wszystkich książkach o ciąży nazywa się wiciem gniazda.

Na myśl o tym, co robimy – co może już zrobiliśmy – radość wybucha w mojej piersi. Odwracam się do niego.

– Nie mogę być w ciąży. Oficjalnie staramy się dopiero od niecałych dwudziestu czterech godzin.

Wczoraj wieczorem raz przed kolacją i dwa razy po. Może trochę przesadziliśmy podczas naszej pierwszej oficjalnej sesji robienia dziecka, ale na swoją obronę mamy fakt, że to była nasza rocznica, a Will jest przesadnie ambitny.

Jego oczy błyszczą od samozadowolenia. Gdyby między naszymi ciałami było miejsce, by uderzył się w pierś, z pewnością by to uczynił.

– Jestem pewien, że moi faceci świetnie pływają. Pewnie już jesteś w ciąży.

– Wątpię – odpowiadam, chociaż jego słowa sprawiają, że lekko zaczyna mi się kręcić w głowie. W naszym związku to Will jest tym praktycznym – osobą, która stara się myśleć racjonalnie i nie wykazuje radosnego optymizmu labradora tak jak ja. Nie mówię mu, że zrobiłam już wszystkie obliczenia. Że dokładnie przeanalizowałam mój cykl, wyliczyłam dni od ostatniej miesiączki, wprowadziłam wszystko do aplikacji w telefonie i że ma rację. Równie dobrze mogę już być w ciąży.

– Na siódmą rocznicę większość ludzi daje wełnę albo miedz. Ty dałeś mi spernę.

Uśmiecha się, ale w taki nerwowy sposób. Ma taką minę zawsze, gdy uczynił coś, czego może nie powinien był robić.

– Nie tylko to.

– Will...

W zeszłym roku, pod jego naciskiem, utopiliśmy wszystkie nasze oszczędności i znaczną część naszych miesięcznych dochodów w hipotecę, która zasadniczo sprawiła, że nie mamy wiele więcej niż nasz dom. Och, ale jaki to dom! Nasz wymarzony wiktoriański dom, z trzema sypialniami, na cichej ulicy w Inman Park, z szerokim gankiem z przodu i oryginalnymi drewnianymi wykończeniami. Weszliśmy tam i od razu wiedzieliśmy, że musimy go mieć, nawet jeśli to oznaczało, że w przewidywalnej przyszłości połowa pomieszczeń będzie stała pusta. Teraz miała być rocznica bez prezentów.

– Wiem, wiem, wiem, ale nie mogłem się powstrzymać. Chciałem kupić ci coś wyjątkowego. Coś, żebyś już zawsze pamiętała tę chwilę, nawet jeśli nadal będzie nas tylko dwoje. – Odwraca się, włącza światło i z szuflady od swojej strony łóżka wyciąga małe czerwone pudełko. Wręcza mi je z nieśmiałym uśmiechem. – Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy.

Nawet ja jestem w stanie poznać Cartiera Nie możemy pozwolić sobie nawet na kupienie drobinki kurzu w tym sklepie. Gdy nie otwieram pudełka, Will podnosi wieczko. Widzę trzy połączone ze sobą kółka, na jednym z nich połyskują rzędy malutkich brylancików.

– To potrójny pierścień. Różowy pasek oznacza miłość, żółty wierność, a biały przyjaźń. Spodobała mi się symbolika – ty, ja i nasze przyszłe dziecko. – Mrugam, żeby powstrzymać łzy, a Will podnosi palcem moją brodę i zmusza mnie, bym na niego spojrzała. – O co chodzi? Nie podoba ci się?

Przejeżdżam palcem po białych kamieniach, połyskujących na tle różowej skóry. Prawda jest taka, że Will nie mógłby lepiej wybrać. Pierścionek jest prosty, wyrafinowany i czarujący. Wybrałabym dokładnie taki sam. Gdybyśmy mieli do wydania całe pieniądze tego świata. Których nie mamy.

A mimo wszystko pragnę tego pierścionka bardziej, niż

powinnam – nie dlatego, że jest piękny czy drogi, lecz dlatego, że wybrał go Will.

– Jest cudowny, ale... – Kręcę głową. – Za drogi. Nie stać nas na niego.

– Nie, nie jest za drogi. Nie dla matki mojego przyszłego dziecka. – Wyjmuje pierścionek z pudełka i wsuwa mi go na palec. Pierścionek jest zimny, ciężki i idealnie pasuje, obejmuje palec pod kostką, tak jakby został zrobiony specjalnie na moją dłoń. – Daj mi małą dziewczynkę, która będzie wyglądać tak samo jak ty.

Wpatruję się w równiny i zagłębienia jego twarzy, przyglądając się wszystkim moim ulubionym miejscom. Cienka blizna, która przecina jego lewą brew. Ten guzek na grzbiecie jego nosa. Szeroka, kwadratowa szczeka i mięsiste usta, zapraszające do pocałunku. Ma zaspane oczy i potargane włosy, na brodzie pojawił się drapiący zarost. Ze wszystkich jego przyzwyczajęń i nastrojów, ze wszystkich jego twarzy, jakie dane mi było poznać, najbardziej go kocham go takim, jakim jest teraz: uroczy, o miękkim sercu i pomięty.

Uśmiecham się do niego przez łzy.

– A co, jeśli to będzie chłopiec?

– To będziemy pracować tak długo, aż urodzisz mi moją dziewczynkę. – Całuje mnie długo i przeciągle. – Podoba ci się ten pierścionek?

– Jest cudowny. – Obejmuję go za szyję, brylanciki połyskują ponad jego ramieniem. – Jest idealny tak jak ty.

Szczerzy zęby.

– Może wiesz, zanim wyjadę, powinniśmy jeszcze poćwiczyć.

– Masz lot za trzy godziny.

Ale on już całuje moją szyję, a jego dłoń zsuwa się niżej i niżej.

– No i?

– Pada deszcz. Na ulicach będzie naprawdę kiepsko.

Kładzie mnie na plecach, przyciska moje ciało do łóżka.

– W takim razie lepiej się pośpieszmy.

Rozdział drugi

Nauka w Lake Forrest Academy, ekskluzywnej dwunastoklasowej szkole na liściastym przedmieściu Atlanty, gdzie pracuję jako szkolny psycholog, to koszt abstrakcyjnych 24 435 dolarów rocznie. Zakładając pięcioprocentową inflację, trzynastcie lat spędzonych w tych otoczonych czcią salach będzie kosztować cię ponad czterysta tysięcy za jedno dziecko, i to zanim postawi stopę w kampusie uczelni. Nasi uczniowie są synami i córkami chirurgów i dyrektorów generalnych, bankierów i przedsiębiorców, prezenterów wiadomości i zawodowych sportowców. Są to dzieci uprzywilejowane i z elity, a jednocześnie najbardziej popieprzone, jak tylko można sobie wyobrazić.

Przeciskam się przez podwójne drzwi kilka chwil po dziesiątej – dzięki wcale-nie-tak-szybkemu numerkowi Willa i gwoździowi w oponie – i idę korytarzem wyłożonym dywanem. Budynek jest cichy – jest taki tylko wtedy, gdy uczniowie są w klasie skuleni za swoimi nowiusieńkimi macbookami. Przyszłam w połowie trzeciej lekcji, więc muszę się pośpieszyć.

Gdy wychodzę zza rogu, widzę kilkoro uczniów czekających na korytarzu pod drzwiami mojego gabinetu. Wszyscy są pochyleni nad swoimi komórkami. Uczniowie wiedzą, że prowadzę politykę otwartych drzwi, i często z niej korzystają.

A potem z klasy po drugiej stronie korytarza wychodzi jeszcze więcej dzieci, mają podniesione głosy, czymś się ekscytują, a alarm, który słyszę, sprawia, że zamieram.

– Co się tutaj dzieje? Dlaczego nie jesteście w klasie?

Ben Wheeler patrzy w górę znad swojego iPhone'a.

– Właśnie spadł jakiś samolot. Mówią, że wyleciał z Hartsfield.

Ogarnia mnie panika, moje serce przestaje bić. Opieram się o szafkę.

– Jaki samolot? Gdzie?

Wzrusza chudymi ramionami.

– Więcej na razie nie wiadomo.

Mijam uczniów i siadam za biurkiem, drżącą ręką sięgam po myszkę.

– No dalej, dalej – szepczę, wybudzając komputer z hibernacji. W mojej głowie wirują dane na temat lotu Willa. Teraz powinien być w powietrzu od około trzydziestu minut i dolatywać do granicy z Florydą. Na pewno – na pewno – rozbity samolot to nie ten, w którym leciał. No bo jakie są szanse? Codziennie z lotniska w Atlancie startują tysiące samolotów, które nie spadają z nieba. Z pewnością wszyscy są bezpieczni.

– Pani Griffith, wszystko w porządku? – Ava, drobna uczennica drugiej klasy, odzywa się, stojąc w drzwiach mojego gabinetu. Jej słowa ledwo przebijają się przez ryk w moich uszach.

Po całej wieczności przeglądarka internetowa wreszcie się ładuje i wpisuję adres CNN sztywnymi i niezgrabnymi palcami. A następnie zaczynam się modlić. Proszę, Boże, proszę, nie pozwól, aby to był Will.

Obrazy, które wypełniają mój ekran kilka sekund później, są przerażające. Kawalki samolotu rozerwanego eksplozją, zwęglone pole usiane kropkami dymiących fragmentów wraku. Najgorszy rodzaj katastrofy, taki, w którym nikt nie przeżywa.

– Biedni ludzie – szepcze Ava nad moją głową.

Robi mi się niedobrze, mdłości zbierają się w gardle, zjeżdżam w dół, żeby sprawdzić szczegóły lotu. Liberty Airlines, lot 23. Głośno wypuszczam powietrze, miękną mi kolana.

Ava nieśmiało przejeżdża dłonią po moich łopatkach.

– Pani Griffith, co się dzieje? Jak mogę pomóc?

– Wszystko w porządku. – Moje słowa są bezgłośnie, tak jakby do moich płuc nie dotarła jeszcze żadna wiadomość. Wiem, że powinno mi być szkoda pasażerów lotu 23 i ich rodzin, tych biednych ludzi rozerwanych na strzępy nad polem kukurydzy w Missouri, ich rodzin i przyjaciół, dowiadujących się o tym tak jak ja, z mediów społecznościowych i tych strasznych zdjęć na ekranach, ale zamiast tego odczuwam tylko ulgę. Ulga płynie przeze mnie niczym valium, silna, szybka i wspaniała. – To nie

był samolot Willa.

– A kto to Will?

Gładzę policzki dłońmi i próbuję pozbyć się paniki, ale ona cały czas ze mną walczy, nie daje się usunąć.

– Mój mąż. – Moje palce nadal drżą, serce nadal wali, niezależnie od tego, ile razy powtarzam sobie, że to nie był samolot Willa. – Leci do Orlando.

Otworzyła szeroko oczy.

– Myślała pani, że pani mąż leciał tym samolotem? Raju, nic dziwnego, że prawie pani zemdłała.

– Nie zemdlałam, tylko... – Przyciskam dłoń do piersi i nabieram głęboko powietrza. – W tej sytuacji moja reakcja była jak najbardziej adekwatna. Takie przerażenie wywołuje gwałtowny wzrost poziomu adrenaliny, na który ciało musi odpowiedzieć. Ale teraz już wszystko jest w porządku. Nic mi nie będzie.

Mówienie o tym na głos, naukowe ujęcie mojej fizjologicznej reakcji, rozluźnia coś w mojej klatce piersiowej, a pulsowanie w głowie zamienia się w ciche buczenie. Dzięki Bogu to nie był samolot Willa.

– Ej, ja pani nie oceniam. Widziałam pani męża. Straszny przystojniak. – Rzuca plecak na podłogę, siada na krześle i krzyżuje nogi, zbyt gołe, by zgadzać się z regulaminowym strojem w szkole. Tak jak każda inna dziewczyna tutaj, Ava podwija spódniczkę do wysokości spódniczki u dziwki. Patrzy na moją prawą dłoń, nadal przyciśniętą do walącej piersi. – A tak przy okazji, ładny pierścionek. Nowy?

Opuszczam dłoń na kolana. To oczywiste, że Ava zauważyła pierścionek. I prawdopodobnie doskonale wie, ile kosztował. Ignoruję komplement, skupiając się na pierwszej połowie jej zdania.

– Kiedy widziałaś mojego męża?

– Na pani profilu na Facebooku. – Uśmiecha się szeroko. – Gdybym to ja obudziła się obok niego rano, też spóźniłabym się do szkoły.

Rzucam jej karcące spojrzenie.

– Bardzo miło mi się z tobą rozmawia, ale czy nie powinnaś przypadkiem wrócić do klasy?

Wykrzywia te swoje ładne różowe usteczka. Nawet krzywiąc się, Ava jest śliczną dziewczyną. Wręcz boleśnie piękną. Duże niebieskie oczy. Brzoskwiniowo-kremowa skóra. Długie, lśniące, kasztanowe loki. Jest również mądra, a gdy chce – bardzo zabawna. Mogłaby mieć w tej szkole każdego chłopca... i ma. Ava nie jest wybredna, a jeśli wierzyć Twitterowi, nietrudno zdobyć jej serce.

– Nie idę na angielski – mówi w sposób, w jaki z reguły mówi się do niemowląt.

Rzucam jej mój uśmiech psycholożki, przyjazny i nieoceniający.

– Dlaczego?

Wzdycha i przewraca oczami.

– Ponieważ unikam zamkniętych przestrzeni, w których Charlotte Wilbanks i ja musimy oddychać tym samym powietrzem. Nienawidzi mnie i zapewniam panią, że to uczucie jest odwzajemnione.

– Dlaczego uważasz, że ona cię nienawidzi? – pytam, chociaż doskonale znam odpowiedź. Charlotte i Ava były kiedyś najlepszymi przyjaciółkami, a historia ich sprzeczki jest dobrze udokumentowana. To, co kilka lat temu wywołało nienawiść, już dawno zostało zapomniane i pochowane pod milionem chamskich i pozbawionych smaku twittów, które wprowadzają pojęcie „złej dziewczyny” na zupełnie inny poziom. Z tego, co widziałam wczoraj, ich najnowszy konflikt obraca się wokół kolegi z klasy Adama Nightingale’a, syna legendy muzyki country Toby’ego Nightingale’a. W miniony weekend pojawiły się zdjęcia Avy i Adama, migdałących się w pobliskim barze ze świeżymi sokami.

– Kto to wie? Pewnie dlatego, że jestem ładniejsza. – Skubie idealny lakier do paznokci, jasnożółty żel, wyglądający, jakby nałożyła go dzień wcześniej.

Jak większość dzieciaków w szkole, tak i Ava dostaje od rodziców, czego tylko dusza zapragnie. Zupełnie nowe cabrio, najlepsze wycieczki do egzotycznych miejsc, kartę Platinum

Amex i ich błogosławieństwo. Ale zasypywanie córki prezentami to nie to samo, co poświęcanie jej uwagi, i gdyby to oni siedzieli naprzeciwko mnie, zachęcałabym ich, aby dawali jej lepszy przykład. Matka Avy to lwica salonowa Atlanty z niezwykłą umiejętnością patrzenia w drugą stronę za każdym razem, gdy ojciec Avy, chirurg plastyk, który w mieście jest określany mianem „Facet od Cycków”, zostaje przyłapany z o połowę młodszą dziewczyną, co następuje dość często.

Na studiach uczyli mnie, że równie ważna jest natura dziecka i uwaga, jaką poświęcają mu rodzice, ale praca nauczyła mnie, że uwaga wygrywa za każdym razem. Szczególnie wtedy, gdy jej brakuje. Im więcej schrzaniłi rodzice, tym więcej chrzaniło dziecko. To naprawdę takie proste.

Ale wierzę również, że każdy, nawet najgorsi rodzice i najbardziej niedostosowane dzieci, może się uratować. Ava jest taka, bo nie potrafi sobie poradzić. To rodzice sprawili, że jest taka, jaka jest.

– Jestem pewna, że gdybyś poświęciła temu trochę więcej uwagi, mogłabyś wymyślić lepszy powód, dla którego Charlotte może...

– Puk, puk. – W drzwiach staje dyrektor szkoły, Ted Rawlings. Wysoki i tyczkowaty, z koroną ciemnych loków, przypomina mi pudła, który podchodzi poważnie do wszystkiego poza swoimi krawatami. Miał już na sobie setki ohydnych wzorów, zawsze śmiesznych, które wyglądały uroczo tylko na nim. Dzisiejsza wersja to jasnożółty krawat z poliestru, pokryty równaniami z fizyki.

– Zakładam, że słyszałaś o katastrofie.

Kiwam głową i patrzę na zdjęcia na ekranie. Ci biedni ludzie. Ich biedne rodziny.

– Ktoś w tej szkole będzie znał kogoś z tego samolotu – mówi Ava. – Tylko poczekajmy.

Pod wpływem jej słów po moim kręgosłupie przebiega dreszcz, bo wiem, że ma rację. Atlanta to duże miasto, ale małe miasteczko, takie, w którym rozłąki w rodzinie są zazwyczaj krótkie. Szanse, że ktoś w jakiś sposób jest powiązany z którąś

z ofiar, wcale nie są małe. Zakładam, że najlepsze, na co mogę mieć nadzieję, to żeby wśród ofiar nie znajdował się żaden członek rodziny ani przyjaciół.

– Uczniowie są zdenerwowani – mówi Rawlings. – To oczywiście rozumiałe, sądzę jednak, że nie damy rady prowadzić dzisiaj lekcji. Chciałbym, żeby z twoją pomocą dzieci się czegoś nauczyły. Stwórz dla nich bezpieczne miejsce, w którym będą mogły porozmawiać o tym, co się wydarzyło, i zadawać pytania. A jeśli panna Campbell ma rację, że ktoś z Lake Forrest stracił w katastrofie ukochaną osobę, my będziemy już przygotowani, aby zapewnić jej wsparcie, jakiego potrzebuje.

– To świetny pomysł.

– Cudownie. Cieszę się, że mamy cię w szkole. Zwołam zebranie w audytorium i wyznaczę cię do rozmów na ten temat.

– Oczywiście. Daj mi tylko minutę lub dwie, żebym się ogarnęła, i już idę.

Ted przejeżdża palcem po drzwiach i wychodzi. Ponieważ lekcje zostały oficjalnie odwołane, Ava podnosi plecak i przez kilka chwil czegoś w nim szuka. Ja w tym czasie wyjmuję puder kompaktowy z szuflady w biurku.

– Proszę – mówi, podając mi kilka tubek z markowymi podkładami. Chanel, Nars, YSL, Mac. – Bez obrazy, ale pani chyba potrzebuje ich bardziej niż ja. – Uśmiecha się szeroko, by załagodzić swoje słowa.

– Dziękuję, Avo. Ale mam własne przybory do makijażu.

Ona jednak nie zabiera tubek. Przestępuje z nogi na nogę, jedną ręką trzyma pasek plecaka. Przygryza wargę, zerka na swoje eleganckie buty i zaczynam myśleć, że pod całą tą odwagą i brawurą tak naprawdę może być nieśmiała dziewczyna.

– Naprawdę bardzo się cieszę, że to nie był samolot pani męża.

Tym razem ulga buduje się powoli, otacza mnie ciepłem tak jak zaspane ciało Willa tego ranka. Jest niczym promienie słońca na nagiej skórze.

– Ja też.

Gdy wychodzi, sięgam po telefon i wyświetlam numer telefonu

Willa. Wiem, że nie będzie mógł odebrać jeszcze przez jakąś godzinę, muszę jednak usłyszeć jego głos, choćby z taśmy. Pod wpływem gładkiego, znajomego głosu moje mięśnie się rozluźniają. To jest poczta głosowa Willa Griffitha...

Czekam na piknięcie i ponownie opadam na krzesło.

– Cześć, kochanie, to ja. Wiem, że nadal lecisz, ale jeden samolot rozbił się tuż po starcie z Hartsfield i przez jakieś piętnaście przerażających sekund myślałam, że to może twój, i chciałam tylko... nie wiem, usłyszeć od samej siebie, że nic ci nie jest. Wiem, że to głupie, ale zadzwoń do mnie, jak tylko wylądujesz, dobrze? Dzieciaki oszalały, więc będę w audytorium, ale obiecuję, że odbiorę. Dobra, muszę lecieć, ale niedługo porozmawiamy. Jesteś moją ulubioną osobą i już strasznie za tobą tęsknię.

Chowam telefon do kieszeni i idę w stronę drzwi. Kosmetyki do makijażu Avy leżą tam, gdzie je zostawiła, na stosie na moim biurku.

Rozdział trzeci

Ted siedzi obok mnie na scenie w audytorium, wygładza dłonią krawat i mówi do sali pełnej licealistów.

– Jak wszyscy wiecie, lot 23 Liberty Airlines z lotniska Hartsfield-Jackson do Seattle w Waszyngtonie rozbił się niewiele ponad godzinę temu. Domniemywa się, że zginęli wszyscy pasażerowie, na pokładzie było ich stu siedemdziesięciu dziewięciu. Mężczyźni, kobiety i dzieci, ludzie tacy jak wy i ja. Zwołałem was tutaj, abyśmy mogli porozmawiać o tym jako grupa, otwarcie, uczciwie i bez osądu. Tragedie takie jak ta mogą sprawić, że wszyscy będziemy aż za bardzo świadomi zagrożeń w naszym świecie. Świadomi naszych słabości i tego, jak kruche bywa życie. To pomieszczenie jest bezpieczną przestrzenią, w której możemy zadawać pytania i płakać, a także robić wszystko, aby sobie z tym poradzić. Ustalmy, że to, co się tutaj stanie, nie wyjdzie na zewnątrz.

Każdy inny dyrektor szkoły średniej zarządziłby chwilę ciszy, a potem kazał dzieciakom wrócić do pracy. Ted wie, że dla nastolatków katastrofa zawsze ma pierwszeństwo przed rachunkami, a to dlatego, że we wszystkim upatruje okazję do nauki. A uczniowie podążają za nim bez pytania.

Patrę na ponad trzysta dzieciaków i mogę powiedzieć, że są one podzielone mniej więcej na pół: połowa jest przerażona zdjęciami samolotu, którym być może lecieli ich sąsiedzi, a druga połowa cieszy się z odwołanych lekcji. Ich podekscytowane głosy odbijają się echem w dużej przestrzeni.

Głos jednej z dziewczyn jest głośniejszy niż pozostałe.

– Czy to jakaś grupowa terapia?

– No cóż... – Ted spogląda na mnie pytająco, a ja kiwam głową. Jeśli uczniowie Lake Forrest czują się komfortowo w jakiejś sytuacji, to właśnie podczas terapii, grupowej czy każdej innej. Bo nasze dzieciaki mają ustawione numery do terapeutów pod

przyciskami szybkiego wybierania w telefonach. – Tak. Dokładnie tak jak w terapii grupowej.

Teraz, gdy wiedzą już, co się święci, zdają się uspokajać, krzyżują ręce na piersi i opierają się z powrotem na miękkich fotelach.

– Słyszałem, że to terroryści – krzyczy ktoś z tyłu. – Że organizacja ISIS zorganizowała już wystąpienie i się przyznała.

Jonathan Vanderbeek, który zaraz będzie kończył szkołę, odwraca się w przednim rzędzie.

– A kto ci to powiedział, Sarah Palin?

– Kylie Jenner właśnie tak napisała.

– Genialne – prycha Jonathan. – Bo Kardashianki są ekspertkami, jeśli chodzi o narodowe bezpieczeństwo.

– Już dobrze, dobrze – mówi Ted, kilka razy puka w mikrofon i przywołuje wszystkich do porządku. – Nie pogarszajmy sytuacji, powtarzając plotki i snując domysły. Obejrzałem wiadomości i poza faktem, że samolot się rozbił, tak naprawdę nie ma jeszcze żadnych szczegółowych informacji. Nikt nie powiedział, dlaczego samolot uległ katastrofie ani kto był na jego pokładzie. Najpierw władze muszą skontaktować się z rodzinami. – Ostatnie słowo – rodzinami – trafiło salę jak bomba. Na sekundę lub dwie zawisło w powietrzu, gorące i ciężkie. – A na przyszłość umówmy się, że istnieją bardziej wiarygodne źródła informacji niż Twitter, dobrze? – Z przedniego rzędu słychać prychnięcie.

Ted kręci karcąco głową.

– Dobrze, pani Griffith chciałyby powiedzieć wam kilka rzeczy, które mają być wprowadzeniem do dyskusji. Ja w tym czasie będę oglądał stronę CNN na laptopie i gdy tylko linie lotnicze podadzą jakiegokolwiek nowe informacje, przerwę rozmowę i przeczytam je na głos, abyśmy wszyscy mieli te same aktualne dane. Czy to jest dobry plan?

Wszyscy kiwają głowami. Ted przekazuje mi mikrofon.

Chciałabym móc powiedzieć, że następne kilka godzin

spędziłam na wpatrywaniu się w telefon i czekaniu na sygnał od Willa, ale siedemdziesiąt sześć minut po katastrofie, zaledwie dziesięć minut po rozpoczęciu naszej dyskusji i piętnaście przed oficjalnym wydaniem oświadczenia przez linie lotnicze, CNN podaje, że na pokładzie samolotu znajdowała się cała drużyna lacrosse z liceum Wells Academy, cała szesnastka i trenerzy. Najwyraźniej lecieli na turniej.

– O mój Boże. Jak to możliwe? Przecież dopiero co z nimi graliśmy. W zeszłym tygodniu.

– W zeszłym tygodniu, kretynko. Przecież sama właśnie to powiedziałaś. Co oznacza, że mieli mnóstwo czasu między wtedy a dzisiaj rano, by wsiąść do tego samolotu.

– Sam jesteś kretynem, kretynie. Mówię o tym, że przegraliśmy mecz, dzięki któremu Wells dostali miejsce w turnieju. Policz sobie.

– Chwileczkę – mówię i idę przez audytorium, zanim kłótnia się rozwinie. – Niedowierzanie to normalna reakcja na wiadomość o śmierci przyjaciela, ale wściekłość i sarkazm to kiepskie sposoby radzenia sobie z czymś takim i jestem pewna, że wszyscy doskonale zdajecie sobie z tego sprawę. – Dzieciaki patrzą po sobie skruszone i zniżają się na krzesłach.

– Posłuchajcie, rozumiem, że łatwo jest skryć się za negatywnymi emocjami zamiast skonfrontować się z tym, co stało się z naszymi przyjaciółmi albo kolegami – mówię już łagodniej. – Ale macie prawo być zaskoczeni, smutni, zszokowani czy nawet zranieni. To normalne reakcje na tak szokujące informacje i otwarta i szczerza rozmowa pomoże nam wszystkim poradzić sobie z naszymi uczuciami. Dobrze? Założę się, że Caroline nie jest jedyną osobą, która myśli teraz o ostatnim razie, gdy widziała zawodników Wells. Kto z was był jeszcze na meczu?

Jedna po drugiej w górze pojawiają się ręce i uczniowie zaczynają mówić. Większość opowieści dotyczy tego samego czasu i miejsca, ale to oczywiste, że dzieciaki są przerażone. Gdyby wygrali ten mecz, gdyby to drużyna z Lake Forrest dostała miejsce w tym turnieju, w tym samolocie mogliby równie dobrze siedzieć nasi uczniowie. Prowadzenie rozmowy wymaga ode

mnie ogromnego skupienia, aż wreszcie robimy przerwę na lunch.

Uczniowie wychodzą na zewnątrz, a ja wyjmuję telefon z kieszeni i marszczę czoło, bo ekran nadal jest pusty. Will wylądował ponad godzinę temu i nadal nie zadzwonił, nie napisał, nic nie zrobił. Gdzie on u diabła jest?

Ted kładzie rękę na moim przedramieniu.

– Wszystko w porządku?

– Co? Och tak. Tylko czekam na telefon od Willa. Dzisiaj rano poleciał do Orlando.

Oczy Teda robią się wielkie, ma współczującą minę.

– No cóż, to wyjaśnia wyraz twojej twarzy, gdy wcześniej wszedłem do twojego gabinetu. Musiałaś się nieźle przestraszyć.

– Tak, a biedna Ava odczuła to najbardziej. – Macham telefonem w powietrzu. – Spróbuję go namierzyć.

– Oczywiście, oczywiście. Idź.

Schodzę ze sceny i idę środkowym przejściem, wybieram numer Willa, jeszcze zanim wychodzę na korytarz przez podwójne drzwi. Lake Forrest przypomina uniwersytecki kampus, składa się z kilkunastu pokrytych bluszczem budynków na powierzchni około akra, idę brukowaną drogą, prowadzącą do budynku liceum. Deszcz przestał padać, ale ołowiane chmury nadal wiszą nisko na niebie, a lodowaty wiatr wywołuje gęsią skórę na moich rękach. Otulam się swetrem i biegnę po schodach do podwójnych drzwi, i wchodzę w ciepło dokładnie w chwili, w której komórka Willa przełącza mnie na pocztę głosową.

Szlag.

Czekam na piknięcie i próbuję się uspokoić. Powtarzam sobie, że mam się nie martwić. Że z pewnością istnieje proste wytłumaczenie tego, że jeszcze nie zadzwonił. W ciągu kilku ostatnich miesięcy miał w pracy dużo stresu i kiepsko spał. Może uciął sobie drzemkę. Poza tym łatwo zapomina, jest typowym informatykiem, który nie potrafi skupić się na jednej rzeczy naraz. Wyobrażam sobie, jak wybiera mój numer, a potem zapomina wcisnąć „Wyślij”. Albo siedzi z jakimiś grubymi rybami przy basenowym hotelu, nie zwracając uwagi na dzwoniący

telefon. A może po prostu padła mu bateria albo zapomniał telefonu i zostawił go w samolocie. Myślę o tych wszystkich rzeczach i niemal odczuwam radość.

– Cześć, kochanie – mówię do telefonu, próbując brzmieć bez troski. – Chciałam tylko sprawdzić, że wszystko jest w porządku. Powinieneś być już u siebie w hotelu, ale chyba mają tam kiepską recepcjonistkę. W każdym razie, gdy będziesz mieć chwilę, zadzwoń do mnie. Trochę zdenerwowałam się tą katastrofą i naprawdę bardzo chcę usłyszeć twój głos. No to na razie, czekam. Jesteś moją ulubioną osobą.

W swoim gabinecie idę prosto do komputera i włączam program pocztowy. Miesiąc temu Will wysłał mi szczegółowy dotyczący konferencji, ale w mojej skrzynce odbiorczej jest ponad trzy tysiące maili, nie ma za to dobrego systemu ich organizacji. Muszę trochę poszukać, ale wreszcie znajduję to, czego szukałam:

Od: w.griffith@appsec-consulting.com

Do: irisgriffith@lakeforrestacademy.org

Temat: FW: Bezpieczeństwo cybernetyczne w aspekcie krytycznych zasobów: szczyt wywiadowczy

Sprawdź! W czwartek jestem głównym prelegentem. Miejmy tylko nadzieję, że wszyscy nie zasną, tak jak ty, gdy tylko zaczynam mówić o pracy, xo

Will M. Griffith

Starszy inżynier oprogramowania

AppSec Consulting, Inc.

Z ulgi odczuwam mrowienie na skórze, czuję się usprawiedliwiona. Mam tutaj wszystko czarno na białym. Will jest w Orlando, bezpieczny.

Klikam załącznik, pojawia się ulotka z konferencji. Zdjęcie Willa znajduje się w połowie strony, obok blurba reklamującego jego doświadczenie w kwestii zarządzania ryzykiem. Drukuję ulotkę i spisuję na karteczce nazwę hotelu, w którym ma się odbywać

konferencja, a następnie ponownie włączam wyszukiwarke, żeby znaleźć numer. Właśnie go przepisuję, gdy mój telefon zaczyna dzwonić. Na ekranie pojawia się twarz mojej matki.

Zaczynam odczuwać niepewność. Moja matka, logopeda, doskonale wie, jak wygląda robota w szkole. Wie, że mam szalenie dużo pracy, i nigdy mi w niej nie przeszkadza, chyba że chodzi o sprawę życia i śmierci. Tak jak wtedy, gdy tata wjechał przednim kołem roweru w dziurę i fiknął koziołka na asfalcie, łamiąc sobie kość obojczyka. Jego kask rozpadł się wówczas na pół.

To dlatego odbieram i od razu mówię:

– Co się stało?

– Och, skarbie. Właśnie widziałam wiadomości.

– O katastrofie? Wiem. Cały dzień próbujemy ogarnąć to w szkole. Dzieciaki szaleją ze strachu.

– Nie. Nie o to mi chodzi. No dobrze, nie do końca... Kochanie, chodziło mi o Willa...

Coś w sposobie, w jaki to mówi, w ostrożnym pytaniu niby o Willa, a jednak nie o niego, sprawia, że każdy włoszek na moim ciele staje dęba.

– Co z nim?

– No dobrze, zacznijmy od tego: gdzie on jest?

– W Orlando na konferencji. Dlaczego pytasz?

Siła, z jaką mama wzdycha do słuchawki, niemalże rozwała mi bębenek. Po chwili rozumiem, jak bardzo musiała nad sobą panować.

– Och, dzięki Bogu. Wiedziałam, że to nie może być Will.

– O czym ty mówisz? Kto nie mógł być moim Willem?

Jej odpowiedź ginie we wrzasku jednej z uczennic, która wpada do mojego gabinetu.

– Pan Rawlings kazał mi pani przekazać, że właśnie opublikowano listę nazwisk. – Krzyczy te słowa do mojego gabinetu, tak jakbym nie siedziała tutaj, metr dalej, i nie rozmawiała przez telefon. Uciszam ją i macham ręką, żeby sobie poszła.

– Mamo, zacznij od nowa. Kto nie jest moim Willem?

– William Matthew Griffith, który, jak mówią, był na pokładzie samolotu.

Z samego środka mnie pojawiają się słowa „to nie mój mąż!”. Mój Will leciał innym samolotem, zupełnie innymi liniami lotniczymi. A nawet gdyby, to przecież Liberty Airlines już by do mnie dzwoniły. Nie podano by jego nazwiska bez uprzedniego poinformowania o tym mnie – jego żony, jego ulubionej osoby na tej planecie.

Zanim jednak mówię mamie którąkolwiek z tych rzeczy, w moim telefonie rozlega się piknięcie – przychodzi kolejne połączenie. Słowa na ekranie sprawiają, że moje serce staje.

Liberty Airlines.

Rozdział czwarty

Drżącą dłonią zawieszam rozmowę z mamą i odbieram od Liberty Airlines.

– Tak, słucham?

Gardło mam tak ściśnięte, że mój głos zdaje się zachrypnięty i słaby.

– Dzień dobry, czy mogę rozmawiać z panią Iris Griffith?

Wiem, dlaczego ta kobieta dzwoni. Wiem to ze sposobu, w jaki wymawia moje nazwisko, ostrożnie neutralnym i biznesowym tonem. Nie jestem w stanie oddychać.

Ale ona się myli. Will jest w Orlando.

– Will jest w Orlando. – Słyszę swój głos.

– Przepraszam... Czy to jest numer pani Iris Griffith?

Co by się stało, gdybym odparła, że nie? Czy powstrzymałoby to tę kobietę przed wypowiedzeniem słów, które ma zamiar wypowiedzieć? Czy rozłączyłaby się i zadzwoniła do żony innego Williama Matthew Griffitha?

– To ja jestem Iris Griffith.

– Pani Griffith, nazywam się Carol Manning i dzwonię z Liberty Airlines. William Matthew Griffith ustawił panią jako osobę kontaktową w nagłych wypadkach.

Will jest w Orlando. Will jest w Orlando. Will jest w Orlando.

– Tak. – Ściskam żołądek ręką. – Jestem jego żoną. Jestem jego żoną. Jestem.

– Proszę pani, jest mi ogromnie przykro, ale muszę panią poinformować, że pani mąż był pasażerem dzisiejszego porannego lotu numer 23. Samolot rozbił się w drodze z Atlanty do Seattle. Zakłada się, że żaden z pasażerów nie przeżył katastrofy. – Brzmi jak robot, tak jakby czytała to z kartki. Brzmi jak Siri, która dzwoni do mnie, żeby poinformować mnie o śmierci mojego męża.

Moje mięśnie przestają działać, upadam. Klatka piersiowa pada

na kolana, moje ciało składa się wpół niczym złamana gałąź. Pod wpływem siły uderzenia z moich płuc wydostaje się całe powietrze, jęczę głośno.

– Wiem, że to musi być dla pani szok, i zapewniam, że Liberty Airlines w każdej chwili zapewni pani każde możliwe wsparcie. Założyliśmy specjalny numer infolinii i adres mailowy, by mogła się pani z nami skontaktować o każdej porze dnia i nocy. Na naszej stronie www.libertyairlines.com będą również pojawiać się najnowsze informacje.

Jeśli mówi coś jeszcze, to ja jej nie słucham. Telefon spada na podłogę. Na środku mojego zagraconego gabinetu, na oczach przerażonych uczniów, którzy stoją w drzwiach, ześlizguję się z krzesła i szlocham, przyciskam obie dłonie do ust, by stłumić ten dźwięk.

W moim polu widzenia znajdują się dwa wielkie buty.

– Och, Iris. Właśnie się dowiedziałem. Tak strasznie, strasznie mi przykro.

Spoglądam w górę przez moje włosy na Teda, na jego zmartwioną brew pod tymi loczkami, i szlocham z ulgą. Ted potrafi wszystko naprawić. Będzie wiedział, co robić. Zadzwoni do kogoś, kto mu powie, że to nie ten Will, nie ten samolot i nie ta żona.

Próbuję się zebrać, ale nie mogę, i dopiero wtedy zauważam, że w moim gabinecie jest pełno uczniów. Słyszałam, że zaczęli zbierać się na korytarzu przed moimi drzwiami, słyszałam ciche głosy i słowa, których nie powinnam słyszeć. Słowa takie jak mąż, samolot, martwy, i wiem już, że słyszeli tę wiadomość.

Nie. Jeszcze tego ranka, gdy nalewałam kawy do naszych kubków termicznych, Will sprawdzał na telefonie pogodę w Orlando.

– Trzydzieści stopni – powiedział, kręcąc głową. – A to przecież jeszcze nie lato. To dlatego nigdy nie będziemy mieszkać na Florydzie.

Ava patrzy na mnie ze łzami w oczach.

– Will jest w Orlando – mówię jej, a na jej twarzy maluje się współczucie.

Jestem zawstydzona faktem, że widzi mnie w takim stanie, że oni wszyscy widzą mnie w takim stanie, skuloną, zasmarkaną kupkę nieszczęścia na podłodze. Zasłaniam twarz dłońmi i pragnę, żeby sobie poszli. Chcę, żeby wszyscy po prostu zostawili mnie samą. Moja polityka otwartych drzwi może się gonić.

– Chodź, pomogę ci wstać. – Ted podnosi mnie z podłogi i sadza na krześle.

– Gdzie mój telefon? Chcę jeszcze raz zadzwonić do Willa.

Pochyla się, podnosi mój telefon z podłogi i mi go podaje. Dziesięć nieodebranych połączeń. Czuję gulę w gardle, gdy widzę, że wszystkie są od mojej matki. Żadnego, ani jednego połączenia od Willa.

– Dzieciaki, zostawcie nas samych, dobrze? – Ted patrzy przez ramię. – I zamknijcie za sobą drzwi.

Uczniowie po kolei wychodzą, mamrocząc kondolencje. Ava delikatnie przejeżdża palcem po mojej ręce. Wzdrygam się. Nie chcę jej współczucia. Nie chcę niczyjego współczucia. Współczucie oznaczałoby, że to, co powiedziała mi ta kobieta, to prawda. Współczucie oznaczałoby, że mój Will nie żyje.

Gdy już wszyscy wychodzą i zostajemy sami, Ted kładzie dłoń na moim ramieniu.

– Czy jest ktoś, do kogo powinienem zadzwonić?

Zadzwonić! Właśnie miałam dzwonić do hotelu. Patrzę na ulotkę z konferencji, wyszarpuję ją z drukarki i macham nią Tedowi przed twarzą.

– To! To udowadnia, że Will jest w Orlando. Jutro będzie głównym prelegentem. Nie było go w samolocie do Seattle. Był w samolocie do Orlando. – W mojej piersi rozkwita nadzieja.

– Czy zameldował się w hotelu? – pyta Ted tonem, którym próbuje mnie udobruchać.

Drżącą ręką znajduję karteczkę z numerem telefonu do hotelu i wstukuję go w telefon. Widzę, że Ted nie ma już nadziei, że myśli, że to, co robię, to strata czasu, nie jestem w stanie znieść

bezczelnego współczucia na jego twarzy. Wpatruję się więc w biurko, skupiam się na zadrapaniach i rysach na jego powierzchni. Telefon dzwoni raz, potem drugi.

Po całej wieczności odzywa się kobiecy głos.

– Dzień dobry, Westin Universal Boulevard. W czym mogę pomóc?

– Proszę o połączenie z pokojem Willa Griffitha. – Słowa te wręcz ze mnie wypadają, zbyt szybko, niczym z naćpanego licytatora.

– Z przyjemnością – ćwierka mi do ucha recepcjonistka. Jestem pewna, że ciągle ma do czynienia z zazdrosnymi małżonkami, z kobietami śledzącymi swoich niewiernych chłopaków czy łajdaczących się mężów. W Westin jest prawdopodobnie cała instrukcja postępowania z takimi jak ja. – Powiedziała pani Griffith?

– Tak, Will. Albo pod William, pierwsza litera drugiego imienia to M. – Nabieram powietrza i próbuję się uspokoić, ale trzęsie mi się noga i nie mogę przestać drżeć.

Ted zdejmuje marynarkę i zarzuca mi ją na ramiona. Wiem, że chce dobrze, ale ten gest wydaje mi się o wiele za bardzo osobisty, poza tym materiał marynarki obco pachnie Tedem. Mam ochotę ją z siebie zerwać i wyrzucić ją przez okno. Mojego ciała mogą dotykać tylko ubrania Willa.

Przez kilka sekund kobieta wstukuje coś na klawiaturze.

– Hmm. Przykro mi, ale nie znalazłam rezerwacji na nazwisko pana Griffitha.

Tłumię szloch.

– Proszę sprawdzić raz jeszcze. Proszę.

Następuje kolejna przerwa, wypełniona jeszcze większą liczbą stuknięć. Strach zaczyna gromadzić się pod moją skórą niczym pasożyty, powoli i równomiernie, zjadając moją pewność siebie.

– Czy jest pani pewna, że chodzi o ten hotel Westin? Mamy drugi w Lake Mary, w północnej części miasta. Jeśli sobie pani życzy, podam pani numer.

Kręcę głową, mrugam, by odpędzić świeże łzy i móc przeczytać informację o hotelu na dole ulotki.

– Patrę teraz na broszurkę z konferencji. Napisano tutaj Universal Boulevard.

Jej głos staje się radośniejszy.

– Och, skoro przyjechał tutaj na konferencję, to może uda mi się przekazać organizatorowi prośbę o kontakt. Która to konferencja?

– Bezpieczeństwo cybernetyczne w aspekcie krytycznych zasobów: szczyt wywiadowczy.

Waha się tylko sekundę lub dwie, ale dostatecznie długo, by w moim gardle ponownie pojawiła się gula.

– Proszę pani, bardzo mi przykro, ale w tym hotelu nie odbywa się taka konferencja.

Upuszczam telefon i wymiotuję do kosza na śmieci.

Claire Masters, koleżanka z działu rekrutacji, mieszczącego się po drugiej stronie korytarza, zawozi mnie do domu. Ja i Claire się kolegujemy, ale się nie przyjaźnimy. Nie muszę jednak pytać, dlaczego siedzę akurat w jej samochodzie, a nie w samochodzie kogoś innego. Na początku zeszłego roku mąż Claire zmarł z powodu chłoniaka Hodgkina i teraz, niezależnie od tego, czy sama chciała mnie odwiedzić, czy ją o to proszono, powód jest oczywisty. Jeśli ktokolwiek zrozumie, przez co przechodzę, to tylko inna wdowa. Wdowa. Zwymiotowałabym raz jeszcze, ale mój żołądek jest już pusty.

Odwracam się i wyglądam przez okno, patrę, jak mijamy znajome sklepy. Claire jedzie powoli, trzyma ręce na dziesiątej i drugiej, i nie odzywa się ani słowem. Milczy i obserwuje ruch uliczny i chociaż nie chcę trafić do jej tragicznej kategorii, wiem, że przynajmniej wie, że chcę, by zostawiono mnie samą.

Telefon brzęczy mi na kolanach. Matka dzwoni chyba po raz setny. Czuję ukłucie poczucia winy. Wiem, że unikanie jej w tej chwili jest nie w porządku, ale po prostu nie jestem w stanie z nią teraz rozmawiać. Nie jestem w stanie rozmawiać z nikim.

– Nie chcesz odebrać? – Głos Claire jest wysoki i dziewczęcy, kroi ciszę niczym piłka do chleba.

– Nie. – Ominięcie głazu w mojej piersi i wypowiedzenie jednego słowa całkowicie pozbawia mnie energii.

Patrzy na mnie, na mój telefon i na samochody przed nami.

– Podejrzewam, że twoja matka odchodzi teraz od zmysłów.

Krzywię się pod wpływem jej znaczącego tonu, pod wpływem sposobu, w jaki umieszcza nas obie w najgorszym możliwym zespole.

– Nie mogę. – Przy ostatnim słowie rwie mi się głos. Rozmowa z mamą oznaczałaby, że musiałabym wypowiedzieć na głos te wszystkie słowa. Willa już nie ma. Will nie żyje. Wypowiedzenie tych słów urzeczywistniłoby to zjawisko.

Telefon przestaje dzwonić, a potem, po dwóch sekundach, zaczyna dzwonić od nowa.

Tym razem Claire bierze go z moich kolan i odbiera.

– Dzień dobry, z tej strony Claire Masters. Jestem koleżanką Iris z Lake Forrest. Siedzi obok mnie, ale nie jest jeszcze gotowa do rozmowy. – Chwila ciszy. – Tak, proszę pani. Obawiam się, że to prawda. – Kolejna przerwa, tym razem dłuższa. – W porządku. Na pewno jej o tym powiem. – Rozłącza się i delikatnie kładzie telefon z powrotem na moich nogach. – Twoi rodzice już jadą. Będą przez zmierzchem.

Chciałabym jej podziękować, ale nie mam siły. Wyglądam przez okno i próbuję to sobie wyobrazić, mój Will na polu dymiących fragmentów samolotu, porozwalanych bagaży, szczątków i poskręcanych kawałków metalu, ale nie umiem. Wydaje mi się to niezrozumiałe, tak samo abstrakcyjne jak pojęcia z zajęć w klasie fizycznej.

Will leciał do Orlando, a nie do Seattle. Nie może być martwy. To po prostu niemożliwe.

Claire skręca w zjazd na Georgia 400 i wciska gaz, pędzimy na południe w błogosławionej ciszy.

Rozdział piąty

Bez względu na to, ile razy zapewniam ją, że nie jest to konieczne, Claire odprowadza mnie brukowaną ścieżką do drzwi wejściowych mojego domu. Grzebię w torebce i wyciągam klucze, wkładam je do zamka.

– Dzięki za podwózkę. Nic mi nie będzie.

Otwieram drzwi i wchodzę do środka, gdy jednak chcę je zamknąć, Claire mnie powstrzymuje.

– Skarbie, zostaję. Poczekam na twoich rodziców.

– Claire, nie obraż się, ale chcę być sama.

– Iris, nie obraż się, ale nie wyjdę. – Jej wysoki głos jest zaskakująco stanowczy, ale łagodzi swoje słowa uśmiechem. – Jeśli nie chcesz, nie musisz ze mną rozmawiać, ale zostaję i tyle.

Cofam się i pozwalam jej przejść.

Rozgląda się po korytarzu, patrzy na ściany koloru miodu, na lśniące sosnowe podłogi z niemal czarnymi plamami, rzeźbione poręcze na oryginalnej klatce schodowej. Wychyla głowę i zagląda do przedniego salonu, pustego poza beżową sofą, którą nadal splącamy – zrobiliśmy sobie taki świąteczny prezent – a potem wskazuje na tył domu.

– Zakładam, że kuchnia jest w tę stronę? – Stawia swoją torbę przy drzwiach i rusza korytarzem. – Zaparzę nam herbaty. – Idzie do kuchni za rogiem.

Gdy tylko znika, opieram się o słupek poręczy schodów, bo atakują mnie wspomnienia poranka. Ciężar ciała Willa na moim, jego rozgrzewające dłonie i gorąca naga skóra. Jego usta w zagłębieniu mojej szyi i sunące na południe, drapiący poranny zarost na piersiach, brzuchu, jeszcze niżej. Moje palce wplątane w jego włosy. Woda spływająca po jego umięśnionym torsie, gdy wyszedł spod prysznic, dotyk jego palców na moich, gdy podałam mu ręcznik. Jego gładkie, ciepłe usta, wracające po jeszcze jeden pocałunek, niezależnie od tego, ile razy

ostrzegałam, że zaraz spóźni się na samolot. Ostatnie machnięcie dłonią, gdy wytoczył walizkę przed drzwi, błysk jego obrączki we wczesnoporannych promieniach słońca. A potem odjechał w swoim samochodzie.

On musi wrócić. Musimy jeszcze iść na umówione randki, mamy rezerwacje w hotelach i przyjęcia urodzinowe do zaplanowania. W przyszłym miesiącu, tylko my dwoje, jedziemy do Seaside na Memorial Day, a latem do Hilton Head z moją rodziną. Przecież dopiero co ostatniej nocy pocałował mój brzuch i powiedział, że nie może się doczekać, aż będę taka gruba, nosząc pod sercem jego dziecko, że nie da rady mnie objąć. Will nie może odejść. Nieodwołalność tego stwierdzenia jest zbyt nierealna, zbyt niestrawna. Potrzebuję dowodu.

Rzucam moje rzeczy na podłogę i ruszam korytarzem na tyły domu, do otwartej kuchni z jadalnią. Z koszyka z owocami wyjmuję pilot, wciskam kilka guzików i pojawia się CNN. Przed polem kukurydzy stoi ciemnowłosa dziennikarka, wiatr targa jej włosy. Kobieta przeprowadza wywiad z siwym mężczyzną w grubym płaszczu. Na pasku na dole ekranu czytam, że jest to właściciel pola, zasypanego teraz częściami samolotu i ludzkimi szczątkami.

Claire wychodzi zza rogu. Niesie pudełko z różnymi rodzajami herbat, otwiera szeroko oczy.

– Naprawdę nie powinnaś teraz tego oglądać.

– Ciii. – Zwiększam głośność do tego stopnia, że ich głosy ranią moje uszy niemal tak mocno jak ich słowa. Dziennikarka zasypuje mężczyznę pytaniami, podczas gdy ja przyglądam się tłu, szukając jakichkolwiek oznak obecności Willa. Brązowych włosów, rękawa granatowego polara. Wstrzymuję oddech i staram się cokolwiek zobaczyć, ale widzę tylko dym i kołyszące się na wietrze tyczki na polu kukurydzy.

Dziennikarka prosi starszego mężczyznę, by opisał, co widział.

– Pracowałem w zachodniej części pola, gdy to usłyszałem – mówi mężczyzna, wskazując niekończące się rzędy kukurydzy. – To znaczy, samolot. Najpierw to usłyszałem, a potem zobaczyłem. Ewidentnie miał duże problemy.

Dziennikarka mu przerywa.

– Skąd pan wiedział, że miał problemy?

– Silniki ryczały, ale nie widziałem żadnego ognia ani dymu. Dopiero gdy uderzył w pole i wybuchł. Jeszcze nigdy nie widziałem takiej kuli ognia. Byłem jakiś kilometr dalej, ale i tak poczułem, jak ziemia się trzęsie, a wybuch gorąca był tak potężny, że osmalił mi włosy.

Ile czasu samolot spada z nieba? Minutę? Pięć? Myślę o tym, co czuł Will, pochylam się nad zlewem i próbuję zwymiotować.

Claire sięga po pilota i wyłącza dźwięk. Łapię się blatu, wpatruję się w odrapane dno zlewu, czekam, aż mój żołądek się uspokoi, i myślę: Co teraz? Co ja mam teraz zrobić, do ciężkiej cholery? Za sobą słyszę odgłosy krzątania w kuchni, otwieranie szafek i drzwi lodówki.

Po chwili Claire wraca z paczką słonych krakersów i butelką wody.

– Proszę. Woda jest zimna, więc bierz małe łyki.

Ignoruję ją, obchodzę blat i opadam na taboret przy barze.

– Zaprzeczenie, wściekłość, negocjacje, depresja, akceptacja.

Claire patrzy na mnie pytająco.

– Etapy żałoby według Kübler-Ross. Najwyraźniej jestem w fazie zaprzeczania, ponieważ nie ma to dla mnie najmniejszego sensu. Jak ktoś lecący do Orlando mógł skończyć w samolocie lecącym na zachód? Czy konferencja została przeniesiona do Seattle czy coś?

Wzrusza ramionami, ale na jej twarzy nie widać żadnej niepewności. Ja może i jestem w fazie zaprzeczenia, ale ona najwyraźniej nie jest. Chociaż nie mówi tego głośno, widzę, że jej zdaniem Will znajduje się wśród stu siedemdziesięciu dziewięciu osób rozerwanych na strzępy nad polem kukurydzy w Missouri.

– To po prostu niemożliwe. Will by mi powiedział i z pewnością nie opowiadałby mi o wyjeździe do Orlando. Jeszcze tego ranka stał tutaj, gdzie ty teraz, i mówił, jak bardzo nienawidzi tego miasta. Gorąco, ruch uliczny i gdziekolwiek spojrzeć, cholerne parki rozrywki. – Kręcę głową, desperacja sprawia, że mój głos staje się wysoki jak u syreny. – Był tak zestresowany, że może nie

wiedział, że przeniesiono konferencję? Może przez cały czas tam jest, chodzi po upalnych ulicach Orlando i próbuje zlokalizować tę konferencję. Ale dlaczego nie oddzwonił?

Claire zaciska usta i nie odpowiada. Zamykam oczy na kilka sekund, emocje wybuchają w mojej piersi niczym bomba. Co mam zrobić? Do kogo zadzwonić? W pierwszym odruchu chcę zatelefonować do Willa, tak jak zawsze, gdy mam jakiś problem, którego nie potrafię sama rozwiązać. Jego metodyczny umysł widzi wszystko inaczej niż mój i niemal zawsze podsuwa mi prostą drogę do rozwiązania.

– Powinieneś stworzyć aplikację – powiedziałam mu kiedyś po tym, jak pomógł mi rozpisnąć na cały semestr program antynarkotykowy i antyalkoholowy dla dzieciaków. – Zarobiłbyś fortunę. Mógłbyś nazwać ją „Co powiedziały Will”?

Poklepał się po brzuchu i posłał mi mój ulubiony uśmiech.

– Teraz Will mówi, że jesteś cudowna, masz tutaj podejść i mnie pocałować.

Przyciskam palce do ust i powtarzam sobie, że mam się uspokoić, że mam pomyśleć. Musi być jakaś osoba, do której mogę zadzwonić, która powie mi, że to wszystko to jedno wielkie nieporozumienie.

– Jessica! – Zeskakuję ze stołka i biegnę do telefonu, który leży na mikrofalówce i się ładuje. – Jessica będzie wiedziała, gdzie on jest. Będzie wiedziała, dokąd przeniesiono konferencję.

– Kto to Jessica?

– Jego asystentka. – Wbijam numer, który znam na pamięć, odwracam się plecami do Claire, żeby nie widzieć jej uniesionej brwi i sposobu, w jaki przygryza wargę. Nie traktuje mnie poważnie, tak samo jak Ted.

– AppSec Consulting, mówi Jessica.

– Jessica, z tej strony Iris Griffith. Czy ty...

– Iris? Myślałam, że jesteście na urlopie.

Jej słowa zaskakują mnie do tego stopnia, że potrzebuję kilku sekund, by do siebie dojść. Jessica może i potrafi świetnie odbierać telefony i koordynować terminarze kompletnie nieorganizowanych informatyków, ale nie ma najszybszego

procesora.

– Eee, nie. Dlaczego tak sądzisz?

– Bo mieliście być na wycieczce all-inclusive na Rivierze Maya, gdzie mieliście w pełni skupić się na robieniu dziecka. Will pokazał mi zdjęcia tego ośrodka, wyglądał niesa... – Przełyka resztę zdania, a potem nabiera powietrza. – O Boże. Iris, chyba coś pomieszałam. Tak, chyba pomieszałam tygodnie.

Wiem, co ona teraz myśli. Że on poleciał tam z inną kobietą, a mnie to nawet za bardzo nie obchodzi, no bo co, jeśli ona ma rację? A co, jeśli Will żyje i wyleguje się teraz na plaży w Meksyku? Przez sekundę lub dwie ogarnia mnie nadzieja, która znika, gdy uświadamiam sobie, że jego wcale tam nie ma. Will nigdy by mnie nie zdradził, a nawet jeśli tak, to Meksyk byłby ostatnim celem mojego nienawidzącego upałów męża. Prędzej wyjechałby na Alaskę.

– On nie może być w Meksyku – mówię, z całych sił starając się zachować spokój i ukryć frustrację pod uprzejmością. – Przecież jest jednym z głównych prelegentów na konferencji dotyczącej bezpieczeństwa cybernetycznego, pamiętasz?

– Jakiej konferencji?

Otwieram szeroko oczy. Po jaką cholerę ktokolwiek w AppSec miałby zatrudnić tę kobietę?

– Tej w Orlando.

– Poczekaj. Nic nie rozumiem. To on nie jest w Meksyku?

I Boże, dopomóż, w tej chwili tracę nad sobą panowanie. Nabieram powietrza i wrzeszczę do telefonu na tyle głośno, by zedrzeć sobie gardło.

– Nie wiem, Jessico! Nie wiem, kurwa, gdzie jest Will! I w tym cały jebany problem!

Wokół panuje cisza i wszyscy są w szoku, zamieramy Claire, ja i Jessica po drugiej stronie linii. To jak cisza w stereo, dzwoniąca w obu uszach. Powinnam przeprosić, wiem, że tak, ale zaczynam szlochać i dławię się na kolejnych, strasznych słowach, które mówię dalej.

– Mó... mówią, że Will był w tym samolocie, który rozbił się dzisiaj rano, ale nie mają racji. Przecież leciał do Orlando.

Powiedz mi, że jest w Orlando.

– O mój Boże. Widziałam wiadomości, ale, Iris, nie miałam pojęcia. Nie wiedziałam.

– Proszę. Po prostu pomóż mi znaleźć Willa.

– Oczywiście. – Na chwilę milknie, słyszę, jak wstukuje coś w klawiaturę komputera. – Jestem pewna, że nie rezerwowałam mu żadnych lotów na dzisiaj, ale mam dane jego logowania. Przypomnij mi, jakie to były linie?

– Liberty Airlines. Lot 23. – Kolejna długa pauza, wypełniona kolejnymi stukotami. – Dobrze, już jestem. Zobaczmy... Mówisz, że to lot 23?

Opieram oba łokcie o blat, chowam głowę w jednej dłoni, zamykam oczy, modlę się.

– Tak.

Wstrzymuję oddech i znam już odpowiedź po sposobie, w jaki Jessica nabiera powietrza.

– Och, Iris... – mówi, a kuchnia wokół mnie zaczyna wirować. – Tak strasznie mi przykro, ale mam to. Lot 23, wylot z Atlanty dzisiaj rano o ósmej pięćdziesiąt pięć rano do Seattle, a powrót w... Hm. Wygląda na to, że zarezerwował lot tylko w jedną stronę.

Nogi się pode mną uginają, zsuwam się na podłogę.

– Sprawdź Deltę.

– Iris, nie jestem pewna...

– Sprawdź Deltę!

– Dobrze, daj mi tylko sekundę lub dwie... Ładuje się... Poczekaaj, to takie dziwne, tutaj też jest. Lot 2069 do Orlando, wylot dziś o dziewiątej, powrót w piątek o ósmej wieczorem. Dlaczego miałyby rezerwować dwa bilety w przeciwnych kierunkach?

Ulga zamieniła moje kości w watę, prostuję się.

– Gdzie odbywa się ta konferencja? Zadzwoiłam do hotelu na Universal Boulevard, ale musiała zostać przeniesiona.

– Iris, przykro mi. Nie wiem nic na temat żadnej konferencji.

– To kogoś zapytaj! Na pewno ktoś tam wie o konferencji, którą zaplanowała twoja firma.

– Nie, chodziło mi o to, że aż do początku listopada AppSec nie

ma zaplanowanych żadnych konferencji.

Trzy razy próbuję wydobyć z siebie słowa. Wreszcie się udaje.

– A Meksyk?

– Nie zarezerwowano go ani z Delty, ani z Liberty Airlines, ale jak chcesz, mogę sprawdzić inne linie.

Teraz w jej głosie słyszę współczucie. Nie jestem w stanie tego słuchać ani przez sekundę dłużej. Rozłączam się i szukam w telefonie numeru do Delty. Po całych ciągnących się dziewięciu minutach udaje mi się doczekać do końca kolejki. Wyjaśniam swoją sytuację obsłudze klienta, a potem wreszcie natrafiam na Carrie, zajmującą się obsługą rodzin i mówiącą radosnym głosem.

– Dzień dobry. Nazywam się Iris Griffith. Mój mąż, Will, zarezerwował poranny lot 2069 z Atlanty do Orlando, a ja nie mam od niego żadnej informacji, odkąd wylądował. Czy mogłaby pani sprawdzić, czy samolot doleciał bez trudu na miejsce?

– Oczywiście, proszę pani. Potrzebuję tylko numer biletu. – Co oznacza, że muszę się rozłączyć i ponownie zadzwonić do Jessiki, a z pewnością nie mam zamiaru znowu czekać w kolejce. Potrzebuję odpowiedzi teraz, natychmiast.

– Nie może znaleźć go pani po nazwisku? Naprawdę muszę wiedzieć, czy wszedł do tego samolotu.

– Obawiam się, że to niemożliwe. – Jej głos jest melodyjny i śpiewny, przekazuje złe wiadomości tak, jakbym właśnie wygrała darmowe żarcie w Denny's. – Ochrona danych osobowych nie pozwala nam na przekazywanie planów podróży naszych pasażerów przez telefon.

– Ale on jest moim mężem. Jestem jego żoną.

– Rozumiem, i gdybym mogła zweryfikować przez telefon pani status, z pewnością bym to uczyniła. Gdyby wstąpiła pani do najbliższego oddziału Delty z jakimś dokumentem tożsamości, ktoś tam mógłby...

– Nie mam czasu jechać do żadnego oddziału Delty! – Te słowa wydobywają się z najgłębszej części mojego gardła, zaskakują mnie swoją nagłością i siłą, kobieta po drugiej stronie słuchawki zamiera. Gdyby nie odgłosy w tle, praca na komputerze

i rozmowy, pomyślałabym, że się rozłączyła.

A potem w słuchawce rozlega się pisk taki, jak podczas zakłóceń w mikrofonie, i dopiero po sekundzie czy dwóch dociera do mnie, że to ja. Desperacja wreszcie mnie łamie.

– Tyle że miał też bilet na Liberty Airlines, lot 23, wie pani? Ale miało go nie być w tym samolocie. Miał lecieć waszym samolotem. A teraz on nie oddzwania, w hotelu nie ma żadnych informacji na jego temat, jego asystentka nie wie nic o żadnej konferencji, chociaż myślała, że jest w Meksyku, a z pewnością go tam nie ma. A ja z każdą kolejną sekundą, gdy nie wiem, gdzie jest mój mąż, zaczynam coraz bardziej tracić rozum, więc proszę. Proszę zajrzeć do swojego komputera i powiedzieć mi, czy leciał tym samolotem. Błagam.

Chrząka.

– Pani Griffith, ja...

– Proszę. – Mój głos się łamie i odzyskuję go dopiero po kilku próbach. Łzy leją mi się z oczu, nie mogę oddychać, mam ściśnięte gardło. – Proszę pomóc mi znaleźć mojego męża.

Następuje długa, długa cisza, ściskam telefon tak mocno, że bołą mnie palce.

– Przykro mi – mówi po wieczności, jej głos jest ledwo słyszalny. – Pani mąż nie leciał lotem 2069.

Krzyczę i ciskam telefonem przed siebie. Odbija się od szafki i upada ekranem na płytki. Nie muszę na niego patrzeć, żeby wiedzieć, że się rozleciał.

Resztę popołudnia spędzam w łóżku, w pełni ubrana i owinięta szlafrokiem Willa. Wściekam się. Will kłamał. Kłamał, kurwa. Nie, nie tylko kłamał, kłamał, a potem jeszcze podsuwał mi fałszywe informacje na temat konferencji, potem było jeszcze więcej kłamstw i podrobiona kolorowa ulotka, mistrzostwo DTP. Wściekłość pali moje gardło, łapie mnie za wnętrzości i zasłania każdą myśl. Jak Will mógł zrobić mi coś takiego? Dlaczego zadałby sobie aż tyle trudu? Trzęsę się tak bardzo, że wibrują mi kości, zwłaszcza że nie było powodu, dla którego miałby wsiąść

do samolotu do Orlando.

Moi rodzice przyjeżdżają tuż przed zmrokiem, tak jak powiedzieli. Spod wielu warstw kołder i pierza słyszę ich stłumione głosy, gdy rozmawiają z Claire na dole. Wyobrażam sobie przerażony wyraz twarzy mojej matki, kiedy Claire mówi im o moim załamaniu się w szkole i rozmowach z Jessicą i pracownicą Deltę. Widzę, jak mama wyciąga szyję w stronę schodów z wyraźną tęsknotą na twarzy, jak szybko kończy rozmowę z Claire, żeby tylko móc do mnie pobiec. Dwie sekundy po tym, jak spod domu odjeżdża samochód Claire, ktoś siada na skraju mojego łóżka.

– Och, kochanie. Moja cudna, cudna Iris. – Jej głos jest łagodny, ale spółgłoski są ostre i kanciaste – tak samo jak jej uparta miłość do mięsa i ziemniaków, holenderskie dziedzictwo.

Brzmi to strasznie, ale nie jestem w stanie spojrzeć w twarz mojej matce. Jeszcze nie. Wiem, co zobaczę, jeśli odrzucę kołdrę: czerwone oczy mamy, opuchnięte i pełne współczucia, i doskonale wiem, jak na to zareaguję.

– Ja i twój ojciec jesteśmy załamani. Kochaliśmy Willa i będzie go nam strasznie brakować, ale najbardziej pękło mi serce ze względu na ciebie. Moja kochana dziewczynka.

Czuję, jak do oczu napływają mi łzy. Nie jestem gotowa na mówienie o Willu w czasie przeszłym i nie mogę znieść, że ktokolwiek tak o nim mówi.

– Mamo, proszę. Potrzebuję minutę spokoju.

– Dam ci tyle czasu, ile będziesz potrzebować, lieverd. – Skoro mama zaczyna wtrącać słowa w swoim ojczystym języku, to znaczy, że jest zrozpaczona.

Łóżko się porusza, wstaje.

– Twój brat będzie tutaj około dziewiątej. Gdy dostał wiadomość, James akurat przeprowadzał operację, więc wyjechał z Savannah dopiero godzinę temu. – Przerywa, jakby czekając na odpowiedź, ale gdy jej nie otrzymuje, dodaje: – Och, *schatje*, czy mogę coś dla ciebie zrobić?

Tak.

Możesz przyprowadzić mi Willa. Żebym mogła skręcić mu kark.

Rozdział szósty

Budzę się i pierwszą rzeczą, o jakiej myślę, jest to, gdzie jest Will. Gdzie jest mój mąż?

Zegar mówi, że jest siedemnaście minut po północy. Próbuję dosłyszeć odgłos wody lejącej się w łazience, człapanie bosych stóp po drewnianej podłodze, ale poza świstem klimatyzatora nie słyszę żadnych dźwięków.

I nagle dzień zderza się ze mną jak podczas czołowego wypadku. Will. Samolot. Nie żyje. Ból kradnie mi oddech, rozciąga się od czoła do pięt.

Ogarnia mnie przerażenie, prostuję się w łóżku, włączam światło i nabieram głęboko powietrza, aż wreszcie ściany przestają się do mnie zbliżać. Zakrywam się kołdrą i kładę dłoń w miejscu, w którym jeszcze wczoraj leżał Will. Bez Willa nasze małżeńskie łóżko rozrosło się do wielkości oceanu, połyka mnie swoją pustką. Przejężdżam dłonią po jego poduszce, wyciągam kilka ciemnych włosów, które zahaczyły się w bawełnie. Zamykam oczy i wciąż go czuję, czuję fizycznie ciepło jego skóry, jego drapiącą brodę na mojej łopatkę, ciężar jego ciała, gdy się na mnie kładzie, słyszę swoje dyszenie, gdy we mnie wchodzi. W jednej chwili jest tutaj, a w następnej go nie ma, niczym w nieudanej sztuczce magika ze znikaniem.

I teraz mam wierzyć, że leży w kawałkach na polu kukurydzy w Missouri? Nie jestem w stanie tego ogarnąć. To czyste szaleństwo.

Wychodzenie z łóżka jest jak płynięcie pod prąd. Moje ciało jest ciężkie, kończyny ociężałe i sztywne, coś ściska moje płuca i nie mogę oddychać. Nadal jestem w szlafroku Willa, poskręcał się wokół mojego ciała. Poluzowuję pasek i ponownie owijam się szlafrokiem. Pływam w nim, ale jest ciepły i wygodny, no i pachnie Willem – co oznacza, że prawdopodobnie już nigdy go nie zdejmę.

Na dole telewizor w kuchni miga na niebiesko i biało. Wyciszone informacje na temat katastrofy. Stoję tam przez długą chwilę, wpatruję się dziennikarza stojącego przed polem poskręcanych metalowych części. Uderza mnie fakt, że być może za bardzo mu się to wszystko podoba. Ma zbyt duże oczy, zbyt ściągnięte brwi, wszystko w nim jest zbyt teatralne. Całą karierę czekał na taką historię, powinien więc się postarać.

Za mną porusza się kupka ubrań na kanapie – to mój brat Dave w bluzie Georgia Bulldogs i kraciastych spodniach od pizamy.

– Zastanawiałem się, kiedy zejdziesz na dół – mówi głębokim, chrapliwym basem, który brzmi, jakby mój brat był komentatorem sportowym zamiast agentem nieruchomości. Zapala jointa rozmiaru cygara, zaciąga się i klepie poduszkę obok siebie.

– Powiem mamie. – To pierwszy raz, gdy używam mojego głosu do czegoś innego niż płacz. Moje gardło jest obolałe i podrażnione. Opadam na poduszkę.

– Mój mąż jest lekarzem – mówi Dave. – To lek.

Prycham.

– Ta, jasne.

Chce, żebym wzięła macha, ale kręcę głową. I tak już jestem wrakiem. Dorzucenie do tego marihuany, leków czy innych substancji to prawdopodobnie nie najlepszy pomysł.

Siedzimy w ciszy pod słodko pachnącym obłokiem i wpatrujemy się w migające zdjęcia z katastrofy. Nie jestem w stanie tego znieść, koncentruję się więc na poważnej twarzy dziennikarza. Macha ręką na kamerzystę, żeby ten za nim poszedł, dochodzą do ogromnego kadłuba, a potem wskazuje dziecięcy bucik. Próbuje czytać z ruchu jego warg. Głodna naklejka. Serowy cukierek. Koza i trzy trolle. Jak osoby niesłyszące są w stanie to zrobić?

Dziennikarz marszczy czoło, a Dave kręci głową.

– Ten sukinsyn ma z tego zdecydowanie zbyt dużą frajdę.

Wszystko, co kiedykolwiek słyszeliście o bliźniętach, to prawda: ja i Dave jesteśmy tego żywym przykładem. Wyglądamy tak samo, zachowujemy się tak samo, mamy te same nawyki i gesty.

Oboje mamy grube wargi i kościste dłonie, oglądamy każdy sport, ale nienawidzimy go uprawiać, i nie jesteśmy w stanie zjeść niczego, co ma w sobie ocet. Mamy nawet bliźniaczą telepatię, ów niewytłumaczalny związek, który pozwala nam wiedzieć, co myśli drugie, nie wypowiadając przy tym ani słowa. Do czego zmierzam? Wiedziałam, że jest gejem, jeszcze zanim sam się zorientował.

Gasi jointa na podstawku, na którym znajduje się już popiół, i odstawia go na stolik.

– Tak żebyś tylko wiedziała: mama jest załamana. Kupiła już prawie wszystko z Krogera i zrobiła kilometrową listę dań, które ci zamrozi. Jeśli nie pozwolisz jej się porozpieszczać, wkrótce będziesz mogła otworzyć tutaj jadłodajnię.

– Rozpieszczanie będzie potwierdzeniem, że to wszystko jest prawdziwe. – Wzdycham i się w niego wtulam, opieram głowę o jego ramię. – A ja cały czas powtarzam sobie, że to nieprawda. Że w piątek wieczorem Will wejdzie przez te drzwi spocony i zrzędlawy, a ja będę mogła wam wykrzyknąć, że przecież mówiłam. Że Will nie mógł być w tamtym samolocie. Cały czas czekam, żeby ktoś mnie uszczypnął, złapał mnie za ramiona i mną potrząsnął, tak żebym się obudziła, ale na razie nikt tego nie zrobił. Utknęłam w pieprzonym koszarze.

– Na pewno tak właśnie się czujesz. – Bierze moją dłoń, splata swoje palce z moimi, bawi się moim pierścieniem. – Ładny Cartier.

Mrugam, by powstrzymać świeże łzy.

– Will i ja staramy się zająć w ciążę. Być może jesteś już wujkiem.

Dave patrzy na mnie przez dobre trzydzieści długich i cichych sekund. Nie mówi ani słowa, ale też nie musi. *Jak długo będziemy się tak bawić?*, pytają jego oczy. *W to mówienie o Willu, tak jakby nadal tutaj był?*

Tak długo, jak to tylko możliwe, brzmi moja odpowiedź.

Ale gdy chodzi o ciążę, nie wygląda na zaskoczzonego.

– Dlaczego to tak długo trwało? Ja i James myśleliśmy, że do tej pory będziecie mieć już całe stadko.

– Will chciał poczekać. Mówił, że przez jakiś czas chce mieć mnie tylko dla siebie.

– I dlaczego zmienił zdanie?

Przez chwilę muszę się nad tym zastanowić.

– Nie wiem i, szczerze mówiąc, nigdy nie dane mi było go o to spytać. Tak strasznie się cieszyłam, że wreszcie się zdecydował... Mówi, że chce małą dziewczynkę, która będzie wyglądała tak samo jak ja, ale jeśli to prawda, jeśli ten koszmar jest prawdą, to chcę małego chłopca, który będzie wyglądał tak jak on.

– Nawet po tej konferencji, na której nie był?

Dave oczywiście wie o wymyślonej przez Willa konferencji. Jestem pewna, że moja matka wyciągnęła tę informację z Claire, a potem opowiedziała o jego kłamstwie każdemu, kto tylko chciał jej słuchać. I że ma całą listę teorii tłumaczących to, dlaczego Will miałby zrobić coś takiego, dlaczego zadałby sobie tyle trudu, by zrobić ulotkę, i zabukowałby dwa loty w dwóch przeciwnych kierunkach.

Ale ja oczywiście znam już odpowiedź. Nie chcę więc wiedzieć, dokąd się wybierał, co miał tam robić i z kim się spotkać.

Beznadziejna wściekłość, która wcześniej trzęsła mną pod kołdrą, zaraz wybuchnie, ale udaje mi się ją przełknąć. Kocham mojego męża. Tęsknię za nim i chcę go odzyskać. Emocje są tak olbrzymie, że nie pozostawiają miejsca na złość. Negocjuję z Bogiem, w którego nie do końca wierzę: oddaj mi Willa, a ja nawet nie spytam, gdzie on był. Przysięgam, że nigdy nawet o tym nie pomyślę.

– Dave, jedno kłamstwo nie anuluje siedmiu lat małżeństwa. Czy to mnie wkurzyło? Może. Ale nie może wymazać mojej miłości do męża.

Wzrusza jednym ramieniem, przyznając mi rację.

– Oczywiście, że nie. Ale czy mogę zadać ci jedno pytanie? Nie odgryziesz mi głowy? – Przerzywa, a ja niechętnie kiwam głową. – Co jest w Seattle? Poza Starbucksem i zbyt dużą ilością szkockiej kraty.

Podnoszę obie ręce.

– Cholera wie. Will dorastał w Memphis, a potem przeniósł się

do Atlanty prosto ze studiów uzupełniających na Uniwersytecie w Tennessee. Całe jego życie jest tutaj, na Wschodnim Wybrzeżu. Nigdy nawet nie słyszałam, żeby mówił o Seattle. Z tego, co wiem, nigdy tam nie był. – Wiercę się na kanapie, patrzę w te kocie oczy takiego samego ciemnooliwkowego koloru jak moje. – Ale tak naprawdę pytasz, czy uważam, że Will ma romans.

Powoli kiwa głową.

– A uważasz?

Czuję ścisk w żołądku – nie dlatego, że myślę, że mój mąż mnie zdradza, ale dlatego, że wszyscy inni z pewnością tak myślą.

– Nie. Ale ja uważam również, że nie było go w tamtym samolocie, tak więc moje osądy nie są zbyt realne. A ty jak myślisz?

Dave milczy przez długi czas, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Gdy chodzi o mojego szwagra, mam wiele pytań bez odpowiedzi. Nie zrozum mnie źle, uwielbiam tego gościa, głównie dlatego, że strasznie cię kocha. Takiej miłości nie da się udawać – za każdym razem gdy wchodzisz do pokoju, na jego twarzy pojawia się takie szczęście, że muszę się odwrócić – a przecież jestem gejem. Tak więc odpowiedź brzmi: nie. Nie sądzę, by twój mąż miał romans.

Moje serce, które wisiało już na włosku, teraz pęka na pół. Nie tylko dlatego, że Dave wierzy w mojego męża i mówi o nim, tak jakby ten nadal tu był, lecz także dlatego, że miłość mojego brata do mnie jest tak wielka, że rozciąga się również na drugą osobę. Obejmuję jego biceps i kładę głowę na jego ramieniu, myśląc sobie, że nigdy nie kochałam go bardziej niż teraz.

– Ale chcę powiedzieć, że Will przyszedł do twojego życia solo. Jego rodzice nie żyją, nie ma rodzeństwa, nigdy nie mówił o pozostałych członkach rodziny ani przyjaciółach. Każdy ma jakąś przeszłość, a on się zachowywał, jak gdyby po poznaniu ciebie jego życie zaczęło się na nowo.

Dave ma rację tylko częściowo. Will ma wielu znajomych i kolegów, ale niewielu przyjaciół. Ale to dlatego, że taki ścisły umysł rzadko się przed kimś otwiera.

Siadam i odwracam się twarzą do brata.

– Bo stracił kontakt ze wszystkimi przyjaciółmi z liceum poza jednym, który wyprowadził się na Kostarykę. Prowadzi tam szkołę surfingu czy jakoś tak. Wiem, że od czasu do czasu wysyłają sobie maile.

– A co z pozostałymi? Przyjaciółmi, byłymi sąsiadami, kolegami z siłowni i kumplami od kieliszka?

– Mężczyźni nie kolekcjonują przyjaciół tak jak kobiety. – Patrzy na mnie dziwnie. – Heteroseksualni mężczyźni nie kolekcjonują przyjaciół. Nie czują takiej potrzeby, nie lubią zadawać się ze zbyt wieloma osobami, poza tym znasz Willa. – Mój mąż woli siedzieć w domu przy laptopie niż w głośnym, zatłoczonym barze. To między innymi dlatego siedem lat wcześniej pobraliśmy się w górach Karoliny Północnej. Na ślubie byli tylko moi rodzice, a Dave i James byli naszymi świadkami.

Will nie lubi tłumów i nienawidzi ludzi, którzy mu nadskakują.

– Nawet introwertycy mają swoich najlepszych przyjaciół – mówi Dave. – Kto jest najlepszym przyjacielem Willa?

To proste pytanie. Otwieram usta, żeby odpowiedzieć, ale Dave natychmiast mi przerywa.

– Poza tobą.

Zaciskam usta. Teraz, gdy ja nie wchodzę w grę, pytanie Dave'a wytrąca mnie z równowagi. Will opowiada o ludziach, których zna, ale nigdy nie określa ich mianem przyjaciół.

Dave ziewa i zanurza się głębiej w kanapie. Wkrótce zapomina o swoim pytaniu i kiwa głową. Siedzę obok chrapiącego brata, patrzę na przerażające zdjęcia w telewizorze, ale tak naprawdę ich nie widzę.

Myślę o naszej pierwszej rocznicy, kiedy to zaskoczyłam Willa wycieczką do Memphis. Planowałam ją całymi tygodniami, chciałam zrobić podróż śladami jego starego życia. Układając plan, bazowałam na kilku historiach, które mi opowiedział. Wiedziałam, gdzie znajdowała się jego Alma Mater, gdzie mieszkał do śmierci matki, w którym Pizza Hut pracował na wieczorne i weekendowe zmiany.

Ale im byliśmy bliżej miasta, tym bardziej się wiercił i stawał się

coraz cichszy. Wreszcie, na jałowym odcinku drogi I-40 powiedział mi prawdę. Jego dzieciństwo wcale nie było miłe i wcale nie chciał wracać do wspomnień z Memphis. Wystarczyło mu, że przeżył to wszystko raz, nie musiał przeżywać tego po raz drugi. Zawróciliśmy i spędziliśmy weekend na zwiedzaniu knajpek w Nashville.

Tak więc nie, Will nie lubił rozmawiać o swojej przeszłości.

Ale Seattle? Co tam jest? Kto tam jest?

Patrzę na śpiącego brata, na jego klatkę piersiową unoszącą się i opadającą w ciemności. Chociaż chcę trzymać jego podejrzenia w ryzach, chcę wyprzeć z mózgu jego wątpliwości co do Willa, pytania wdzierają się do mojego umysłu niczym dym, cichy i duszący.

Jak dobrze znam swojego męża?

Rozdział siódmy

Gdy schodzę na dół, jest prawie dziesiąta rano. Moja rodzina siedzi w kuchni, pije kawę i słucha, jak James odczytuje ze swojego iPada wiadomości na temat katastrofy. Na mój widok tata zaczyna kasłać w pięść. James przerywa w połowie zdania. Wszyscy patrzą na mnie z mieszaniną poczucia winy i troski. Mam wrażenie, jakbym przyłapała czworo dzieciaków na kradzieży ciastek z mojego słoika.

– Znaleźli już czarną skrzynkę? – pytam bez zbędnych wstępów.

Mama upuszcza łyżeczkę na patelnię z na wpół usmażonymi jajkami i się odwraca. Wygląda niewiele lepiej niż ja, też chyba mało spała. Ma pod oczami czarne cienie wyglądające jak sińce, a jej włosy – normalnie kręcone na wałki – zwisają bez życia wokół opuchniętej twarzy.

– Och, skarbie. – Idzie w moją stronę i gwałtownie mnie przytula. – Serce mi pęka. Mogę ci jakoś pomóc? Potrzebujesz czegoś?

Potrzebuję miliona rzeczy. Muszę wiedzieć, co sprawiło, że Will wsiadł do tego samolotu. Muszę wiedzieć, co się stało, że samolot spadł. Muszę wiedzieć, jak wyglądały jego ostatnie chwile, czy gdy Will leciał w dół, to krzyczał, czy wszystko to stało się zupełnie bez ostrzeżenia – w jednej chwili gadał z kimś o jakichś bzdurach, a w drugiej stał się popiołem. Muszę wiedzieć, gdzie on jest – dosłownie i w przenośni. Czy będę mieć jakieś ciało do pochowania?

Ale przede wszystkim chcę, żeby Will był tam, gdzie miał być. W Orlando.

Wychodzę z objęć mamy. Patrzę na Jamesa, bo to on czytał wiadomości.

– Czy wiedzą już, dlaczego samolot spadł?

– Zanim będą wiedzieć na pewno, miną całe miesiące – mówi ostrożnie James. Patrzy na mnie swoimi niebieskimi oczami

lekarza, prześwietla mnie wzrokiem, tak jakby siedząc po drugiej stronie blatu, chciał zmierzyć mi puls. – Jak spałaś?

Kręcę głową. Nie umknął mi sposób, w jaki wszyscy popatrzeli po sobie, gdy spytałam o katastrofę. I z pewnością nie mam zamiaru rozmawiać o braku snu.

– James, po prostu mi powiedz.

Wstrzymuje oddech, patrzy ponad moim prawym ramieniem na Dave'a, jakby pytając go o zgodę. Dave najwyraźniej skinął głową, bo James ponownie patrzy na mnie.

– Pamiętaj, że na razie jest to tylko teoria, ale media spekulują na temat jakiejś usterki mechanicznej, do której doszło wskutek błędu pilota.

– Błąd pilota. – Słowa te wydobywają się z moich ust bardzo powoli i są niewyraźne, tak jakby mój język był pokryty melasą.

James kiwa głową.

– Błąd pilota. Czyli ktoś spieprzył sprawę i teraz mój mąż nie żyje.

James się krzywi.

– Przykro mi, Iris, ale to na pewno tak właśnie brzmi.

Czuję, jak w moim gardle rośnie gęstwa, a kuchnia zaczyna się chwiać – albo to ja się chwieję.

James zeskakuje ze stołka i obiega blat, łapie mnie za łokieć i pomaga utrzymać się na nogach.

– Może ci coś przepisać? Nie mogę wyleczyć twojego smutku, ale odpowiednie leki pomogą ci przeżyć kilka pierwszych dni.

Kręcę głową. Smutek, tak ostry i kolczasty, zdaje się być jedyną rzeczą łączącą mnie teraz z Willem. Myśl o utracie tego połączenia, nawet tak bolesnego i surowego, przepełnia mnie paniką.

– Ja nie miałbym nic przeciwko Xanaxowi – mówi Dave.

James patrzy na mnie, jakby chciał powiedzieć: „Ech, ten twój szurnięty brat”, a potem klepie mnie po ramieniu.

– Przemyśl to, dobrze? Mogę ci przepisać, co tylko zechcesz.

Z całych sił staram się do niego uśmiechnąć.

– Chodź. – Matka prowadzi mnie do kuchennej wyspy, na której stoi mnóstwo jedzenia. Półmisek jajeczniczy, minigóra bekonu

i kielbasy pływającej w tłuszczu, góra tostów. Zdaniem mamy najlepszym sposobem na okazanie miłości jest przyrządzenie ciężkostrawnego jedzenia. Tego ranka jej miłość jest tak wielka, że mogłaby nakarmić całą armię. – Co byś chciała?

Patrzę na jedzenie i uderza mnie zapach, maślane jajka i tłuszcz z kiełbasek. Mój żołądek robi salto.

– Nic.

– Nie możesz nie jeść. A może chcesz naleśniki? Zrobię ci takie po holendersku, z jabłkiem i bekonem, takie jak lubisz.

Dave patrzy na mnie znad dzbanka do kawy.

– Mamo, daj jej spokój. Jak będzie głodna, to zje.

– Chodź tutaj, konusie – krzyczy tata ze swojego miejsca i klepie siedzisko krzesła obok siebie. – Zaklepałem ci miejsce.

Mój ojciec jest byłym żołnierzem marynarki wojennej i genialnym inżynierem, ma przyjemny uśmiech i przyzwoity rzut z wysokości, ale jego największym talentem jest odwracanie uwagi mojej, brata i mamy.

Opadam na krzesło i wtulam się w tatę. Obejmuje mnie w ramionach swoją wielką ręką. Moja rodzina nie jest zbyt wylewna.

Przytulamy się tylko na powitanie i pożegnanie. Pocałunki również są rzadkie i z reguły kończą się tuż przed skórą. A dzisiaj jak na razie trzymałam brata za rękę, wpadłam w ramiona mamy i wtulałam się w tatę. Oto, co potrafi zrobić śmierć. Wymusza intymność, a jednocześnie ją zabiera.

Mój wzrok pada na podkładkę zapełnioną zapisanymi przez tatę kartkami. Całe strony punktów, pogrupowanych w kategorie i uporządkowanych pod względem znaczenia. Gdyby był tutaj Will, on i mój ojciec rozwodziliby się nad urodą tej listy, mistrzostwem geniuszu lewej półkuli. Odsuwam okulary do czytania taty i przeglądam kartki, czuję, jak moje łopatki powoli się spinają. To nie w porządku, że jest aż tyle zadań do wykonania, gdy ja tak naprawdę pragnę tylko wrócić do łóżka i zapomnieć, że wczoraj w ogóle miało miejsce.

A potem zauważam cztery czy pięć punktów na samym dole.

– Odszkodowanie? – pytam zjadliwie.

– Iris, linie lotnicze przekazują pewną sumę pieniędzy rodzinom ofiar. Wiem, że teraz wydaje ci się to okrutne, ale staram się o ciebie dbać. Dopilnować, żebyś miała z czego żyć.

Tak jakby wystarczyło, by linie Liberty Airlines rozrzuciły trochę gotówki, i od razu niesprawne samoloty będą naprawione, a niedoszkoleni piloci – bardziej doświadczeni. Ach, zabiliśmy twojego męża? Masz, idź kupić sobie coś ładnego.

– Prędeż zdechnę z głodu niż tknę choćby centa z ich cholernych pieniędzy.

– Świetnie, nie musisz ich tykać. Wystarczy, że włożysz je na konto i o nich zapomnisz. Ja i tak mam zamiar je dla ciebie zdobyć.

Biorę do ręki długopis i dopisuję własny punkt: „Sprawdzić organizacje charytatywne dla rodzin ofiar”. Może i ktoś skorzysta na odszkodowaniu z Liberty Airlines, ale na pewno nie będę to ja.

Na następnej stronie jest jeszcze więcej punktów. Szybko je przeglądam, potem przechodzę na następną i następną, a potem zatrzymuję się na napisie na samej górze: MEDIA. Pod nim ojciec utworzył długi i obszerny rejestr połączeń przychodzących, zawierający datę, godzinę, nazwisko osoby dzwoniącej i firmę. Nie rozpoznaję wszystkich nazw i nazwisk, ale kilka z nich znam doskonale. „People Magazine”. Show The Today. „The Atlanta Journal-Constitution”. Diane Sawyer. „USA Today”.

– Jak oni mnie znaleźli? Przecież naszego numeru nie ma w książce telefonicznej.

Dave siada u szczytu stołu z kanapką z jajecznicą i bekonem.

– Nie wiem, ale telefon dzwonił non stop. Godzinę temu go wyłączyliśmy. A gdy ostatnio wyglądałem przez okno, zobaczyłem zaparkowane z przodu trzy wozy reporterskie.

– Serio?

– Tak. A pamiętasz to zdjęcie przedstawiające ciebie i Willa z ostatniego sylwestra? Jest już w internecie.

Mogli chyba wybrać gorsze zdjęcie. Na przykład ja i Will na wakacjach, z durnymi uśmiechami na twarzach. To zdjęcie spodobało mi się tak bardzo, że ustawiłam je na swoim profilu na Facebooku. Pewnie stąd je mają.

Mama stawia obok mnie talerz z górą jedzenia.

– Proszę, *lieffe*. Chociaż spróbuj coś zjeść.

Podnoszę widelec, odkrawam miniaturowy plaster kiełbaski i bawię się nią tak długo, aż mama wraca do kuchni.

Tata przechodzi do następnej strony swojej listy.

– Liberty Airlines utworzyły Centrum Pomocy dla Rodzin przy międzynarodowym terminalu w Hartsfield. Naszą osobą do kontaktu jest pani o nazwisku – zakłada okulary i sprawdza na kartce – Ann Margaret Myers.

Dave prychnie z wielkim kęsem kanapki w ustach.

– Co za kretyń planuje gromadzenie na lotnisku rodzin ofiar katastrofy lotniczej?

– Najwyraźniej Liberty Airlines – odpowiada tata. – Chcą, żebyśmy tam przyjechali, a wtedy oni, cytując, zapewnią nam pocieszenie i doradztwo, omówią z nami plany i odpowiedzą na każde pytanie.

– Plany? – pytam. – Jakie plany?

– No cóż, na początku chodzi o nabożeństwo żałobne już w ten weekend.

Łagodny ton głosu taty nie powstrzymuje znajomej wściekłości, która wybucha we mnie niczym ogień. Nabożeństwo żałobne Liberty Airlines to jak obelga, to tak, jakby sąsiad, który rozjechał ci psa, następnego dnia kupił ci kwiaty. Nie zaakceptuję ich publicznego okazywania pokuty i nie mogę wybaczyć im ich błędu.

– Więc teraz mam przyjąć pomoc od osób odpowiedzialnych za śmierć mojego męża? To niedorzeczne. – Odsuwam talerz na środek stołu, piramida smażonych jajek przewraca się i spada na blat.

– Wiem, skarbie, że to tak wygląda, ale nie będzie tam tylko Liberty Airlines. Przybędzie też Czerwony Krzyż oraz ludzie, których jedynym zadaniem jest zbieranie informacji na temat wypadku. Chcę usłyszeć informacje, których nie przekazały gazety i telewizja.

– To może ich spytasz, kto poinformował media przed moją córką – mówi mama, stawiając z hukiem solniczkę i pieprzniczkę.

– Bo to jest niewybaczalny błąd i chciałabym, żeby ta osoba się dowiedziała, co o niej myślę.

– Dopilnuję, żeby odpowiedzialna za to osoba straciła pracę. – Tata mówi to tym swoim władczym głosem – silnym, stanowczym i jednoznacznym. Odwraca się, a wyraz jego twarzy zmienia się z zaciętego w zmartwiony. – Kochanie, czy ci się to podoba, czy nie, w którymś momencie będziemy musieli komunikować się z Liberty Airlines. Jeśli chcesz, mogę być twoim buforem, mogę się też wycofać i pozwolić ci działać w pojedynkę. To zależy od ciebie. Tak czy inaczej, przynajmniej powinniśmy tam pójść i zobaczyć, co ta pani Myers ma do powiedzenia, nie sądzisz?

Nie, nie sądzę. Widziałam już takie materiały filmowe – szlochający członkowie rodziny przepychający się przez morze kamer, które przekazują ich cierpienie całemu światu. A teraz tata sugeruje, żebyśmy stali się częścią tego?

Ale z drugiej strony mam tyle pytań, z których najważniejsze brzmi: „Co zrobiliście z moim mężem?”. Jeśli ta Ann Margaret Myers ma na nie odpowiedź, to może umieścić moją opuchniętą, zasmarkaną twarz na wielkich telewizorach LED na SunTrust Field.

Wstaję od stołu i idę na górę, żeby się ubrać.

W ostatni wieczór swojego życia Will gotował. Nie było to nic z paczki ani gotowa mrożonka, ale cały, przygotowany w domu posiłek. Jak na kogoś, kto kiedyś nie potrafił nawet pokroić pomidora, ugotowane całej kolacji musiało być nie lada wyczynem, który prawdopodobnie zajął mu cały dzień. Może przeczuwał, co się wydarzy, może wiedział, że jego kosmiczny zegar przestanie bić, ale tego wieczora – w naszą siódmą rocznicę – zaskoczył mnie prawdziwym jedzeniem, po raz pierwszy własnoręczne przygotowanym.

Zastałam go w kuchni, pochylonego nad jedną z moich książek kucharskich. W powietrzu unosił się wspaniały zapach.

– Co się dzieje?

Odwrócił się. Na jego twarzy zobaczyłam mieszaninę dumy i poczucia winy.

– Eee... gotuję.

To widziałam. Każdy by to zobaczył. Wykorzystał każdy garnek w domu, a cały blat w kuchni był zastawiony jedzeniem, składnikami i przyborami kuchennymi. Will był brudny od mąki i tłuszczu.

Uśmiechnęłam się.

– Co gotujesz?

– Pieczeń z żeberkami, młode ziemniaki w maśle i pietruszce oraz te chude zielone patyczki zawinięte w boczek, zapomniałem, jak to się nazywa.

– Zielona fasolka?

Pokiwał głową.

– Mam też deser. – Wskazał dłonią dwa czekoladowe fondanty w kokilkach, stygnące obok piekarnika. Posypał je nawet cukrem pudrem. Gdy nie odpowiedziałam, rzekł: – Ale jeśli chcesz, możemy gdzieś wyjść. Pomyślałem tylko...

– Jest idealnie – powiedziałam. I właśnie tak czułam. Nie przejmowałam się tym, że kuchnia wyglądała, jakby wybuchła w niej bomba, ani tym, że przegapiliśmy rezerwację w nowym barze sushi w Buckhead. Will coś ugotował. I w dodatku tylko dla mnie. Uśmiechnęłam się i podeszłam do niego, żeby go pocałować. – Ty jesteś idealny.

Jedzenie już takie idealne nie było. Pieczeń była przypalona, ziemniaki papkowate, a fasolki zimne. Ale jeszcze nigdy nic mi tak nie smakowało. Zjadłam wszystko. Potem zabraliśmy ciastka na górę i rozkoszowaliśmy się nimi w łóżku, całowaliśmy się, lizaliśmy i mieliśmy coraz większą ochotę na czekoladę i seks. Kochaliśmy się tak, jakby nie było jutra.

Ale jutro nadeszło.

Rozdział ósmy

– Pani Griffith, proszę pozwolić mi zacząć od złożenia najgłębszych kondolencji z powodu utraty męża.

Tata, Dave i ja siedzimy ramię w ramię, tworząc zjednoczony front naprzeciwko naszego kontaktu w Liberty Airlines, Ann Margaret Myers, chudej blondynki z kucykiem. Na smyczy ma identyfikator z napisem Specjalista ds. Opieki. Nienawidzę jej od pierwszego wejrzenia. Nienawidzę jej wykrochmalonej różowej bluzki i sposobu, w jaki zapięła ją aż po samą szyję. Nienawidzę jej długich paznokci z french manicure i sposobu, w jaki zaciska dłonie – tak mocno, że stają się białe. Nienawidzę jej cienkich ust, oczu koloru kałuży i maski empatii tak przesadzonej, że muszę siedzieć na rękach, żeby jej nie uderzyć.

Ojciec opiera przedramiona na drewnianym stole.

– Tak właściwie, pani Myers, to chcielibyśmy zacząć od tego, jakim cudem media poznały nazwisko Willa, jeszcze zanim jego żona została poinformowana o tym, że znajdował się na pokładzie samolotu.

Kręgosłup siedzącej przed nami kobiety natychmiast się prostuje.

– Słucham?

Tata podnosi ramię, ale jest to bardzo swobodny gest.

– Można by pomyśleć, że linie lotnicze mają lepsze sposoby informowania rodzin ofiar o wypadku niż publikowanie listy nazwisk, ale co ja tam wiem. Pracownicy Liberty Airlines mają najwyraźniej inny tok myślenia. Mogę natomiast pani powiedzieć, że macie głównianą politykę.

– Ja... – Otwiera usta niczym wyrzucona na brzeg ryba, patrzy to na mnie, to na mojego ojca. – Dowiedzieli się państwo o panu Griffith z mediów?

Cała nasza trójka kiwa jednocześnie głowami.

– O mój Boże, nie miałam o tym pojęcia. Pani Griffith, panie

Stafford, zapewniam państwa, że to absolutnie nie jest polityka Liberty Airlines. Ktoś popełnił ogromny, karygodny błąd i jest mi z tego powodu bardzo, bardzo przykro.

Wiem, co ona robi. Dystansuje się zarówno od linii, jak i od ich błędu, i nie mam zamiaru tego kupić. Ani trochę.

I sądząc po minie mojego ojca, on też nie ma takiego zamiaru.

– Pani Myers, doceniam to, jednak z pewnością pani rozumie, że przeprosiny z pani strony zupełnie nam nie wystarczą. Chcemy wyjaśnienia udzielonego nam przez osobę odpowiedzialną za ten błąd.

Opiera się na krześle i krzyżuje ręce na piersi, przyjmuje władczą i rozkazującą postawę. Mój ojciec jest kimś, z kim należy się liczyć. Dzisiaj jest najwyższym dowódcą.

Myers jest wyraźnie zbита z tropu.

– Całkowicie państwa rozumiem. Gdy tylko skończymy spotkanie, dowiem się, co się stało, a potem zorganizuję spotkanie twarzą w twarz z tą osobą i państwa rodziną. Czy to jest dla państwa akceptowalne rozwiązanie?

Tata kiwa krótko głową, ale ja się nie poruszam. Mam wrażenie, jakby rzuciła nam jakieś ochłapy, ale jestem zbyt zmęczona i wstrząśnięta, żeby powiedzieć cokolwiek i nie przeciągnąć jej przez biurko i nie zacząć dusić.

Sala, w jakiej Liberty Airlines nas umieściły, to luksusowy pokój w nowiutkim terminalu w Hartsfield. Jest tu pluszowo i przestrzennie, w kolorach ciemnych drogich kamieni, z miejscami do siedzenia, barem i całą ścianą okien wychodzących na halę. Po drugiej stronie samoloty latają tam i z powrotem niczym wielkie pociski rakietowe, drwiące ze mnie.

– Czy dziennikarze już państwa znaleźli? – pyta Ann Margaret Myers. Odwracam się do jej stołu.

Dave kiwa głową.

– Przez cały ranek wydzwaniali do nas do domu. Na ulicy stoi kilka wozów reporterskich. Kilku dziennikarzy ośmieliło się nawet zadzwonić do drzwi i poprosić o wywiad.

Kobieta kręci głową z odrazą.

– Specjalnie prosiliśmy dziennikarzy, żeby szanowali

prywatność naszych rodzin, ale nie wszyscy nas posłuchali. Mogę jedynie wyprowadzić was państwa stąd tak, by nie wzbudzać ich zainteresowania. I sugeruję, żeby wyznaczyli państwo jakiegoś przyjaciela rodziny jako osobę odpowiedzialną za kontakty z mediami. W ten sposób nie będą musieli państwo rozmawiać z dziennikarzami do czasu, gdy będą państwo gotowi. – Ojciec dodaje kolejny punkt do swej listy, która rozrosła się do kilkunastu stron.

Wokół nas płaczą ludzie. Jakiś siwowłosy mężczyzna o nieogolonych policzkach, Hinduska w niebiesko-srebrnym sari, ciemnoskóry nastolatek w kolczykach z brylantami większymi niż w moim pierścionku zaręczynowym. Po ich policzkach spływają łzy, na sali aż pulsuje od rozpacz. Patrzę na ich cierpienie i czuję się tak, jakbym patrzyła, jak ktoś ziewa – automatycznie zaczynam robić to samo. I nagle, zupełnie bez ostrzeżenia, ja również płaczę. Ann Margaret Myers podaje mi paczkę chusteczek.

– Pani Myers – mówi tata – może mogłaby pani podać nam najnowsze informacje na temat katastrofy. Wiadomo coś nowego?

– Proszę mówić mi Ann Margaret i tak, oczywiście. Być może słyszeli już państwo w wiadomościach, że znaleziono obie czarne skrzynki, dane lotu i nagrania z kokpitu. Wszystko zostało wysłane do analizy do Narodowej Rady Bezpieczeństwa Transportu. Ale muszę państwa ostrzec, że ostateczne sprawozdanie pojawi się prawdopodobnie za kilka miesięcy, jeśli nie lat.

Krzywię się. Miesiąc odczuwa się jak wieczność, a lata?

– W tym czasie... – Przesuwa w naszą stronę gruby stos papieru i puka palcem w wydrukowany na pierwszej stronie adres internetowy. – Ten adres znajduje się w zasobach niedostępnych dla wszystkich użytkowników internetu. Żadne linki do niego nie prowadzą i będą mogli państwo na niego wejść tylko po dokładnym jego wpisaniu. Liberty Airlines będą z niego korzystać w celu wydawania oświadczeń i dostarczania aktualizacji znajomym i rodzinie pasażerów, gdy tylko jakieś

informacje staną się dostępne. Znajdą tu również państwo listę nazwisk kontaktowych, numerów telefonów i adresów e-mail do każdego pracownika zespołu zarządzania kryzysowego. Są one dostępne dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu, tak samo jak ja. Państwo są moją rodziną i w związku z tym wasze sprawy i problemy stają się moim największym priorytetem.

Patrzę na nią.

– Co ma pani na myśli, mówiąc, że jesteśmy pani rodziną?

Uśmiecha się do mnie przyjemnie.

– Rodzina każdego pasażera otrzymuje własnego opiekuna. Waszą opiekunką jestem ja. Jesteście moją rodziną. Jeśli potrzebujecie czegokolwiek, wystarczy, że mi o tym powiecie, a ja się tym zajmę.

– Cudownie. W takim razie może pani zacząć od oddania mi męża.

Jej ramiona opadają, przekrzywia głowę i ponownie zakłada maskę współczucia.

– Pani Griffith, bardzo chciałabym móc to zrobić. Naprawdę.

Nienawidzę tej kobiety. Nienawidzę jej tak bardzo, że przez sekundę czy dwie naprawdę obwiniam ją o tę katastrofę. Wiem, że to nie ona wykonała nieudolny test bezpieczeństwa ani nie przechyliła się w lewo, podczas gdy powinna przechylić się w prawo, nie wierzę też jednak w jej zagrywkę pt. „Jestem po waszej stronie”. Jeśli ta kobieta naprawdę chce działać w moim interesie, powie mi to, co chcę od niej usłyszeć.

– W jaki sposób mój mąż wszedł do tego samolotu?

Zorientowanie się, że zmieniłam temat, zajmuje jej sekundę albo dwie, potem uśmiecha się przepraszająco.

– Przepraszam, ale chyba nie do końca rozumiem.

– Chodzi mi o to, czy ktoś w ogóle widział, jak on wszedł na pokład samolotu? Bo wyszedł z domu zbyt późno i nawet jeśli nie stał w korkach – chociaż prawdopodobnie stał – z pewnością musiał zasuwać przez bramki bezpieczeństwa i terminal. I prawdopodobnie wszedł do samolotu jako ostatni – o ile w ogóle na niego zdążył.

Zmienia pozycję na krzesło i patrzy na mojego ojca, tak jakby szukała u niego pomocy. Gdy jej nie otrzymuje, ponownie spogląda na mnie.

– Czy pani pyta, skąd Liberty Airlines wiedzą, że pani mąż wsiadł do samolotu?

– Tak. Właśnie o to pytam.

– W porządku. Zatrzymajmy się na chwilę przy tym temacie. Wszystkie linie lotnicze mają odpowiednie procedury, dzięki którym błędy takie jak ten przez panią sugerowany nie mają prawa się zdarzyć. Bilety pasażerów są skanowane w punkcie kontroli, a następnie ponownie przy bramce, tuż przed wejściem na pokład samolotu. Technologia nie kłamie. Zapewnia nas, że nie otrzymujemy zafałszowanych wyników.

Już słyszę, jak Will się naburmusza. Gdyby siedział tutaj obok mnie, z pewnością by to uczynił. Gdyby tutaj był, powiedziałaby tej paniusi, że technologia kłamie, ponieważ została stworzona i jest kontrolowana przez ludzi. Są błędy. Zdarzają się wypadki. I zafałszowane dane. Tak więc Ann Margaret Myers może próbować mnie przekonać, ale ja się nie dam.

Moja wściekłość rośnie jeszcze bardziej. Skoro Liberty Airlines mogły popełnić tak karygodny błąd i zadzwonić najpierw do mediów, a potem do mnie, kto powiedział, że nazwisko Willa na tej liście rzeczywiście należy do niego? Może to być gigantyczny, zmieniający całe życie błąd, ale nadal po prostu błąd.

– A co, jeśli w połowie rękawa odwrócił się i wyszedł? Mógł wyjść niezauważony tuż obok pracownicy, która właśnie skanowała bilet innego pasażera.

– To chyba możliwe... – Myers odwraca wzrok i nawet nie stara się ukryć swojego powątpiewania. Nie zadaje najbardziej oczywistego pytania: „Dlaczego ktoś miałby się odwrócić i wyjść z rękawa?”. A gdyby je zadała, odpowiedziałabym, że zawrócił dlatego, że był to zły lot w złym kierunku. – Czy chciałaby pani porozmawiać z kimś w tej sprawie?

Wreszcie zaczyna gadać z sensem. Już kiwam głową, zakładając, że ma na myśli swojego szefa, a może nawet szefa ochrony Hartsfield.

– Woli pani doradcę religijnego czy świeckiego? Mamy do dyspozycji doradców Czerwonego Krzyża, jak również duchownych wszystkich najważniejszych religii. Z którym z nich chciałaby pani porozmawiać?

Irytacja uderza mnie w pierś, przysuwam się bliżej.

– Nie muszę rozmawiać z psychologiem. Sama jestem psychologiem. Potrzebuję, żeby ktoś mi powiedział, gdzie jest mój mąż.

Myers milknie. Przygryza dolną wargę i rozgląda się wokół, po swoich kolegach siedzących przy pobliskich stolikach, pocieszających tych, których nie da się pocieszyć, tak jakby chciała spytać: *I co teraz? Na szkoleniu tego nie było.* Zbijam ją z tropu.

– I co teraz? – pyta mój ojciec, który zawsze musi mieć wszystko zaplanowane. – Co zrobimy dalej?

Myers z ulgą powraca do głównego wątku.

– No cóż, w tym tygodniu tutaj w mieście odbędzie się nabożeństwo żałobne. Liberty Airlines nadal pracuje nad logistyką, ale gdy tylko poznam czas i miejsce, przekażę dalej wszelkie niezbędne informacje. Jeśli państwo chcą, mogę przyjechać po państwa do domu i odwiedzić na nabożeństwo. To oczywiście zależy od państwa, ale na miejscu z pewnością będą media, a ja wiem, jak ich unikać. A jeśli są państwo zainteresowani, mogę pomóc w zaplanowaniu podróży do miejsca wypadku.

Na dźwięk dwóch ostatnich słów czuję ścisk w gardle. Miejsce wypadku. Przecież ja ledwo co jestem w stanie oglądać te obrazki w telewizji. Sam pomysł chodzenia wśród tych szczątków i wraków, stania na ziemi, na której życie straciło sto siedemdziesiąt dziewięć osób, jest dla mnie niczym cios w żołądek.

– Nie ma pośpiechu – mówi Myers, wypełniając ciszę. – Zrobimy to, kiedy – i jeśli – będą państwo gotowi. – Gdy nadal nie odpowiadam, sprawdza w papierach kolejny punkt programu. – Och, tak. Liberty Airlines współpracuje z dostawcą zewnętrznym w celu zarządzania procesem zwrotu rzeczy osobistych

prawowitym członkom rodziny. Formularz znajdują państwo na stronie dwudziestej trzeciej pakietu. Im więcej szczegółów państwo podadzą, tym lepiej. Zdjęcia, opisy, cechy charakterystyczne.

Will nie przepada za męską biżuterią, ale nosi obrączkę ślubną i zegarek. Oba te przedmioty są prezentem ode mnie, na obu kazałam wygrawerować nasze inicjały i oba chcę odzyskać.

– Ponownie zakłada pani, że był w tym samolocie.

Ja wiem, że moje zaprzeczenie jest wręcz podręcznikowe. Nie wierzę w to, więc to nie może być prawda. Will nie został pogrzebany w ziemi Missouri. Jest w Orlando, czaruje uczestników konferencji swoją myślą przewodnią na temat analityki predyktywnej i narzeka w barze hotelowym na upał. A może jest już w domu, wykończony tym, przez co przeszedł, i zastanawia się, co na kolację. Wyobrażam sobie, że wchodzę do domu i go tam zastaję. W mojej piersi rośnie radość.

– Pani Griffith, mam świadomość tego, jak trudne to musi dla pani być, ale...

– Czyżby? Naprawdę ma pani świadomość? To pani mąż znajdował się na pokładzie samolotu? A może pani matka, ojciec, córka czy syn zostali rozerwani na kawałki nad polem kukurydzy? Nie? No cóż, w takim razie nie ma pani pojęcia, jak jest to dla mnie trudne. Dla każdej osoby na tej sali.

Ann Margaret Myers pochyla się nad biurkiem i ściąga brew.

– Nie, nie straciłam żadnego członka rodziny podczas lotu 23, ale i tak jestem w stanie odczuwać głęboki smutek i współczucie dla pani i dla wszystkich obecnych tutaj osób. Podzielałam wasz niepokój i zdenerwowanie i jestem po waszej stronie. Proszę mi powiedzieć, czego pani chce, a ja to dla pani załatwię.

– Proszę oddać mi mojego męża! – wrzeszczę.

Głowy wszystkich siedzących dookoła osób odwracają się w moją stronę. Na ich załzawionych twarzach widzę solidarność. Oni też chcą, żeby ich ukochani wrócili. Gdybyśmy siedzieli bliżej siebie, przybiliśmy ze sobą piątki. To jest kompletnie popieprzona sytuacja, ale przynajmniej nie tkwię w tym sama.

Dave kładzie dłoń na moim prawym ramieniu, żeby okazać mi

braterskie wsparcie. Wie, że znajduję się na skraju rozpacz i wybuchu, a ja wiem, że jego najnowszym i najważniejszym celem jest jak najszybsze wyprowadzenie mnie stąd.

– Czy potrzebuje pani od nas jeszcze jakichś innych informacji?

– Tak. Bardzo by nam pani pomogła, gdyby podała mi pani nazwisko i adres lekarza i dentysty pani męża. Pragnę panią zapewnić, że wszystkie zebrane informacje są poufne i będą wykorzystywane wyłącznie przez techników kryminalistycznych pod nadzorem lekarza orzecznika. Bardzo mi przykro, że muszę o to prosić, ale będziemy również potrzebować... eee... próbki DNA.

Ojciec łapie mnie za rękę.

– Coś jeszcze? – mówi przez zaciśnięte zęby.

Ann Margaret Myers wyciąga kopertę ze swojego pakietu i przesuwają ją po biurku.

– To jest pierwsza rata od Liberty Airlines na pokrycie wszelkich wydatków związanych z katastrofą. Wiem, że jest to bardzo trudny czas, a te fundusze mają na celu, no cóż, trochę odciążać państwa finansowo.

Podnoszę kopertę, zaglądam do znajdującego się w środku zadrukowanego kawałka papieru. Najwyraźniej śmierć ma swoją cenę, a jeśli wierzyć Liberty Airlines, to jest to 54 378 dolarów.

– Będzie więcej – mówi Myers.

Gniew, który gotuje się pod powierzchnią mojej skóry od chwili, w której weszłam do tej sali, zamienia się we wściekłość. Płomienie złości liżą moje narządy, moimi żyłami płynie lawa, spalająca mnie od wewnątrz. Zaciskam dłonie w pięści.

Siadam na krześle prosto jak struna.

– Margaret Ann, zadam pani jedno pytanie.

– Nazywam się Ann... – Hamuje się i robi współczującą minę. – Oczywiście. Proszę pytać o wszystko.

– Dla kogo pani pracuje?

Następuje chwila ciszy. Ściąga brwi, tak jakby chciała spytać: O czym pani mówi?

– Pani Griffith, przecież już pani powiedziałam. Pracuję dla pani.

– Nie. Mam na myśli to, czyja nazwa znajduje się na pani

kopercie z wypłatą?

Otwiera usta, następnie je zamyka, wciąga powietrze przez nos i próbuje ponownie.

– Liberty Airlines.

Drę czek na pół, sięgam po torebkę i wstaję.

– Tak właśnie sądziłam.

Ann Margaret Myers dotrzymuje słowa przynajmniej pod jednym względem. Kiedy wychodzimy przez drzwi Centrum Pomocy dla Rodzin, garstka umundurowanych pracowników Liberty Airlines szybko prowadzi nas przez terminal i wyprowadza bocznymi drzwiami. Jeśli jakiś dziennikarz dostrzegł nas w drodze do samochodu, to go nie widzieliśmy. Pracownicy linii lotniczych pełnią funkcję żywej tarczy.

Wsadzają nas do cherokee taty i zatrząskują drzwiami. Wycofują się, gdy tylko tata włącza silnik. Wrzuca wsteczny, ale nie zdejmuje nogi z hamulca. Tak jak ja jest w szoku i próbuje przetrwać wszystko, czego dowiedzieliśmy się w ciągu ostatniej godziny. Nie wiem, ile czasu siedzimy nad mruczącym silnikiem i w ciszy wyglądamy przez okno na betonową balustradę na parkingu. Dopiero gdy czuję ciepłą dłoń taty na moim kolanie i dłoń Dave'a na moim ramieniu, orientuję się, że przez cały ten czas płakałam.

Rozdział dziewiąty

Całą noc śnię o tym, że jestem Willem. Znajduję się wysoko nad chmurami, bezpiecznie przypięta pasami w fotelu, gdy nagle samolot zaczyna spadać. Maszyna wiruje, wrzaski silników są tak samo ogłuszające jak moje i tak samo przerażone jak wrzaski pozostałych pasażerów pode mną, nade mną i ze wszystkich stron. Pikujemy, zbliżamy się do ziemi z niesamowitą prędkością. Budzę się, gdy wybuchamy, odczuwam przerażenie Willa niczym piasek między zębami. Czy wiedział, co się dzieje? Czy krzyczał, płakał i modlił się? Czy w tych ostatnich chwilach myślał o mnie?

Pytania te nie dają mi spokoju. Maszerują przez mój umysł niczym gotowa do ataku armia, rozbłyskują w moim mózgu i sprawiają, że siadam na łóżku. Dlaczego mój mąż miałby mi powiedzieć, że jedzie w jedno miejsce, ale wsiadł do samolotu lecącego zupełnie gdzie indziej? Dlaczego miałby stworzyć fałszywą konferencję z fałszywą ulotką, stanowiącą fałszywy dowód? Ile razy wcześniej nie był tam, gdzie powinien być? Przy tym ostatnim pytaniu moje serce gwałtownie podskakuje, oczywista odpowiedź przypomina wbijanie kwadratowego kołka w okrągłą dziurę. Will by mnie nie zdradził. Nie zrobiłby tego.

To co się stało? Dlaczego mnie okłamał? Odwracam się na łóżku, we wczesnoporannym świetle łapię jego poduszkę. Przyciskam do twarzy chłodną bawełnę i wdycham zapach mojego męża. Nagle wszystkie wspomnienia stają się ostre i wyraźne. Kwadratowa szczeka Willa, oświetlona z dołu przez ekran jego laptopa. Sposób, w jaki jego włosy zawsze były potargane z jednej strony przez to, że nieświadomie przeczesywał je dłonią, gdy o czymś myślał. Ten uśmiech, który pojawiał się na jego twarzy zawsze, gdy wchodziłam do pokoju – ten, który był przeznaczony tylko dla mnie. A najsilniejszym uczuciem było to, że przy nim czułam się całością, czułam się jego, byliśmy nami.

Potrzebuję mojego męża. Potrzebuję jego rozgrzanego od snu ciała i gorącego dotyku oraz jego głosu szepczącego mi do ucha, nazywającego mnie jego ulubioną osobą. Zamykam oczy i oto jest, leży w łóżku obok mnie, z nagą piersią i kiwający palcem, zapraszający mnie do siebie. I nagle w mojej piersi pojawia się pusty ciężar. Will nie żyje. Nie ma go, więc teraz nie ma również mnie.

Świeża rana otwiera się ponownie bolesnym, gorącym bólem i nie mogę zostać w tym łóżku – naszym łóżku – ani przez chwilę dłużej. Skopuję kołdrę, zakładam szlafrok Willa i schodzę na dół.

W salonie włączam światło i przystaję, czekając, aż moje oczy przyzwyczają się do nagłej jasności. Gdy już wszystko widzę, mam wrażenie, że znajduję się w samym środku zdjęcia z życia mojego i Willa, zrobionego na chwilę przed jego wyjazdem na lotnisko. Jego książka, kocha fantastykę, z pozaginanymi rogami i zwijającymi się kartkami, leży na stole przy jego ulubionym fotelu, obok górki celofanowych papierków po cukierkach, które zawsze każe mu sprzątać. Uśmiecham się i jednocześnie czuję, że zaraz się rozpłaczę, ale szybko mrugam, bo jedno słowo rozcina moje wspomnienia niczym maczeta.

Dlaczego?

Odsuwam się od ściany i idę w stronę półek z książkami.

Kiedy w zeszłym roku wprowadziliście się do tego domu, Will nie chciał urządzić domowego biura.

– Informatyk nie potrzebuje biurka – powiedział wówczas – tylko laptopa z wielordzeniowym procesorem i miejsca, by usiąść. Ale jeśli ty potrzebujesz biura, to nie ma sprawy.

Nie potrzebowałam. Lubiłam siadać tam, gdzie Will, przy blacie w kuchni, na sofie, w cieniu na tarasie z tyłu domu. Biurko w salonie stało się miejscem sortowania poczty, przechowywania długopisów i spinaczy biurowych oraz rozstawiania naszych ulubionych fotografii – migawek ze szczęśliwych czasów. Odwracam się tyłem do biurka, żeby go nie widzieć.

Ale posiadanie domu jest nierozzerwalnie połączone z mnóstwem dokumentów, a Will przechowywał nasze w zabudowach w salonie. Klękam na podłodze, otwieram drzwi

i zachwygam się układem rzędów kolorowych segregatorów o trzech pierścieniach, każdy segregator jest opatrzony wydrukowaną etykietką. Wszystko jest uporządkowane i pogrupowane według roku. Wyciągam segregatory, układam je na drewnianej podłodze pod kątem ważności. Gdzie najprawdopodobniej mogę znaleźć kolejne kłamstwo?

Trzy szufladki na listy znajdują się z lewej strony szafki, przeglądam ich zawartość. Broszury związane z pracą, żółta kronika „Biznesu Atlanty” z artykułem o AppSec na pierwszej stronie, bilety na koncert Rolling Stones na koniec tego lata. Na wierzchu znajduje się schludny stos niezapłaconych rachunków, spięty i opatrzony etykietą wypisaną charakterem pisma Willa: Zapłacić ASAP. Moje serce przyśpiesza, pompuje za dużo krwi naraz, mimo chłodu w pokoju zaczynam się pocić. Will żyje. On wróci. Dowód na to jest tutaj, w tym wyraźnym napisie. Martwy człowiek nie może chodzić na koncerty ani odkładać rachunków do zapłacenia, a mój skrupulatny mąż nigdy nie pozostawia niedokończonych zadań.

Siedzę ze skrzyżowanymi nogami wśród papierów i przeglądam każdy segregator. Wyciągi bankowe. Karty kredytowe. Kredyty i umowy oraz deklaracje podatkowe. Szukam... Nie wiem, czego. Myślałam, że tak dobrze znam mojego męża, a teraz szukam jakiegokolwiek wskazówki, dowodu na to, że nagle zamienił się w człowieka, który kłamie. Półtorej godziny później natykam się na coś takiego. Znajduję świeżą kopię jego testamentu, wersję, której nigdy wcześniej nie widziałam, zaktualizowaną zaledwie miesiąc temu. Czuję się, jakby ktoś kopnął mnie w żołądek. Zmienił testament i mi o tym nie powiedział? Nie, żebyśmy mieli ogromny majątek. Dom obciążony wysoką hipoteką, kilka pożyczek na samochody i to wszystko. Will nie ma żadnych żyjących członków rodziny, a my nie mamy dzieci. Jeszcze. Prawdopodobnie. Poza tym może-dzieckiem nasza sytuacja jest dość jednoznaczna. Przeglądam strony, próbując dowiedzieć się, dlaczego.

Dowiaduję się tego, czytając stronę siódmą: o dwóch nowych ubezpieczeniach na życie, które Will kupił wcześniej w tym roku.

Razem z tym, które już miał, wypłata wyniesie – muszę sprawdzić to dwa razy, żeby się upewnić – dwa i pół miliona dolarów? Upuszczam papiery, od tych zer kręci mi się w głowie. Kwota jest zdumiewająca i całkowicie nieproporcjonalna do jego średniego wynagrodzenia. Wiem, że powinnam być zadowolona z jego przezorności, nie mogę jednak nic poradzić na to, że w mojej głowie pojawiają się kolejne pytania. Po co dwie nowe polisy? Dlaczego na tak wysokie kwoty?

– Mogę spytać?

Patrzę w górę i widzę stojącego w drzwiach Dave’a. Ma na sobie należącą do jego męża koszulkę z Harvardu i spodnie od piżamy. Widać, że dopiero co wstał z łóżka, ziewa tak szeroko, że mógłby zwichnąć sobie szczękę. Jest dopiero siódma, a Dave nigdy nie był rannym ptaszkiem.

– Szukam jakichś wskazówek.

– Domyśliłem się. – Wyciąga swoje długie ręce do sufitu i się wykręca, trzask, jaki wydobywa się z jego kręgosłupa, przypomina mi folię bąbelkową. – Ale chodzi mi o to, czy mogę spytać, czy znalazłaś dowód na jego drugie życie w Seattle?

– Wręcz przeciwnie. Żadnych dziwnych opłat, żadnych nieznanymi mi nazwisk. Tylko więcej dowodów na to, że jeśli chodzi o organizację, mój mąż jest przesadnie pedantyczny. – Podnoszę testament i oglądam stronę numer siedem. – Masz polisę na życie?

– Tak.

– Na ile?

Przezesuje palcami swoje ciemne włosy, które zaczynają sterczeć we wszystkie strony.

– Nie pamiętam. Coś około miliona.

– A James?

– Też jakoś tak. Dlaczego pytasz?

– Dwa i pół miliona dolarów. – Wymachuję dokumentami w powietrzu. – Dave, dwa i pół miliona. Czy ta kwota nie wydaje ci się wyjątkowo wysoka?

Wzrusza ramionami.

– Zakładam, że to ty jesteś beneficjentką?

– Oczywiście – odpowiadam, chociaż w mojej świadomości rozpycha się łokciami kolejne pytanie. Kto powiedział, że nie wykupił innych polis, których beneficjentami będzie ktoś mieszkający w Seattle?

– W takim razie tak i nie. Z tego, co pamiętam, polisa wynosi około dziesięciokrotności rocznych dochodów, tak więc tak, kwota, na którą Will się ubezpieczył, jest bardzo wysoka. Ale on cię kochał. Prawdopodobnie chciał ci zapewnić godne życie.

Słowa Dave'a sprawiają, że zaczyna pojawiać się rozpacz, ale ją przełykam. Tak, mój mąż mnie kochał, ale również kłamał.

– Dwie polisy zostały wykupione trzy miesiące temu.

Gwałtownie podnosi głowę i ściąga brwi.

– W takim razie jest to albo nieprawdopodobny zbieg okoliczności, albo coś bardzo dziwnego. Jeszcze nie wiem, czy jedno, czy drugie.

– Moim zdaniem to drugie.

Siada w fotelu i drapie się po twarzy.

– Dobrze, pomyślmy. Ubezpieczenie na życie nie jest darmowe, a taka kwota kosztowałaby go sto lub więcej dolarów na miesiąc.

Wskazuję stos segregatorów, w jednym z nich są tegoroczne wyciągi z jego konta.

– No cóż, nie opłacał ich z naszego wspólnego konta. Przejrzałam każdy wyciąg i nie znalazłam nic poza szokującą liczbą wyjść do Starbucksa.

– Czy mógł mieć inne konto bankowe?

– Pewnie tak. Ale skoro nie ma go tutaj, to gdzie je znaleźć?

– W jego komputerze. Wiadomości e-mail, zakładki, pliki historii. Te sprawy.

– Will nie rusza się nigdzie bez swojego laptopa. To samo tyczy się jego telefonu i iPada.

– Możesz zalogować się na jego adres e-mail?

Kręcę głową.

– Nie ma szans. Will nie jest taki jak my, ludzie, którzy ustawiają w hasła imię swojego ukochanego psa z dzieciństwa. Wykorzystuje hasła generowane komputerowo, których nie da się złamać. No i w każdym miejscu ma inne hasło.

– Nawet do Facebooka?

– Zwłaszcza do Facebooka. Wiesz, jak często hakowane są konta w mediach społecznościowych? Cały czas. Zanim się zorientujesz, całe półtora tysiąca śledzących cię na Twitterze osób dostanie reklamy ray-banów.

Will byłby ze mnie taki dumny. To jego słowa, treść wykładu, jaki mi wygłosił, gdy mu powiedziałam, że *rocky123* to moje hasło do wszystkiego. Teraz sama to mówię.

Wzdycham, rozglądam się po porozrzucanych dokumentach i segregatorach. Nie ma tutaj więcej odpowiedzi, to pewne. Klękam i zaczynam chować wszystko do szafki.

– Wiesz, jakie jest kolejne miejsce, w którym szukałbym tajemnic mojego męża? I mówię ci to mimo ryzyka, że w twoich oczach stanę się jeszcze bardziej stereotypowym gejem.

Sięgam po kolejny segregator, zerkam na brata przez ramię i jednocześnie mówimy dwa słowa:

– Jego garderoba.

Garderoba Willa to schludny, uporządkowany świat, w którym każdy przedmiot jest ułożony według koloru i pogrupowany według kategorii. Koszule do pracy, wykrochmalone, wyprasowane i zapięte. Spodnie z tak ostrymi kantami, że można byłoby nimi kroić chleb. Jeansy i T-shirty i polówki, każdy wieszak pasujący do siebie i idealnie rozmieszczony. Ciągnę za uchwyt górnej szuflady i znajduję w niej jego bokserki, zwinięte w ciasne wałki i równiutko ułożone.

To jest królestwo Willa. Widzę go wszędzie, gdzie tylko spojrzę. Stoję tu przez chwilę, piję go niczym wino, czuję, jak mój żołądek ogarnia niesamowity ból. Wyczuwam Willa w tym porządku, w tym, że zawsze wolał miękkie materiały i barwy kamieni szlachetnych, w zapachu mydła i mięty. Mam wrażenie, że się odwrócę i natychmiast go zobaczę, że na jego twarzy pojawi się uśmiech, dzięki któremu odmłodzi się i jednocześnie się postarzeje. Gdy posłał mi go po raz pierwszy, znajdowaliśmy się na parkingu Krogera. Spodobał mi się tak bardzo, że zgodziłam

się pójść na kawę, chociaż ten facet właśnie wjechał mi w zderzak.

– Wiesz, mogłeś po prostu poprosić mnie o numer – drażniłam się z nim kilka dni później, gdy odprowadzał mnie do domu po naszej pierwszej oficjalnej randce. – Nasze zderzaki nie musiały zostać zniszczone.

– A jak inaczej miałem zwrócić na siebie twoją uwagę? Przecież już odjeżdżałaś.

Zaśmiałam się.

– Biedne, niewinne zderzaki.

– Opłaciło się je poświęcić.

Pocałował mnie wtedy i wiedziałam, że ma rację.

– Wszystko w porządku? – pyta mnie teraz łagodnie Dave.

Kiwam głową, nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

– Jesteś pewna, że chcesz to zrobić? – Patrzy na mnie zmartwiony. – Wiesz, nie musisz mi w tym pomagać.

– Wiem, ale chcę. – Nie wygląda na przekonanego, dodaję więc: – Potrzebuję tego.

– Dobrze. – Wskazuje na miejsce w garderobie, w której swetry Willa są równiutko poukładane na poszczególnych półkach. – Ja zacznę w tym końcu, a ty w drugim. Spotkamy się na środku.

Pracujemy głównie w ciszy. Sprawdzamy każdą kieszeń w każdym spodniach, krótkich spodenkach i džinsach. Dave przeszukuje każdy sweter, a ja otwieram każdą szufladę. Zaglądamy do każdego buta i każdej skarpetki. Pracujemy ponad godzinę, ale znajdujemy tylko kłaczki.

– Wiem, że twój mąż jest pedantyczny, ale to jest szalone. Powinniśmy znaleźć chociaż jakieś śmieci. Stare wizytówki, paragony, jakąś resztę. Czy jest jakieś miejsce, w którym opróżniał swoje kieszenie?

– W pralni mamy słoik na znalezione monety, ale jeśli chodzi o inne rzeczy... – Zrezygnowana wzdycham ramionami.

Siedzimy ze skrzyżowanymi nogami na podłodze w garderobie, otoczeni stertami ubrań i butów Willa. Garderoba wygląda, jakby przeszło po niej tornado, pozrzucało ubrania z wieszaków i powywalało je z koszy i cisnęło wszystko na podłogę. Podnoszę

jeden ze swetrów, kaszmirowy, który w zeszłym roku kupiłam Willowi na urodziny, przysuwam go sobie pod nos i wdycham znajomy zapach.

W tej chwili tak mocno wyczuwam Willa, że mnie zatyka, a włoski na karku stają mi dęba. Hej, kochanie, mówi w mojej głowie tak wyraźnie, jakby stał obok mnie. Co ty robisz?

Strżasam z siebie ten obraz i upuszczam sweter na kolana.

– I co teraz?

Dave zaczyna się zastanawiać.

– Jego samochód?

– Jest na lotnisku.

Kiwa głową.

– Ja i tata wykombinujemy, w jaki sposób ściągnąć go z powrotem. A w tym czasie... co z mediami społecznościowymi? Kiedy po raz ostatni sprawdzałaś jego profil na Facebooku?

Jego pytanie mnie zaskakuje. Will i ja dzielimy dom, życie, przeszłość. Fundamentami naszego związku zawsze było zaufanie i szczerłość. On daje mi pole manewru, ja daję mu długą smycz.

– Nigdy. Nie patrz tak na mnie. Nigdy nie węszyliśmy. Nigdy nie było żadnych powodów, dla których którekolwiek z nas mogłoby być zazdrosne albo podejrzliwe.

Dave nabiera powietrza, ale nie wypowiada słów, które oboje myślimy. *Aż do tej chwili.*

Zza rogu słyszemy głos Jamesa.

– Ej, Dave?

– W garderobie! – krzyczy Dave.

Przy drzwiach słyszemy śmiech Jamesa. Po chwili widzimy go w stroju do jogi, trzymającego białą prezentową torebkę. Jego blond włosy przylegają do czoła od deszczu i potu, ma przyśpieszony oddech.

– Mógłbym opowiedzieć teraz tyle dowcipów.

Dave przewraca oczami.

– Czyżbyś pobiegł do jakiegoś sklepu?

James patrzy na torebkę, tak jakby zupełnie o niej zapomniał.

– Ach, jasne. To chyba dla Iris. Znalazłem to wiszące na kłamce

drzwi wejściowych. Nie ma żadnego liściku.

Biorę torebkę i wyjmuję z niej nowiutkiego iPhone'a 6, tego wielkiego, fabrycznie opakowanego, z taką liczbą gigabajtów, że nigdy jej nie wykorzystam.

– Dlaczego ktoś miałby dać ci iPhone'a? – pyta James.

– Bo jest mu mnie żal i wie, że swojego popsulałam. – Wrzucam telefon z powrotem do torby i oddaję ją Jamesowi.

– Mam to załatwić? – pyta Dave.

– Nie, chcę, żebyś zabrał to z powrotem do sklepu, odebrał za niego pieniądze, a potem kupił mi innego za moje pieniądze.

– Czy nie byłoby lepiej po prostu wystawić tej osobie czek?

Mój brat jak zwykle ma rację. Potrzebuję nowego telefonu, ale prędzej trafi mnie szlag, niż pozwolę, by ktoś za niego zapłacił.

– Dobrze, ale będziesz potrzebował mojego laptopa, żeby go zainstalować. Chyba jest gdzieś w szufladzie w kuchni. A gdy już go włączysz, sprawdź, ile kosztuje ten telefon, dobrze? Będę musiała zalogować się do szkolnego systemu, żeby sprawdzić adres Claire, a potem wrzucę jej czek do skrzynki pocztowej.

– Jasne.

Gdy już to ustaliliśmy, James opiera się ramieniem o framugę i przygląda się bałaganowi, który zrobiliśmy w garderobie. Widzi stosy zdjętych wieszaków, górę swetrów i koszul na podłodze, ubrania wystające z szuflad niczym w koszach w sklepie z tanią odzieżą.

– Czy ja w ogóle chcę o to pytać?

– Węszymy – odpowiada Dave.

– No i?

– Nic. Nawet paragonu za benzynę.

Głos Dave'a jest jednoznaczny tak samo jak wyraz jego twarzy. Czuję, jak na widok ich niemej rozmowy żołądek zaciska mi się w twardego węzeł. Co za osoba nie zostawia po sobie nic, nawet kawałka papierka po gumie do żucia? Taka, która nie chce, żeby żona dowiedziała się o jej zamiarach. Te słowa są tak wyraźne, że równie dobrze mogłoby wypowiedzieć je na głos.

– Nie zdradzał mnie – mówię stanowczo. Czasami po prostu jest się czegoś pewnym, można by założyć się o swoje życie

i o ostatniego centa. I to jest jedna z takich rzeczy. – Nie zdradzał.

Dave macha ręką wokół, wskazując stosy ubrań i butów.

– Skarbie, nikt nie jest tak porządny. Tutaj z pewnością coś się dzieje.

– Oczywiście, że tak. Will wsiadł do złego samolotu i odleciał w złym kierunku. Ale nie przez inną kobietę. Musiała być jakaś inna przyczyna.

James otwiera usta, by wyrazić swoje zdanie, ale Dave patrzy na niego ostro, żeby zamilkł. Wiem, że gdy tylko zamkną za sobą drzwi pokoju gościnnego po drugiej stronie korytarza, zaczną się kłócić i snuć teorie. I chyba powinnam się do tego przyzwyczaić. Nie tylko moja rodzina będzie mieć o Willu jak najgorsze zdanie: że miał inną kobietę – dziewczynę, żonę, matkę jego dzieci – schowaną gdzieś na przedmieściach Seattle.

Wściekłość odbiera mi oddech. Jak on mógł mi to zrobić? Jak mógł zostawić mnie tutaj samą, bezbronną i zdezorientowaną, żebym stoczyła tę bitwę w samotności? Chcę go bronić, chcę bronić nas, ale nie wiem jak. Zostawił mnie z samymi pytaniami. Jak mam udowodnić, że wszyscy się mylą?

Dave kładzie dłoń na moim kolanie.

– Będziemy szukać dalej, dobrze? Jeśli będzie trzeba, wsiądziemy w samolot do Seattle. Znajdziemy coś jeszcze.

Kiwam głową, moje serce ogarnia miłość do mojego brata bliźniaka. Jego propozycja nie wynika z wiary w mojego męża, lecz z wiary we mnie. Chce szukać innego wyjaśnienia tylko dlatego, że jestem tak pewna jego istnienia.

– Jesteś moją drugą ulubioną osobą na planecie – mówię tuż przed wybuchnięciem płaczem, bo to nie jest już prawda. Ponieważ nie ma już Willa, Dave przesunął się na pierwsze miejsce.

Rozdział dziesiąty

Niedziela kwitnie jasno i pięknie, jest jednym z tych cudownych wiosennych dni, z których słynie Atlanta. Niebieskie niebo. Ciepłe promienie słońca. Delikatny wietrzyk, poruszający trawę i wiciokrzew. Takie właśnie dni Will i ja uwielbialiśmy spędzać na lenistwie w Piedmont Park albo na spacerowaniu po Atlanta BeltLine. Taki dzień jest zbyt jasny i słoneczny na uroczystości pogrzebowe.

Na nabożeństwo żałobne Liberty Airlines wynajęły ogrody botaniczne w Atlancie i gdy idę przez nie w ciemnych ubraniach i okularach, muszę z przykrością przyznać, że ów wybór był genialny. Ze swymi zwisającymi ogrodami, refleksyjnymi stawami i wszechobecnymi rzeźbami Technicolor Chihuly park jest wręcz spektakularny. Co więcej, przez bramę nie wpuszcza się dziennikarzy i na całej planecie nie ma obiektywu powiększającego obraz do tego stopnia, by złapać nas pod gęstym przykryciem z liści. Wyobrażam sobie Ann Margaret Myers na spotkaniu pracowników, entuzjastycznie kiwającą głową, gdy padła sugestia wynajęcia właśnie tego miejsca. Kto może czuć się samotnym, gdy wokół taka wiosna?

Mama bierze mnie pod rękę i przyciska skroń do mojego ramienia.

– Jak się trzymasz?

– W porządku.

Na szczęście nie jest to kłamstwo. Gdy tylko wjechaliśmy na parking na dachu ogrodu, wszystko we mnie nagle odrętwiało, tak jak gdyby ktoś wstrzyknął mi całą strzykawkę nowokainy. Moje ciało przeszło chyba w tryb przetrwania i jestem mu wdzięczna za tę chwilę wytchnienia. Z całą pewnością zapobiegnie to szlochaniu albo wymiotom, co robiłam przez cały poprzedni dzień po tym, jak tata przekazał poważnie wyglądającemu reprezentantowi Liberty Airlines przedmioty

zabrane ze strony Willa w łazience – jego szczoteczkę do zębów, kawałek obciętego paznokcia i kilka pasemek włosów. Zamknięcie kolejnego etapu – oto, co ma zapewnić genetyka rodzinom Liberty Airlines. Ale ja nie chcę zamknięcia. Do diabła z zamknięciem. Chcę, żeby ktoś mi powiedział, że na tym polu kukurydzy w Missouri nie udało się znaleźć nawet najmniejszego fragmentu ciała mojego męża.

Pracownicy parku w mundurach poprowadzili nas brukowanymi ścieżkami aż do Ogrodu Różanego, wielkiego trawiastego pola, z którego rozpościerał się widok na centrum Atlanty. Idziemy do środkowego rzędu i siadamy na składanych wyściełanych krzesłach. Widzę kilka znajomych twarzy z Centrum Pomocy dla Rodzin. Hinduska w innym sari, tym razem białym. Czarny nastolatek bez kolczyków, jego twarz zalana łzami. Słońce odbija się od ich twarzy niczym latarnia morska, cieszę się, że założyłam okulary przeciwsłoneczne. Zwłaszcza że dostrzegam Myers obserwującą nas z boku. Jej spojrzenie, zawierające oczywistą tęsknotę, przenosi mnie z powrotem do sal Lake Forrest, do przyszczatych dziewczyn, desperacko pragnących stać się częścią popularnej grupy nastolatek. Jesteśmy „jej” rodziną, ale jej do siebie nie dopuściliśmy. Patrzę na nią najchłodniej i najwredniej, jak tylko umiem, i się odwracam.

Nabożeństwo to półtorej godziny doprowadzających do wściekłości, nieznośnych tortur wypełnionych tandetnymi piosenkami i długą procesją mówców, ludzi, których nigdy wcześniej nie spotkałam i prawdopodobnie nigdy więcej nie zobaczę. Opakowują kondolencje w śmieszne banały, w takie słowa jak „Niech wasza miłość będzie silniejsza od waszej desperacji i smutku” i „Skoncentrujmy się na wypełnianiu dziur miłością i nadzieją”.

Nadzieją na co? Wstrzymuję oddech i zgrzytam zębami, żeby nie wrzasnąć tych słów. Kurwa, nadzieją na co? Dzięki Liberty Airlines nie mam najmniejszego pojęcia.

Liberty Airlines. Nie jestem w stanie wypowiedzieć tych dwóch słów, nie trzęsąc się z wściekłości. Nienawidzę linii lotniczych za

ich nieudolnych mechaników, fałszywą troskę, niekompetentnych pracowników do kontaktu z rodzinami i niezdarną załogę. Gdyby ten pilot nie zginął w katastrofie, sama bym go zabiła.

A gdzie jest rodzina pilota? Czy jest tutaj? Przyglądam się płaczącym wokół ludziom, próbując znaleźć jego męża albo żonę, ich ukochane dzieci. Czy ośmieliliby się przyjść? Czy byliby w stanie stawić czoła stu siedemdziesięciu ośmiu innym rodzinom ze świadomością, że to ich ukochana osoba popełniła błąd, który doprowadził do katastrofy?

Po nabożeństwie zbieramy się na poczęstunek przy porośniętej różami altanie, bardziej nadającej się na wesele niż pogrzeb. Kwiaty nie zakwitną jeszcze przez całe tygodnie, ich małe pąki dopiero co się pojawiły, ale jasnozielone pędy i liście drwią ze mnie swoim optymizmem. Żyjemy, żyjemy, żyjemy, krzyczą, podczas gdy mój Will nie żyje.

– Przynieść ci coś do picia? – pyta tata, wskazując na tłum stojący przy kelnerze, który trzyma tacę z zimnymi napojami.

– Cołę – odpowiadam, chociaż nie chce mi się pić. Dochodzę jednak do wniosku, że gdy będę trzymała szklanke, może nie przyłożę nikomu pięścią w brzuch. Gdy jednak tata miesza się w tłum, zmieniam zdanie. – Właściwie... możemy sobie już stąd pójść? Naprawdę chcę iść do domu.

Mama i Dave wymieniają spojrzenia.

– Może chcesz porozmawiać z innymi rodzinami? – pyta mama.

– Nie, naprawdę nie chcę.

Jako psycholog jestem wielką zwolenniczką terapii grupowej i znajdowania pocieszenia w przebywaniu w towarzystwie osób, które przeżyły podobną tragedię. Ale pocieszanie się wśród tych ludzi oznacza rezygnację i zgodę na to, że Will jednak był w tym samolocie, a dopóki badania DNA nie wykażą inaczej, oburącz czepiam się mojego wyparcia.

Mój szef, Ted Rawlings, zbliża się do mnie. Nie spodziewałam się go tutaj ujrzeć, ale nie jestem zaskoczona. Wszystkich w Lake Forrest, zarówno personel, jak i uczniów, traktuje jak jedną wielką rodzinę. To było oczywiste, że przyjdzie na uroczystości.

Sięga po moją rękę, bierze ją w swoje dłonie.

– W imieniu wszystkich w Lake Forrest Academy składam ci najgłębsze, najszczerze kondolencje. Bardzo mi przykro z powodu twojej straty. Jeśli mogę coś zrobić, jeśli ktokolwiek z nas może coś zrobić, to proszę, daj mi znać.

Łzy napływają mi do oczu, nie pod wpływem jego słów, lecz na widok jego krawatu – całego czarnego, zupełnie innego niż te, które nosi w szkole. Moim zdaniem był to prawdziwy krawat pogrzebowy. Założę się, że kupił go specjalnie na tę okazję, i ta myśl napełnia mnie potwornym smutkiem.

– Dziękuję, Ted. To wiele dla mnie znaczy.

– Weź tyle wolnego, ile będziesz potrzebować, dobrze? Zobaczymy się w szkole, gdy tylko będziesz gotowa. – Ścisną moją dłoń, a następnie podchodzi do mojej matki, która stoi w pierwszej linii do przyjmowania kondolencji. Widzę jeszcze więcej znajomych i ich małżonków, mężczyznę, w którym zbyt późno rozpoznaję szefa Willa, kilku jego współpracowników. Podchodzą do mnie i mówią mniej więcej to, co przed chwilą Ted. Następny jest cały zespół lacrosse z Lake Forrest, dzieciaki mówią same właściwe rzeczy, ale z każdą kolejną uściśniętą dłonią wszystko zaczyna mnie coraz bardziej swędzieć. Nie chcę ich współczucia. Nie chcę ich życzliwych słów. Chcę tylko, żeby mój mąż wrócił.

– Och, Iris – mówi znajomy głos i nagle jestem otoczona moimi trzema najlepszymi przyjaciółkami. Mają opuchnięte i przekrwione oczy. Elizabeth, Lisa i Christy mocno mnie przytulają. Pachną kwiatami, miodem i łzami.

– Wcale nie miał wsiąść do tego samolotu – mówię, przyciskając moje czoło do ich czoł. – Miał być w Orlando.

Nie mają nic do powiedzenia, nie mogą dać mi żadnej nadziei, obejmują mnie więc jeszcze mocniej i nic nie mówią. Myśl o tym, że znają mnie dostatecznie dobrze, żeby nie wypełniać ciszy frazesami, przepełnia mnie miłością i jednocześnie zalewa moje serce świeżą falą rozpacz.

– Dziękuję, że przyszłyście – szepczę, a po chwili wtrąca się moja mama. Robiła to samo w zeszłym roku, podczas gdy ona

i tato obchodzili czterdziestą rocznicę ślubu. Kiedy ktoś stał z nimi zbyt długo, przesuwała go. Teraz bierze ich dłonie w swoje ręce, ciągnie je, uśmiecha się szczerze i porusza bardzo delikatnie, ale ja wiem lepiej.

Następny jest blondyn w garniturze w prążki.

– Czy spotkaliśmy się już w Centrum Pomocy dla Rodziny?

– Owszem, byłam tam – odpowiadam i nie drażę tematu. Chodzi o to, że zapamiętałabym tego człowieka chociażby ze względu na wzrost. Jest szokująco wysoki, takich ludzi widzi się grających na boisku do koszykówki.

Ale być może ja byłam wtedy załamana albo on siedział i nie zwróciłam na niego uwagi. Tak czy siak, jestem pewna, że stracił kogoś w tym samolocie. Ma przyjemny i grzeczny wyraz twarzy, ale zdradzają go oczy. Są pełne szaleństwa i nie ma w nich nic przyjemnego.

Podaje mi rękę.

– Evan Sheffield. W tym samolocie były moja żona i mała córeczka.

Krzywię się, a jednocześnie przechodzi mnie dreszcz bardzo przypominający ulgę. Ten biedny facet stracił w tej katastrofie aż dwie osoby. Najwyraźniej są tu ludzie, którzy mają jeszcze gorzej ode mnie.

– Iris Griffith. Mój mąż, Will... – Przełykam ślinę. Nadal nie jestem w stanie wypowiedzieć tych okropnych słów.

Evan kiwa głową, wyraz jego twarzy mówi, że doskonale mnie rozumie. Oczywiście, że rozumie.

– Chciałem tylko ci powiedzieć, że zakładam stowarzyszenie dla przyjaciół i rodziny pasażerów i załogi. Myślę, że jeśli połączymy siły, to osiągniemy o wiele więcej.

– Na przykład?

– Na początek ustalimy, co powinniśmy zrobić i kogo powinniśmy słuchać. Nie wiem jak ty, ale ja nie planuję podążać ślepo za radami mojego opiekuna. Nie jestem pewien, czy pracownik Liberty Airlines jest w tej chwili naszym najlepszym rzecznikiem.

– Zgadzam się.

– Świetnie. – Wyjmuje z marynarki wizytówkę i mi ją podaje. Wskazuje swoje nazwisko, napisane wijącymi się niebieskimi literami. – Wyślij mi maila ze swoimi danymi kontaktowymi, a ja dodam cię do listy. Pierwsze spotkanie odbędzie się jakoś na początku przyszłego tygodnia w mojej firmie Rogers, Sheffield i Shea w śródmieściu. Do maila dołączę adres i wskazówki dotyczące parkowania.

Znam Rogers, Sheffield i Shea. Wszyscy z Południa znają Rogers, Sheffield i Shea po tym, jak w 2001 roku unieważnili skazanie Troya Colesa, faceta z Savannah, skazanego na śmierć za zabójstwo, którego nie popełnił. Spoglądam na jego nazwisko i przypominam sobie, że był głównym adwokatem w tej sprawie.

– Jesteś tym Evanem Sheffieldem?

– Tak, i nie jestem jedynym adwokatem w grupie, jeśli o to pytasz. Mamy również kilka pielęgniarek, terapeutę snu i kilku lekarzy. Jeśli masz jakiś specyficzny talent czy wiedzę, którą mogłabyś zaoferować, daj mi znać w mailu. Oczywiście nie jest to obowiązkowe. Zawsze można po prostu przyjść i posłuchać.

– Moja córka jest psychologiem – mówi mama, która nie może się przed tym powstrzymać. – Wykształconym w Agnes Scott i Emory.

– Nie jestem pewna, czy będę w stanie komukolwiek pomóc – dodaję szybko. – Moje zdrowie psychiczne wisi na włosku.

Evan próbuje się uśmiechnąć, ale przypomina to bardziej grymas.

– Witaj w klubie. Wszyscy ciągle mi powtarzają, że to przeżyjemy, ale ja wcale nie jestem tego taki pewien. – Nabiera powietrza i zbiera się do kupy. – W każdym razie miło było cię poznać. Czekam na maila.

Idzie dalej, patrzę, jak mówi to samo kolejnej osobie. Ma zwieszona ramiona i jest tak zmęczony, że aż czuję to w kościach. Żałoba jest wyczerpująca, a ten człowiek stracił dwie osoby. Ja tylko jedną. Skąd on czerpie energię do życia? Patrzę na plamę gęstej, miękkiej trawy i zastanawiam się, czy mogłabym się na niej płożyć, tylko na minutkę.

Dave staje obok mnie, obejmuje mnie w pasie, a ja się w niego

wtulam. Mówiłam prawdę, gdy powiedziałam Evanowi, że moja psychika wisi na włosku – i to tak postrzępionym, że w każdej chwili może się urwać. Mówiłam również prawdę, gdy powiedziałam do ojca, że chcę iść do domu. Nagle wyjście stąd to mój najważniejszy cel. Nie zniosę już ani jednej osoby w tej paradzie żałobników.

– Chodźmy.

Dave wskazuje na drugą stronę trawnika, gdzie na stole kelnerzy ustawiają wielkie tace z jedzeniem.

– Ale...

– Dave, ja nie żartuję. Musisz mnie stąd zabrać. Teraz.

Patrzy przez ramię i wyciąga szyję.

– Dobrze, ale mama właśnie poszła szukać toalety i nie wiem, dokąd poszedł James. – Odwraca się i szybko ściska moją dłoń. – Trzymaj się. Pójdę ich poszukać.

– Byłoby wspaniale. Dzięki.

Od razu po jego odejściu czuję kolejne pociągnięcie za rękaw. Zanim dam radę się powstrzymać, odwracam się, a na mojej twarzy pojawia się wrogi wyraz.

– Co?

Jeśli ten człowiek czuje się obrażony moim brakiem wychowania, to nie daje tego po sobie poznać. Uśmiecha się, śnieżnobiałe zęby odcinają się od skóry koloru ziaren kawy, i podnosi do góry szklankę z czystym, bąbelkującym płynem.

– San Pellegrino. Wygląda pani, jakby potrzebowała się pani napić czegoś chłodnego.

– Och. – Pojawia się poczucie winy i rozciągam usta w coś w rodzaju przepraszającego uśmiechu. – Przepraszam, z reguły się tak nie zachowuję, ale... – Biorę od niego szklankę i wznoszę go w jego kierunku. – Dziękuję. Naprawdę.

– Corban Hayes – mówi. – Jestem przyjacielem Willa z siłowni.

Sącę wodę i przyglądam mu się znad szklanki. Sama bym się domyśliła, że ten facet spędza dużo czasu na siłowni. Jest wysoki i szczupły i ma tak wyraźnie zarysowane mięśnie, że odznaczają się jego żyły, na jego brązowych ramionach wyglądające jak czarna lina. To ten typ faceta, który robi pompki na jednej ręce,

przekonując do zdrowej żywności i ciężkich ćwiczeń każdego, kto się nawinie. Will chodził na siłownię, ale nie spędzał na niej zbyt dużo czasu. Podnoszenie ciężarów i bieżnia były złem koniecznym, ale tylko po to, aby mógł jeść tyle burrito, ile chciał. Jak bardzo mogli się ze sobą przyjaźnić?

– Will mnie ochrzanił, że odkładam obciążniki w nieodpowiednie miejsce. A ja go ochrzaniłem za to, że jest taki pedantyczny. Od tamtej pory jesteśmy kumplami.

Mimo wszystko się uśmiecham.

– Cały Will. Lubi porządek.

– No raczej. – Poważnieje i kręci głową. – Będzie mi brakowało tego, jak mną rządził i zmuszał do zmiany hasła co trzydzieści dni. W zeszłym roku moja firma przeniosła ochronę danych do AppSec i była to najczystsza i najszybsza migracja oprogramowana, z jaką kiedykolwiek mieliśmy do czynienia. Will wszystkiego dopilnował i nie policzył mi za dodatkowe godziny, które spędził na ogarnianiu wszystkiego od nowa. W AppSec bardzo żalowali, że postanowił odejść.

Już kiwam głową, już mam wymruczeć podziękowania za jego miłe słowa, gdy mój umysł rejestruje ostatnie zdanie.

– Jak to: postanowił odejść?

– Do nowej pracy. Jak nazywa się ta firma? EPM? TPM? Coś w tym stylu. Zakładam, że właśnie dlatego był na pokładzie samolotu do Seattle? Chciał sfinalizować kontrakt?

Kieliszek wypada mi z rąk, upada na cegłę i głośno się roztrzaskuje. Wszyscy patrzą w moją stronę, coś mokrego i ostrego kłuje mnie w golenie.

Zamiast jednak odsunąć się do tyłu, żeby uniknąć ubrudzenia, Corban rzuca się do przodu i łapie mnie za ramię w chwili, w której zaczynam się chwiać.

– Już dobrze.

Otwieram usta, żeby mu powiedzieć, by mnie puścił, ale nie jestem w stanie złapać tchu. Powietrze utyka mi w gardle.

– Nic ci nie jest? Zrobiłaś się biała jak ściana.

Moje płuca zamieniły się w kamień. Nie jestem w stanie zmusić ich go rozszerzenia się albo skurczu. Wdycham niewielkie hausty

powietrza, na krańcach pola widzenia pojawiają się czarne plamki.

– Nie mogę... oddychać...

– Bo się nadmiernie przewietrzyłaś. Proszę. – Prowadzi mnie do znajdującej się w cieniu ławki i mnie na niej sadza. – Wstrzymaj oddech. Wiem, że wydaje ci się to kiepskim pomysłem, ale obiecuję, że to pomoże. Wstrzymuj powietrze tak długo, jak tylko dasz radę, a potem wypuszczaj je przez nos tak powoli, jak to możliwe. – Razem ze mną robi kilka takich rund, cały czas do mnie mówi, siada obok i nadyma policzki, i głośno wypuszcza powietrze przez nos, pokazując mi, co mam robić, aż wreszcie moje płuca się rozluźniają, a zawroty głowy mijają.

– Lepiej?

Trochę. Kiwam głową.

Pochyliła się, patrzy na moje nogi.

– Jeśli ci powiem, że krwawisz, to czy znowu zaczniesz się dusić? – Nie czeka na moją odpowiedź, po prostu wyciąga z kieszeni marynarki poszetkę we wzory i klęka na trawie, wycierając moją krew. – Rozcięcia chyba nie są głębokie, ale w domu ktoś powinien ci je oczyścić. – Niejasno zdaję sobie sprawę z klęczącego nade mną Corbana, ze zbierającego się obok nas tłumu, z obcych, przyglądających się nam z ciekawością i niepokojem. Ktoś zdejmuje mi but i polewa nogę lodowatą wodą, a ja ledwo to wszystko zauważam.

Przez cały czas czekam, aż ktoś powie mi, że tych ostatnich kilka dni to pomyłka, że Will jest bezpieczny i przebywa tam, gdzie powinien być, czyli w Orlando. Ale konferencja była kłamstwem, jego przykrywką dla trudnej prawdy: że ruszał do Seattle, żeby wyrwać nasze życie z korzeniami, zacząć nowe życie na drugim wybrzeżu. Zasłanian usta dłonią, prawda wali mnie w żołądek. Will miał powód, by znajdować się w tym samolocie.

Co oznacza, że ja mam powód, by wyzbyć się wszelkiej nadziei.

Will dostał nową pracę w Seattle?

Chyba mówię te słowa na głos, bo Corban spogląda w górę.

– Nie wiedziałaś?

Otwieram szerzej oczy.

– Oczywiście, że nie. – Słowa wystrzeliwują ze mnie jak rzutki, są szybkie i wściekłe. Z jakiego innego powodu miałabym urządzić taką scenę?

Corban wstaje i siada na ławce obok mnie. Patrzy na mnie oczami czarnymi jak noc.

– Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że jeszcze ci nie powiedział. Jeśli poczujesz się lepiej, to wiem, że planował to zrobić. Po prostu czekał na właściwy moment.

– A kiedy? Gdy pewnego razu wróciłabym do domu i zastała przed nim tabliczkę „Na sprzedaż” i ekipę przeprowadzkową, wywożącą wszystkie nasze rzeczy?

– Nie szalej. Wiesz przecież, że Will nigdy nie pozwoliłby, żeby obce osoby dotykały jego rzeczy.

Wiem, że żartuje, ale jego słowa trafiły mnie niczym kula ognia. Ten facet twierdzi, że Will był jego przyjacielem. Ale Will jest moim mężem. Czuję się jak zazdrosna kochanka, tak jakby jakiś intruz, jakaś trzecia osoba ładowała się z buciarami w związek mój i Willa, próbując rozpychać się łokciami. Czuję gorąco w piersi.

– Ja dobrze znasz Willa? – Mówię niemalże oskarżycielskim tonem.

Corban unosi brwi, które układają się w literę V.

– Przecież już ci mówiłem, poznaliśmy się na siłowni.

– Nie pytam, jak się poznaliście, ale jak dobrze się znacie. Nie możecie znać się aż tak dobrze, bo nigdy, przenigdy o tobie nie wspomniał. Skąd mam wiedzieć, że w ogóle mówisz mi prawdę?

Corban nie wygląda na urażonego. Opiera się i kładzie jedną z napakowanych rąk na oparciu ławki.

– No cóż, wiem, że jego ojciec zmarł, gdy Will miał kilka lat, a jego mama – gdy chodził do szkoły. Wiem, że przez miesiąc lub dwa sypiał u różnych ludzi, aż wreszcie skończył osiemnaście lat, i przez cały czas siedziała mu na karku opieka społeczna. Wiem, że udało mu się skończyć studia i studia uzupełniające i że miał o wiele za duże kwalifikacje, by robić to, co robił w AppSec. I wiem, że był wyjątkowo genialny, miał dobre serce, a na parkingu Krogera poznał miłość swojego życia.

Milknę. Wydobyć tego wszystkiego z Willa zajęło mi wiele lat. Nie lubił opowiadać o swojej trudnej przeszłości, nienawidził się chwalić. Fakt, że opowiedział o tym wszystkim Corbanowi, świadczy o głębi ich przyjaźni.

– Czyli nie aż tak dobrze – mamrocze, a on się śmieje, po raz kolejny udowadniając, jak dobrze znał mojego męża.

I znowu płacze, zarówno przez wyraźną sympatię Corbana do Willa, jak i dlatego, że miał przyjaciela, któremu ufał na tyle, by opowiedzieć mu o swojej przeszłości, ale o którym z jakichś względów nigdy mi nie wspomniał, trzymając tę przyjaźń w tajemnicy. Dlaczego miałby zrobić coś takiego?

Corban szybko ściska moją dłoń i zabiera rękę, zanim ten gest zaczyna wyglądać na coś więcej niż tylko na koleżeński wyraz pocieszenia.

– Iris, chciał ci powiedzieć o tej pracy. Naprawdę. Chciał, żebyś była tak samo podekscytowana jak on. Taka okazja zdarza się tylko raz w życiu. Ale czekał na następny weekend, zamierzał ci powiedzieć w Optimist, bo nie chciał, żeby ta dyskusja odwróciła twoją uwagę od świętowania waszej rocznicy.

Optimist – kolejny fakt, o którym wiedział Corban. Ja i Will mieliśmy zarezerwowaną randkę w przyszłą sobotę – rzadko zdarza nam się chodzić na takie randki.

– Mówił mi, że leci do Orlando. Na konferencję. A nawet zrobił ulotkę i uczynił z siebie głównego prelegenta.

– Do Orlando? – Kręci głową. – O tym nie wiedziałem, chociaż nie mogę powiedzieć, że jestem zaskoczony. Ta nowa praca wiązała się z awansem i dużym wzrostem pensji, ale Will wiedział, że dla ciebie to i tak nie będzie prosta decyzja. Cztery tysiące sześćset czterdzieści jeden kilometrów między tobą a twoim bratem. Cały czas powtarzał, że to dlatego się wahał.

– I miał rację. – Nabieram powietrza i wycieram policzki. – Pojechałabym, ale na początku na pewno bym się z nim o to kłóciła.

– I kto wie? Prawdopodobnie pozwoliłby ci wygrać.

Corban się uśmiecha, a kąciaki moich ust unoszą się do góry tak jak u psów Pawłowa. A przecież nie dałam im na to pozwolenia.

– Gotowa? – Rozlega się za mną głos Dave’a. Odwracam się. Obok mojego brata stoją rodzice i James. Szybko kiwam głową, a potem odwracam się do Corbana.

Sięga do kieszeni, podaje mi wizytówkę, rozpoznaję logo lokalnej sieci banków.

– Zadzwoń, gdy tylko będziesz chciała, dobrze? O każdej porze dnia i nocy. Jeśli będziesz mieć jeszcze jakieś pytania albo po prostu jeśli będziesz chciała porozmawiać. I Will miał rację z jedną rzeczą.

– Z jaką?

– To, co was łączyło, było warte miliona wgniecionych zderzaków.

Rozdział jedenasty

Według Google ESP oznacza Enterprise Security Platform, jedno z dwudziestu pięciu najlepszych miejsc do pracy w Seattle oraz wiodącego konkurenta AppSec. Lista ich klientów jest długa, zróżnicowana i imponująca, zawiera wielkie nazwy i główne marki z branży finansowej, farmaceutycznej, lotniczej i przemysłu wytwórczego. Konsultanci ESP posługują się dwudziestoma czterema językami, pracują w pięćdziesięciu siedmiu krajach i spędzają wolny czas na nartach i jeździe na rowerze oraz nurkowaniu i górskich wędrówkach. To właśnie w takim miejscu Will chciałby pracować, gdyby tylko miał ku temu okazję – chciałby osiągnąć sukces i jednocześnie przeżywać przygody. Wszystko w tej firmie zdaje mu się idealne, pomijając jeden drobny szczegół – firma znajduje się na drugim krańcu kraju.

Chodzę po ich stronie internetowej, przeglądam profile pracowników i sprawdzam portale pracy. Większość ofert, jakie znajduję, dotyczy niższych stanowisk albo pracy w jednym z biur na Wschodnim Wybrzeżu. Zastanawiam się, czy usunięto już ofertę, na którą odpowiedział Will. Szefem działu kadr jest kobieta o imieniu Shefali Majumdar. Klikam na jej profil i zapisuję jej dane kontaktowe na karteczce. W niedzielę po południu z pewnością nie będzie jej w pracy, a pytania takiego jak moje nie zostawia się na poczcie głosowej. Dzień dobry, czy przez przypadek nie zatrudniła pani mojego męża? Tak? Przykro mi, ale nie stawi się w pracy.

– Skarbie? – mówi mama. Podnoszę wzrok i widzę, że stoi po drugiej stronie kanapy. – Kolacja gotowa.

Włączam Facebooka i myślę, że przejrzę listę znajomych Willa. Może jakiś profil da mi wskazówkę, może przyjdzie mi do głowy, gdzie powinienam teraz szukać.

– Jedzcie. Nie jestem głodna.

– Zrobiłam purée ziemniaczane.

Moja kochana mama. Wie, jak bardzo kocham purée, i nie będę miała serca, by jej powiedzieć, że na sam zapach purée chce mi się wymiotować.

Przysiada na oparciu.

– Chociaż chodź spróbować, dobrze? Tylko kęs albo dwa.

Kompletnie nie mam na to ochoty, ale ona prawdopodobnie ma rację, że się martwi. Poza miską płatków owsianych, którą zjadłam rano, i garścią słonych krakersów, które wmusiła we mnie wczoraj, od pięciu dni nic nie zjadłam. Terapeuta we mnie wie, że mój brak apetytu jest wynikiem szoku i depresji, że istnieje fizjologiczny powód, dla którego wszystko, co dotyka mojego języka, smakuje jak tektura, ale tak czy siak... Ostatnia rzecz, na jaką mam teraz ochotę, to jedzenie. Gdy tylko mama odwróciła głowę, wyplułam krakersy.

Teraz jednak patrzy na mnie z wyrazem twarzy, który znam aż za dobrze, jest zmartwiona i zdeterminowana i wiem, że będzie walczyć. Wzdycham głośno, kładę laptop na poduszce i idę za mamą do kuchni, gdzie zebrała się już cała rodzina.

Mama szybko zagania nas do stołu.

– Siadajcie, siadajcie. Za minutę przyjdę z talerzami. Chłopcy, pomóżcie mi, dobrze?

Pomagają, a tata obejmuje ręką moje ramiona i przyciąga mnie do swego boku.

Całuje mnie w skroń.

– Jak się dziś czujesz, konusie?

– Jakoś się trzymam – kłamię.

Prawda jest taka, że dzwoniłam na pocztę głosową Willa więcej razy, niż jestem w stanie policzyć, tylko po to, by usłyszeć jego głos, chociaż bardziej mnie on dobija, niż pociesza. I nie mogę przestać myśleć o tym, czego dowiedziałam się od Corbana podczas uroczystości – nie tyle chodzi o pracę Willa w Seattle, co o przyjaźń między tymi dwoma mężczyznami. Dlaczego Will miałby to przede mną ukrywać? Dave ma rację; Will był bardziej samotnikiem niż kumplem, ale znał wystarczająco dużo ludzi, aby na swoje trzydzieste urodziny zapełnić stół w KR Steakbar.

Pewnie, część z nich była po prostu mężami moich przyjaciółek, ale i tak... Chodzi mi o to, że mówił o tych mężczyznach i zapraszał ich na różne imprezy, tak jakby się kumplowali.

Dlaczego więc milczał na temat Corbana? Czy martwił się, że z jakichś względów go nie polubię? A może przyjaźń Corbana znaczyła dla niego tak mało, że nawet nie pomyślał o tym, żeby mi o niej powiedzieć? Nie, to nie może być prawda. Musieli przyjaźnić się naprawdę, inaczej Will nie powiedziałaby mu takich osobistych rzeczy – a przecież powiedzenie o nich nawet własnej żonie zajęło mu całe wieki. Próbuję połączyć wszystkie informacje, jakie mam – o pracy, przyjaźni, Seattle – ale jestem zbyt wyczerpana emocjonalnie. To nie ma żadnego sensu.

Patrzę na miejsce po drugiej stronie stołu, w którym zawsze siadał Will. W miejscu, w którym stałyby talerz, ktoś – pewnie mama – postawił wiklinowy koszyk z kartkami z wyrazami współczucia. Przychodzą już od kilku dni, kwieciste kartki z jeszcze bardziej kwiecistymi wiadomościami, a ja nie jestem w stanie zmusić się do przeczytania którejkolwiek z nich. Wybieram krzesło na przeciwległym końcu i siadam.

– Czy to ci odpowiada? – pyta ojciec i dopiero, gdy nikt się nie odzywa, uświadamiam sobie, że tata mówi do mnie.

Spoglądam na niego i widzę, że mnie obserwuje.

– Czy co mi odpowiada?

– Żebyśmy zostali aż do następnego weekendu. – Kiwa głową w stronę Dave’a i Jamesa, którzy stawiają na stole parujące talerze, i na krzątającą się w kuchni mamę. – Wszyscy załatwiliśmy to sobie w pracy, tak więc możemy pomóc ci przetrwać ten pierwszy tydzień. A potem będziemy się zmieniać tak długo, jak długo będziesz potrzebować towarzystwa.

– Nie mogę was o to prosić.

– Nie bądź głupiutka – mówi mama. W jej głosie jest mieszanina najwyższej władzy i matczynej troski. – Zostajemy i kropka.

Stawia przede mną talerz z taką ilością jedzenia, że zwisa za krawędź. Można by tym nakarmić trzy osoby. Uśmiecha się do mnie zachęcająco, a ja staram się nie skrzywić, gdy do moich nozdrzy dociera zapach mięsa, ziemniaków i masła. Ale ona cały

czas stoi obok mnie. Przełykam więc mdłości i zaczynam dziobać jedzenie widelcem.

– Co to za mężczyzna, z którym rozmawiałś podczas nabożeństwa? Ciemnoskóry, wyglądający jak bramkarz – pyta Dave, gdy podnoszę jedzenie do ust.

Mam ochotę go pocałować. Pewnie, że pyta o to z ciekawości, ale jego głównym celem jest odwrócenie uwagi naszej mamy ode mnie. Jego strategia działa. Gdy tylko mama patrzy na niego pytająco, ja zrzucam jedzenie z talerza.

– Nazywa się Corban. Jest przyjacielem Willa z siłowni. Byli ze sobą dość blisko. Najwyraźniej.

Dave jako jedyny wyłapuje znaczenie kryjące się za ostatnim słowem.

– Wcześniej o tym nie wiedziałś?

– Nie. Poinformował mnie również, że Willowi zaproponowano nową pracę u jednego z największych konkurentów AppSec. – Przerywam, czuję na piersi znajomy ciężar. – W biurze w Seattle.

Wszystkie głowy przy stole odwracają się w moim kierunku.

– Chcieliście się wyprowadzić? – pyta mama, opadając na krzesło naprzeciwko mnie. – Kiedy?

– Nigdy. Ja i Will nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Dowiedziałam się o tym owego popołudnia, od Corbana.

– Will nie powiedział ci, że dostał nową pracę? – W głosie Dave’a kryło się warknięcie, które słyszałam tyle razy. Ale jeszcze nigdy nie było ono skierowane do Willa.

W moim głosie też je słycać.

– Nie wiem, czy ta oferta została kiedykolwiek sfinalizowana. Teraz, gdy o tym myślę, jestem niemal pewna, że to dlatego mi o tym nie powiedział. Miał świadomość, że przeprowadzka na drugi koniec kraju byłaby strasznie trudna, i nie chciał rozpoczynać ze mną dyskusji, dopóki nie był pewien, że dostał tę pracę. Chodzi o to, że to przez tę pracę mógł być w tym samolocie. I miał powód, żeby nic mi o tym nie mówić. Ta praca była jego małym sekretem.

Dave i James wymieniają spojrzenia.

– Czy ktoś mógłby mi wyjaśnić, o czym ona mówi? – pyta tata

z drugiego końca stołu, rozglądając się po nas wszystkich po kolei, a potem wracając wzrokiem do mnie.

Szybko opowiadam rodzicom o poszukiwaniach w garderobie Willa i o tym, że nie znaleźliśmy zupełnie nic.

– Ale jeśli mam rację i Will rzeczywiście nie powiedział mi o swojej nowej pracy, to by wyjaśniało, dlaczego nic nie było w jego kieszeniach. Nie chciał, żebym znalazła jakąś wizytówkę czy paragon i zastanawiała się, co to jest.

Mama kręci głową.

– Mimo to jestem zaskoczona, że Will mógłby być tak podstępny. Dlaczego miałby starać się o nową pracę i nie wspomnieć ci o tym ani słowa?

– Nie starał się. Założę się, że dostał propozycję przez LinkedIn albo zgłosił się do niego łowca głów. Tak czy siak, kierowniczką działu kadr w ESP z pewnością mi o tym opowie. Zadzwoń do niej jutro z samego rana.

– Po co? – pyta mama. Patrzę na nią zdumiona, więc szybko wyjaśnia: – Chodzi mi o to, że odpowiedź nic nie zmieni. Są teraz ważniejsze sprawy, którymi powinnaś się zająć.

– Twoja matka ma rację – mówi tata. – Trzeba ułożyć plan pogrzebu i wykonać tonę papierkowej roboty. Jeśli weźmiemy się za to osobiście, banki prawdopodobnie będą pracowały szybciej.

– Nie, Stephenie, miałam na myśli żałobę. Iris musi się skoncentrować na procesie żałoby. – Odwraca się do mnie i wyciąga nad stołem rękę, żeby wziąć moją dłoń. – Kochanie, nowa praca czy nie, Will wsiadł do tego samolotu. Nie ma go. I chociaż jest to straszne, musisz teraz przepracować swój ból, nie odsuwać tego na potem. Wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek inny.

Jej słowa sprawiają, że czuję pieczenie w kącikach oczu. Wiem, że pod względem logicznym są prawdą. Wiem również, że prześladowają mnie kłamstwa Willa. Czuję ich kwaśny oddech na plecach i ich oślizgłe łapska na łopatkach, popychają mnie do przodu, każą szukać przyczyn. Może mama ma rację. Może moja potrzeba poznania ostatnich chwil życia Willa jest mechanizmem obronnym, który ma na celu opóźnić proces radzenia sobie

z bólem. Ale tak czy siak... Nie dam racy pójść do przodu, jeśli nie wypełnię największej luki.

Czego jeszcze nie wiem o swoim mężu? Czego jeszcze mi nie powiedział? Ile jeszcze razy mnie okłamał?

Mama ściska moją dłoń.

– Skarbie, po prostu się o ciebie martwię. To wszystko.

– Dziękci. – Pod wpływem jej troski pojawia się kolejna fala łez, tyle że tym razem nie daję rady jej powstrzymać. – Ja też trochę się o siebie martwię.

Później tego wieczoru, po posprzątaniu kuchni i po tym, jak mama i tata poszli na górę spać, zanoszę mojego laptopa na kanapę i włączam profil Willa na Facebooku.

Mój mąż nie był wielkim fanem mediów społecznościowych.

– Po co mi to? – zwykł mawiać. – To miejsce, w którym ludzie tylko się chwala i kłamią na temat swojego życia. Miałbym uwierzyć, że największy dupek z liceum spotyka się teraz z supermodelką? Sorki, ale to kompletna bzdura. – Ale jak prawie każdy na tej planecie, Will miał swój profil na Facebooku – po prostu przeważnie go ignorował.

Dave siada obok mnie na kanapie i kładzie bose stopy na stoliku kawowym, odsuwając dużym palcem kompozycję kwiatową. Teraz już wiem, dlaczego tak wiele nekrologów zawiera słowa „zamiast kwiatów...” Uroczyste kompozycje kwiatowe są rozstawione niemal na każdej płaskiej powierzchni, wylewają się na blat stołu i półkę nad kominkiem, zatykają powietrze swoim ciężkim zapachem.

– Może powinniśmy przekazać gdzieś niektóre z nich. Co sądzisz?

Patrzę na niego.

– Nie ma sprawy. Za rogiem jest kościół, a w promieniu pięciu kilometrów znajduje się kilka schronisk dla bezdomnych.

– To świetnie. James mi pomoże.

– W czym? – pyta James, który wchodzi do pokoju, niosąc butelkę i trzy kieliszki. W jednej dłoni trzyma je za nóżki, a drugą

z precyzją chirurga rozlewa alkohol, nie roniąc ani kropelki. Dave mówi mu o kwiatach i uzgadniają, że rano rozwiozą pierwszą partię.

– Dzięki – mówię, biorąc od Dave’a jeden z kieliszków. Drugą ręką wskazuję na ekran laptopa, na morze zalewających jego profil kondolencji od zszokowanych osób.

– Od kiedy to ludzie wykorzystują Facebooka do komunikacji ze zmarłymi? To mi się podoba. „Will, stary, przykro mi, że odszedłeś. RIP, stary”. Oni naprawdę myślą, że on to przeczyta? Nigdy nie sprawdzał swojego profilu, gdy żył, a tym bardziej... – Nie jestem w stanie dokończyć, więc piję wino.

Dave kładzie dłoń na moim nadgarstku.

– Kochanie, przestań się dręczyć i wyłącz tego laptopa.

– Nie mogę. Szukam wskazówek.

Otwieram listę znajomych Willa. Ma ich siedemdziesięciu ośmiu, ponad sześćdziesięciu to wspólni znajomi razem ze mną. Przewijam na dół, do przyjaciół, których nie mamy wspólnych, i znajduję kilku kolegów, byłego mojej przyjaciółki, sąsiada z ulicy, baristę ze znajdującej się w pobliżu kawiarni.

Dave pochyla się i czyta ponad moim ramieniem.

– Inspektorze Gadżecie, jakich wskazówek szukasz?

– Takich, które mówiłyby mi coś o Corbanie Hayesie. – Dave marszczy czoło. – Wiesz. O tym bankierze osiłku, którego spotkałam dzisiaj na uroczystościach. Tego, który opowiedział mi tyle rzeczy o Willu.

– Z ciekawości czy jesteś podejrzliwa? – pyta James.

Zastanawiam się chwilę, by rozważyć odpowiedź, ale nie trwa to zbyt długo. Tak, kieruje mną ciekawość, ale po spotkaniu z Corbanem nie potrafię pozbyć się wrażenia, że nie wiem jeszcze wielu rzeczy. Jeśli istnieje więcej ludzi takich jak on, to chcę z nimi porozmawiać.

– Jedno i drugie.

Ale tutaj nic nie znajdę. Will nienawidził Facebooka, poza tym nie ma tutaj nikogo, kogo bym nie rozpoznawała. Sfrustrowana zamykam laptopa.

James opiera się na kanapie, stawia kieliszek z winem na swym

płaskim brzuchu.

– Sprawdziłaś karty?

– Jakie karty?

Machnął ręką w stronę kompozycji kwiatowej na stole i wazonów stojących niczym żołnierze na kuchennym barze.

– Musiałaś dostać kwiaty od wszystkich znajomych. Może dostałaś coś od kogoś, kogo nie znasz?

Oczywiście, karty. Te, które mama ułożyła w koszyku na miejscu talerza Willa, te, których nie byłam w stanie przeczytać. Zrywam się z kanapy i zdejmuję koszyk ze stołu.

James dolewa wina, pijemy i przeglądamy kondolencje, zatrzymujemy się tylko, by pokazać reszcie jakąś wyjątkowo brzydką kartę albo oklepany tekst – a jest tego mnóstwo. Jest tutaj blisko sto kart, słodkich wiadomości i religijnych przesłań od kolegów moich i Willa, starych przyjaciół i sąsiadów, ciotek i kuzynów, kolegów ze studiów, ludzi, od których nie miałam wieści od wielu lat.

Dave podnosi liścik pokryty zieloną brokatową czcionką.

– Kto to Terry i Melinda Phillips?

– Albo Melinda Leigh – odpowiadam. – Nasza kuzynka.

Otwiera szeroko oczy, a potem szeroko się uśmiecha.

– Ta, która przyszła na twój ślub w sukience jak na bal z okazji zakończenia szkoły?

Uśmiecham się na wspomnienie miny mojego brata, gdy Melinda weszła po schodach kościoła w falbaniastej niebieskiej sukience.

– Terry jest jej trzecim mężem. A może czwartym? Straciłam rachubę. I to nie była sukienka na bal.

– Oczywiście, że tak, i była ohydna, nie wspominając już o tym, że dwa rozmiary za mała. – Zaczyna opisywać sukienkę Jamesowi, koronkę, falbany i szwy, które się rozłaziły, ja natomiast wracam do stosu kart.

Kilka chwil później coś znajduję – nazwę, której nigdy wcześniej nie słyszałam, napisaną pod pospolitym tekstem na karcie z kwaciarni. Odwracam się do Jamesa.

– Ty chodziłeś do Hancock? – Patrzy na mnie zdumiony. – Na tej

karcie napisano: „Najgłębsze wyrazy współczucia z powodu Pani straty, Hancock High School, klasa z rocznika 99”. Ty tam chodziłeś?

Kręci głową.

– Nigdy nie słyszałem o tym miejscu. Może to Alma Mater Willa?

– Nie, on chodził do Central. Wiem o tym, bo wyciągnęłam to z niego podczas tej niespodziankowej podróży do Memphis, którą zaplanowałam w naszą pierwszą rocznicę. Pamiętasz?

– Podróż, która nigdy się nie odbyła. – Dave wie, że ja i Will tak naprawdę nigdy nie dotarliśmy do Memphis, i wie, dlaczego. A teraz po wyrazie jego twarzy widzę, że on i ja myślimy o tym samym. Kto chodził do Hancock?

A potem jego oczy robią się wielkie i zrywa się z kanapy.

– Zaraz wracam.

Biegnie korytarzem i na górę, jego kroki dudnią nas naszymi głowami. James odstawia swój kieliszek na stolik, wyjmuje telefon i zaczyna pisać coś kciukami.

Gdy kilka chwil później Dave wraca, trzyma w pięści koszulkę – rozpoznaję ją, wisiała w garderobie Willa. To jego zniszczona i znoszona koszulka robocza, którą nosi do pracy w ogrodzie i malowania, bardzo stara, poplamiona i z wystrzępionymi brzegami. Litery są wyblakłe, wiem jednak, co tam jest napisane, jeszcze zanim mój brat ją podnosi. Hancock Wildcats. Zawsze myślałam, że to tylko zwykła koszulka kupiona w Old Navy, teraz jednak wszystko zaczyna do mnie docierać.

Dlaczego Will powiedział mi, że chodził do Central, skoro ukończył Hancock?

– Nigdy nie sprawdzałaś w Google nazwiska swojego męża, prawda? – pyta Dave.

– Oczywiście, że nie. A wy sprawdzaliście?

– Tak – odpowiedzieli jednocześnie.

– Może ma to coś wspólnego ze śmiercią jego matki – mówię, cały czas starając się bronić Willa. – Wiem, że musiał się przeprowadzić. Może zmienił też szkołę.

– Ee, posłuchajcie...? Mówiłaś, że Will jest z Memphis? – pyta

James, a ja kiwam głową, ale Dave bardziej przejmuję się trzymaną przeze mnie kartą.

– Czy tam jest jakieś nazwisko? Albo nazwa kwaciarni?

Sprawdzam raz jeszcze, kręcę głową.

– FTD.com. To chyba jakiś adres mejlowy. Możemy sprawdzić w jakimś zamówieniu.

James szuka ponownie.

– Posłuchajcie. Ja...

– Albo po prostu do nich zadzwonimy – mówi Dave. – Może powiemy, że musimy skontaktować się z nadawcą, żeby wysłać mu kartę z podziękowaniami? Nie wiem, czy podadzą nam te dane, ale warto spróbować.

– Możemy również uderzyć do szkoły. Może dadzą nam kontakt do kogoś, kto był z rocznika 99.

– Iris. – Moje imię brzmi jak pocisk i gdyby natarczywy ton głosu Jamesa nie zwrócił mojej uwagi, z pewnością zwróciłby ją ekran przed moją twarzą. – Popatrz.

Gapię się na stronę Google, na wyniki wyszukiwania hasła „Hancock High School”. Na samej górze, w pierwszej linijce, znajduje się adres. Czuję, jak moją pierś zalewa chłód, który obejmuje moje ręce i nogi tak jak na początku grypy. *600 Twenty-Third Avenue, Seattle, Waszyngton.*

Podaję telefon mojemu bratu i sięgam po laptopa.

– Jeśli twoja propozycja nadal jest aktualna, to rezerwuję lot na jutro rano.

Rozdział dwunasty

Cudem przesypiam cały pięciogodzinny lot. Od chwili, w której wylatujemy w Atlantycie, aż do lądowania w Seattle. Moje ciało wreszcie pokonuje rozum i poddaje się wyczerpaniu. Przy zejściu wpadamy w wielką dziurę powietrzną i otwieram szeroko oczy – nie ze strachu, lecz ze świadomości. Czy to właśnie to najpierw poczuł Will? Wszyscy wokół mnie, łącznie z Dave’em, mocno łapią podłokietniki. Wiem, że myślą o locie 23, że obliczają, jakie są szanse na to, że w ciągu tygodnia spadnie drugi samolot lecący do Seattle, a ja zaczynam zastanawiać się nad swoim spokojem. Dlaczego nie jestem przerażona tak jak inni? Czy moje zmysły są przytępione przez żalobę? Samolot rzuca się i piszczy, a potem się uspokaja, a pasażerowie opadają na swoje siedzenia.

Dave sięga nade mną, żeby podnieść roletę na oknie. Jasne światło pali mi oczy.

– Witamy z powrotem. Już się bałem, że będę musiał cię nieść.

– Nie byłby to pierwszy raz – mówię, myśląc o drugiej klasie liceum, gdy Joey Mackintosh pokazywał mi, jak wlewać w siebie piwo lejkiem, aż wreszcie straciłam przytomność na trawniku. Dave przerzucił mnie wtedy przez ramię i zaniósł do łóżka, zanim rodzice wrócili do domu z kina. Całuję go w ramię.

– Dziękuję, że jesteś tutaj ze mną. Nie wyobrażam sobie, że robię to sama.

– Bardzo proszę. Tak jakbym ci na to pozwolił. – Szybko ściska moją dłoń, a potem wkłada rękę do kieszeni w swoim fotelu i rzuca mi torebkę Chex Mix, kupioną w terminalu w Atlantycie. – Proszę. Mama mi powiedziała, że jeśli przywiozę cię jeszcze chudsza, dostanę szlaban.

Uśmiecham się, choć jestem pewna, że mówi poważnie. Mama z pewnością byłaby w stanie powiedzieć mu coś takiego, a ja naprawdę schudłam. Po sześciu dniach prawie bez jedzenia moje spodnie wiszą mi luźno na biodrach, mój brzuch jest napięty

i płaski, a tyłek – który nigdy nie był tłusty, ale też z pewnością nie był chudy – wygląda jak skurczona wersja siebie sprzed kilku tygodni. Zostanie wdową jest dobre na odchudzanie.

Otwieram torebkę i gryzę jednego krakersika, a gdy mój żołądek nie buntuje się pod wpływem słonego smaku, wyglądam przez okno i po raz pierwszy spoglądam na Seattle. Nie bez powodu nazywają je Szmaragdowym Miastem. Kilometry trawy, liściastych lasów i jezior koloru awokado, sięgających do omszałych dolin niczym długie palce. A wszystko jeszcze bardziej zielone pod wpływem owianego złą sławą deszczu. Chmury nad nami wiszą nisko i z oddali wyglądają, jakby były z ołowiu.

Piętnaście minut później znajdujemy się już na lotnisku w Seattle z naszymi bagażami podręcznymi i jedziemy autobusem wahadłowym do wypożyczalni samochodów Hertz. Ponieważ nie do końca wiemy, czego szukamy i ile czasu będziemy potrzebować, by to znaleźć, ja i Dave postanowiliśmy zdać się na ślepy los. Bez własnego samochodu, bez rezerwacji w hotelu, bez planu – a nawet bez biletu powrotnego. Na sam pomysł takiej wycieczki głowa Willa z pewnością by eksplodowała, ale na podróżniczych stronach internetowych znaleźliśmy zapewnienie, że z powodu lodowatych wiatrów i ciągłych opadów deszczu w kwietniu turyści trzymają się od tego miasta z daleka i wszędzie będzie pełno pokoi hotelowych.

Wsiadamy do wypożyczonego samochodu, Dave włącza silnik i wciska gaz, aż zaczyna działać ogrzewanie. Mieszkańcy Atlanty nie są stworzeni do funkcjonowania w takim chłdzie. Takim, który kąsa skórę i dociera aż do kości, sprawiając, że czujesz się mokry, chociaż wcale mokry nie jesteś. Trzęsę się na fotelu pasażera, a Dave walczy z radiem. Włącza stację country, taką z Williem Nelsonem i mnóstwem brzdąkania, a ja szukam na iPhone wskazówek dojazdu.

– Musimy dojechać do drogi 1-5, a potem ruszyć na północ. – Gdy Dave nie wciska pedału gazu, patrzę na niego i widzę, że mnie obserwuje. – Co?

– Ja tylko... – Wzdycha i patrzy mi w oczy. – Jesteś absolutnie pewna, że chcesz to zrobić?

– Teraz mnie o to pytasz?

Podnosi obie ręce, a potem opuszcza je na kierownicę.

– Przyznaję, że trochę późno, ale tak. Teraz cię pytam, kiedy jest jeszcze szansa się wycofać. Pojechać do domu i zapomnieć o tym, co jest tutaj w Seattle, zanim zepsuje ci to wspomnienia o mężu. Bo wiesz, z pewnością tak się stanie. Zwłaszcza jeśli to, co znajdziemy, będzie złe. Bierzesz pod uwagę fakt, że możemy znaleźć coś złego?

– Oczywiście. Tak naprawdę to to zakładam. Nikt nie pisze swojego życia na nowo i nie ukrywa starego, jeśli to stare było czyste jak lza.

Patrzy na mnie i widzę, że myśli dokładnie tak samo.

– Dobrze, w takim razie spytam tak – a co, jeśli to, co znajdziemy, okaże się nie tylko złe? Jeśli będzie okropne? Potworne? A Will nie będzie mógł się bronić ani wyjaśnić? Nadal będziesz tego chciała?

Wyglądam na parking i patrzę, jak jet unosi się z rykiem w powietrzu. Zastanawiam się nad pytaniem brata. Dave ma rację; nadal mogę się wycofać. Mogę wysiąść z tego samochodu, wrócić na lotnisko i spróbować zapomnieć o przeszłości Willa w Seattle. Mogę skoncentrować się wyłącznie na dobrych wspomnieniach o moim mężu – że nikt nie potrafił rozśmieszyć mnie tak jak on, że w niedzielę rano zawsze robiliśmy sobie kawę do łóżka i że to miejsce za jego lewym uchem zostało stworzone specjalnie dla mojego nosa – i zignorować resztę. Te aspekty jego życia, o których kłamał. Te części jego, które ukrywał. Mogłabym wrócić do domu i rozpocząć żałobę po mężu.

Ale jak można być w żałobie po kimś, kogo tak naprawdę się nie znało?

Myślę o tych najpotworniejszych odkryciach, które możemy zrobić. Że w Seattle Will ma drugi dom, drugą rodzinę, ładną żonę i dwójkę uroczych małych dzieci, mających jego kwadratową szczękę i niebieskie oczy. Że jest poszukiwanym przestępcą, seryjnym zabójcą albo gwałcicielem, albo terrorystą z długą listą zabitych osób. Każda teoria, jaka przychodzi mi do głowy, jest absurdalna. Jeśli ktoś chce ukryć się przed żoną albo

wymiarem sprawiedliwości, nie zakłada konta na Facebooku. To po co te wszystkie kłamstwa? Nie mam pojęcia. Wiem jednak, że muszę się tego dowiedzieć.

Odwracam się na fotelu i patrzę Dave'owi w twarz.

– Tak. Nadal chcę wiedzieć.

– Jesteś pewna?

Kiwam głową natychmiast i ze zdecydowaniem.

– Absolutnie.

Bez słowa wrzuca bieg, wciska pedał gazu i odjeżdżamy.

Kiedy jesteśmy już na autostradzie, wybieram numer kierowniczkę działu kadr w ESP i włączam tryb głośnomówiący.

– Dzień dobry, mówi Shefali Majumdar.

Pomijając nazwisko, brzmi jak rodowita Amerykanka. Jej głos jest gładki i przyjemny, bez śladu żadnego akcentu, chociaż powód, dla którego dzwonię, bardzo ją zaskakuje.

– Czyli ogólnie rzecz ujmując... – mówi, a w jej głosie pojawia się nowe wahanie. – Pyta mnie pani, czy zatrudniłam pani męża?

– Właśnie.

– Który znajdował się na pokładzie feralnego lotu w zeszłym tygodniu.

– Niestety tak.

– I nigdy pani nie powiedział, że idzie na rozmowę kwalifikacyjną i że szuka nowej pracy?

– Właśnie. Powiedział przyjacielowi, że otrzymał propozycję pracy w ESP, a ten przyjaciel powiedział o tym mi.

Majumdar milczy, a Dave i ja wymieniamy zmartwione spojrzenia. Opieram się na fotelu pasażera i daję kobiecie chwilę na rozważenie mojej prośby. Serce wali mi w piersi. Jestem gotowa błagać, już dobieram w myślach odpowiednie słowa, gdy zaczyna mówić.

– Każda kiedykolwiek napisana instrukcja dla działu HR mówi, że nie mogę tego pani zdradzić. Że osoby starające się o każde stanowisko mają niekwestionowane prawo do prywatności, niezależnie od tego, czy je zatrudnię, czy nie. Jeśli pani mąż

z jakichś względów nie powiedział pani o tym, że szuka pracy, to pod względem etycznym nie mogę pani ani potwierdzić, ani zaprzeczyć, czy rzeczywiście to zrobił. – Rozczarowanie trafia mnie prosto w brzuch. Otwieram usta, żeby się kłócić, ale ledwo wydaję z siebie jakiś odgłos, gdy szefowa działu kadr mi przerywa. – Mogę pani natomiast powiedzieć, że firma ESP utworzyła ostatnie stanowisko seniora osiem miesięcy temu, i chodziło o dział marketingu. Wszystkie techniczne stanowiska obsadziliśmy w zeszłym roku i na każde z nich pani mąż miałby zbyt duże kwalifikacje.

Dave patrzy na mnie wielkimi oczami. Ja swoje zamykam, bo jej słowa uderzają we mnie niczym lokomotywa.

– Czyli go pani nie zatrudniła.

Jej jedyną odpowiedzią jest cisza.

– Czy ostatnio rozmawiała z nim pani na temat pracy?

Majumdar waha się, ale tylko na sekundę lub dwie.

– Pani Griffith, jeszcze piętnaście minut temu nie miałam pojęcia o jego istnieniu.

Resztę drogi ja i Dave spędzamy, kłócąc się o to, co oznaczają słowa Shefali Majumdar.

– Dlaczego Will miałby kłamać? – pyta Dave już chyba po raz piąty. – Dlaczego u diabła miałby powiedzieć Corbanowi o pracy, o którą nawet się nie starał? O pracy, która nawet nie istniała?

Udzielam mu takiej samej odpowiedzi, jak przed chwilą.

– Może to nie Will kłamał. Może to Corban.

– Przecież to nie ma sensu. Co Corban miałby osiągnąć, okłamując cię?

– Nie wiem. – Słowa te zabrzmiały ostrzej, niż planowałam, ponieważ tę samą rozmowę ciągniemy już od piętnastu minut. Nie mam odpowiedzi na niekończące się pytania. Nie wiem, nie rozumiem i nie mogę wymyślić żadnego powodu, dla którego którykolwiek z nich miałby kłamać.

Jestem gotowa na kolejną rundę, gdy pika telefon Dave’a, dając znak, że dojechaliśmy do celu. Dave wciska hamulec na środku

ulicy i pokazuje mi coś za oknem.

Hancock High School to ogromny kompleks z cegły w centrum Seattle. Jest to dzielnica o wielu stylach architektury – z jednej strony budynki mieszkalne, z drugiej wielkie odnowione domy w stylu wiktoriańskim, a obok sklepiki spożywcze. Parkujemy na ulicy przed głównym wejściem i wchodzimy po cementowych schodach.

Tak jak w przypadku każdej innej szkoły w tym kraju, Hancock musiała zareagować na coraz częstsze strzelaniny i ataki nożowników, wprowadzając drastyczne protokoły bezpieczeństwa – zwłaszcza w takim sąsiedztwie. Protokoły te obejmują zamknięte drzwi, kamerę szumiącą nad naszymi głowami i strażnika w mundurze, patrzącego na nas z góry. Macham do niego i nas wpuszcza.

– W czym mogę państwu pomóc? – pyta i staje tak, żebyśmy widzieli, że jest uzbrojony. Pokazuję mu mój identyfikator Lake Forrest, opatrzony emblematem szkoły i zawierający moje kolorowe zdjęcie. Obok napisano, że pracuję jako szkolny psycholog. Lake Forrest jest na tyle małą szkołą, że pracownicy nie są zobowiązani do noszenia identyfikatorów na kampusie, ale nagle się cieszę, że noszę swój w torebce.

– Nazywam się Iris Griffith i jestem członkinią Lake Forrest Academy w Atlancie w Georgii. Szukam informacji o jednym z waszych absolwentów i mam nadzieję, że będę mogła skorzystać z waszej biblioteki. Zakładam, że to tam znajdę kopie wszystkich waszych szkolnych kronik?

Mężczyzna pokazuje nam, żebyśmy przeszli do głównego biurka w recepcji.

– Najpierw będą państwo potrzebować wejściówek dla gości. Biblioteka znajduje się na końcu korytarza po lewej stronie. Nie da się jej przegapić.

Dziękuję mu i kilka minut później ja i Dave dzwoniczmy do biurka przy informacji w bibliotece. Siedząca przy nim kobieta jest ledwo widoczna zza stosów książek i dokumentów, wieży brązowych pudełek i monitora komputera tak starego, że powinien już trafić do muzeum.

Nie wygląda też jak bibliotekarka. Jej włosy to burza loków jak korkociągi, ma na sobie skórzane ubranie i tatuaże i dobrze, że w tej szkole nie ma wykrywaczy metalu, bo z tymi kolczykami z pewnością nie zostałyby wpuszczona do środka. Ma ich pełno w płatkach uszu, nosie i brwiach, a gdy się do nas uśmiecha, spod górnej wargi wyglądają dwie malutkie srebrne kulki.

– Nie jesteście uczniami – mówi, przyglądając nam się. – Niech no zgadnę. Dziennikarze? Rekruterzy ze studiów? Aktywiści z sąsiedztwa?

Błyskam identyfikatorem Lake Forrest, zaczynam swoją historię, ale ona macha ręką, zanim jeszcze kończę pierwsze zdanie.

– Szlag, a ja naprawdę miałam nadzieję, że jesteście rekruterami. Na studia dostaje się sześćdziesiąt dwa procent naszych uczniów i jeśli nie podniesiemy średniej o kolejne dziesięć procent, to następne lato spędzę na koszeniu trawników. No dobrze, co mogę dla państwa zrobić?

– Szukamy kopii kroniki szkolnej rocznika 1999, może rok albo dwa lata wcześniej.

– Kogo szukacie?

– Mojego męża. – Przełykam piekący ból, który pewnie roztopia moje rysy twarzy. – Nazywał się Will Griffith.

Unosi jedną brew, gdy słyszy czas przeszły, ale nie pyta o szczegóły. Wstaje, macha ręką, że mamy za nią iść, a potem prowadzi nas do otwartej, jasnej czytelnicy.

– Przy okazji, mam na imię India.

– Jestem Iris, a to jest mój brat Dave. Dzięki za pomoc, Indio.

– Nie ma sprawy. – Idzie szybko w motocyklowych butach, odgłos jej kroków jest tłumiony przez zniszczony dywan. India cały czas mówi przez ramię. – Hancock otworzyła się w latach dwudziestych. Chyba ciężko było jej się zebrać. Wtedy był to tylko budynek z dwunastoma salami i paroma setkami uczniów, większość z nich była narodowości żydowskiej, japońskiej albo włoskiej. – Wskazuje ścianę pełną oprawionych fotografii, dziesiątki kolejnych klas, morze brązowych i opalonych twarzy, wśród których od czasu do czasu pojawiała się jedna jaśniejsza.

Zatrzymuję się i szukam rocznika 99. Zdjęcie wisi zbyt wysoko, żebym była w stanie odróżnić Willa, ale pod względem rasy cały czas jest więcej ciemnoskórych uczniów niż białych.

India zatrzymuje się przy półce pełnej ksiąg w twardej, burgundowej oprawie. Wiele z nich jest posklejanych taśmą klejącą. – Jakiego rocznika szukacie?

– Klasy, która ukończyła szkołę w 1999 roku.

– A, prawda. Tego roku dostaliśmy nasze pierwsze wyróżnienie, nasza drużyna futbolowa została mistrzem stanu, a podczas meczu koszykówki na środku sali sportowej pękła rura. – Unosimy brwi, a ona wzrusza ramionami. – Jestem nieoficjalnym historykiem tej szkoły. To ma chyba coś wspólnego z prowadzeniem biblioteki. W każdym razie... – Przejeżdża pomalowanym na czarno paznokciem po grzbietach ksiąg, aż wreszcie znajduje tę właściwą, wyjmuje ją i mi podaje. – Proszę. Tam w rogu jest kilka stołów. Nie śpieszcie się. Ja będę z przodu.

Dave jej dziękuje, a ja biorę księgę w drżące ręce i zanoszę ją do stolika na końcu biblioteki. Projekt księgi jest standardowy jak na lata dziewięćdziesiąte. Grube złote litery i kontury bordowego żbika sprawiają, że krakersy błyskawicznie cofają mi się do gardła. Przesuwam księgę w stronę brata.

– Nie mogę. Ty to zrób. – Siedzimy, przyglądam się graffiti wykonanemu długopisem na stole, podczas gdy Dave przegląda szkolną kronikę. Zatrzymuje się na grupie seniorów, kolorowym zdjęciu dzieciaków w burgundowych czapkach i szatach, którym wzdłuż uśmiechniętych policzków zwisają złote pompony. Tylko Will, jedyny biały na tej stronie, się nie uśmiecha.

– Iris, przykro mi. To on. – Dave odwraca księgę, żebym mogła się jej przyjrzeć. – William Matthew Griffith.

W porządku, to Will. Ma jaśniejsze włosy i szczuplejszą twarz, ale jego oczy znam tak dobrze jak swoje. Zobaczenie go tutaj – w księdze szkoły w Seattle – jest dla mnie niczym cios w trzewia.

Przyciskam dłoń do brzucha, w którym mi burczy, i próbuję przeanalizować to, co wiem. – Dobrze, czyli to, że dorastał w Memphis, ewidentnie było kłamstwem.

– Tego nie wiemy. Być może przeprowadził się tutaj dopiero

później, gdy poszedł do późniejszej klasy – mówi Dave, bawiąc się w adwokata diabła. – Poczekaj, sprawdzę wcześniejsze lata. – Zrywa się z krzesła i wraca do biblioteki.

Ale zdjęcia Willa znajdują się we wszystkich trzech księgach. Jeszcze nigdy nie widziałam, by patrzył tak wrogo w aparat – nie był tak zły nawet wtedy, gdy nasz lot powrotny z Cancún został opóźniony pięć razy w ciągu dwunastu godzin.

Dave kładzie rękę na oparciu mojego krzesła i pochyla się, by spojrzeć dokładniej na zdjęcia.

– Dlaczego on wygląda na takiego złego?

– Bo właśnie taki wtedy był. Jego tata nie żył, a mama była chora. Zmarła, gdy chodził do jednej z młodszych klas. Musiał chodzić do szkoły, opiekować się matką, pracować na dwa etaty, prowadzić dom i płacić wszystkie rachunki. – Gdy wypowiadam te słowa, dociera do mnie, że to również może być kłamstwo. – Przynajmniej tak właśnie twierdził.

Dave opada na krzesło i sięga po księgę z rocznika 1999, tę, w której Will był w najstarszej klasie. Puka białe miejsce pod jego zdjęciem.

– Wszyscy mają ulubione cytaty i listę zajęć pozaszkolnych, ale pod nazwiskiem Willa nic nie ma. Czy on nie był przypadkiem jakimś mistrzem wrestlingu? – Dave otwiera rocznik na stronie poświęconej wrestlingowi. Ani śladu Willa.

Nigdy nie przyszło mi do głowy zadawanie mu pytań, teraz jednak zaczynam się zastanawiać, kiedy on miałby jeszcze czas trenować wrestling? Przyciskam obie ręce do żołądka i przełykam falę mdłości. Kim jest mężczyzna, za którego wyszłam?

Dave opiera się na swoim krześle i przejeżdża dłonią po ciemnych włosach.

– Dobrze, zastanówmy się nad tym – rok 1999 wcale nie był tak dawno temu. Założę się, że nadal pracuje tutaj co najmniej jeden z jego nauczycieli. Może go zapamiętali.

– India może znać kogoś, kogo mogliśmy spytać. – Sięgam po torebkę i wstaję.

Dave zbiera księgi.

– Idź pierwsza. Ja je odłożę i pójde za tobą.

Znajduję ją przy biurku, układa zwrócone książki na wózek. Na dźwięk moich kroków podnosi wzrok.

– Znaleźliście to, czego szukaliście?

– W pewnym sensie. Zastanawiam się, czy nadal pracuje tutaj któryś z nauczycieli, którzy uczyli tutaj w 1999 roku.

– Jasne. Jest ich kilku. Chcesz sprawdzić, czy któryś z nich zapamiętał twojego męża?

Kiwam głową.

– No cóż. – Opiera się na wózku i przez chwilę myśli, a potem jej twarz się rozpromienia. – Jestem pewna, że trener baseballa ukończył Hancock w 1999 roku. Nie wiem, czy znał twojego męża, ale chyba najlepiej będzie zacząć właśnie od niego. – Zerka na zegarek i puka się palcem w brodę. – Macie jakąś godzinę, potem zacznie się trening. Co oznacza, że prawdopodobnie znajdziecie go w sali gimnastycznej.

Rozdział trzynasty

Znajdujemy mężczyznę odpowiadającego rysopisowi trenera Millera w ciemnym korytarzu na tyłach sali gimnastycznej Hancock, taszczącego metalowy kosz piłek do baseballa. Nad jego głową szumi i buczy pojedyncza jarzeniówka.

– Czy to pan jest trener Miller? – pytam, podchodząc na tyle blisko, że mogę poczuć woń jego wody kolońskiej. Facet dosłownie się w niej wykąpał, dominujący zapach piecze mnie w gardle, zwłaszcza że został połączony z innymi zapachami sali gimnastycznej – Bengaya i spoconych skarpet.

Mężczyzna patrzy w górę, jego oczy są ukryte pod daszkiem czapki Hancock High.

– Tak.

India nie żartowała, gdy powiedziała, że jest zbudowany jak zawodnik szarżujący w futbolu. Trener Miller to olbrzymi facet, ma z metr osiemdziesiąt wzrostu, grube kości i duże mięśnie pod obszernymi ubraniami, workowatymi dżinsami i polówką z długim rękawem. Zagląda do sali i wraca do nas dwie sekundy później z kolejnym koszem, tym razem pełnym rękawic.

– Bibliotekarka powiedziała nam, że ukończył pan Hancock w 1999 roku.

– Tak, to prawda. – Zamyka drzwi na klucz, a potem wrzuca go do tylnej kieszeni dżinsów. – A kto pyta?

– Ja jestem Iris, a to jest mój brat, Dave. Mamy nadzieję, że może nam pan powiedzieć, co pamięta pan na temat swojego byłego kolegi z klasy. Willa Griffitha.

– Nie. Nie znam go. – Schyla się i sięga po jeden z koszy.

Wyjmuję telefon z kieszeni i włączam zdjęcie przedstawiające mnie i Willa.

– To on. William Matthew Griffith. Rozpoznaje go pan?

Wzdycha głośno, patrzy na telefon, potem upuszcza kosz i patrzy jeszcze raz.

– On? To jest Billy Griffith.

Moje serce podskakuje.

– Pamięta go pan?

– Każdy, kto chodził wtedy do szkoły, pamięta Billy'ego Griffitha. – Przekrzywia głowę, a potem mruży oczy i robi podejrzliwą minę. – Może pani powtórzyć, kim pani jest?

– Iris Griffith. Jego żona.

Wydaje z siebie zaskoczone prychnięcie, na tyle ostre, by poruszyły się włoski na lewej stronie mojej twarzy.

– Nie ma szans.

– Słucham?

– Po prostu... – Przygląda mi się od stóp do głów, zatrzymując się na krągłościach w taki sposób, że z trudem to wytrzymuję, a potem uśmiecha się szelmowsko, a ja jestem skołowana wysyłanymi przez niego sprzecznymi sygnałami. Jego spojrzenie wydaje się pełne uznania, ale uśmiech w ogóle nie jest przyjazny. – Nie wygląda pani na kobietę w jego typie.

Może i nie, ale z pewnością znam typ tego faceta. Był gościem, którym kiedyś chciał być każdy chłopiec i z którym chciała chodzić na randki każda dziewczyna. Typem, który tłukł się po korytarzach z piłką i pustym plecakiem, skupiając się wyłącznie na kolejnym meczu. Cały czas ostrzegam moich uczniów z Lake Forrest Academy, żeby nie stali się tacy jak on.

Staram się mówić neutralnym tonem.

– W jakim sensie?

– Czy nosi pani broń w torebce albo tylnej kieszeni? Czy słyszy pani w głowie głosy mówiące, nie wiem, żeby podpalać albo rozcinać opony?

Jego pytanie wzbudza mój gwałtowny sprzeciw, ale udaje mi się nad sobą zapanować.

– Oczywiście, że nie.

– Widzi pani? Czyli nie jest pani w jego typie. – Pochyla się i podnosi z podłogi kosz z piłkami. – A teraz proszę mi wybaczyć, muszę przygotować się do treningu. – Nie czekając na odpowiedź, odwraca się i idzie korytarzem.

Patrzę na Dave'a zaskoczona, on wzrusza ramionami. Razem

ruszamy za trenerem.

– Panie trenerze, proszę poczekać. – Nie czeka, nawet nie zwalnia. Jego kroki są dwa razy dłuższe niż moje, żeby go dogonić, muszę biec. – Proszę. Proszę tylko o dziesięć minut pańskiego czasu. Nie wiem, czy pan o tym słyszał, ale mój mąż był pasażerem tego samolotu, który się rozbił, a ja...

– Proszę pani, proszę posłuchać – mówi i odwraca się tak gwałtownie, że niemal na niego wpadam. – Jestem ostatnią osobą, którą powinna pani pytać o Billy’ego Griffitha. Nie lubię mówić źle o zmarłych, co oznacza, że nie powiem pani nic. A pani niech sobie wyciągnie wnioski.

– Nie proszę, żeby pan upiększył swoje wspomnienia. Szukam tylko prawdy.

Kręci głową powoli i z uporem.

– Ja i on nie byliśmy przyjaciółmi. Nie obracaliśmy się w tych samych kręgach i nie potrafiliśmy się ze sobą dogadać. Nie wiem, co jeszcze mógłbym pani powiedzieć.

– Proszę mi powiedzieć, jaki był. Jak długo go pan znał, z kim się przyjaźnił i gdzie mieszkał. Proszę powiedzieć mi wszystko, co pan wie, bo... – Wciąż kręcąc głową, trener Miller robi krok do tyłu, potem drugi, jego wielkie ciało szykuje się do wycofania i widzę, że zaraz go stracę. Nabieram głęboko powietrza i zmuszam się, by mówić dalej. Muszę zdradzić temu obcemu człowiekowi powód mojej wizyty. – Bo mój mąż kłamał, rozumie pan? Bo okłamał mnie w wielu kwestiach. Powiedział mi, że leci do Orlando, nie do Seattle. Nie miałam pojęcia, że kiedykolwiek w ogóle był w tym mieście. Przez cały czas myślałam, że pochodził z Memphis.

Jak brzmi akcent z Memphis? Pytanie to przelatuje przez moją głowę nagle i niespodziewanie. Will nie miał południowego akcentu, zwłaszcza w porównaniu ze mną, i nie używał slangu, tak lubianego przez południowców. Może w Memphis się tak nie rozmawia? Nie mam pojęcia.

Trener Miller przestaje się poruszać, a jego brwi znikają pod daszkiem czapki.

– Billy powiedział pani, że dorastał w Memphis?

– Tak.

Odchyła się do tyłu i na mnie patrzy.

– No dobrze, do tego z pewnością byliby zdolny. – Wzdycha, przysuwa kosz z piłkami do piersi Dave’a, cofa się po rękawice i każe nam za sobą iść. – Trening zaczyna się za pół godziny, więc będą państwo musieli iść za mną. – Prowadzi nas jeszcze głębiej w labirynt korytarzy za salą gimnastyczną i mówi do nas przez ramię. – Jak już mówiłem, pamiętam Billy’ego Griffitha, ale nie dlatego, że był takim świetnym facetem. Był typem człowieka, na którego widok na korytarzu wszyscy nagle mieli coś ważnego do sprawdzenia w swoich szafkach. Rozumie pani, o co mi chodzi? Każdy, kto spojrział mu w oczy, był wyróżniony, a nikt nie chciał być wyróżniony przez Billy’ego Griffitha. Nawet nauczyciele.

– Dlaczego? – pyta Dave. – Co się stało, gdy kogoś wyróżnił?

– Czasami popchnięcie albo rozwalona warga, czasami nic przez kilka dni. To właśnie było w Billym najstraszniejsze – jego nieprzewidywalność. Jedyne, na co można było liczyć, to to, że kiedyś wreszcie cię zaatakuje. Był okrutny i zły, a jego rodzice byli zbyt zajęci bójkami między sobą, by zwracać na niego uwagę.

Jego rodzice. Przecież powiedział mi, że jego ojciec zmarł, gdy Will miał dwa lata. I matka wychowywała go sama.

– O jakim wieku teraz mówimy? – pytam, gdy skręcamy za róg i idziemy w stronę rzędu biur z oknami. – Jak długo znał pan Willa... Billy’ego?

Trener myśli przez chwilę.

– No cóż, przeprowadziłem się do Rainier Vista latem przed drugą klasą, czyli ile to daje lat? Siedem czy jakoś tak?

Jego odpowiedź sprawia, że w moim gardle natychmiast pojawia się gula, ponieważ wreszcie poznaję prawdę. Memphis było kłamstwem. Nie bujda. Nie przesada. Nie małym białym kłamstwem czy półprawdą. Było celowo sfalszowaną informacją, mającą na celu wprowadzenie w błąd. Will nigdy nie mieszkał w Memphis. Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek tam był. Nic dziwnego, że naszą pierwszą rocznicę spędziliśmy w Nashville.

Czuję, jak w moim brzuchu wzbiera wściekłość, przyczajają się na zaledwie sekundę lub dwie, a potem wybucha na wspomnienie

milczenia Willa podczas tamtej podróży do Memphis. Myślę o panice, którą musiał odczuwać pod wpływem mojego przypadkowego odkrycia jego kłamstwa, o tym, jak długo musiał szukać wymówki, aż wreszcie postawił na stwierdzenie, że wspomnienia z Memphis były „zbyt bolesne, by do nich wracać”. A ja kupiłam to bez szemrania i od razu zawróciłam. A teraz, gdy idę brudnym, śmierdzącym korytarzem w prawdziwej Alma Mater Willa, czuję się jak idiotka.

Zatrzymujemy się przy drzwiach biura, trener Miller otwiera je wielką dłonią. Prowadzi nas do małego i zagraconego pomieszczenia z dokumentami, wykresami i pudłami ze sprzętem sportowym, ustawionymi w kolumnach pod ścianą. Bierze kosz od Dave’a, stawia go na podłodze przy drzwiach i zaprasza, żebyśmy usiedli na podniszczonych krzesłach stojących przed jego biurkiem. Opadam na swoje i próbuję oddychać mimo kuli ognia w piersi.

Trener Miller siada, wbija pięty w dywan i podjeżdża do biurka, kółka jego krzesła skrzypią niczym paznokcie na tablicy. Patrzy na mnie zmieszany.

– Wszystko w porządku?

Jakimś cudem mój głos wydostaje się z mojej głowy i brzmi tylko trochę na udręczony.

– Nic mi nie jest. Proszę mówić dalej.

– Dobrze – odpowiada w sposób, który mówi mi, że wcale nie jest przekonany o prawdziwości moich słów. Zdejmuje czapkę, przejeżdża dłonią po gęstych lokach i odgarnia je do tyłu.

– Tak jak mówiłem, nikt w domu go nie dyscyplinował, co oznacza, że robił, co mu się żywnie podobało, i wszystko uchodziło mu na sucho, zarówno w szkole, jak i poza nią. Bił się. Kradł. Handlował narkotykami na korytarzach i ulicach. Opuścił tak wiele zajęć, że nie mam pojęcia, jak on w ogóle skończył szkołę. Pewnie dlatego, że nauczyciele chcieli się go pozbyć.

Rewelacje trenera Millera to jak szereg minieksplzji w mojej głowie, jedna po drugiej. Pozostawiają mnie bez tchu i z zawrotami głowy.

– Will powiedział mi, że nie pamięta swojego ojca, który zmarł,

gdy on był mały – mówię.

– Pobożne życzenia. Pan Griffith był starym wrednym pijakiem. Ale z tego, co pamiętam, jakoś na początku szkoły zmarła jego matka.

Przypominam sobie pierwszy raz, gdy Will powiedział mi o jej śmierci – jedyny raz, gdy widziałam go płaczącego. Czerniak złośliwy, powiedział, wykryty po tym, jak dał przerzuty do mózgu, wątroby i płuc. Przeróżająca, bolesna śmierć.

– Nowotwór?

Gdy tylko słyszę to słowo, żałuję, że nie mogę go cofnąć, by brzmieć mniej jak łatwowierna żona. Żeby trener usłyszał moją pewność siebie. Przecież Will nie udałby takich emocji. Nikt nie jest tak dobrym aktorem.

Ale trener Miller wybucha śmiechem.

– Nie bardzo. Zginęła w pożarze.

– O mój Boże – mówi Dave. Biedna kobieta. Biedny Will.

Trener Miller przechyla się do tyłu w swoim krześle.

– Biedny Billy, co? Coś wam powiem. Każde dziecko w naszej okolicy miało do czynienia z jakimś problemem w domu: uzależnienia, aresztowania, tatusiowie, którym latały rączki – ale zawsze udawało nam się jakoś sobie z tym poradzić. A Billy nawet nie próbował. Po prostu stał się wściekły i okrutny.

Ja i Dave marszczymy czoła, widzę, że myśli o tym, o czym myślę ja. Jakim cudem buntownik handlujący na ulicy narkotykami stał się kochającym mężem po studiach?

Odchrząkuję pod wpływem nagłego przypływu emocji, które ścisnęły moją pierś. Poczułam smutek wywołany samotnym dzieciństwem Willa i okropną śmiercią jego matki. Urazę dla rodziców, którzy nie mogli przestać się kłócić i bić, żeby poświęcić czas swojemu synowi. Oburzenie na siłę wyższą, która wpakowała Willa w takie środowisko. Wściekłość, że dopiero teraz się o tym dowiaduję.

– Co stało się z jego ojcem? – udaje mi się spytać.

– Słyszałem plotki, że jest chory i potrzebuje opieki dwadzieścia cztery na dobę, ale... – Trener Miller podnosi obie ręce, a potem ponownie opuszcza je na biurko. – Moja mama zawsze

przekazywała mi plotki z sąsiedztwa, ale umarła kilka lat temu.

Dave i ja milczymy. Kiedy byliśmy młodszy, mama zawsze powtarzała nam, że w każdej kłótni są trzy strony. Nasza strona, druga strona i prawda gdzieś pośrodku. Może to właśnie miał na myśli Dave, pytając, czy jestem pewna, że chcę dowiedzieć się wszystkiego o Willu. Nie może się bronić, nie jest w stanie podważyć słów trenera Millera, a ja nie potrafię określić, gdzie przebiega linia środka.

Ale to jeszcze nie znaczy, że mam łyknąć całą tę historię. Trener Miller wyraźnie uczeplił się swojej wersji wydarzeń sprzed dwudziestu lat dwiema wielkimi łapami.

Widzi powątpiewanie na naszych twarzach i mruczy, wstaje od biurka.

– Proszę mi wierzyć. Albo i nie. Nie zmienia to faktu, że Billy Griffith był złośliwym, podstępny bandytą, który w każdej chwili mógł za tobą stanąć, dźgnąć nożem i zostawić, zanim w ogóle zauważyłeś krew. Popytajcie innych. Jestem pewien, że trudno wam będzie znaleźć kogoś, kto powie coś innego. A teraz muszę iść na trening, zanim te małe chuligany rozniosą mi boisko do baseballa.

Wstaje i nas mija, w pośpiechu zapomina o koszu z piłkami. Zatrzymuje się w połowie drogi na korytarz, a jego wielka ręka łapie za kłamek.

– Wierzycie w karmę? To pierwsza rzecz, o jakiej pomyślałem, gdy się dowiedziałem, co przydarzyło się Billy’emu.

Dave i ja wracamy korytarzami Hancock High, oboje próbujemy zrozumieć opowieść trenera Millera. Chciałam zanurzyć się w życiu mojego męża. I okazało się, że zostałam wrzucona w ubraniu do lodowatej wody, przeżyłam szok termiczny i jestem odrętwiała.

– Wierzysz mi? – pytam, gdy skręcamy za róg i mijamy ścianę poobijanych i powgniatanych szafek. Nad nimi wisi baner: „Dalej, Wildcats! Nie poddawajcie się!”.

Dave wzrusza ramieniem i zaciska usta, robiąc minę, którą

znam aż za dobrze. Nie chce, ale wierzy przynajmniej w część tego, co usłyszeliśmy.

– Możemy sprawdzić na miejscowej komendzie policji. Jeśli Will naprawdę handlował narkotykami, może wpadł w tarapaty. Policja powinna mieć jakieś akta.

– Chyba tak. – Wzdycham i zwieszam ramiona. – I rozumiem, dlaczego Will nie chciał rozmawiać o śmierci mamy. Naprawdę to rozumiem. Ale ta historyjka o raku, którą mnie nakarmił? Dave, płakałam. Prawdziwymi łzami. Znał cały żargon medyczny. Wszystkie objawy i szczegóły rozwoju choroby. Takiego czegoś nie da się tak po prostu zmyślić. Musiał spędzić całe tygodnie w internecie na poszukiwaniu informacji na temat czerniaka. Kłamstwu na taką skalę naprawdę trzeba poświęcić mnóstwo czasu.

Na klatce schodowej Dave otwiera drzwi i staje z boku, żeby mnie przepuścić.

– Wyobrażam sobie.

– No dobrze, czyli jego ojciec nie należał do najmilszych osób. O tym też z pewnością nie miał ochoty rozmawiać. Ale dlaczego nie powiedzieć po prostu, że byli w konflikcie? Po co kłamać i mówić, że nigdy się go nie znało?

– To ty jesteś psychologiem. Dlaczego ktoś zmyśla pierwszych osiemnaście lat swojego życia?

– Albo i więcej. Po tych kilku dniach nie ogarniam już nic z czasu, zanim go poznałam. Nie twierdzę, że wierzę we wszystko, co powiedział trener Miller, ale opisał on dzieciaka z ogromnymi problemami i nawet jeśli tylko część tej historii jest prawdziwa, trudno jest odbić się od takiego dna – o ile w ogóle – bez dobrze poprowadzonej terapii. Dlatego potrzebuję więcej niż tylko jednego świadka. Muszę porozmawiać z ich dawnymi sąsiadami, znaleźć jeszcze kilku nauczycieli i kolegów z klasy. Trener Miller nie może być jedynym, który go pamięta.

Dave przytakuje i wychodzimy z klatki schodowej z przodu budynku. Ze swego miejsca przy wejściu ochroniarz unosi brodę w naszą stronę.

– Znaleźliście to, czego szukaliście?

– Tak – mówi Dave, a w tej samej chwili ja wskazuję kciukiem w stronę biblioteki.

– Zerknijmy raz jeszcze do tej kroniki szkolnej. A jeszcze lepiej, zróbmy kopie.

– Nie ma już takiej potrzeby.

– Co? Dlaczego?

Patrzy na mnie chytrze i mówi przez zaciśnięte zęby.

– Powiem ci wszystko w samochodzie.

Ochroniarz mruczy, jakby nie zwracał uwagi na naszą rozmowę.

– Podpiszcie się przed wyjściem.

Dave składa za nas podpisy i wychodzimy przez główne drzwi na nieznośny chłód. Gdy byliśmy w środku, na niebie pojawiły się stalowe chmury, które obniżyły temperaturę o dobre dziesięć stopni. Trzęsę się i podnoszę kołnierz płaszcza, ale Dave odpina swoją kurtkę i wyciąga zza pleców kronikę szkolną rocznika 1999. Uśmiecha się zadziornie.

Otwieram szeroko oczy.

– Ukradłeś to?

Wydyma usta.

– Wolę traktować to jako wypożyczenie.

– India z pewnością tak tego nie potraktuje. A gdy zauważy, że kronika zniknęła, będzie doskonale wiedziała, kto ją zabrał. Dave, przecież nasze nazwiska są na liście gości.

– Przestań się zamartwiać. Pożyczenie oznacza, że trzeba to oddać. I zrobimy to, gdy tylko wszystko skserujemy. Oddamy książkę, zanim India w ogóle zorientuje się, że jej nie ma.

– Nie wiesz tego. A co, jeśli zaraz to sprawdzi? A co, jeśli ustalą, że pracuję w Lake Forrest?

Przewraca oczami.

– Czy chodzenie z kijem w tyłku jest bardzo trudne?

Kocham mojego brata, ale w takich kwestiach bardzo się od siebie różnimy. Ja żyję w świecie, w którym należy przestrzegać zasad, a jego zdaniem zasady to tylko zbędny kłopot. Zwłaszcza dla niego. Dave kładzie nogi na krzesłach, staje między miejscami parkingowymi i przynosi własne chipsy do kina. I do tego nigdy nie zostaje złapany. Mawia, że to kwestia podejścia, i ma rację.

Dave ma w sobie śmiałość, która przyciąga ludzi i sprawia, że natychmiast zapominają, że właśnie przekroczył granicę.

Gdy stoimy przy schodach, drzwi do szkoły się otwierają i wysypuje się z nich tłum nastolatków. Wybiegają na schody i pędzą w naszą stronę z energią, którą może wyzwolić tylko zakończenie lekcji po ośmiu godzinach nauki.

Dave łapie mnie za nadgarstek i ciągnie mnie w stronę ulicy.

– Chodź, zanim nas zادهpczą.

Wsiadamy do samochodu, gdy dzwoni mój telefon. Nieznany numer. Przyciskam telefon do ucha.

– Słucham?

Pozdrawia mnie głos kobiety, wysoki i energiczny.

– Iris Griffith?

– Tak.

– Nazywam się Leslie Thomas. Dzwonię z Centrum Pomocy dla Rodzin...

– A co stało się z Margaret Ann Myers?

– Z Ann Margaret – szepcze Dave. Włącza silnik, ale nie wrzuca biegu.

Natychmiast słyszę odpowiedź.

– Margaret Ann jest teraz niedostępna, mam jednak nadzieję, że odpowie mi pani na kilka pytań.

Gdy słyszę imię, natychmiast robię się uważna. Ann Margaret czy Margaret Ann? Tak czy siak, ta kobieta mnie zaskoczyła.

– Och, ja... Przepraszam, to nie najlepsza chwila na rozmowę.

– To zajmie tylko minutę lub dwie. Rozumiem, że część rodzin się zebrała i chce wytoczyć proces Liberty Airlines. Czy ma zamiar się pani do nich przyłączyć?

Zarówno jej pytanie, jak i jej ton, wysoki i niemal szaleńczy, sprawia, że w mojej głowie rozlega się ostrzegawczy dzwonek. Dlaczego ktokolwiek w centrum, organizacji założonej przez Liberty Airlines, miałby zadawać mi takie pytanie? Marszczę czoło, Dave unosi brwi.

– Co? – pyta bezgłośnie.

– Ja... nie wiem – mówię do telefonu.

– Nie wie pani, czy znajduje się pani wśród rodzin, które

wytaczają proces Liberty Airlines?

– Nie, nie wiem nic o żadnym procesie. Może pani powtórzyć swoje nazwisko?

– Nazywam się Leslie Thomas. Dziś rano „Miami Herald” poinformował, że pilot wracał z trzydniowego wieczoru kawalerskiego w South Beach i miał tylko godzinę snu. Jeśli to prawda, to czy pani i inne rodziny będziecie oskarżać Liberty Airlines o nieumyślne spowodowanie śmierci?

Coś lodowatego ściska moje serce i zalewa moją pierś. Pilot był półprzytomny i być może na kacu? Krew odpływa z moich policzków, przyciskam dłoń do żołądka. Dave marszczy czoło.

– Co się stało?

Ale chwileczkę. Dlaczego ktoś z Centrum Pomocy dla Rodziny miałby mi o tym mówić? Przecież oni powinni dbać o interesy Liberty Airlines.

– Może mi pani powtórzyć swoje nazwisko?

– Nazywam się Leslie Thomas.

– I dzwoni pani z centrum?

– Właśnie.

– To dlaczego przepytuje mnie pani jak dziennikarka? – Zapada cisza. Słyszę, jak zbiera się na kolejny pisk, ale jest już za późno. Mam już jej numer. – Ponieważ pani jest dziennikarką – syczę wściekle. – Co oznacza, że pani kłamie.

Kończę rozmowę i zaczynam opowiadać o tym Dave’owi, ale niemal natychmiast mój telefon dzwoni ponownie. Ten sam numer.

– Umiesz zablokować tę osobę?

Dave bierze ode mnie telefon. Zmienia ustawienia, gdy przychodzi wiadomość. Przechyliłam się do niego i marszczę czoło na widok słów na ekranie.

Jedź do domu, Iris.

– Kto to przysłał? – pytam.

Dave próbuje sprawdzić numer, ale jest zastrzeżony. Szybko odpowiada.

Kto pisze?

Wysłała wiadomość i zaczynamy wpatrywać się w ekran mojego telefonu. Dotykamy go za każdym razem, gdy zaczyna ciemnieć.

– Dlaczego ktoś miałby ci kazać wracać do domu? – pyta Dave.

– Nie wiem.

– Kto jeszcze wie, że tutaj jesteś?

– Nasi rodzice i James. To wszystko. Od czasu nabożeństwa nie rozmawiałam z żadną z moich przyjaciółek, nie mówiłam o wyjeździe Tedowi ani nikomu w szkole. Wiedzą tylko tyle, że biorę tydzień lub dwa wolnego.

Dave myśli przez chwilę.

– No cóż, gdyby to był ktoś z Atlanty, to czy nie napisałby „wracaj”?

Kiwam głową w chwili, w której otrzymuję kolejną wiadomość.

Ktoś, kto wie, czego szukasz, i wie, że nie ma tego w Seattle.

Rozdział czternasty

Po drugiej stronie jeziora w Bellevue Dave i ja zaczynamy w Best Buy. Próbujemy ustalić zastrzeżony numer. Po drugiej wiadomości – *Ktoś, kto wie, czego szukasz, i wie, że nie ma tego w Seattle* – sprawa ta awansowała na najpilniejszą do załatwienia. Oboje zauważyliśmy ironię tej sytuacji. Gdyby był tutaj Will, podałyby nam ten numer po trzydziestu sekundach.

Dzieciak za ladą wygląda na dwudziestolatka – Will zawsze powtarzał, że tacy ludzie sprawiają, iż informatycy są owiani złą sławą. Tłuste włosy. Pryszczata twarz. Krzaczaste brwi i porządna wada zgryzu. Za okularami grubości denek od butelek jego oczy zdają się komicznie wielkie.

– Proszę mnie państwo o zhakowanie numeru telefonu innej osoby? – pyta geek i kręci głową. – Nie mogę tego zrobić.

– Nie mogę? – Dave uśmiecha się czarująco. – Czy nie chcę?

– To nieistotne. Wolno mi tylko naprawiać i instalować.

Mój brat wyciąga z portfela pięć banknotów dwudziestodolarowych i kładzie je na blacie.

– Jest pan pewien?

Dzieciak nie jest pewien. Patrzy to na nas, to na gotówkę, widzę jego wewnętrzną walkę. Za sto dolców można kupić dużo gigabajtów. Kręci głową, zerka na jednego kolegę, który wprowadza zakup na kasę, i na drugiego, pochylonego nad macbookiem po drugiej stronie lady. Gdy żaden z nich nie spogląda w jego stronę, bierze pieniądze i mój telefon. Chowa je do kieszeni.

– Zaraz wracam – mówi i znika w drzwiach z napisem „Tylko dla personelu”.

Czekając na niego, podchodzę do stojącego obok komputera i włączam internet.

– Jak nazywała się dzielnica, w której według trenera Millera mieszkał Will? Rainer coś.

– View? Nie, to nie to. – Dave myśli przez sekundę albo dwie, a potem mówi: – Vista! Rainier Vista.

– To tutaj. – Rozglądam się po okolicy i spisuję kilka przecinających się ulic do notesu, który mam w torbie, a potem spisuję jeszcze adres najbliższego FedExa i komisariatu policji.

– Skoro już szukasz, to poszukaj jakiejś porządnej restauracji. Nie jadłem od wylotu z Atlanty i jestem głodny jak wilk.

Dla mojego brata porządne jedzenie oznacza skomplikowane dania i odpowiednio dobrane wino, co z kolei oznacza, że posiłek będzie trwał kilka godzin. Kręcę głową.

– Możemy zatrzymać się przy pierwszym barze dla zmotoryzowanych, do jakiego dojedziemy, ale musimy działać odpowiednio szybko.

Marszczy nos.

– Naprawdę sugerujesz złożenie zamówienia w okienku i jedzenie z papierowej torby?

– Tak, bo jeszcze dzisiaj chcę zobaczyć okolicę Willa i porozmawiać z kimś z policji, a nie zdążymy tego zrobić, jeśli zamówisz siedmiodaniowe menu szefa kuchni – a wiem, że to zrobisz.

– Iris, serio. Muszę coś zjeść. Niski poziom cukru we krwi sprawia, że kręci mi się w głowie.

– Przystaniesz histeryzować? Przecież już ci powiedziałam, że możemy...

– Eee, proszę pani? – Patrzymy w stronę lady i widzimy dzieciaka z moim telefonem w ręku. – Wiadomość została wysłana z aplikacji do wysyłania esemesów.

– Dobrze – mówimy ja i Dave jednocześnie i tym samym tonem. Nie „dobrze” tak jak „sprawa załatwiona”, ale „dobrze” jak „proszę mówić dalej”.

Geek zakłada, że chodzi o to pierwsze. Kładzie mój telefon i odwraca się od lady.

– Chwileczkę – mówię. – A co z numerem?

– Aplikacja szyfruje, a następnie niszczy wiadomość oraz informację, gdzie została ona napisana. – Poprawia okulary na nosie. – Proszę pomyśleć o tym jak o Snapchacie do wysyłania

wiadomości. Tyle że aby zacząć rozmowę, nie trzeba podawać żadnych danych na swój temat.

– To znaczy?

– To znaczy, że nie da się wysledzić numeru. Przykro mi. – Idzie wzdłuż lady, by pomóc jakiejś starszej pani, przyciskającej laptopa do piersi.

Ogromne rozczarowanie natychmiast wbija mi się między żebra.

– I co teraz? – pytam, zwracając się do brata.

Dave wzdycha i patrzy na odchodzącego geeka.

– Teraz wiesz mi sto docłów.

Przekupuję Dave'a resztką Chex Mix i rezerwacją na ósmą trzydzieści w Atmosphere, która według Zagatu jest jedną z najlepszych francuskich restauracji w Seattle i ma widok na zatoki Puget Sound. Kieruje samochód z powrotem obok jeziora do Rainier Vista.

– Jesteś pewna, że to tu? – pyta, zwalniając na środku drogi. – Trener Miller opisał to w taki sposób, że spodziewałem się o wiele gorszego miejsca.

Sprawdzam nazwę ulicy z tym, co mam w notesie.

– To tutaj, ale masz rację. Jest o wiele ładniej, niż się spodziewałam.

Rainier Vista to nie Beverly Hills, jednak to też nie jest slums. Po naszej prawej stronie znajdują się małe, ale kolorowe domy z gankami z przodu, po lewej kamienice i park, w którym jest bardzo ładne boisko do koszykówki i mnóstwo drzew. Zachodzące słońce oświetla je od tyłu, nagie gałęzie sięgają w stronę ołowianego nieba. Odwracam się na fotelu, szukając obiecanego pięknego widoku, ale nawet jeśli wulkan Mount Rainier jest stąd widoczny, to skrywa się za warstwą czerwonych chmur.

Dave przeciąga się i wciska guzik, żeby otworzyć okno z mojej strony.

– Cześć – mówi i przechyła się nade mną, by zagadać dwójkę

dzieciaków z liceum na chodniku. Ich twarze są ukryte pod grubymi kapturami. On obejmuje ją w ramionach gestem, który wygląda mi na bardziej zaborczy niż opiekuńczy. – Mieszkacie w tej okolicy? – Cały czas idą, nawet nie odwracają głów. Dziewczyna zerka w moją stronę, ale jej chłopak ją ponagla.

Dave rusza do przodu na jedyńce, cały czas się uśmiechając.

– Jesteśmy tutaj nowi i mieliśmy nadzieję, że moglibyście dać nam kilka wska... – Para skręca ostro w prawo i oddala się od nas ścieżką obok pustego parku. – Albo i nie.

– Przyjazna okolica.

Dave śmieje się ironicznie, a potem rozgląda się wokół. Wskazuje rękę za mnie, za moje otwarte okno, na ciężki blok, w którym chyba są mieszkania.

– Widzisz ten prosty projekt i tanie materiały? O ile się założysz, że to jest budynek HUD, urzędu do spraw rozwoju budownictwa, a ta okolica została przebudowana właśnie przez HUD?

– To znaczy?

– Jeśli mam rację, HUD wypłaciłby odszkodowania byłym mieszkańcom za przeprowadzkę do innej dzielnicy albo zagwarantowałby im miejsce w tanich mieszkaniach tutaj. Mamy więc sporą szansę na znalezienie kogoś, kto mieszkał tutaj przed przebudową.

– No dobrze, mądralo. To gdzie zaczynamy?

– Najlepiej w jednym z tych budynków, ale sądząc po tym, jak potraktowały nas te dzieciaki, założę się, że mieszkańcy nie są zbyt przyjaźnie nastawieni do obcych, którzy przychodzą tutaj i zadają pytania. Lepiej byłoby, gdybyśmy zaczęli od czegoś w rodzaju świetlicy środowiskowej. Jeśli zaprzyjaźnimy się z personelem, mogą nam powiedzieć, kto tu mieszkał, zanim w mieście pojawili się deweloperzy. Możemy ich podpytać.

Jedzie dalej, powoli krąży po okolicy. Mijamy więcej takich samych domów wciśniętych między parki i place zabaw, od czasu do czasu trafia się jakiś wieżowiec. Dave wskazuje znak oznaczający kolejkę podmiejską.

– Bliskość transportu publicznego, mnóstwo ramp i otwartej

przestrzeni, i czy zauważyłaś te wszystkie miejskie dzieła sztuki? Zdecydowanie mieszkają tu ludzie o zróżnicowanym dochodzie.

– To gdzie jest ta świetlica środowiskowa?

– Jeśli się nie mylę, powinna znajdować się na samym środku osiedla.

Jedziemy dalej. Dave sprawdza naszą trasę na telefonie, wjeżdża w kolejne ulice, aż wreszcie gwałtownie skręca w lewo i wskazuje nowoczesny budynek z elewacją ze szkła i ozdobnego tynku na końcu jednokierunkowej uliczki. Znak z pleksiglasu nad podwójnymi drzwiami głosi, że jest to Dom Sąsiedzki.

– Bingo.

Dave znajduje wolne miejsce na ulicy i ruszamy chodnikiem pod ostry wiatr. Szklana tablica informacyjna po lewej stronie drzwi zapowiada seminarium z planowania finansów dla dorosłych, zajęcia dotyczące znajdowania pracy i doroczny program literacki pod patronatem United Way.

– Mamy to – mówi Dave, gdy mijamy to wszystko. – Usługi socjalne. Mówiłem ci, że to HUD.

Przewracam oczami.

– Jaki z ciebie pewny siebie agent nieruchomości.

Szczerzy zęby, otwiera jedno skrzydło podwójnych drzwi, a następnie staje z boku i mnie puszcza.

Wnętrze budynku jest przestrzenne i jasne, dwa piętra są zalane światłem naturalnym i ledowym. Za stojącym na samym środku biurkiem w recepcji siedzą dwie kobiety i rozmawiają ze starszym czarnoskórym mężczyzną, stojącym po drugiej stronie lady. Są młode, po dwudziestce, tak więc ich twarze są wciąż świeże, pełne zapału i filantropijnego optymizmu.

– Witamy w Domu Sąsiedzkim – mówi jedna z nich, ma nosowy i środkowo-zachodni akcent. – Znają państwo drogę czy gdzieś państwa skierować?

Podchodzę do lady i uśmiecham się przyjaźnie.

– Dzień dobry, dziękuję. Szukam informacji na temat byłego mieszkańca tego osiedla i mam nadzieję, że mogłyby panie skontaktować nas z kimś, kto mieszkał tutaj przez przebudowę.

– Ja mieszkam tutaj całe życie – mówi mężczyzna i szczerzy

proteżę. – I znam wszystkich. Kogo szukasz, kochanieńka?

Teraz, gdy stoję bliżej, widzę, że ten mężczyzna nie jest starszy: on jest stary. Zgarbiona sylwetka, siwe włosy i zwisająca skóra z labiryntem linii zbyt głębokich, by określić je mianem zmarszczek. I chociaż jego oczy są zamglone od zaćmy, są też inteligentne i lśniące ciepłem.

– Nazywa się Will Griffith, choć w tamtym czasie nazywano go Billy. Mieszkał tu z rodziną do około 1999 roku, może o rok lub dwa dłużej. Nie znam imion jego rodziców, ale...

– Kat i Lewis – mówi mężczyzna i już się nie uśmiecha.

– Czy to Kat zginęła w pożarze?

– Tak, proszę pani. I nie była jedyna.

Ogarnia mnie ekscytacja, w piersiach robi się ciepło.

– Nie?

Kręci głową i przygląda mi się spod zmrużonych powiek.

– Kim pani jest i dlaczego pani o to pyta?

– Bo ich syn, Billy... Will... jest moim mężem. No dobrze, był. Znajdował się na pokładzie tego samolotu Liberty Airlines z Atlanty do Seattle, tego, który...

Ktoś zaczyna wzdychać, a moja krtań zaciska się jak na zawołanie. W oczach stają łzy, a w moim umyśle pojawiają się wspomnienia dotyczące męża. Nie tego nowego Willa, który kłamał na temat tego, dokąd się wybiera i skąd pochodzi, i z przeszłością pełną wściekłości i przemocy. Tego drugiego w ogóle nie biorę pod uwagę – nie znam go i nie mogę zacząć go rozumieć. Teraz płaczę za starym Willem – tym, który klepał mnie w tyłek za każdym razem, gdy wychodziłam spod prysznic, tym, który poprosił mnie, żebym za niego wyszła, w zwyczajne sobotnie popołudnie, który padł na kolano na środku alejki w sklepie spożywczym, w tym samym Krogerze, pod którym to wszystko się zaczęło. Za tym Willem tak tęsknię. I tego męża chcę odzyskać.

– Przepraszam – mówię i pochylam głowę. Nigdy nie byłam zbyt płaczliwa, nienawidzę też płakania przy innych ludziach, a ostatnio robię to straszliwie często. – Nie chciałam...

Jedna z kobiet wyjmuje z pudełka dwie chusteczki i podaje mi je

nad ladą.

– Skarbie, płacz, ile chcesz. Mój Boże, twój mąż właśnie zginął w katastrofie lotniczej. Myślę, że wszyscy tu obecni zgodzą się, że możesz płakać, ile wlezie.

Jej koleżanka gwałtownie kiwa głową.

Tylko starszy mężczyzna nie okazuje mi żadnego współczucia. Jego usta są zaciśnięte i tworzą cienką, białą linię, obniżoną na obu końcach, a oczy, które z początku lśniły z radości, są teraz ciemne i mroczne jak niebo na zewnątrz. Ta zmiana w jego wyglądzie sprawia, że przestaję płakać.

– Pamięta pan mojego męża, prawda?

Odwraca się do kobiet i wali sztywną dłonią w blat.

– Panie, życzę miłego popołudnia. – Nawet nie patrzy w naszym kierunku, mija nas i idzie do drzwi.

Jest zgarbiony i powolny, ale idzie pewnie, kaczym chodem.

Bez trudu go doganiam.

– Proszę pana, proszę poczekać. Proszę. Proszę tylko o minutę lub dwie pańskiego czasu.

– Nie, prosi mnie pani, żebym wyciągnął z szafy stare i bardzo nieprzyjemne trupy. A miejsce trupów jest w przeszłości. – Wszystko w nim mówi, że wówczas nie lubił Willa, a teraz, po tym, jak właśnie przyznałam, że byłam jego żoną, nie lubi również mnie. Pochyla głowę i przyśpiesza.

Przy wyjściu wciska guzik, włącza się silnik i otwierają się ciężkie drzwi – poruszają się niewiele szybciej niż starszy mężczyzna. Opóźnienie jest na tyle duże, że musimy się zatrzymać.

– Proszę pana, rozumiem, że jako dziecko Will sprawiał problemy, ale...

Unosi skulone ramię.

– Takie osiedle. Wiele dzieciaków sprawiało tutaj problemy.

Nawet po tych wszystkich kłamstwach chęć bronienia mojego męża wzbiera we mnie jak tsunami, gryzę się w język, by je powstrzymać.

– Co zrobił? – pyta Dave i staje obok mnie. Starzec się krzywi.

– Już wam powiedziałem, nie wyciągajcie trupów z szafy. Nic

dobrego wam z tego nie przyjdzie.

Drzwi są już otwarte, do środka wpada lodowaty wiatr. W ciągu ostatnich kilku minut musiało zacząć padać, tak więc zalewa nas jeszcze wściekły deszcz. Mężczyzna zapina wyżej kurtkę i wychodzi na ulicę.

Ja i Dave patrzymy po sobie i myślimy to samo – ten mężczyzna jest naszą największą szansą na jakiegokolwiek informację. Wysuwam brodę w jego stronę, Dave rusza za nim.

– Proszę przynajmniej pozwolić nam zawieźć się tam, gdzie pan idzie – sugeruje, gdy starzec schodzi powoli po podjeździe. – Przy takiej pogodzie nie powinien pan wychodzić na zewnątrz. Chodniki będą śliskie.

Widać, że starca kusi ta propozycja. Zatrzymuje się i zerka przez ramię.

Dave uśmiecha się do niego zapraszająco.

– W naszym samochodzie jest ciepło i sucho, zawieziemy pana, dokąd tylko pan zechce.

Starszy człowiek rozmyśla nad tą propozycją sekundę czy dwie, a potem mierzy nas wzrokiem. Patrzy na moje skórzane buty i kaszmirowy szal, na drogie džinsy Dave'a i grubą kurtkę Patagonia.

– Dokąd zechcę?

Oboje przytakujemy.

Mina starca staje się trochę bardziej obliczalna.

– Chciałbym coś zjeść.

Stary mężczyzna nazywa się Wayne Butler, a Dave prowadzi samochód do knajpy na MLK Jr. Way. Mój brat przygląda się neonowym znakom, wyblakłej czerwonej markizie i zwiesza ramiona, ale nie narzeka, nawet wtedy, gdy pan Butler zamawia wszystkie curry z menu, a potem staje z boku, żeby Dave zapłacił.

Gdy siedzimy już przy stoliku obok okna, stosuję tę samą strategię, co podczas rozmowy z trenerem: jestem szczera.

– Panie Butler, wiem, że wolałby pan nie wracać do przeszłości, ale niezależnie od tego, co Will zrobił jako nastolatek,

z pewnością nie było to gorsze niż to, co zrobił mi, swej własnej żonie.

– Jest pani tego pewna?

Kiwam głową, bo wiem, czego on chce. Chce, żebym znalazła się w jego drużynie – która wystąpiła przeciwko mojemu mężowi. Wbijam tani widelec w żyłaste mięso i dobieram słowa, które starzec chce usłyszeć.

– Mój mąż – Will – byliśmy małżeństwem przez siedem lat. Nigdy nie wspominał mi o Seattle. Nie wiedziałam, że tu dorastał. Nie miałam pojęcia o jego sytuacji w domu. Może wstydził się swojej przeszłości, a może po prostu starał się wszystko za sobą zostawić. Nie wiem. Ale rzecz w tym, że nie mogę dopasować człowieka, którego znałam, z człowiekiem, o którym opowiadała nam trener Miller, a ja muszę to zrobić, aby móc opłakiwać mojego męża. Muszę wiedzieć o nim wszystko – nawet to, co starał się ukryć, to, co brzydkie – żeby móc ruszyć do przodu. – Wypowiadam te słowa i czuję, jak w mojej piersi rozkwita powolny ból.

W zachowaniu starca coś się zmienia, w jego oczach pojawia się miękkość, a moje mięśnie rozluźniają się pod wpływem ulgi.

– Rozmawialiście z Anthonym Millerem?

– Tak.

– To dobry człowiek. Co wam powiedział?

– Że Will był zły i okrutny i że miał złą sytuację w domu. Że był pożar i że... – Zebranie słów zajmuje mi sekundę lub dwie. – Że matka Willa... Kat... w nim zginęła.

Starzec żuje kawałek mięsa.

– Powiedział wam o pożarze, tak? – Kiwam głową. – Straciłem w tym pożarze wszystko, co miałem, i nie mówię tu tylko o ubraniach i meblach. Mam na myśli listy, zdjęcia dzieci oraz przepisy, które przekazała mi moja prababcia. Mój garnitur ślubny i perłowe kolczyki, które podarowałem mojej żonie, Panie świeć nad jej duszą.

Wolałam nie pytać, czy był ubezpieczony. Wymienione przez niego przedmioty są niezastąpione, a poza tym po wszystkim, czego zdążyłam się już dowiedzieć o Rainier Vista, nie sądzę, aby

ktokolwiek z mieszkańców w ogóle myślał o ubezpieczeniu.

– Przykro mi – mówię więc. – To musiało być bardzo trudne.

Kiwa głową i zaciska usta w cienką linię.

– Czy Anthony powiedział wam, kto podłożył ogień?

Moje serce tyka w piersi niczym bomba.

Pożar był podpaleniem? Próbuję odpowiedzieć, ale nie mogę mówić.

Dave robi to za mnie.

– Nie, kto?

Jak na kogoś, kto nie chciał o tym rozmawiać, pan Butler zdaje się być teraz bardzo zadowolony z poświęcanej mu uwagi. Opiera się na swym krześle i macha widelcem w stronę okna.

– Już wam mówiłem, że tutaj były osiedla socjalne. Nie wiem, skąd jesteście, ale sądząc po waszym wyglądzie, założę się, że nigdy na takim nie byliście. Zapewniam was, że jest na nich tak kiepsko, jak sądzicie. Gangi, broń, prostytutki i narkomani na każdym kroku. Wystarczy powiedzieć, że mieliśmy dużo więcej dzieciaków z problemami niż gdziekolwiek indziej. Ale twój mąż wyróżniał się, bo był mądry. Był mądry i podstępny, a obie te cechy naraz uczyniły go niebezpiecznym. Nigdy nie wiedziałeś, że zaraz wybuchnie, dopóki nie było za późno.

Patrzę na Dave'a, który stara się robić obojętną minę.

– Co dokładnie chce nam pan powiedzieć?

– Sądzę, że wiecie, co chcę wam powiedzieć. Policja nigdy nie była w stanie udowodnić, że to Will podłożył ogień, ale byli wystarczająco podejrzliwi, aby przypisać mu policjanta prowadzącego. I ten ogień zabił więcej niż tylko Kat. Tej nocy zginęło również dwoje dzieci.

Dave podskakuje, a moje usta wypełniają się nazbyt dobrze znanym mi kwasem. Odwracam się od stolika i staram się nie oddychać, a jednocześnie obliczyć liczbę kroków do najbliższego kosza na śmieci na wypadek, gdybym nie zdążyła przełknąć mdłości. Trzy, może cztery, ale tylko jeśli przechylę się nad najbliższym stolikiem. Odwrócenie uwagi sprawia, że nabieram dystansu do tego, co powiedział ten mężczyzna – że podłożony przez Willa ogień zakończył życie nie tylko dwójki dzieci, lecz

także jego matki. Że był odpowiedzialny za ich śmierć. Opieram się na krześle i powoli kręcę głową.

To niemożliwe.

Starzec przygląda się mojej postawie, widzi moje niedowierzanie i unosi chude ramiona.

– Jeśli chodzi o rodziców, to jedno jest pewne – twój mąż miał pecha. Kat i Lewis Griffithowie ledwo byli w stanie zatroszczyć się o siebie, nie mówiąc już o innej ludzkiej istocie.

– Trener Miller zasugerował, że w domu była przemoc – mówi Dave.

– W takim razie kłamał. Bo tej przemocy było bardzo dużo. Bardzo. Ale tak czy siak straż pożarna szybko ustaliła, że to było podpalenie. Ten, kto podłożył ogień, użył substancji łatwopalnej.

No dobrze.

– To mógł być każdy – mówię.

Boli mnie głowa i nagle pragnę wrócić do domu i pozwolić mamie się mną zająć. Po jaką cholere tutaj przyjechałam i wznieciłam tę gównoburzę? Chcę się cofnąć w czasie, odsłyszeć to, co powiedzieli mi ten starzec i trener Miller. To za dużo. Nie chcę już wiedzieć.

– To prawda. Ale ogień wybuchł około drugiej w nocy, po wyjątkowo głośnej awanturze między Kat i Lewisem, która zakończyła się upiciem przez oboje do nieprzytomności. Nigdy nie zapomnę ich krzyków i wrzasków. W każdym razie w opuszczonym mieszkaniu obok znaleziono porzucony kanister po benzynie. A Billy, który przysięgał, że o tamtej porze spał w swoim łóżku, jakimś cudem wyszedł z tego bez szwanku.

Gapię się na Dave'a, który chłonie wszystkie te informacje z nieobecny wyrazem twarzy. Wyciera dłonią brodę i przełyka ślinę. Nie chce w to wierzyć, ale może uwierzył.

I chociaż jako psycholog wiem, że zraniony i odrzucony dzieciak ma sześćdziesiąt procent większe szanse na wpadnięcie w tarapaty, nie jestem przekonana. Przecież rozmawiamy o moim Willu. Mógł obudzić go hałas, a może poczuł dym? Każdy mógł wylać benzynę w sąsiednim mieszkaniu. Mój Will nigdy nie zrobiłby czegoś takiego.

– Czyli jak na razie jedynym dowodem były okoliczności – mówię.

– Przecież już wam mówiłem, że jest cwany. Ale teraz powiem to, co powiedziałem wtedy policjantom. Gdy strażacy wynosili z budynku jego nieprzytomnego ojca, na jego twarzy było widać tylko rozczarowanie. – Pan Butler wali widelcem w stół i patrzy mi ostro w oczy. – Rozumiesz, co ci mówię? Chciał, by ogień zabrał ich oboje.

Rozdział piętnasty

Budzę się, kiedy Dave głośno odsuwa zasłony.

– Pobudka, księżniczko. Nastał nowy dzień i leje. Znowu. Czyli ciągle. Ciągle leje. – Odwraca się, na tle jasnego okna jego ciało przypomina cień. – Jak ludzie są w stanie tutaj mieszkać?

Jęcę, odwracam się od okna i światła i przykrywam pulsującą z bólu głowę poduszką. Po podrzuceniu pana Butlera z powrotem do Rainier Vista, Dave pojechał do najbliższego baru, gdzie powiedział barmanowi, że ma mi podawać wódkę z martini tak długo, aż będę pijana. Ponieważ miałam w żołądku zaledwie kilka chrupek Chex Mix, wszystko poszło bardzo szybko. Gdy dotarłam do dna pierwszego kieliszka, cała sala już wokół mnie wirowała. W połowie drugiego wszystko zaczęło być rozmyte. Nie pamiętam trzeciego kieliszka ani tego, w jaki sposób wydostałam się z tej lekko zapuszczonej knajpy z kiepską muzyką i lepiącym się blatem i trafiłam tutaj, owinięta miękką egipską bawełną.

Opieram się na łokciu i rozglądam się po pokoju hotelowym. Jest nowoczesny, ściana okien wychodzi na wodę. W oddali widać górzisty horyzont, poszarpane szczyty unoszą się ku stalowemu niebu.

– Gdzie jesteśmy?

Patrzy na mnie rozbawiony.

– Skarbie, jesteśmy w Seattle, pamiętasz? Miejscu narodzin Starbucksa i flanelowej stolicy świata, gdzie wszyscy jeżdżą subaru. Nawiasem mówiąc, zawsze myślałem, że to ostatnie stwierdzenie to przesada, ale to nieprawda. Jak na miasto, które kładzie tak duży nacisk na czystość środowiska, jest tutaj zaskakująco dużo samochodów.

– Wiem, że Seattle. Ale jaki hotel? Mam nadzieję, że nie musiałeś mnie nieść.

– Ej, po to są bracia. – Szczerzy zęby.

– Przykro mi, że przegapiliśmy wczorajszą rezerwację.

Siada na fotelu przy oknie i macha ręką.

– To barowe jedzenie było całkiem niezłe. To znaczy to nie było foie gras, ale z pewnością było o wiele lepsze niż tamto fastfoodowe curry, które, nawiasem mówiąc, z pewnością nawet nie stało obok jagnięciny. Ale żebyśmy mieli jasność, zanim ruszymy dzisiaj w drogę, mam zamiar porządnie się najeść.

– W jaką drogę?

– Ustalimy plan przy śniadaniu. Mamy dużo miejsc do odwiedzenia i ludzi do porozmawiania, więc chodźmy.

Opadam na łóżko i zakrywam się kołdrą pod brodę.

– Sam idź. Ja nie jestem w stanie dzisiaj nic robić.

– Iris, to nie jest urlop. Mamy misję do spełnienia, pamiętasz? Twoją misję.

– Wiem, ale może jutro. Dzisiaj zostajemy w pizamach, zamawiamy żarcie do pokoju i urządzamy sobie maraton filmowy.

– Ja jestem już ubrany.

Wyciągam rękę i sięgam po katalog hotelowej telewizji, leżący na nocnym stoliku.

– Założę się, że mają *Wariatki*.

– Chodź. Nie jestem aż tak stereotypowy.

– Przykro mi, braciszku, ale jesteście.

Przewraca oczami, ale się ze mną nie spiera.

– Czy mogłabyś wyjść z łóżka i iść pod prysznic? Podzwoniłem trochę po domach ludzi mieszkających w pobliżu Rainer Vista i zgadnij co? Kogo znalazłem? Twojego teścia. Ojca Willa. Sądzę, że zaczniemy od złożenia mu wizyty.

Teść. Turlam to słowo na moim języku, a w mojej piersi pojawia się świeża porcja bólu z poprzedniego dnia, gorące białe pulsowanie, które miażdży moje i tak złamane już serce. I mój nowiutki teść nie jest w tym wszystkim najgorszy. Opieram się na łokciu.

– Może i wypiął wczoraj trochę za dużo, ale pamiętam każde słowo wypowiedziane przez tego człowieka. Że w pożarze, który jego zdaniem został wzniecony przez Willa, zginęli kobieta

i dwoje dzieci. Może Will to zrobił, a może nie, ale wiesz, jak to mówią, nie ma dymu bez...

– No cóż, podczas gdy ty odsypiałaś alkohol, ja zacząłem trochę szukać informacji na temat tego pożaru. Sprawdziłem gazety i przeczytałem w internecie raport policyjny. Historia staruszka ma pokrycie w rzeczywistości, ale zapomniał wspomnieć nam o jednym szczególe. Policja stwierdziła, że kanister z benzyną pochodzi ze sklepu w Portland, co rodzi dużo pytań. Jakim cudem siedemnastoletni dzieciak bez samochodu i pieniędzy kupić benzynę w mieście oddalonym o ponad trzysta kilometrów?

– Wspomnieli o innych podejrzanych?

– Tylko o jego ojcu.

Otwieram szeroko oczy.

– Jego ojciec był podejrzany?

– Oczywiście. Mąż jest zawsze pierwszym podejrzany policji. Nie oglądasz CSI? Zwłaszcza jak jest skłonny do bitki, tak jak ojciec Willa. Był zbyt pijany, by pamiętać swoje alibi, ale jakies miał. Sąsiad mówił, że gdy budynek stanął w płomieniach, ojciec Willa leżał nieprzytomny na kanapie.

Płomienie. Pod wpływem tego słowa zaczynam się trząść.

– A dzieci?

– Rodzeństwo, trzy i pięć lat. Spało mocno w mieszkaniu po drugiej stronie korytarza. Ich matka pracowała na nocną zmianę.

Mój żółądek skręca się z przerażenia i współczucia dla tej biednej kobiety. Myślę o tym, jak wieczorem otuliła dzieci kołdrą, a potem wyszła do pracy, mówiąc im, że wróci, zanim się obudzą, powtarzała sobie, że we własnych łóżkach są bezpieczne. Ich tragedia to największy koszmar każdej matki.

Zwijam się wokół poduszki i chowam głębiej pod kołdrą.

– Wiesz, wszystko, czego dowiedziałam się od czasu katastrofy, jest strasznie dezorientujące. On wsiadł do złego samolotu lecącego w złym kierunku. Wymyślił konferencję. Spotkałam jego przyjaciela Corbana, o którym nigdy wcześniej mi nie wspominał. I wszystkie te kłamstwa na temat tego, skąd pochodził i jakie było jego dzieciństwo. Nic z tego nie rozumiem. Z wyjątkiem domu.

– Waszego domu?

Kiwam głową.

– Obejrzeliśmy ich ze sto. Z każdym z nich było coś nie tak. Kuchnia była za stara, ogródek za mały albo ulica zbyt ruchliwa. Dla Willa nic nie było dostatecznie dobre. Nasz agent pokazał nam ten dom po to, żeby coś sobie udowodnić. Na zasadzie: widzicie, co możecie kupić, jeśli wydusicie z siebie kolejnych sto patyków? Ale żałuj, że nie widziałeś twarzy Willa, gdy przestąpił próg tego domu. – Uśmiecham się na wspomnienie, jak nagle zmarł, zostały tylko kolory na jego policzkach, które stawały się coraz intensywniejsze z każdym pomieszczeniem, do którego weszliśmy. – Kiedy zobaczyliśmy górę, dobiliśmy targu. Musiał mieć ten dom.

Deszcz uderza w szybę z prędkością i siłą karabinu maszynowego. Dave kładzie nogi na podnóżku i krzyżuje ręce na piersi.

– To jest wspaniały dom. – Myślę o pierwszym razie, gdy weszliśmy po schodach, o jego twarzy, gdy popchnęliśmy witrażowe drzwi, o tym, że zanim obejrzeliśmy wszystko, wiedziałam, że Will stracił głowę dla tego miejsca. – Tego samego dnia złożyliśmy propozycję ceny. I zdecydowaliśmy się na niego, chociaż ten zakup oznaczał, że większość pomieszczeń będzie stała pusta, a ratę kredytu będziemy mogli spłacić tylko, wbijając zęby w ścianę. Teraz jednak rozumiem, dlaczego posiadanie czegoś na własność było dla niego tak ważne.

– Bo dom był symbolem tego, jak daleko zaszedł.

– Właśnie. – Gdy tylko wypowiadam to słowo, wzbiera we mnie znajoma wściekłość. Siadam na łóżku. – Gdyby od razu powiedział mi, dlaczego tak strasznie chce mieć ten dom, to wcale bym tak z nim nie walczyła. Nie skarżyłabym się na to, że nie mogę już chodzić do Starbucksa albo że nigdy nie wyjedziemy na wakacje. Nie ma na tym świecie osoby, która zrozumiałaby go lepiej niż ja. Ale on nigdy nie planował mi o tym powiedzieć, prawda?

Dave wzdycha i podnosi rękę.

– Tylko nie to.

– Tylko nie co?

– Prowadziłyśmy tę dyskusję wczoraj przy barze, trwała ona bardzo długo. Urządziłaś nawet ankietę. Przeważająca większość, czyli osiemdziesiąt siedem procent na wpuł pijanych hipsterów zgodziła się, że nie, Will nigdy nie planował ci o tym powiedzieć.

Normalnie czułabym się upokorzona faktem, że po pijaku pytałam obcych ludzi o zdanie na temat mojego małżeństwa. Nie jestem typem całkowicie otwartym i nie rozmawiam z obcymi o moim życiu prywatnym. Teraz jednak jestem zbyt skupiona na szerszej perspektywie – na fakcie, że mój mąż nie tylko trzymał przede mną w tajemnicy tak ważne aspekty swojego życia, gdy się poznaliśmy, lecz także że nie wtajemniczył mnie później, nie zaufał mi i naszej miłości na tyle, by o tym wszystkim powiedzieć.

– Ani słowa o swoich rodzicach, pożarze, o strasznej i podejrzanej przeszłości. Karcił mnie tymi bzdurami na temat dorastania z samotną i kochającą matką w Memphis, a ja łykałam wszystko jak młody pelikan. Czy on w ogóle studiował? Czy ma jakiś tytuł naukowy? Nie mam pojęcia, bo jestem najbardziej łatwowierną osobą na świecie!

– Skarbie, nie jesteś łatwowierna. Zostałaś oszukana przez człowieka, którego kochałaś. To duża różnica.

– Dave, jestem psychologiem. Powinam umieć poznać się na ludziach takich jak Will.

– Nie sędzę, by cokolwiek z tego było twoją winą.

– Jasne.

Opadam z powrotem na łóżko, zakrywam twarz poduszką, czuję piekące łzy. Jeszcze tydzień temu byłam w stu procentach przekonana, że znam mojego męża. Myślałam, że mówił mi o sobie wszystko. Że mówimy sobie o wszystkim. A teraz odkrywam jego dawne życie kawałek po kawałku, co prowadzi mnie do tylko jednej myśli: że tak naprawdę nigdy nie znałam mężczyzny, którego poślubiłam.

I teraz, patrząc wstecz, muszę zakwestionować niemal wszystko. Ten czas, gdy pojechaliśmy do San Francisco, do miasta, którego – jak przysięgał – nigdy nie odwiedził, a mimo to

znał drogę tak dobrze, że prawie nie spoglądał na mapę. Czy to dlatego, że był tam już wcześniej? Kiedy w grze Karty Przeciwko Ludzkości przyznał, że nie poszedł na bal na zakończenie szkoły, ale nie chciał mi powiedzieć, dlaczego. Albo gdy poszliśmy do La Fonda i Will zamówił chile relleños i quesadillas con camarones, wymawiając wszystko z idealnym akcentem. Odkąd to on mówił po hiszpańsku?

I wtedy dociera do mnie, że tak naprawdę utraciłam go dwa razy. Po raz pierwszy, gdy wsiadł do tego samolotu, a po raz drugi, gdy po śmierci zamienił się w obcą mi osobę. Pierwszy raz był gwałtowny i szokujący, a drugi stopniowy, ale nie mniej bolesny. Obie rany są świeże, poszarpane i głębokie.

– Jutro będzie tydzień – mówię stłumionym głosem. – Siedem dni, które udało mi się przetrwać bez Willa.

– Wiem. – Dave milczy przez dłuższą chwilę, słyszę, jak wstaje z fotela i podchodzi bliżej. – Mogę cię o coś zapytać?

– Jestem pewna, że zrobiłbyś to, nawet gdybym się nie zgodziła.

– Zdaję sobie sprawę z tego, że poznanie wszystkich tych informacji na temat Willa jest dla ciebie straszne.

– Owszem. – Czuję, jak w gardle zbiera mi się szloch, ale udaje mi się go powstrzymać. – Ale czy rozważałaś to, co oczywiste?

– Czyli? – Odsuwam poduszkę i widzę mojego brata bliźniaka, patrzącego na mnie z góry.

Uśmiecha się zachęcająco.

– Że może rzeczywiście się zmienił. Może dlatego o niczym ci nie powiedział. Może chciał zacząć od nowa, wykasować poprzednie życie i zacząć wszystko z tobą.

– Dobrze, w takim razie powiedz mi, dlaczego wsiadł do tego samolotu do Seattle?

Uśmiech znika z jego twarzy. Moje pytanie zbiło go z pantafelku, a co gorsza, zbiło z pantafelku również mnie. Dlaczego Will wsiadł do tego samolotu do Seattle? I nagle pomysł pozostania w hotelowym pokoju nie jest już tak kuszący. Wzdycham, odrzucam pościel i wstaję z łóżka.

– Dzięki Bogu – mówi, gdy idę do łazienki. – Bo widziałem *Wariatki* już z milion razy.

Dwadzieścia minut później, gdy wychodzę spod prysznicza, na mój telefon przychodzi kolejna wiadomość z zastrzeżonego numeru.

Dlaczego nadal jesteś w Seattle? Iris, mówię poważnie. Jedź. Do. Domu. Nic tutaj dla ciebie nie ma.

Owijam się ręcznikiem, wsuwam go pod pachy i piszę odpowiedź tak szybko, jak tylko jestem w stanie pisać trzęsącymi się rękami.

Nigdzie nie pojedę, dopóki nie powiesz mi, kim jesteś. A tak w ogóle to się mylisz. Jak na razie wizyta w Seattle jest bardzo pouczająca.

Dwie sekundy później ekran mojej komórki ponownie się świeci.

Nie wierz we wszystko, co słyszysz.

Moje tętno skacze, żołądek ściska się od czegoś, co zdaje się być ekscytacją.

To w co mam wierzyć?

Czekam i wpatruję się w ekran, aż ciemnieje, a potem robi się zupełnie czarny.

Lewisa Griffitha odnajdujemy w domu opieki Providence House, placówce opiekuńczej dla osób biednych osób i najbardziej przygnębiającym miejscu na tej planecie. Podłogi tutaj są brudne, powietrze śmierdzące, a sufity niskie i poplamione. Na drugiej kondygnacji znajdujemy ponurą

pielęgniarkę, która każe nam iść ciemnym korytarzem.

– Pokój 238, ale nie spodziewajcie się, że dużo się od niego dowiedziecie. Ma alzheimera.

Dziękuję jej i zaczynam się zastanawiać, czy alzheimer to najgorszy, czy najlepszy sposób na wymazanie sześciu dekad ciężkiego życia. Odchodzenie jest niemiłe i powolne, ale przynajmniej pacjent nie jest tego świadomy.

Znajdujemy go w pokoju wielkości garderoby, który przypomina mi pokój w tanim przydrożnym hotelu, w którym kiedyś zatrzymałam się w Gwatemali, niewiele większym niż łóżko, na którym leży pan Griffith. Ja i Dave nie mamy gdzie usiąść, stajemy więc przed łóżkiem ramię w ramię, wciśnięci między dwie brudne ściany.

Patrzę na mojego teścia i czuję, jak grzmi mi w głowie. Szukam w jego twarzy podobieństw do mojego męża i znajduję tylko kilka. Szerokie czoło, kwadratowa szczęka, delikatnie skośne oczy. Może znalazłabym więcej, gdyby pan Griffith nie był tak zniszczony, gdyby jego skóra nie była tak przezroczysta i blada. Przypominał bardziej rzeźbę z muzeum figur woskowych Madame Tussaud, tyle że usianą brązowymi plamami.

Wyciągam do Dave'a drżącą rękę, ściska moje palce.

– Panie Griffith, nazywam się Iris i jestem pańską synową. Byłam żoną pańskiego syna Willa. Lub Billy'ego. Pamięta go pan?

Cisza. Pan Griffith zdaje się mnie nie słyszeć. Patrzy na nas pustymi oczami.

Włączam zdjęcie na telefonie i przysuwam go pod twarz pana Griffitha.

– To zdjęcie zostało zrobione jakiś miesiąc temu.

Marszczy czoło.

– Pamięta go pan?

Cisza.

– Niewiele nam to daje – szepcze Dave.

Delikatnie kręcę głową i chowam telefon do tylnej kieszeni spodni.

– Panie Griffith, jakieś piętnaście lat temu, w mieszkaniu, w którym pan żył, w Rainier Vista, wybuchł pożar. Zginęły trzy

osoby. Czy coś to panu mówi?

Pan Griffith nie kiwa głową, ale sposób, w jaki patrzy mi w oczy, sprawia, że natychmiast się prostuję.

– Wśród ofiar była pańska żona, Kat, i dwoje małych dzieci. Pan i Billy wyszliście z tego bez szwanku.

Jego usta niczym z papieru ściernego kłapią przez kilka sekund, tak jakby próbował coś powiedzieć. A może coś mówi, nie wiem. Tak czy inaczej z jego ust wydobywa się tylko powietrze.

– Pamięta pan cokolwiek z tego wieczoru? Pożar? Pańską żonę i syna?

Na jego twarzy pojawia się grymas, usta jeszcze mocniej się poruszają. Ja i Dave łapiemy metalową poręcz łóżka i przysuwamy się, próbując coś dosłyszeć.

– Czy on właśnie powiedział Billy? – pyta Dave i patrzy na mnie wielkimi oczami.

Moje serce bije, a krew ryczy w uszach. Jestem pewna, że tak.

– Panie Griffith, czy pamięta pan Billy’ego?

Przez długą chwilę nie słyhać nic oprócz jego świszczącego oddechu. A potem podnosi rękę i wali nią w materac, raz, drugi, trzeci. Jego chude ciało zaczyna się rzucać, męczyzna wierzga, wymachuje kończynami, obie dłonie walą w materac. Ja i Dave wymieniamy zaniepokojone spojrzenia.

– Nic mu nie jest? – pytam.

Jakby w odpowiedzi pan Griffith nabiera powietrza, otwiera szeroko usta i wydaje z siebie długi, przerażający dźwięk pomiędzy jękiem a krzykiem.

– O Jezu – mówi Dave, poprawiając kołnierz przy szyi.

Jęk cichnie, ale męczyzna nadal się rzuca, potem uspokaja się na sekundę, ponownie nabiera powietrza i zaczyna wszystko od nowa.

Dave odchodzi od łóżka i zbliża się do drzwi.

– Może powinienem pójść po pielęgniarkę.

– Zostań tutaj. Ja pójde. – Jeśli zostawi mnie tutaj samą, umrę ze strachu.

Dave patrzy na mnie wielkimi oczami i kręci głową.

– Nie ma szans.

Łapię go za rękę i ciągnę w stronę drzwi.

– No dobrze. W takim razie pójdziemy oboje.

Pan Griffith właśnie szykuje się na trzecią rundę drgawek, gdy wypadamy na korytarz, prosto na pielęgniarkę ubraną w jasnoróżowy fartuch.

– Och, dzięki Bogu – mówię. – Z panem Griffithem jest coś nie tak.

– Nic mu nie jest. Po prostu znowu czymś się zdenerwował. – Mija nas i idzie dalej korytarzem, jej crocсы skrzypią na brudnym linoleum. – Cały czas się to zdarza.

Znowu? Ja i Dave marszczymy czoła.

– I nie zamierza mu pani pomóc? – krzyczę za nią.

Pielęgniarka cofa się, ciężko wzdycha i wraca do nas. Rzuci nam wściekłe spojrzenie, a potem wchodzi do pokoju. Gdy tylko znika nam z pola widzenia, ja i Dave patrzymy po sobie i błyskawicznie ruszamy w stronę schodów.

– Raju, nie będę kłamać – mówi, gdy wychodzimy na klatkę schodową. – Cieszę się, że stąd wychodzimy. To miejsce przyprawia mnie o dreszcze. Strasznie przygnębiające.

– Tak jak mój teść. – Słyszę, co powiedziałam, i się poprawiam. – To znaczy przygnębiająca jest jego choroba.

Rysy twarzy mojego brata łagodnieją.

– Jego życie też jest przygnębiające, skarbie.

Wzdycham i schodzę na półpiętro.

– Wiem. Jeśli chodzi o mojego teścia, to jest tyle przygnębiających rzeczy, że nie da się ich zliczyć.

– Jutro znowu możemy do niego iść. Może powinniśmy przynieść ze sobą jakieś zdjęcia czy wycinki z gazet, które poprawiłyby jego pamięć, ale na razie...

– Chyba komisariat policji. A potem...

– Nie, chodzi mi o twojego teścia. Nie powinnaś... nie wiem... coś z tym zrobić?

– Na przykład? Dopiero wczoraj dowiedziałam się o jego istnieniu, a przecież on i Will nigdy nie utrzymywali ze sobą intensywnych kontaktów. Żal mi go, ale mam wrażenie, że zapracował sobie na pobyt tutaj.

– Ach, więc tak to nazywasz? W takim razie wyświadcz mi, proszę, przysługę. Dopilnuj, żebym nigdy nie skończył w miejscu, które śmierdzi fasolą z puszki i brudnymi pieluchami, dobrze?

Po słowach mojego brata pojawia się poczucie winy oraz irytacja, że uważa, iż odrzucam teścia, o którego istnieniu wcześniej nie wiedziałam.

– Co według ciebie powinnam zrobić? – pytam, wychodząc ze schodów na korytarz. – Przenieść go do swojego salonu?

– Nie bądź śmieszna. Ale musi być dla niego miejsce lepsze niż to.

– Pani Griffith? – pyta siedząca przy biurku pielęgniarka, przerywając naszą kłótnię. Głośno kładzie na blacie podkładkę do pisania i podnosi długopis. – Jeśli nie ma pani nic przeciwko, proszę o wypełnienie kilku dokumentów.

– Och. W porządku. – Marszczę czoło. – Jakich dokumentów?

– Chcemy po prostu upewnić się, że posiadamy wszystkie informacje o najbliższych krewnych pana Griffitha i że są państwo świadomi wszystkich możliwości opieki nad panem Griffithem.

Biorę do ręki długopis i przeglądam kartki – formularz kontaktowy, formularze Medicaid, informacje na temat prywatności i ujawniania danych osobowych. Standard, chociaż nie jestem pewna, dlaczego każe mi to wypełniać.

– Po co to wszystko?

– Providence House jest domem opieki, co oznacza, że zapewniamy ogólną opiekę dla seniorów z wszelkiego rodzaju problemami. Nasze pielęgniarki potrafią radzić sobie z demencją, ale się w niej nie specjalizują.

– Dlaczego więc pan Griffith tutaj przebywa?

– Ponieważ ośrodki, które zajmują się opieką nad takimi osobami, albo nie mają dostępnych miejsc finansowanych przez Medicaid, albo na te miejsca są długie listy oczekujących.

– Rozumiem. – Nie rozumiem. Czyli? Nie podoba mi się ta kobieta ani to, do czego zmierza. – Czy planujecie wyrzucić stąd pana Griffitha?

– Tak długo jak pan Griffith kwalifikuje się do Medicaid, jest tu

mile widziany i może pozostać tak długo, jak to konieczne. Sugeruję tylko, że jeśli ma pani budżet na jego opiekę, może być szczęśliwszy w większym pokoju lub nawet w innej placówce, lepiej dostosowanej do wyjątkowych potrzeb pacjenta z chorobą Alzheimerera. Zakładam, że jako jego synowa chciałaby pani, aby spędził swoje ostatnie miesiące pod jak najlepszą opieką.

I nagle wszystko rozumiem. Kładę długopis na stosie dokumentów.

– Czy pani prosi mnie o pieniądze?

– Oczywiście, że nie. Chociaż przyjmujemy darowizny.

– Niech no zgadnę. Tylko w gotówce?

Uśmiecha się słodko.

– W tym miejscu czas niemalże stanął.

Gdy dochodzimy do samochodu, trzęsę się z wściekłości. Dosłownie. Mam drgawki na całym ciele, które wstrząsają mną od czubka głowy do palców.

– Nie wierzę, że ta pielęgniarka właśnie próbowała wydusić ze mnie pieniądze.

Dave otwiera pilotem drzwi i patrzy na mnie ponad dachem samochodu. On wierzy w to bez problemu.

Opadam na fotel pasażera, stawiam torbę na podłodze i trzaskam drzwiami.

– A widziałaś, jak zachowywała się ta pielęgniarka na górze? Jakby uspokajanie zdezorientowanego, zdenerwowanego staruszka było zadaniem nie do wykonania. Nawet nie chcę myśleć o tym, jakie one są, kiedy nikt nie patrzy. Prawdopodobnie są zbyt zajęte oglądaniem Gotowych na wszystko, żeby zwracać uwagę na pacjentów. Z całą pewnością nie mają zamiaru myć podłóg ani spryskać sal odświeżaczem powietrza.

– Prawdopodobnie masz rację. – Dave wrzuca wsteczny bieg i opiera drugą rękę o mój fotel. Patrzy przez tylną szybę. – Dlatego więc naprawdę bardzo się cieszę, że zapłaciłaś tej małpie.

Rozdział szesnasty

– Pięć dni roboczych? – mówię do policjantki siedzącej za biurkiem Działu Zapytań Publicznych, mój głos wpada w cichy krzyk, który tylko częściowo jest wynikiem frustracji. Recepcja komisariatu policji w Seattle to potężna przestrzeń z betonu i płytek, a tłum ludzi przychodzących i wychodzących sprawia, że żałuję, iż nie wzięłam ze sobą zatyczek do uszu.

– Dlaczego wykonanie kopii raportu z wypadku, który wydarzył się ponad piętnaście lat temu, zajmuje aż pięć dni?

– Nie, pięć dni na skontaktowanie się z panią w sprawie pani prośby i tego, czy będą jakieś opłaty związane z jej spełnieniem. Poinformujemy panią również w tym czasie, czy utajniona została jakakolwiek dokumentacja lub część dokumentacji. W takim przypadku dokumenty zostaną odpowiednio wstrzymane lub zredagowane.

Dave kładzie rękę na blacie.

– W porządku, postawię sprawę jasno. Pięć dni, żeby się dowiedzieć, czy będziemy mogli uzyskać kopię raportu policyjnego, czy nie?

– Właśnie.

– Czy jest jakiś sposób na przyspieszenie tego procesu? Jakaś dodatkowa opłata albo coś w tym stylu?

Kobieta unosi krzaczastą brew i daje do zrozumienia, że lepiej nie wyciągać portfela.

Frustracja uderza mnie między żebra. Za pięć dni będziemy z powrotem na Wschodnim Wybrzeżu i jeśli wcześniej nie znajdziemy innej wskazówki, nie będziemy wiedzieli, dlaczego Will wsiadł do tego samolotu. Pięć dni to dla mnie jak wieczność.

Policjantka przechyla się w lewo i zerka za ręką Dave'a na stojącego za nami człowieka.

– Następny.

Dave nie odpuszcza.

– Co mamy zrobić, żeby to przyspieszyć?

Podaje nam stos formularzy na podkładce do pisania i długopis.

– Proszę to wypełnić. – Znowu odchyła się na lewo. – Następny.

Tym razem odsuwamy się na bok i przechodzimy do kilku pustych krzeseł przy oknie. Opadam na jedno z nich, bezsilność sprawia, że z trudem oddycham.

– I co teraz? Dave, brakuje mi już pomysłów. Gdzie będziemy szukać dalej?

– No cóż, moglibyśmy wrócić i znowu zacząć pytać po sąsiadach, albo może spróbować namierzyć jeszcze jakichś kolegów z jego klasy. Ktoś inny może mieć do opowiedzenia nam inną historię.

– Tak myślisz?

Marszczy nos.

– Szczerze? Obie te opcje to według mnie szukanie wiatru w polu.

– Tak. Według mnie też. A teraz, kiedy mamy już kopię książki, mogę w każdej chwili odnaleźć tych ludzi. Nie muszę tu być, żeby to zrobić. Musi być coś innego, coś, co przegapiliśmy.

Milkniemy i zaczynamy myśleć.

Opieram się na krześle i przypominam sobie rozmowy z trenerem Millerem i staruszką ze świetlicy środowiskowej. Coś mnie dręczy. Coś, co powiedział jeden z nich, jakiś szczegół, który nie pasuje, ale moje myśli są jak kociak bawiący się kłębkami wełny. Gdy jestem już blisko, żeby go złapać, on wymyka mi się z rąk.

Wyobrażam sobie nastoletniego Willa, czekającego przed tym płonąącym budynkiem, patrzącego, jak strażacy wynoszą jego rodziców, jedno z nich w worku. Czy rzeczywiście był zaskoczony faktem, że jego ojciec przeżył, tak jak powiedział nam ten starzec? Nawet po tym wszystkim, czego dowiedziałam się tutaj o jego życiu, ciężko mi sobie wyobrazić Willa świadomie podkładającego ogień w nadziei, że zginą jego rodzice. Bez względu na to, jak byli okropni, nadal byli jego rodzicami, poza tym narażał na niebezpieczeństwo nie tylko ich. Will, którego znałam, nigdy by czegoś takiego nie zrobił.

A mimo to ten starzec twierdził, że nie tylko on podejrzewał Willa o podpalenie. Chociaż policja nie mogła mu niczego udowodnić, też uważała, że to on, i wyznaczono kogoś, kto miał pomóc mu unikać problemów.

Prostuję się i macham długopisem w stronę świateł recepcji.

– Mam to.

Dave marszczy czoło.

– Co?

– Starzec powiedział, że po pożarze przydzielono Willowi policjanta prowadzącego. To z nim musimy teraz porozmawiać.

– Dobra, ale skąd go wziąć? Przecież nie podał nam jego nazwiska.

– Nie, ale może znajdzie się w policyjnym raporcie.

– W wersji online go nie było, ale w pełnej wersji tak ważna informacja powinna się znaleźć. Wypełnij je dalej. – Wskazuje leżące na moich kolanach dokumenty, a sam wstaje z krzesła. – Zobaczę, co uda mi się wydusić z naszej przyjaznej policjantki.

Patrzę, jak idzie przez recepcję i ponownie staje w dziesięciosobowej kolejce do biurka. Jest nonszalancki niczym podczas niedzielnego spaceru i coś ściska moją pierś: ciepło, słońce i miłość. Dave rzucił wszystko, aby polecieć ze mną do Seattle. Zostawił pracę, męża i życie, by wozić mnie po tym dziwnym mieście i podnosić mnie za każdym razem, gdy powalą mnie informacje na temat mojego męża. Nie wiem, jak ja mu się kiedykolwiek odwdzięczę.

Jakby czuł, że go obserwuję, odwraca się i wykonuje gest, jakby pisał. Uśmiecham się, posyłam mu całusa, a potem wracam do formularzy.

Zaczynam drugą stronę, gdy mój telefon pika w torbie. Wyjmuję go. Po mojej niedokończonej konwersacji z zablokowanym numerem Dave i ja zgodziliśmy się, że powinnam trzymać mój telefon w łatwo dostępnym miejscu i mieć ustawioną dużą głośność. Niezależnie od tego, kto jest nadawcą, prawdopodobnie mieszkał w Rainier Vista w czasie pożaru i zdaje się, że ma zupełnie inne zapatrywanie na te sprawy niż starzec i trener Miller. Przerażający stalker czy nie, chcę z nim porozmawiać.

Chcę się dowiedzieć, co on wie. I jestem bardziej niż zawiedziona, gdy na ekranie telefonu widzę imię mojego ojca.

– Cześć, skarbie – mówi tym swoim swobodnym, luzackim tonem. Aby go słyszeć, zatykam palcem drugie ucho. – Co to za hałas w tle? Gdzie jesteś?

– W recepcji na posterunku policji. Nie martw się, nie zostaliśmy napadnięci ani aresztowani, ani nic w tym stylu. Przyszliśmy tutaj, żeby poprosić o kopię starego policyjnego raportu. To za długa historia na telefon, ale musisz wiedzieć, że gdy mój mąż tutaj mieszkał, był zupełnie inną osobą. Och, i wygląda na to, że mam teścia.

– Hmm. A niech mnie! Poznałaś go?

Mój ojciec zawsze był mistrzem niedopowiedzeń i siłą rzeczy się uśmiecham.

– Tak. Ale kiepsko się czuje. Ma alzheimera, a dom opieki, w którym przebywa, jest okropny. Jest jeszcze o wiele więcej, ale później ci o tym opowiem. – Patrzą na ścianę okien i przechodniów, chodzących w deszczu, tak jakby to był słoneczny dzień. – Ale dzwonisz, żeby pogawędzić czy czegoś potrzebujesz?

– Dzwonię, bo twoja matka suszyła mi głowę, żebym się dowiedział, kiedy wracasz do domu, i żebym przekazał ci kilka informacji.

– To dlaczego sama nie zadzwoniła?

– Och, znasz swoją matkę. Nie chciała ci truć.

– Więc truła tobie.

– Jak już powiedziałem, znasz swoją matkę. – Śmieję się, on też, a potem mówi dalej: – Masz pod ręką coś do pisania?

Wyjmuję z torby jakiś stary paragon i go odwracam.

– Dawaj.

– No dobrze, zobaczymy... – Słyszę szelest i odgłos przekładanych papierów i wyobrażam sobie ojca, zakładającego na nos okulary do czytania i sprawdzającego swoją listę. – Claire Masters z Lake Forrest dzwoniła, żeby zapytać, jak się czujesz, tak samo jak Elizabeth, Lisa i Christy, które były zmartwione, że nie odzywałaś się od czasu nabożeństwa. Zakładam, że masz

numery do nich wszystkich?

– Tak. Później wyślę im wiadomości.

– Na pewno się ucieszą. Leslie Thomas kazała ci przekazać, że bardzo przeprasza i że jeśli z nią porozmawiasz, poda ci nazwisko, które chcesz usłyszeć. Coś o kelnerce na wieczorne kawalerskim, czy to ma sens?

– Niestety, tak. Zostawiła jakiś numer? – Tata mi go podaje, a potem przechodzi do kolejnej informacji. – Dzwonił Evan Sheffield i powiedział, że przykro mu, że nie było cię na spotkaniu rodzin i przyjaciół, ale chce mieć pewność, że będziesz informowana o wszystkim na bieżąco. Brzmiał sensownie. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko, ale podałem mu twój adres e-mail.

– W porządku. Po nabożeństwie obiecałam mu, że się z nim skontaktuję, a potem zapomniałam.

– A dzisiaj po południu wpadł do nas Corban Hayes. Zachowywał się, jakby dość dobrze znał ciebie i Willa.

– Owszem. Z nim też rozmawiałam podczas nabożeństwa. Pamiętasz? Jest przyjacielem Willa z siłowni.

– Tak powiedział. I przyniósł pudełko z jakimiś rzeczami. Kilkoma książkami, które swego czasu pożyczył od Willa, zdjęcia, koszulkę z jakiegoś biegu, w którym brali razem udział, takie tam. Powiedział, że chce, żebyś to miała.

– To miło z jego strony – mówię i nagle coś przychodzi mi do głowy. – Nie powiedziałaś nikomu, że jestem w Seattle, prawda? – Nie, żeby myślała, że którakolwiek z osób, które do mnie dzwoniły, mogłyby być tajemniczym nadawcą wiadomości, ale muszę spytać o to tatę. Jeśli mój ojciec opowiadał wszystkim, którzy dzwoniли lub wpadali do mojego domu, że jestem w Seattle, to nie dam rady zawęzić grupy podejrzanych.

– Nie, nie wydaje mi się. A co?

– Pomyśl, tato. To bardzo ważne.

Waha się, ale tylko na sekundę lub dwie.

– Nie, jestem przekonany, że nie mówiłem nic innego poza tym, że wyjechałaś na kilka dni i że ja i twoja matka pilnujemy domu. A teraz, proszę, powiedz mi, dlaczego mnie o to pytasz?

Dave siada na krześle naprzeciwko mnie i podnosi kciuk na znak zwycięstwa. Kiwam głową, a potem opowiadam ojcu o wiadomościach z zastrzeżonego numeru telefonu. Że ten, kto wie, że tutaj jestem, wie również, że ja i Dave chcemy poznać szczegóły przeszłości Willa. I że ten ktoś twierdzi nawet, że wie, czego szukam, i że szukam w niewłaściwym miejscu.

Głos mojego ojca staje się głęboki i śmiertelnie groźny – pozostałości po czasie spędzonym w wojsku.

– Iris, nie podoba mi się to. Ten, kto wysłała te wiadomości, może śledzić cię dzięki twojej komórce. Co oznacza, że nie tylko wie, że jesteś w Seattle, lecz także, że wie, że w tej chwili siedzisz na komisariacie.

– No cóż, przynajmniej jesteśmy tutaj bezpieczni – mówię, ale mój żart jest kiepski. Tata mruczy coś przez chwilę, a Dave ściąga brwi. – Tato, poważnie, nic nam nie jest. W tych wiadomościach nie było grożenia, tylko... naleganie, żebyśmy wrócili do domu, co prawdopodobnie uczynimy już jutro. Wygląda na to, że tu dotarliśmy już do ściany.

– To dobrze. Twoja matka z pewnością się ucieszy.

Słyszę głos matki tak wyraźnie, jakby siedziała tacie na kolanach.

– Z czego się ucieszę, skarbie?

– Że dzieci jutro wracają. – Mama mówi coś jeszcze, ale tego nie rozumiem, a mój ojciec wzdycha. – Chce wiedzieć, czy jecie.

– Tak – odpowiadam i nie do końca jest to kłamstwo. Jadłam. Tylko nie wszystko udało mi się utrzymać w żołądku. Zmieniam temat. – Coś jeszcze?

– Ta. Nick Brackman dzwonił cztery razy.

Zamieram. Nick jest szefem Willa, człowiekiem, którego spotkałam tylko kilka razy w AppSec, i to tak dawno temu, że kiedy podszedł do mnie na nabożeństwie, poznałam go dopiero po kilku minutach. Kiedy się zorientowałam, kim jest, już sobie poszedł.

– Czego chciał?

– Nie powiedział, ale wydaje mi się, że to dość pilne. Zostawił swój numer telefonu i poprosił, żebyś natychmiast do niego

zadzwoiła, o każdej porze dnia i nocy. Odbierze bez względu na porę. – Ojciec podaje mi numer i zapisuję go na paragonie. – Skarbie, jeszcze jedno.

Coś w tonie jego głosu sprawia, że natychmiast jestem przerażona i jednocześnie robi mi się gorąco i zimno.

– Okej...

Przerywa, żeby odchrząknąć, jest to opóźnienie, które sprawia, że przesuвам się na krawędź krzesła.

– Tato! Po prostu mi to powiedz.

– Dzisiaj rano dzwoniła Ann Margaret Myers. – Na dźwięk tego nazwiska łapię podłokietnik tak mocno, że prawie łamię go na pół. – Kochanie, na miejscu katastrofy znaleziono obrączkę Willa.

Jakimś cudem Dave’owi udaje się załatwić dwa miejsca w pierwszej klasie w samolocie do Atlanty, gdzie, zdaniem mojego ojca, na blacie w mojej łazience leży obrączka Willa w zapieczętowanej kopercie Liberty Airlines. Według Ann Margaret nie ma na niej zadrapania, nawet najmniejszej ryski. Myślę o sile, która musiała zerwać obrączkę z jego palca, wyobrażam sobie kawałek platyny wznoszącej się do nieba i odbijającej się od tyczek na polu kukurydzy niczym w automacie do pinballa, a mimo to obrączka wygląda jak nowa. Pech, powiedziała, awaria sprawiła, że ten samolot spadł.

Wzdycham i patrzę przez okno, w noc i na asfalt Seattle. Wirujące żółte światła odbijają się od mokrych powierzchni pod mną, przez okulary przeciwsłoneczne do moich opuchniętych oczu docierają przygaszone smugi światła. Wiem, że muszę wyglądać absurdalnie, założyłam okulary przeciwsłoneczne w nocy niczym jakaś niedoszła raperka, ale to jedyny sposób na ukrycie łez, jaki przychodzi mi do głowy. Płaczę od czasu, gdy tata powiedział mi, że znaleźli obrączkę Willa, tę z moim imieniem wygrawerowanym od środka.

Przez ostatnie siedem dni miałam nadzieję. Wmawiałam sobie, że Will nie jest martwy, nie tak naprawdę, nie aż do momentu, gdy będę miała dowód. Będzie martwy dopiero, gdy znajdą jakiś

jego fragment na miejscu katastrofy. Uczepiłam się nadziei oburącz, a nawet zacisnęłam na niej pięści, bo dni mijały, a nadzieja zaczęła wyślizgiwać się spomiędzy moich palców. A potem telefon z Liberty Airlines ukradł moją nadzieję i odebrał mi męża – miłość mojego życia, przyszłego ojca moich dzieci – po raz drugi. Tym razem jednak strata zdaje się bardziej rzeczywista i pali niczym płomienie, pochłaniające moje serce.

Dave owija palcami lodowatą szklankę, a potem wciska mi w dłoń jakąś niebieską tabletkę.

– To nie tylko zablokuje twoje zmysły, lecz także twój sen będzie głęboki i spokojny aż do samego domu.

Jeśli można spodziewać się jednej rzeczy po obytym w świecie i mieszkającym w mieście geju, to tego, że ma dobre leki. Bez wahania połykam tabletkę.

A potem odwracam się do okna, przyciskam czoło do szyby i czekam na pozbawiony zmysłów i czucia sen.

Rozdział siedemnasty

Jesteśmy w połowie schodów, gdy mama otwiera drzwi i wychodzi na ganek w swoim szlafroku.

– *Lieverds!* Witajcie w domu.

Wylądowaliśmy niewiele ponad godzinę temu, nadal boli mnie głowa i jestem półprzytomna od tabletki Dave'a. Ale ważniejsze jest to, co, jak powiedział tata, czeka na mnie w mojej łazience na blacie. Obrączka Willa jest niczym żyjąca, oddychająca obecność w tym domu, wzywa mnie do siebie jak latarnia morska. Mam do zrobienia milion rzeczy, długą listę osób, do których muszę zadzwonić, a jedyne, o czym jestem w stanie myśleć, to obrączka.

Zmuszam się do czegoś, co w moim odczuciu jest przyjemnym uśmiechem.

– Cześć, mammo.

Patrzy zmartwionym wzrokiem na Dave'a, a potem prowadzi mnie po schodach. Nie muszę się odwracać, żeby wiedzieć, że Dave daje jej gestem znać, by się cofnęła i dała mi trochę przestrzeni. Wyraz jej twarzy bardzo mnie porusza, przypominam sobie Boże Narodzenie, które było przecież nie tak dawno, gdy wypłała trochę za dużo ajerkoniaku i przyznała, że przy mnie i przy Davie czuje się czasem jak porzucona kochanka. Strasznie chce nawiązać z nami taką relację, jaką mamy między sobą. Teraz ma taką samą minę jak wtedy. Wchodzę na górę i się do niej przytulam, tonę w jej objęciach, co nieczęsto się zdarza, a jej ciało trzęsie się z frustracji. Moja matka lubi wszystko naprawiać, a moje życie zamieniło się w tragedię, której nie może naprawić.

– Moje kochane, kochane dziecko – szepcze mi we włosy.

Odsuwam się od niej, prowadzi mnie do holu, gdzie w piżamach stoją tata i James. Tata obejmuje mnie ramieniem, podczas gdy James przytula Dave'a tak mocno, jakby nie było go trzy miesiące zamiast trzech dni. Widzę to i w splot słoneczny uderza mnie coś

nieprzyjemnego. To tak to teraz będzie? Zgorzknienie, gniew oraz zazdrość za każdym razem, kiedy zobaczę, jak inna para się całuje? Przełykam te uczucia i w duchu składam przysięgę. To moja tragedia i nie będę nikomu zazdrościć jego szczęścia, a już na pewno nie Dave'owi.

– Śniadanie będzie gotowe za piętnaście minut – mówi mama.

Nie mam serca powiedzieć jej, że w samolocie zjadłam gumowatą kanapkę z jajkiem. Biorę postawioną przez Dave'a na podłodze torbę i idę na górę.

– Tylko wezmę szybki prysznic. Jeśli nie będzie mnie za długo, zaczniście jeść beze mnie.

Kiwa głową ze zmartwieniem.

Wciągam swoje ciężkie ciało po schodach i toczę się korytarzem do mojego pokoju. Widzę, że mama wszystko wypucowała. Drewno lśni, okna błyszczą, nawet pościel została wyprana, łóżka pościelone, a ich rogi wciśnięte mocniej niż w szpitalu. Rzucam wszystko w nogi łóżka i przejeżdżam palcem po kołdrze, wdycham mocny zapach mojego ulubionego kwiatu, lilii Stargazer, stojącej w wazonach i miskach, gdziekolwiek spojrzeć. Na obu stolikach nocnych, na stoliku pod telewizor, na stoliku przy fotelu do czytania obok okna. Musiała wydać na to majątek.

W łazience koperta leży na mojej toaletce niczym kawałek kryptonitu. Idę powoli po płytkach, delikatnie przesuwam palce w stronę sztywnego papieru, wreszcie wkładam je do środka i znajduję chłodny metal.

Wiem, że to obrączka Willa, jeszcze zanim ją wyjmuję. Wiem to po młotkowanym wykończeniu, po wadze i grubości metalu, po sposobie, w jaki wślizguje się na mój kciuk i trafia w idealne miejsce między stawem a podstawą. Zatyka mnie, gdy czytam napis, małe literki, za które jubiler w Buckhead policzył jak za zboże: Dla mojej ulubionej osoby, xo, Iris.

Moje serce zalewa nowa fala smutku, uderza mocno, odkręcam wodę pod prysznicem i wchodzę pod strumień w pełnym ubraniu. Myślę o dniu, w którym założyłam tę obrączkę na guzkowaty palec Willa, o emocjach, które ścisnęło moje gardło, gdy wypowiedaliśmy słowa przysięgi, o sposobie, w jaki mną

zakręcił, tak mocno, że miałam wrażenie, że moje serce zaraz wybuchnie ze szczęścia. To był idealny dzień, pierwszy z reszty idealnych dni w naszym idealnym życiu. Jakże ja miałam szczęście, że znalazłam tego człowieka, moją drugą połówkę, moją ulubioną osobę na tej pełnej obcych planecie? Wiedziałam wtedy, że nasza miłość będzie trwać do końca życia.

Czyli siedem lat i jeden dzień.

Mówię sobie, że powinnam być wdzięczna, że powinnam pielęgnować każdą wspólną sekundę, gdy jednak na głowę leje mi się wrząca woda, jedyne, o czym jestem w stanie myśleć, to więcej.

Cholera, chciałam więcej.

Zanim zdejmuję z siebie ubranie i wyłączam wodę, moja skóra robi się czerwona, opuszki palców się pomarszczyły i są białe i jestem spóźniona na śniadanie dobre pół godziny. Wyobrażam sobie mamę na dole w kuchni, trzymającą patelnię z grubymi naleśnikami i patrzącą tęsknie w sufit. Wiem, że powinnam tam zejść, ale nie mogę. Bezwładność jest tak gęsta i lepka jak lep na muchy. Zostawiam mokre ubrania na podłodze pod prysznicem, owijam się ręcznikiem i siadam na taborecie przy toalecie, przyglądając się mojej twarzy w lustrze.

Opuchnięte oczy. Ciemne cienie pod nimi. Błada, wręcz zielona cera i zapadnięte policzki. To nie w porządku, że utrata męża oznacza utratę piękna. Mało straciłam? Mało mam problemów? Wdowy powinny mieć różane policzki i lśniąca cerę – tak w ramach rekompensaty.

Sięgam po słoiczek z balsamem, trącam łokciem kopertę z Liberty Airlines i zauważam, że pod spodem jest jeszcze jedna, mniejsza. Zwyczajna niewielka koperta w niebieskim odcieniu, ogólnie dostępna i tania. Moje nazwisko i adres są zapisane wielkimi literami z przodu, pod słowami „Osobiste” i „Poufne”. Odwracam ją, wsadzam palec pod skrzydełko i ją rozrywam.

Arkusz papieru wewnątrz mógł pochodzić z miliona różnych notesów, zakupionych w milionie różnych sklepów. Ale te cztery

słowa, napisane charakterem pisma znanym mi tak dobrze jak własne, sprawiają, że z moich płuc ucieka powietrze.

Tak bardzo mi przykro.

W moją pierś uderza gorąco. Ściągam kopertę z blatu i sprawdzam stempel pocztowy. List został wysłany dwa dni temu, 8 kwietnia. Katastrofa miała miejsce 3 kwietnia. To pięć dni po katastrofie.

Po katastrofie. Po niej.

A mimo to ten liścik został napisany ręką mojego męża. Jestem tego pewna. Pismo pod kątem, niedbałe przejścia, zbyt długi ogonek w ostatniej literze. Nawet plamy atramentu pochodzą z ulubionego atramentu Willa.

Ktoś kilkakrotnie puka do drzwi, zza rogu słyszę głos Dave'a.

– Iris, jesteś ubrana?

Odnajduję głos dopiero po kilku chwilach.

– Wchodź.

Nade mną w lustrze pojawia się twarz mojego brata, patrzy mi w oczy, jest zmartwiony.

– Czy to jego...?

Najpierw myślę, że chodzi mu o liścik, chociaż dopiero go otworzyłam i nie może mieć o nim pojęcia.

– Co?

– Obrączka. Zakładam, że należała do Willa?

A, prawda. Obrączka. Macham kciukiem, czuję twardej metal, wbijający mi się w skórę.

– Tak. Należy do niego.

– Jezu, Iris, tak strasznie mi przykro. Miałem nadzieję... – Podchodzi bliżej, kładzie dłoń na moim nadal wilgotnym ramieniu. – Wiem, że ty też miałeś nadzieję.

Mogę tylko kiwnąć głową. Patrzy na mnie dziwnie, a ja podaję mu kartkę.

– Co to jest?

– Liścik. – Mój głos drży, tak samo jak moje ciało, emocje płyną przeze mnie tak szybko, że wibrują mi wszystkie mięśnie. –

Sądzę, że napisał go Will.

– Okej... – Pochyliła głowę i czyta liścik. – Przykro z powodu czego?

– Nie wiem. – Podaję mu kopertę i pozwalam, żeby sam wszystko policzył.

Nie zajmuje mu to zbyt wiele czasu. Dostrzega stempel pocztowy, gwałtownie podnosi głowę i otwiera szerzej oczy.

– Kto ci to przysłał? – Wzruszam ramionami. – Jest pieczęć Fulton County, czyli list jest miejscowy.

Dave bełkocze coś przez kilka sekund, a potem ogarnia go złość.

– Czy to jest jakiś chory żart? – Potrząsa liścikiem nad moją głową, jego twarz robi się fioletowa. – To jakiś wariat. Ten, kto przysłał ci liścik od zmarłego męża, jest psychopatą, wiesz o tym, prawda?

Kiwam głową.

– Ale z całą pewnością jest to charakter pisma Willa.

– Ale przecież stempel jest sprzed dwóch dni! – ryczy, patrząc wściekle na moje odbicie w lustrze, tak jakbym to ja wrzuciła ten list do skrzynki pocztowej w Atlancie. – Jakim cudem Will mógł to napisać?

– Musiał to zrobić, zanim zginął.

– To kto to wysłał?

Gniew Dave'a wzbudza mój własny gniew.

– Nie wiem! – odkrzykuję, w moich słowach jest pełno wściekłości i frustracji. Jestem zszokowana po otrzymaniu liściku napisanego charakterem pisma mojego zmarłego męża.

W łazience zapada cisza.

Za mną Dave wciąga powietrze i wypuszcza je długo i powoli, rozluźnia ramiona i robi spokojniejszą minę.

– Przepraszam. Przepraszam, ale jestem wkurzony, rozumiesz? Przeszedłem w tryb starszego brata, bo ten, kto ci to przysłał, może mieć tylko jeden cel – zamącić ci w głowie.

Śmieję się, ale to wcale nie jest zabawne.

– Nic mu nie mów, ale to działa.

Kolejne ciężkie westchnienie.

– W porządku. Zastanówmy się nad tym. „Tak bardzo mi

przykro” jest na tyle pospolitym wyrażeniem, że może zostać wypowiedziane do każdego, ale zapisanie tych słów na kartce i wysłanie ich... To musi być ktoś, kogo całkiem nieźle znał. Może ktoś, z kim pracował?

– Najprawdopodobniej. Gdy Willa nie było w domu, to siedział w pracy. Albo tam, albo na siłowni... – przetykam to słowo, gdy nagle wszystko sobie uświadamiam, odwracam się na taborecie i patrzę na Dave’a. – Corban.

– Kto?

– Ten przyjaciel z siłowni. Ten, który zjawił się na nabożeństwie z informacją o pracy, która nie istnieje. Nie wiem, czy kłamał, czy został źle poinformowany, ale było w nim coś nie tak, głównie dlatego, że wiedział te wszystkie rzeczy o Willu, a ja nigdy o gościu nie słyszałam. Will w ogóle o nim nie mówił. Ani razu.

– W porządku. – Dave kiwa głową. – Zdecydowanie podejrzane. Jak więc dowiemy się, czy to on to wysłał?

Zastanawiam się chwilę, ale niemal natychmiast wpadam na pewien pomysł.

– Zadzwońię do niego, zaproponuję kawę, powiem, że chcę lepiej go poznać.

– Chyba mnie nie słuchałaś. Powiedziałem „my”. Jak my się dowiemy.

Kręcę głową.

– Nie otworzy się przede mną, jeśli choćby przez sekundę będzie podejrzewać, że chcemy go sprawdzić – a tak właśnie będzie to wyglądało, jeśli przyprowadzę ze sobą przyzwoitkę. Dave, jestem psychologiem. Wiem, jak sprawić, by ludzie przewracali się i pokazywali mi swoje podbrzusze. Najpierw jednak muszę zbudować zaufanie, a nie da się tego zrobić, jeśli cały czas będziesz mu się groźnie przyglądać ponad moim ramieniem.

– Nie podoba mi się to. – W jego głosie ponownie pojawia się gniew. – Jeśli on jest naszym facetem...

– Jeśli jest naszym facetem, to twoja obecność tam z pewnością go uciszy. I zapewni mi bardzo mały kredyt zaufania. Nie jestem głupia. Zasugeruję miejsce publiczne, takie, w którym dookoła

kręcą się miliony osób. Nic się nie wydarzy. Dam sobie radę. I bez urazy, ale nie możesz powiedzieć nic, co byłoby teraz w stanie mnie powstrzymać.

Mój brat myśli o tym przez sekundę lub dwie, szybko oddycha przez nos.

– Dobrze, ale zgadzam się tylko pod warunkiem, że jeśli to on jest gościem, którego szukamy, pozwolisz mi skopać mu tyłek.

Nie mówię mu, że nie ma szans, bo Corban jest zbudowany jak czołg. Nie przypominam mu, że w dziesiątej klasie nauczyciel od wufu powiedział mu, że bije się jak dziewczyna. Kiwam głową i sięgam po jego rękę, myśląc, że jeszcze nigdy nie kochałam mojego brata bardziej niż w tej chwili.

Rozdział osiemnasty

Gdy stoję w drzwiach, Corban siedzi na stołku barowym przy oknie w Octane, modnej kawiarni po zachodniej stronie Atlanty. Miejsce jest pełne nerdów i długowłosych hipsterów, od czasu do czasu można też spotkać kilku studentów ze śródmiejskich uczelni – wszyscy mają wyjęte macbooki air. Corban zerka na mnie znad swojego telefonu i wita mnie szybkim, oślepiającym uśmiechem.

– Cześć, Iris.

Macham do niego, a potem wskazuję blat.

– Może ci coś przynieść?

Podnosi do góry ceramiczny kubek, nad którym unosi się para.

– Nic nie trzeba, dziękuję.

Ruszam w stronę lady i składam zamówienie u dziewczyny z dredami. Obserwuję Corbana kątem oka. Zapomniałam już, jaki jest ciemny i... lśniący. Ma gładko wygoloną głowę, zgrabne i gładkie ramiona, wypychające koszulkę.

Siłą rzeczy zauważam również, że jest przystojny – tacy mężczyźni występują w błyszczących czasopismach i na czerwonych dywanach. Jest raczej swobodnie ubrany w dopasowaną koszulkę i designerskie džinsy, ale nosi je z taką elegancją, jakby były garniturem, idealnym dla jego szczupłej sylwetki. W dzień nabożeństwa byłam zbyt zrozpaczona, by przywiązywać wagę do jego wyglądu, ale teraz go zauważam. I nie jestem jedyna. Sądząc po spojrzeniach wysyłanych w jego stronę znad kubków z kawą, każda kobieta w tej kawiarni go dostrzegła i teraz próbuje zwrócić na siebie jego uwagę. Gdy idę w jego stronę, część klientek mruży oczy.

Odstawiam picie na blat i pozwalam się przytulić, miękka bawełna koszulki osłania twarde jak stal mięśnie. Pachnie detergentem i płynem po goleniu, zapach jest ostry i drażni moją krtań.

– Jak to dobrze ponownie cię widzieć. Jak się trzymasz? – Przyjazny. Empatyczny. Szczery. Jeśli to ten facet kryje się za liścikiem, jeśli jest w stanie torturować wdowę napisaną odręcznie notką od jej zmarłego męża, to zasługuje na Oscara za grę aktorską. To jednak nie oznacza, że pozwałam uspić swoją czujność. Na świecie jest dużo dobrych aktorów, nie wszyscy z nich mieszkają w Hollywood.

Siadam na stołku i wieszam torebkę na haczyku pod blatem.

– Na tyle dobrze, na ile da się w tej sytuacji. Dzięki za spotkanie i za to, że przyniosłeś pudełko z rzeczami Willa. Najbardziej podobały mi się płyty ze zdjęciami.

Większość zdjęć widziałam wcześniej na telefonie Willa lub Facebooku, ale było kilka nowych ujęć, niepozowane zdjęcia z Corbanem i innymi kolegami z siłowni, ich twarze lśniące od potu, obejmowali się ramionami. Zrelaksowane uśmiechy i pozycje mówiły mi, że przyjaźń tych dwóch mężczyzn wykraczała poza okazjonalne ćwiczenia. Na ich widok ponownie odczuwałam ból w klatce piersiowej. Dlaczego Will zataił przede mną tę część swojego życia?

– Will był dobrym przyjacielem. Najlepszym – mówi Corban, w jego głosie słychać ogromny żal – łapie kolejne punkty. – Tęsknię za nim jak cholera.

– Ja też. – Przetykam kluchę w gardle i łajam się w myśli za to, że dałam się podpuścić. Nie pozwolę, żeby tak sobie ze mną pogrywał, nie dopóki nie będę pewna, że to nie on wysłał mi ten liścik. Obejmuję dłonią filiżankę z herbatą, gładzę palcem uszko i zbieram się do kupy.

– W gazecie napisano, że zaczęto wydobywać ciała z miejsca katastrofy i że niektóre rodziny otrzymały już osobiste rzeczy ofiar.

Kiwam głową i wolną ręką dotykam miejsca, w którym na łańcuszku wisi obrączka Willa, tuż nad moim sercem. Moje emocje trafiają na niebezpieczne terytorium, a oczy – cholera – wypełniają się łzami.

– Jezus, Iris. Nie jestem nawet w stanie wyobrazić sobie, jak bardzo jest to dla ciebie trudne. – Łapie mnie za łokieć

i delikatnie go ściska. – *Tak bardzo mi przykro.*

Tak bardzo mi przykro. Dokładne te same słowa co w liściku Willa.

Chociaż słowa te są bardzo popularne, czuję, że wybucha we mnie lód, mrużę oczy i wpatruję się w moją herbatę. Czy było to zamierzone? Przypadek? Myśl, że ten człowiek wysłał mi tę notatkę, a następnie drażni się ze mną, mówiąc mi te same słowa prosto w twarz, włazi mi pod skórę niczym owad. Piję herbatę, ale gorący płyn tylko zalewa mój żołądek ogniem. Czy Corban mógłby być tak okrutny? Czy ktokolwiek mógłby być tak okrutny?

– Wszystko w porządku?

Jego troska, choć wyglądająca na prawdziwą, każe mi wziąć się w garść i odpowiednio poprowadzić tę rozmowę. Uspokajam się i odstawiam herbatę na podstawek.

– Tak. Ale zaprosiłam cię tutaj, bo chciałam ci coś powiedzieć. – Przerywam, czekając, aż kiwnie głową. – Zadzwoiłam do ESP, firmy, o której mówiłeś, że ponoć zaproponowała Willowi nową pracę. Rozmawiałam z ich szefową działu kadr. Nie знаła Willa i co więcej, powiedziała mi, że ostatni nabór na to stanowisko odbył się osiem miesięcy temu.

– Ja nie... – Corban cały czas się we mnie wpatruje, a jego ciemne brwi – będące z rzęsami jedynymi włosami na jego głowie – tworzą ostre V. – Czy ty mi mówisz, że Will nie dostał nowej pracy w Seattle?

– Właśnie tak.

– Ale... Nie rozumiem. Po co miałby karmić mnie historyjką na temat nowej pracy na Zachodnim Wybrzeżu, skoro to nie była prawda? Po kiego diabła miałby mi opowiadać o nowych superkolegach, których będzie mieć, i o tych wszystkich superrzeczach, jakie będą robić na wycieczkach? Powiedział mi, że zabiorą go na skoki spadochronowe, a na budynku firmy jest tyrolka. Przecież to są konkretne szczegóły. Po co miałby to wszystko zmyślać?

– Wcale tego nie zmyślił. Jestem pewna, że zaczerpnął te informacje ze strony internetowej ESP.

– Ale nowa praca, przeprowadzka na Zachodnie Wybrzeże, jego obawy, że nie będziesz chciała opuszczać swojej rodziny... To wszystko było zmyślane?

– Najwyraźniej.

Marszczy czoło jeszcze bardziej, w jego oczach błyska coś, co zdaje mi się rozczarowaniem. Jego przyjaciel, ten, za którym tak strasznie tęskni, go okłamał. Wygląda na naprawdę urażonego, zmieniam więc temat.

– Czy kiedykolwiek powiedział ci, skąd pochodzi?

Corban próbuje strząsnąć z siebie cios, krzyżuje pod barem nogi w czerwonych converse'ach.

– Och, no pewnie. Mam kilku kuzynów w Memphis, więc ja i Will zawsze wszystko porównywaliśmy. Okazało się, że obracaliśmy się w tym samym środowisku.

– Will pochodzi z Seattle.

– W porządku. – Corban przeciąga słowo, jakby chciał się ze mną drażnić, jednak przestaje poruszać nogami. – Ale potem przeprowadził się do Memphis, gdy miał ile, pięć lat? Sześć? Wiem na pewno, że był wtedy jeszcze dzieckiem. Poszedł do Central, wielkiego konkurenta szkoły, do której uczęszczali moi kuzyni.

– Will chodził do Hancock High. W Seattle.

Na dłuższy czas odejmuje mu mowę. Cisza między nami podkreśla odgłosy dobiegające z kawiarni. Jego twarz robi się płaska, jakby z całych sił przywalił w drzwi.

– Jesteś pewna?

– Absolutnie. Mam na dowód kronikę szkolną.

– W porządku. To... – Przejeżdża dłonią po swej lśniącej czaszce i widzę, że intensywnie rozmyśla, próbuje złożyć wszystkie elementy układanki. Fakt, że do siebie nie pasują, zbił go z tropu.

– Przepraszam, ale muszę o to spytać. To po co te wszystkie kłamstwa?

– Tego właśnie próbuję się dowiedzieć. Ale jeśli poczujesz się lepiej, mnie też je opowiadał.

Przekrzywia głowę.

– Ty też myślałaś, że on pochodzi z Memphis?

– Tak.

– A teraz dowiedziałaś się o Seattle?

Nie widzę powodu, dla którego miałabym mu o tym nie mówić, chociaż staram się, by moja odpowiedź była wyważona.

– Otrzymałam kartę kondolencyjną od rocznika 1999. I jedno poprowadziło mnie do drugiego.

Kiwa głową, a potem zamiera na kilka chwil.

– W porządku. Czyli z jednej strony jestem bardziej zaskoczony i zmieszany niż kiedykolwiek, ale z drugiej – chociaż zabrzmiało to dziwnie – to wszystko zaczyna mieć sens.

– O czym ty mówisz?

– O zachowaniu Willa w ostatnim czasie. Zdawał się taki... rozproszony i nie wiem, wyłączony. Humorzysty i strasznie zestresowany. Kilka tygodni temu jakiś facet na siłowni kazał mu wytrzeć po sobie sprzęt i Will stracił nad sobą panowanie. Zaczął krzyczeć i wymachiwać pięściami, tak że musiałem dosłownie wyciągnąć go na zewnątrz i uspokoić. Nigdy nie widziałem go w takim stanie. Teraz zastanawiam się, czy jedno nie ma nic wspólnego z drugim. Może zachowywał się dziwnie przez te wszystkie kłamstwa, a może kłamstwa miały być przykrywką dla czegoś innego. Czy to ma jakiś sens?

Nagle w mojej piersi wzbiera mnóstwo emocji, na czoło wysuwa się znajomy ból.

– Niestety, ma to sens.

– Tobie też wyglądał na zestresowanego?

Wydarzenia z ostatniego miesiąca migają mi w głowie jak pokaz slajdów. Kiedy na przykład ja robiłam obiad, a on chodził po ogrodzie z komórką przyciśniętą do ucha i skrzywioną twarzą i rozmawiał z kimś, kogo nazywał „kolegą”. Albo gdy zeszłam na dół i zobaczyłam, że siedzi w swoim samochodzie na podjeździe i przez dobre dwadzieścia minut gapi się przed siebie. Albo gdy przewracam się w łóżku na drugi bok i widzę, że nie śpi, że obserwuje mnie z wyrazem twarzy, którego nigdy u niego nie widziałam i którego nie potrafię zidentyfikować. Kiedy go spytałam, co się dzieje, w odpowiedzi zaczął się ze mną kochać.

Ale miasto Atlanta właśnie stało się klientem AppSec i zespół

Willa pracował pod ogromną presją. Mówił, że zachowuje się tak przez stres w pracy, a ja cały czas mu wierzyłam. A może po prostu chciałam mu wierzyć.

Ale teraz? Teraz jestem pewna, że działo się coś jeszcze. Coś, co zmusiło Willa do wejścia na pokład samolotu do Seattle.

– Znałaś go lepiej niż ktokolwiek inny – mówi Corban. – Jak myślisz, co się działo?

Przez dłuższą chwilę zastanawiam się nad jego pytaniem, przyglądam mu się pod każdym możliwym kątem. Myślę o niepełnej przeszłości Willa, o zniszczeniu, jakie pozostawił za sobą w Seattle. O śmiertelnym ogniu, który spalił budynek i przedwcześnie posłał do grobu matkę Willa i dwoje niewinnych dzieci. O jego ojcu, samotnym i przykutym do łóżka w państwowym zakładzie opieki. A przecież w jego życiu na pewno było o wiele więcej ludzi. Ilu jeszcze?

Dopijam herbatę i patrzę na wirujące na jej dnie fusy.

– Wydaje mi się, że coś – albo, co o wiele bardziej prawdopodobne, ktoś – z jego przeszłości wróciło, żeby go prześladować. To chyba dlatego tak dziwnie się zachowywał i to dlatego wsiadł do samolotu do Seattle.

Corban nie odpowiada. Patrzę na niego i widzę, że znieruchomiał.

– Co?

– Miałem ci tego nie mówić, ale teraz, po usłyszeniu twoich słów, czuję, że muszę. – Przerywa i patrzy na mnie oczami tak czarnymi, że nie jestem w stanie odróżnić jego tęczy od źrenicy. – Dwa dni przed katastrofą Will poprosił mnie o przysługę. Kazał mi przysiąc na grób mojej matki, że to zrobię.

Zamiera, podobnie jak moje serce.

– Że co zrobisz?

– Obiecałem, że jeśli cokolwiek mu się stanie, to się tobą zaopiekuję.

Wracam do domu i widzę górę toreb z Lowe's w przedpokoju. Mój ojciec klęczy, trzyma w ręce wiertarkę, ma na sobie pas

z narzędziami.

– Co się dzieje?

– Reflektory przy dwóch parach drzwi, to się dzieje. – Wkłada rękę do jednej z toreb i wyciąga kilka włączników światła. – Zamontuję je od wewnątrz, ale na zewnątrz jest czujnik ruchu. Każdy, kto zbliży się na trzy metry do domu, zostanie skąpany w świetle. Dosłownie.

– To przez ten list?

– Przez list, wiadomości i fakt, że mieszkasz w jednym z dwunastu najniebezpieczniejszych miast w tym kraju. Poza tym zmieniam ci zamki, zakładam dodatkowe zasuwki i łańcuchy. A później ma przyjechać firma ochroniarska, żeby podłączyć twój system do ich monitoringu.

Mama wychodzi z salonu, pod pachą niesie książkę.

– Poprosiłam go również, żeby naprawił drzwi wejściowe, przykleił luźną deskę przy stole kuchennym i wymienił to gumowe w toalecie na korytarzu, z której leje się woda.

– Zawór – mówi tata i wstaje. – Poprosiła mnie, żebym wymienił gumowy zawór. Kupiłem ich tyle, że wymienię wszystkie. Podziękujesz mi, kiedy dostaniesz następny rachunek za wodę.

– Teraz też chcę ci podziękować – mówię i wychodzi mi to trochę niepewnie, bo tak naprawdę to mam ochotę się rozplakać, że Will nigdy sam tego nie zrobił, że nie zajął się załatwianiem spraw z listy. Jakie były dwa ostatnie punkty, o których mówił naszego ostatniego wspólnego poranka w łóżku? Przypomnienie sobie ich zajmuje mi kilka sekund – filtry w klimatyzacji i olej w samochodzie. Postanawiam, że sama się tym zajmę.

Mój ojciec ugina kolana i patrzy mi w oczy.

– Skarbie, jeśli martwisz się kosztami, to ja i twoja matka je pokryjemy. Będziemy czuli się lepiej, gdy będziesz bezpieczna i podłączona do systemu alarmowego, zwłaszcza teraz, gdy... Zwłaszcza teraz.

Wiem, co miał zamiar powiedzieć: zwłaszcza teraz, gdy nie ma Willa. Wygląda na tak zrozpaczonego i zmartwionego, że obejmuję go w pasie i mocno go przytulam, w moich oczach

pojawiają się świeże łyzy.

– Teraz, gdy będę mieszkała tutaj sama, też będę czuła się lepiej z systemem alarmowym. Dziękuję. Ale nie chcę, żebyście płacili.

– No to mamy to ustalone. – Całuje mnie w głowę i wyswabadza się z moich objęć, wyjmując wiertarkę spomiędzy toreb. Wcisną guzik, rozlega się buczenie, ale po chwili zdejmując palec z przycisku. – Prawie zapomniałem. Gdy cię nie było, szef Willa zostawił kolejną wiadomość. Chyba już piątą albo szóstą. Zakładam, że nie miałaś jeszcze okazji do niego oddzwonić?

Kręcę głową. Odkąd otrzymałam obrączkę Willa, nie poświęcałam uwagi ani Nickowi, ani żadnej z dzwoniących do mnie osób.

– Skarbie, lepiej się z nim skontaktuj, to chyba ważne. – Zakładam, że Nick chce omówić ze mną jakieś sprawy finansowe czy logistyczne, a z takimi kwestiami nikt nie chce zbyt długo czekać. – Wiem, że to nieprzyjemne, ale masz kredyt hipoteczny do spłacenia i będziesz musiała robić to teraz z jednej pensji.

– Chodź. – Mama łapie mnie za łokieć i prowadzi korytarzem. – Zadzwoń do tego Nicka, a ja w tym czasie zaparzę nam herbaty. Ach, mam też brownies, o ile chłopcy jeszcze wszystkich nie zjedli.

Rozglądam się w poszukiwaniu Dave'a i Jamesa.

– Gdzie oni są?

– Poszli na pocztę. Dave wspominał coś o kronice, którą musi wysłać, a potem wybierali się na spotkanie ze starym przyjacielem Jamesa ze studiów medycznych. Prowadzi teraz hamburgerownię na Peachtree Street. Siedemnaście dolarów za hamburgera, wyobrażasz to sobie? Może być earl grey?

– Cudownie, dziękuję. – Ale mama nie idzie parzyć herbaty. Stoi w miejscu i mi się przygląda. – Co?

– Cóż, zastanawiam się, czy myślałaś już o pogrzebie. Że może powinno być coś... bardziej osobistego niż nabożeństwo zorganizowane przez Liberty Airlines. To było piękne, ale zupełnie nie w stylu Willa, prawda? Takie nabożeństwo mógłby mieć każdy.

Kiwam głową, bo ma rację. Mimo cudownej scenerii

nabożeństwo nie miało ani krzty charakteru. Pieśni były tandetne, osoby przemawiające pozbawione wyobraźni, a mój mąż został wymieniony po imieniu jedynie podczas monotonnego odczytywania listy pasażerów. Will zasługuje na coś więcej niż tylko ogólne nabożeństwo w parku pełnym obcych ludzi.

– Zaproponować ci kilka możliwości? Poszukać czegoś? – oferuje mama. – Może zwiedzę kilka miejsc? Oczywiście niczego bym nie zarezerwowała, chyba że coś zaakceptujesz.

Uśmiecham się, moje wnętrze ogrzewa fala miłości do mamy.

– Dziękuję. Byłabym ci bardzo wdzięczna.

– Dobrze. Czyli mamy to ustalone. A teraz idź oddzwonić do tego Nicka. Jego numer znajduje się na karteczce przyklepionej przy ekspresie do kawy. – Gdy mama zaczyna krzątać się w kuchni, znajduję karteczkę, wstukuję numer w swój telefon i dzwonię. Nick odbiera po drugim sygnale.

– Nick Brackman.

– Cześć, Nick. Z tej strony Iris Griffith. Przepraszam, że nie oddzwaniałam wcześniej, ale wokół mnie panowało jakieś szaleństwo.

– Nie wątpię. Jak się trzymasz?

To samo pytanie zadawali mi obcy ludzie na nabożeństwie, to samo widzę za każdym razem w oczach moich rodziców, o to samo pytał mnie dzisiaj Corban. Jak się trzymasz? Wiem, że chcą dobrze, ale czy Nick naprawdę chce usłyszeć, że nadal sypiam w szlafroku Willa, chociaż teraz pachnie on już bardziej mną niż nim, albo że dzwonię na pocztę głosową Willa dwadzieścia razy dziennie tylko po to, żeby usłyszeć jego głos? Że niemal co noc budzę się z płaczem, co jest tylko odrobinę lepsze od wściekłości, z której wrzeszczę w poduszkę? Że frazesy, którymi karmią mnie wszyscy wokół, na przykład że nic nie dzieje się bez przyczyny i że Will chciałby, żebym była szczęśliwa, sprawiają, iż mam ochotę rozwalić pierwszą lepszą rzecz? Że czasami czuję Willa tak bardzo, że aż mnie zatyka, a włoski na moim karku stają dęba, ale gdy się odwracam, jedyne, co znajduję, to dziura w miejscu, w którym kiedyś siedział?

Wzdycham, opadam na kanapę i mówię Nickowi to, co chce usłyszeć.

– W porządku.

Podejrzewam, że jedyną rzeczą gorszą od tego pytania będzie to, że ludzie wreszcie przestaną mi je zadawać.

– Miło mi to słyszeć. Jeśli mogę coś zrobić...

Kolejny frazes, przygryzam wargę, żeby nie krzyknąć.

– Dzięki.

– Jessica spakowała w biurze jego prywatne rzeczy. Nie było tego zbyt wiele. Kilka książek, kubków i zdjęć w ramkach. Chyba planowała podrzucić ci to w ten weekend.

Z pewnością nie po to do mnie dzwonił – to wszystko to słowa bez znaczenia i sprawy organizacyjne. Dziękuję mu krótko i niezbyt delikatnie zachęcam go do wypowiedzenia kolejnych słów.

Albo ma już dość zwodzenia mnie, albo połyka moją przynętę.

– Posłuchaj, muszę o czymś z tobą porozmawiać, ale wolałbym nie robić tego przez telefon. Myślisz, że moglibyśmy się spotkać? Podaj czas i miejsce, a ja się dostosuję.

– No cóż, dopiero weszłam do domu i...

– Mieszkasz w Inman Park, prawda? – Nie odpowiadam. Nick doskonale wie, gdzie mieszkam. Nasz adres jest na odcinku pensji, który podpisuje co miesiąc. – To może w Inman Perk za godzinę? Mają tam najlepszą kawę w mieście, ja stawiam.

Po poranku z Corbanem nie mam siły iść do kolejnej kawiarni, a po kilku dniach spędzonych albo w pokoju hotelowym, albo w samochodzie czy samolocie, nie mam ochoty znowu wychodzić z domu.

– Spotkajmy się w Inman Perk, ale czy możemy pójść na spacer po BeltLine? Przydałoby mi się trochę świeżego powietrza.

– Oczywiście. Dzięki, Iris. Widzimy się za godzinę.

Gdy idę do drzwi, wybieram numer podany mi przez tatę i dzwonię do Leslie Thomas. Odbiera po drugim sygnale.

– Zanim coś pani powie – mówi w ramach powitania – chcę

przeprosić panią za to, że skłamałam podczas naszej pierwszej rozmowy. Znajdowałam się pod ogromną presją znalezienia jakiejś historii. Pracuję tutaj dopiero od kilku miesięcy i to była moja pierwsza okazja, żeby się sprawdzić. I posunęłam się zbyt daleko.

– A teraz? – pytam ostro, bo wcale jej nie wybaczam. Cały czas odczuwam wściekłość. Ta kobieta pomachała mi przed nosem nazwiskiem kelnerki niczym marchewką. Nie dzwonię do niej z własnej woli.

– A teraz co?

Siadam na ganku i mrużę oczy w słońcu.

– Czy nadal znajduje się pani pod ogromną presją znalezienia jakiejś historii?

Śmieje się, ale brzmi to ironicznie.

– No cóż, mój szef właśnie zasugerował mi, żebym udała siostrę jakiejś pasażerki, więc sama pani rozumie.

Wydaję z siebie neutralny dźwięk. Ta kobieta już raz mnie okłamała. Kto powiedział, że nie uczyni tego po raz drugi?

– Proszę posłuchać, mówię tylko, że naprawdę czuję się źle z tym, że kłamałam, i chcę to pani wynagrodzić. Rzucić pani przysłowiową kość.

– Niech no zgadnę. Nazwisko kelnerki.

– Właściwie to byłej kelnerki. To Tiffany Rivero, obsługiwała pewnego pilota i jego hałaśliwych kolegów, aż wreszcie brakło im kasy o trzeciej rano w dzień katastrofy. Wydali sześć tysięcy dolarów.

Pod wpływem kwoty moje oczy robią się wielkie ze zdziwienia.

– To można wydać sześć tysięcy w nocnym klubie?

– Owszem, jeśli szampan leje się strumieniami – a najwyraźniej tak właśnie było. Przekazywano sobie również tabletki i ssano je jak tik-taki.

Nabieram głośno powietrza i wszystko wyliczam sobie w głowie. Zakładając, że poleciał do Atlanty pierwszym lotem, prawdopodobnie około szóstej, musiał udać się prosto na lotnisko, co oznaczało, że funkcjonował praktycznie bez snu – nie wspominając już o tym, co brał.

– Nie wiemy na pewno, czy pilot brał w tym udział. – Według Tiffany brał. Wszyscy byli pijani do nieprzytomności. I teraz to, co najlepsze – wszystko, co mi przekazała, powiedziała również kierownictwu Liberty Airlines. Ich odpowiedź? Że z pewnością się pomyliła, że są procedury i protokoły, żeby mieć pewność, że pilot, który wchodzi do kokpitu, jest w stu procentach trzeźwy i wyspany. Próbowali jej wmówić, że to tylko jej wyobraźnia.

Mój żołądek nagle jest z lodu, który rozprzestrzenia się po moim ciele niczym nowotwór. Liberty Airlines wiedzą o rozrywkowym wieczorze kawalerskim pilota i nic z tym nie robią. Nic nie powiedzieli. Myślę o rodzinach, które widziałam na lotnisku i podczas nabożeństwa, o ich łzach i nieukojonym bólu, i czuję, że zaraz opanuje mnie fala bezsilnej wściekłości. Will nie żyje przez nieodpowiedzialność pilota i beztroską linię lotniczych.

– Dlaczego mi to pani mówi? Zakładam, że taka historia byłaby świetną jedyką w każdej gazecie i na każdej stronie internetowej na całym świecie.

– Pewnie, ale moje poczucie winy sprawiło, że chciałam, by usłyszała pani o tym jako pierwsza i by zrozumiała pani konsekwencje. – Przerywa, następuje chwila ciszy, a potem dodaje poważnym tonem: – Iris, będzie dochodzenie, i jeśli ta Tiffany mówi prawdę, jeśli to się potwierdzi, to ty i pozostałe rodziny będziecie trzymać Liberty Airlines za jaja.

Rozdział dziewiętnasty

Kiedy skręcam w stronę Inman Perk, widzę Nicka stojącego na chodniku i trzymającego dwie butelki wody. Ma jasne blond włosy, wielkie kończyny i ciastowaty brzuch, wypełniający dolną część schowanej w spodnie koszulki polo. Na nabożeństwie musiałam czuć się gorzej, niż myślałam, bo za bardzo nie pamiętam jego obecności. A przecież jest wielki i trudno go nie zauważyć. Spod eleganckich spodni wystaje para czystych tenisówek – wyglądają, jakby dopiero co przyniósł je ze sklepu – i nagle żałuję, że zasugerowałam spacer po BeltLine w samym środku dnia pracy.

– Cześć, Nick.

– Cześć, Iris. Dziękuję za spotkanie. Gotowa?

Próbuję wyczuć jego nastrój, ale jego oczy są ukryte za dużymi okularami przeciwsłonecznymi, kontroluje też ton głosu i wyraz twarzy.

– Gotowa jak nigdy.

Ale problem w tym, że wiem już, iż to, o czym chce porozmawiać ze mną Nick, nie może być dobre. Po co dzwoniłby sześć razy w ciągu sześciu dni i upierał się, żebyśmy spotkali się osobiście? Gdybym miała jakiegokolwiek wątpliwości, to jego powitanie i mowa ciała tylko potwierdzają moje przypuszczenia, a moja podejrzliwość zamienia się w przerażenie.

Podaje mi jedną z butelek z lodowatą wodą i w bolesnej, skręcającej żołądek ciszy wyruszamy przed siebie.

Jak w każdy inny słoneczny wiosenny dzień Atlanta BeltLine, odcinek parków i szlaków zrobionych w miejscu opuszczonych torów kolejowych, tętni życiem. Matki w strojach do jogi i pchające wózki walczą o przestrzeń z biegaczami i ludźmi wychodzącymi z psami oraz dziećmi na deskorolkach. Ja i Nick idziemy za nimi wzdłuż szlaku na północ i w stronę wieżowców w centrum, które widzimy w oddali.

– To jest dla mnie niesamowicie trudne – mówi, gdy wychodzimy z cienia wiaduktu Freedom Parkway, i chociaż zaczyna się pocić przez koszulę, to wiem, że nie odnosi się do naszego spaceru. Ma opuszczoną głowę i wzrok utkwiony w chodniku. – Zatrudniłem twojego męża. Przygotowałem go. Pracował dla mnie ponad osiem lat, w tym czasie dostał sześć awansów. Nie dlatego, że go lubiłem – chociaż lubiłem – tylko dlatego, że na to zasługiwał.

– Okej... – Przeciągam to słowo, moje serce skacze za ciężko, za szybko. Wyczuwam nadchodzące „ale”. Prze w moją stronę niczym naładowana elektrycznością chmura burzowa, unosząc każdy włoszek na moim ciele.

– Nie wiem, ile wiesz o naszym biznesie, ale większość inżynierów ma gdzieś, skąd pochodzą nasze pieniądze. Will był jedną z rzadkich osób, które nie tylko to obchodziło, lecz także myślał o tym, jak mieć ich więcej. To po części dlatego był tak genialny w wykonywaniu swojej pracy – potrafił projektować rzeczy, o których klient nawet nie wiedział, że ich pragnie, dopóki ich nie zobaczył. – Łapie mnie za łokieć i prowadzi na krawędź torów, żeby przepuścić troje rowerzystów. – Facet był geniuszem, ale jestem pewien, że już o tym wiesz.

– Owszem.

– To dlatego trwało to tak długo. Will był ostatnią osobą, którą podejrzewaliśmy, nigdy byśmy się tego nie spodziewali. – Jego słowa wdzierają się pod moją skórę, a jednocześnie frustracja spala moją klatkę piersiową. Nie wytrzymuję już.

– Przepraszam, Nick, ale ostatniej nocy spałem w samolocie, a wcześniej niemal nie spałem przez siedem nocy. Jestem wyczerpana psychicznie i wykończona, tak więc, proszę, ogranicz ściemnianie i powiedz mi to, co masz zamiar mi powiedzieć.

Zatrzymuje się w środku szlaku, odwraca swoje duże ciało w moją stronę.

– Z kont naszej firmy zniknęły pieniądze.

Lodowa pięść uderza mnie w środek klatki piersiowej i nagle wszystkie elementy układanki do siebie pasują i wszystko ma sens. To jak jeden z tych testów psychologicznych, które rozdają

moim uczniom – zdania z brakującymi słowami, tak zwane dziurawce. W tym przypadku brakujące słowa to „twój mąż jest złodziejem”.

Krzyżuję ręce na piersi i drżę mimo tego, że na zewnątrz jest powyżej dwudziestu stopni.

– Ile pieniędzy?

Wzrusza mięsistymi ramionami.

– Trudno dokładnie powiedzieć. Biegła sądowa z zakresu rachunkowości wciąż...

– Biegła sądowa? – Słowa te trafiają mnie jak błyskawica, moje gumowe podeszwy wtapiają się w chodnik. Nie jestem fanką finansów, ale znam to pojęcie. W rozwodach z Lake Forrest niemal zawsze udział bierze biegły sądowy, którego zadaniem jest znalezienie ukrytych funduszy. W zeszłym roku dzięki swojemu księgowemu matka Jeannette Davis otrzymała połowę zagranicznych kont swojego przyszłego byłego męża.

– Jak już mówiłem, dopóki biegła sądowa nie wróci z raportem końcowym, nie mamy kwoty.

– Podaj mi ją w przybliżeniu.

– Cztery miliony czterysta siedemdziesiąt trzy tysiące. – Nick kaszle w pięść. – I nadal coś dochodzi.

– No dobrze. Czyli tak naprawdę pytasz mnie, czy zauważyłam, żeby na naszym wspólnym koncie pojawiły się dodatkowe cztery i pół miliona dolarów? – Słowa te są na moim języku jak okra, kłujące i śluzowate.

– Nie, ale... – Krzywi się. – Pomyślałem... pomyślałem, że może coś wiesz.

Otwieram szerzej oczy.

– Nie. Jezu, nie. Oczywiście, że nie.

– Iris, tutaj chodzi o mój tyłek. W przyszłym roku planujemy wejść na giełdę, a mój zarząd rozlicza mnie z tego, co robię. Nikt nie chce kupować akcji w firmie, której wewnętrzne procedury pozwalają pracownikowi odejść z czterema i pół milionami. Proszę, jeśli jest coś, czego mi nie mówisz...

– Nick, on nie odszedł. Wsiadł do samolotu, który spadł z nieba.

– Myślę o tym, co powiedziała mi Leslie Thomas, o skacowanym

pilocie za sterami, i robi mi się niedobrze.

Krzywi się.

– Wiem o tym i cholernie mi przykro z tego powodu. Próbuję jednak powiedzieć, że uważałem Willa za przyjaciela, co po części jest powodem tego, że wolałbym zachować to dla siebie.

– To znaczy?

– To znaczy, że jeśli otrzymamy z powrotem te pieniądze, będziemy w stanie poprawić wszystko w księgach rachunkowych i to będzie koniec historii. Wszystko zostanie między nami i nikt nie będzie nikomu zadawał żadnych pytań. W tej chwili nie obchodzą mnie żadne przyczyny ani sposoby. Muszę tylko odzyskać te pieniądze.

– Myślisz, że naprawdę wiem, gdzie one są?

Uśmiecha się przepraszająco, ale to nie łagodzi jego kolejnych słów.

– A wiesz?

Wzbiera we mnie cichy i gwałtowny gniew.

– Ty chyba nie pytasz mnie o to na serio?

Milczenie z jego strony oznacza, że jednak pyta. Nagle robi mi się niedobrze, zbyt dużo herbaty i ciasta mamy buntuje mi się w żołądku i martwię się, że zaraz zwymiotuję na nowiutkie tenisówki Nicka.

– Jestem pewna, że to wszystko to jedno wielkie nieporozumienie.

Nick kręci głową, krótko i stanowczo.

– Nie.

– Skąd wiesz, że to Will zabrał te pieniądze?

– Nie mogę ci tego powiedzieć.

– Cztery i pół miliona nie znika z dnia na dzień. To musiało trwać kilka lat. Jakim cudem nikt się nie zorientował?

– Tego też nie mogę ci powiedzieć. Tak naprawdę to chyba już zdradziłem ci za dużo. Moi prawnicy mnie zabiją, gdy powiem im o naszej rozmowie.

Prawnicy. Biegła sądowa. Bawię się moim pierścieniem od Cartiera, przesuwam go kciukiem po palcu – w tym tygodniu nieświadomie wyrobiłam sobie taki odruch, bawię się

pierścionkiem za każdym razem, gdy myślę o Willu. Może to dlatego, że dał mi go tak niespodziewanie, a może przez jego słowa – ty, ja i nasze przyszłe dziecko. Ale z jakichś względów – z wielu względów – dotykanie tego pierścionka mnie pocieszało. Aż do tej chwili.

Teraz zauważam, że Nick to zauważa, a między jego brwiami pojawia się nowa zmarszczka.

Chowam ręce do kieszeni mojej bluzy.

– Nic nie wiem o żadnych pieniądzech i mogę cię zapewnić, że nie ma ich na naszym koncie.

Przez długi czas nie odpowiada. Ludzie mijają nas ze wszystkich stron, przejeżdżają na deskach, a Nick po prostu stoi i patrzy na mnie z zaskoczeniem. Wiem, co robi. Czeką, żebym zaczęła się upierać, że to nieprawda, że księgowa musiała popełnić błąd, że Will Griffith nie byłby w stanie ukraść nic ani jemu, ani nikomu innemu, ale ja nie potrafię wydusić z siebie tych słów. Jeśli mój mąż mógł pewnego razu podłożyć ogień w bloku pełnym śpiących ludzi, to kto powiedział, że nie mógłby zwinąć swojemu pracodawcy trochę pieniędzy? Stoję naprzeciwko Nicka, gryzę się w język i z całych sił powstrzymuję się od płaczu.

Nick traktuje moje milczenie jako odpowiedź, uśmiecha się przepraszająco, a potem odwraca się w stronę, z której przyszliśmy.

– Iris, przykro mi, ale będę próbował odzyskać te pieniądze, nawet jeśli będzie to oznaczało, że po drodze będę musiał zniszczyć ciebie i kilka innych osób.

Po jego odejściu wrzucam butelkę z wodą do kosza na śmieci i zaczynam biec. Jest wspaniałe wiosenne popołudnie, a w powietrzu unoszą się dźwięki słonecznego dnia w mieście: ryk dmuchaw do liści, szczekanie psów na smyczy, niski pomruk ruchu ulicznego w oddali i powtarzające się uderzanie moich adidasów o chodnik. Osiem dni niejedzenia i brak aktywności sprawiły, że moje mięśnie są słabe i sztywne, a każdy krok przypomina karę, ale gonią mnie słowa Nicka i muszę spalić całą

nerwową energię, szalejącą w moich kościach.

Ja i Will kochaliśmy BeltLine. Pokochaliśmy miejskie dzieła sztuki i widoki na panoramę miasta oraz kilometry parków i terenów zielonych. Uwielbialiśmy jeździć tutaj na naszych dopasowanych oldskulowych rowerach z trzema biegami, metalowymi dzwonekami i wiklinowymi koszami na kierownicach. Pewnego roku Will dał mi taki na urodziny.

– Wiesz, co to oznacza, prawda? – powiedziałam, wsiadając na mój rower i jeżdżąc na nim po ulicy.

Will wyszczerzył zęby, złapał się pod boki i stanął na podjeździe.

– Że nie będzie już rachunków za Ubera?

Zaśmiałam się.

– Tak, oraz to, że jeśli pojedziemy na rowerach do centrum i z powrotem, to frytki, które zjem na lunch, nie będą wywoływać we mnie poczucia winy.

Jeździliśmy na rowerach, kiedy tylko mogliśmy. W słoneczne weekendy i ciepłe wieczory, do restauracji i barów i tak sobie, i byliśmy taką wstrętną parą, która zajmowała całe BeltLine, ponieważ jeździliśmy, trzymając się za ręce.

A teraz, jeśli mam uwierzyć w to, czego się dzisiaj dowiedziałam, ten sam mężczyzna jest kryminalistą. Kłamcą i złodziejem, który w zeszłym miesiącu był bardzo rozkojarzony i humorzasty. Tym, który wdał się w bójkę na siłowni. Tym, do którego dobrali się Nick i biegła sądowa. Nie potrzeba geniuszu, aby zorientować się, że Will prawdopodobnie czuł się pod presją.

Mijam wieże komórkowe i mury z graffiti, domy, parki i restauracje z tarasami wypełnionymi ludźmi korzystającymi z happy hours. Promienie słoneczne padają na moją głowę, staję z boku, żeby zdjąć bluzę. Wiążę ją w talii i widzę, że mój pierścienek od Cartiera lśni złotym blaskiem.

Czy kiedy w zeszłym tygodniu przeglądałam nasze wyciągi bankowe, widziałam pozycję od jubilera? Zamykam oczy i próbuję sobie przypomnieć. Z pewnością zauważyłbym taki rodzaj opłaty – diamenty od projektantów nie są tanie. Wyjmuję telefon z kieszeni, sprawdzam na aplikacjach bankowych

i dotyczących karty kredytowej. Żadnych dużych zapłat na żadnej z nich. Nie ma też czterech i pół miliona dolarów.

Jak zatem Will zapłacił za ten pierścionek?

Pytanie to zaczyna tępo pulsować w mojej klatce piersiowej, zwracam więc do samochodu.

Sklep Cartiera mieści się w środku skrzydła Neiman Marcus na placu Lenox, w miejscu, w którym znajdują się marki z najwyższej półki. Idę szybko szerokim korytarzem, obok Tesli, Louisa Vuittona i Prady, żałując, że się nie przebrałam i może nie zrobiłam czegoś z włosami.

Za ciężkimi szklanymi drzwiami Cartiera stoi umundurowany ochroniarz. Przygląda mi się przez szybę, a jego wzrok mówi: „Czy jest pani pewna, że znajduje się pani we właściwym miejscu?”. Podnoszę brodę i sięgam po mosiężną klamkę, mężczyzna rzuca się do przodu, zanim jej dotykam.

– Dzień dobry, proszę pani – mówi i otwiera drzwi. – Witamy u Cartiera.

Miejsce to ocieka luksusem. Panele z ciemnego drewna, pluszowy dywan, błyszczące klejnoty umieszczone za nieskazitelnie czystym szkłem. Same dekoracje kwiatowe kosztują pewnie więcej niż mój miesięczny rachunek za prąd. Gdy stoję obok tych wspaniałości, każdy tutaj widzi, że nie jestem jedną z nich, że jestem oszustką. Rozglądam się, ale poza ochroniarzem i blond sprzedawczynią polerującą złotą bransoletkę czerwoną szmatką sklep jest pusty.

Kobieta spogląda na mnie z obojętnym uśmiechem.

– W czym mogę pani pomóc?

Jej akcent jest ciężki i rosyjski, a sama kobieta jest bardzo podobna do tych zamawianych z Europy Wschodniej panien młodych. Jest wysoka i szczupła, ma rozjaśnione blond włosy i pachnie perfumami intensywniej niż powinna. Jej paznokcie są zbyt długie, makijaż zbyt lśniący, a obfite kształty zostały wciśnięte w zbyt krótki i zbyt obcisły kostium. Ale jest oszałamiająco piękna, nawet jeśli nie bije od niej ciepło.

Patrzę na plakietkę z jej imieniem.

– Dzień dobry, Nataszo, mój mąż niedawno u państwa był i kupił mi to. – Podnoszę prawą dłoń. Brwi ekspedientki nieznacznie się unoszą, tak jakby ukrywała zaskoczenie albo botoks, albo i to, i to. – Zastanawiałam się, czy mogłaby pani sprawdzić szczegóły sprzedaży.

– To prezent, prawda?

– Tak.

– Nie podoba się?

– Nie, jest cudowny. Ja tylko... – Wyciągam dłoń, patrząc na trzy grube kółka ze złota i brylantów. Ja tylko co? Podejrzewam, że mój mąż kupił go za ukradzione pieniądze? Myślę, że może na paragonie znajdę wskazówkę odnośnie do tego, gdzie ukrył resztę z czterech i pół miliona dolarów? – Potrzebuję dokumentów dla celów ubezpieczeniowych.

– Ach. Oczywiście – mówi. Chowa bransoletkę z powrotem do gabloty, zamyka ją i chowa kluczyk do kieszeni marynarki, a następnie gestem zaprasza mnie, żebym usiadła przy zdobionym biurku z wiśniowego drewna, stojącym przy prawej ścianie. – Proszę. Proszę usiąść.

Opadam na wyściełanym krześle naprzeciwko niej.

– Jak nazywa się mąż? – Wyjmuje z szuflady bezprzewodową klawiaturę i odwraca się, żeby być przodem do komputera.

– William Griffith. Wydaje mi się, że był tutaj dwa albo trzy tygodnie temu.

Widzę, że sobie przypomina. Prawie się uśmiecha.

– Ale ma pani szczęście. Bardzo przystojny mężczyzna.

– Pamięta go pani?

– To ja sprzedałam mu ten pierścionek.

Próbuję wyobrazić sobie mojego męża pochylonego nad lśniącoymi gablotami, ze ściągniętymi brwiami, podczas gdy piersiasta Natasza pomaga mu wybrać idealny pierścionek. Nigdy nie lubił kupować i od zawsze nienawidził centrum handlowego. – Po co łądować się w te tłumy? – powtarzał. – Wszystko, czego potrzebuję, mogę kupić w internecie, i zostanie mi to przywiezione pod same drzwi.

– Pani mąż odrobił pracę domową. Wiedział, który pierścionek chce i jaki ma być rozmiar. Jeszcze nigdy nie sprzedałam tak szybko pierścionka.

Myślę, że ten scenariusz miał o wiele więcej sensu. Oczywiście, że przed przyjściem tutaj przejrzał stronę internetową i zadzwonił do salonu, żeby sprawdzić, czy mają ten pierścionek na miejscu. Prawdopodobnie poprosił Nataszę, żeby czekała przy drzwiach z torebką i terminalem płatniczym. Wejść tutaj, wyjść i żyć dalej.

Wciska guzik na klawiaturze i drukarka budzi się do życia.

– Miał przy sobie pieniądze wyliczone co do centa. – Kiwam głową, a potem zamieram, bo dociera do mnie znaczenie tych słów.

– Chwileczkę. Czy to oznacza, że zapłacił za ten pierścionek gotówką?

Patrzy na mnie i przytakuje.

– *Da.*

– Ile to kosztowało?

– Dwanaście tysięcy czterysta dolarów plus podatek.

Mówi to z taką łatwością, jakby podawała mi cenę cukru, podczas gdy ja próbuję przypomnieć sobie, czy kiedykolwiek posiadałam coś tak cennego. Owszem, bardzo zadłużony dom. Kredyt bankowy na czteroletni samochód. Nawet mój pierścionek zaręczynowy z brylantem, prosty soliter w platynie, nie był tak drogi.

I nagle pierścionek robi się zbyt ciasny, tak jakby trzy obrączki zacisnęły się na moim palcu.

– Dwanaście... dwanaście tysięcy czterysta dolarów?

– Plus podatek. – Wyjmuje kartki z drukarki, wkłada je w czerwoną broszurkę, sprawdza numer na ekranie. – Trzydzieści tysięcy dwieście sześćdziesiąt osiem dolarów.

Z podatkiem czy bez, kwota jest oszałamiająca.

Patrzę, jak paragon wysuwa się z drukarki i zastanawiam się, czy tego dnia kupił coś poza tym pierścionkiem, czy cztery i pół miliona wypalały dziurę w jego kieszeni. Jak on chciał ukryć taką kwotę? Gdzie ją schował? Czy zmieściłaby się do skrzynki pod

deskami w podłodze? W sejfie na poddaszu? A może potrzebowałyby ognioodpornej skrytki, którą reklamują na billboardach w mieście?

I co najważniejsze: jak mogę znaleźć te pieniądze?

Ekspedientka przesuwa po biurku broszurę.

– Proszę pozdrowić męża od Nataszy.

Rozdział dwudziesty

Gdy wracam do samochodu, oglądam zawartość czerwonej broszurki, którą otrzymałam od Nataszy. Certyfikat autentyczności pierścionka. Zasady zwrotu towaru. Rachunek i paragon fiskalny. Przejeżdżam palcem po znajomym podpisie Willa, nabazgranym na samym dole, i przetykam gułą, która nagle pojawiła mi się w gardle. Will może i kupił ten pierścionek za ukradzione pieniądze, ale to nie zmienia faktu, że kupił go dla mnie. Zmusił się do pójścia do centrum handlowego i wybrał prezent, który będzie coś dla mnie znaczył. Dla nas. Różowy pasek oznacza miłość, żółty wierność, a biały przyjaźń. On, ja i przyszłe dziecko. Bez względu na jego przeszłość, bez względu na to, skąd miał pieniądze, ten pierścionek jest mój. Nigdy go nie zdejmę.

A potem mój wzrok pada na informacje kontaktowe na rachunku. Pod nazwiskiem Willa, pod naszym adresem domowym, znajduje się numer telefonu, którego nie znam. Jest to jeden z trzech kodów obszaru Atlanty – 678 – ale cyfry są mi obce. Zdecydowanie nie jest to numer komórki Willa, który zaczyna się od 404.

A może to numer do jego pracy? Will zawsze dzwonił do mnie z numerów, których nie rozpoznawałam, i mówił, że powinnam zapamiętać tylko jego numer komórkowy, bezpośredni numer do Jessiki i główny numer do AppSec. A teraz żałuję, że nie zapisywałam więcej numerów.

Włączam na telefonie stronę internetową firmy AppSec i sprawdzam podane tam numery z numerem z rachunku od Cartiera. Żaden z nich nie pasuje.

I... co z tego? Może Natasza się pomyliła, wprowadzając numer do systemu? Może Will podał jej fałszywy numer, żeby nie wydzwaniano do niego z kolejnymi ofertami? A potem to sobie uświadamiam: co by było, gdyby miał drugi telefon komórkowy,

o którym nie wiedziałam? Inne życie, inną żonę? Możliwość ta uderza mnie prosto w żołądek, czuję kwas w gardle.

Zanim zdążę stchórzyć, wbijam numer w mój telefon i dzwonię, wstrzymując oddech, kiedy słyszę sygnał w głośnikach samochodu. Raz, dwa, trzy. Po czwartym sygnale zostaję przełączona na pocztę głosową, wygenerowany komputerowo głos prosi mnie o pozostawienie wiadomości. Rozłączam się jeszcze przed sygnałem.

I co teraz? Przygryzam wargę, patrzę przez przednią szybę na ludzi przechodzących przez parking i się nad wszystkim zastanawiam. Może ten numer jest błędny, ale jeśli nie? Co, jeśli naprawdę należał do Willa? Telefonu komórkowego nie dostaje się za darmo. A co, jeśli będę mogła go sprawdzić? Czy doprowadzi mnie do numeru konta, o którego istnieniu nie miałam pojęcia, do konta pełnego pieniędzy ukradzionych z AppSec?

Telefon wibruje mi w palcach, podskakuję na fotelu. Mój brat. Nabieram głęboko powietrza, pragnąc, żeby moje serce się uspokoiło, i odpowiadam przez blutootha.

– Chcę, żebyś wiedział, że wystraszyłeś mnie na śmierć i teraz będę musiała wrócić do centrum handlowego się wysikać.

– Chcę, żebyś wiedziała, że mama myśli, że wpadłaś do rzeki Chattahoochee. Zaraz, co ty robisz w centrum handlowym? Myślałem, że masz spotkanie z szefem Willa?

– Miałam. – Wkładam telefon w miejsce na kubek, opieram się na fotelu i opowiadam Dave’owi o mojej rozmowie z Nickiem. O brakujących pieniądzech, o tym, że Nick zwrócił uwagę na pierścionek, o tym, jak czekał na słowa, których nie mogłam z siebie wydusić: mój mąż tego nie zrobił. Jest niewinny.

– Dave, oni zwrócili się już do prawników. Nick powiedział, że odzyska te pieniądze, nawet jeśli będzie musiał zniszczyć dobre imię Willa.

– Oczywiście, że tak. Nikt tak po prostu nie pozwala komuś uciec z czterema i pół milionami dolarów. Co oznacza, że ty też musisz znaleźć sobie adwokata. Musisz dopilnować, żeby żaden z tych ciosów nie trafił ciebie.

Prostuję się na skórzanym krześle.

– Jakim cudem? Przecież nie ukradłam ani centa. – Gdy to mówię, przypominam sobie ostrzeżenie Nicka. Powiedział, że jeśli będzie potrzeba, zniszczy również mnie. Poczułam na plecach lodowaty dreszcz.

– Może nie, ale jeśli Will wykorzystał ukradzione pieniądze do kupienia tego, z czego korzystałaś – samochodów, mebli, urlopów i tak dalej – to może na ciebie spaść odpowiedzialność jako na żonę. Prawnicy mogą dobrać się również do ciebie.

Zdejmuję prawą dłoń z kierownicy, patrzę na migoczącego na moim palcu cartiera.

– Will zapłacił gotówką za pierścionek.

Mój samochód wypełnia cisza.

Opieram czoło o kierownicę i kilka razy w nią nim uderzam.

– Jak to się stało? Jakim cudem w ciągu zaledwie tygodnia przeszłam od szczęśliwej żony do wdowy noszącej biżuterię kupioną za ukradzione pieniądze?

– Iris, to nie pora na użalanie się nad sobą. Teraz jest pora na szukanie najlepszego prawnika w mieście.

Od razu myślę o Evanie Sheffieldzie, wysokim prawniku, którego poznałam podczas nabożeństwa, tym, który stracił w katastrofie żonę i małą córeczkę. Myślę o nim i o jego ramionach, na których spoczywa ogromny ciężar, i ponownie pojawiają się emocje. Szok. Wściekłość. Smutek. Wyobrażam sobie, że siedzę naprzeciwko niego, patrzę w jego smutne oczy i mówię mu o zaginionych czterech i pół milionach. Na myśl o tym kręci mi się w głowie z przerażenia.

– Wykonam dzisiaj kilka telefonów – mówię, podnosząc głowę. Widzę stojącego przed maską mojego samochodu człowieka. Patrzy na mnie z troską w oczach. Uśmiecham się do niego słabo, żeby dać mu znać, że wszystko w porządku, i odbiega. – A w tym czasie wyświadczyć mi przysługę, dobrze? Nie mów o tym mamie i tacie. Tata zagroził już, że zapłaci za system alarmowy, a nie chcę, żeby martwili się jeszcze bardziej.

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł? – pyta Dave, a ja otrzymuję wiadomość na telefon. – Nie możesz...

Dave mówi coś dalej, ale ja go już nie słucham. Patrzę na wiadomość od numeru zaczynającego się na 678.

Cześć, Iris. Skąd masz ten numer telefonu?

Mój żołądek przewraca się do góry nogami. Drżącymi palcami wpisuję odpowiedź.

Skąd wiesz, jak się nazywam? Kim jesteś?

Pod moją wiadomością pojawia się bańka, oznaczająca, że ta druga osoba pisze odpowiedź. Wstrzymuję oddech i czekam.

– Heloooo! – mówi Dave przez głośniki samochodu. – Jesteś tam jeszcze, Iris?

Wciskam guzik na kierownicy i kończę rozmowę, nie odrywając wzroku od telefonu. Kilka sekund później na ekranie pojawia się wiadomość.

Ten numer znał tylko jeden człowiek – który nie żyje. Masz to, co mi zabrał?

Czuję, jak w moim gardle wzbierają mdłości. Ten, kto pisze, ma na myśli pieniądze. Może partner?

JA: Nie odpowiem na żadne pytanie, dopóki nie powiesz mi, kim jesteś.

678–555–8214: To nie są negocjacje. Chcę moich pieniędzy.

JA: Jakich pieniędzy?

678–555–8214: Powiedz mi, gdzie Will ukrył pieniądze, albo wkrótce do niego dołączysz.

Wracam do domu dłuższą trasą, Lenox Road, czuję się jak pijana. Mój telefon leży na podłodze od strony pasażera, gdzie cisnęłam nim niczym ziemniakiem. Ledwo zauważam, że bloki i wypielęgnowane trawniki zamieniają się w zapuszczone fragmenty ziemi, sklepy z ciemnymi oknami i kluby dla panów w Cheshire Bridge. Skręcam na wolny pas ruchu, jadę za powolnym wywożącym mieszkańców z miasta autobusem, który ma bardzo częste przystanki, łapię kierownicę tak mocno, że zaraz złamię ją na pół.

Jeszcze nigdy nikt nie groził mi śmiercią. Nawet jeśli dowiedziałam się o tym w sposób najbardziej bezosobowy z możliwych, za pośrednictwem wiadomości tekstowej, i ta osoba może znajdować się wiele kilometrów dalej, to słowa te nadal sprawiają, że robi mi się zimno. *Powiedz mi, gdzie Will ukrył pieniądze, albo wkrótce do niego dołączysz.*

Na światłach pochylam się nad dźwignią zmiany biegów i sprawdzam telefon. Dzięki Bogu ekran jest ciemny. Niezależnie od tego, kto siedzi po drugiej stronie linii i ma numer zaczynający się od 678, ani przez chwilę nie mam wątpliwości, że jego groźba była prawdziwa. Ta osoba zna Willa, wie o czterech i pół milionach i myśli, że ja wiem, gdzie Will je schował. Ludzie zabijali dla o wiele mniejszych kwot.

Nagle w mojej głowie pojawiają się dwa pytania. Po pierwsze: Skąd nadawca wiedział, że to ja? Ta osoba musiała już mieć mój numer telefonu komórkowego, ale skąd? Po drugie: Skoro ten numer nie należał do Willa, to dlaczego Will podał go Nataszy? Po co umieszczać go na rachunku za coś kupionego za ukradzione pieniądze?

Stojący za mną samochód trąbi, patrzę w górę i widzę, że zapaliło się zielone. Zostawiam telefon na podłodze i wciskam gaz, jadę za białym SUV-em.

A potem do mojej głowy przychodzi kolejna myśl, pod wpływem której zaciskam dłonie mocniej na kierownicy. Czy zablokowany numer i numer na 678 może należeć do tej samej osoby?

Zastanawiam się nad tym, unikając dziur w asfalcie. Geek z Best

Buy powiedział, że wiadomości z Seattle, te z zablokowanego numeru telefonu, zostały wysłane ze specjalnej aplikacji i dlatego nie można było go wyśledzić. Co zrobić, jeśli telefon 678 ma aplikację do wysyłania wiadomości? To bardzo możliwe, że wszystkie wiadomości przychodzą z jednego telefonu komórkowego.

Skręcam w prawo w North Highland i jadę dwupasmówką przez serce Virginia Highlands. Jest przed szóstą wieczorem, ulice i chodniki są pełne ludzi i samochodów. Stoję w korku i próbuję się przekonać, że obaj nadawcy to jedna i ta sama osoba, ale nie umiem tego zrobić. Ton wiadomości był zupełnie inny, bardzo ze sobą kontrastowały.

Skręcam na parking i podnoszę telefon z podłogi, włączam wiadomości z zastrzeżonego numeru. W porównaniu z groźbą z numeru 678, te wiadomości wydają się niemal niewinne. Ktoś nalegał, żebym pojechała do domu, żebym nie wierzyła w to, czego dowiedziałam się o Willu od mieszkańców Rainier Vista. Tak jakby ten, kto je wysyłał, nie chciał, żebym dowiedziała się prawdy o Willu.

Myślę o tym, komu mogłoby na tym zależeć, kto miałby coś do stracenia, i jedyną osobą, która przychodzi mi do głowy jest... Will. To on nie chciał, żebym się o tym wszystkim dowiedziała, do tego stopnia, że kłamał na temat swoich rodziców, swojego pochodzenia, powiązań z Rainier Vista i Seattle. Najbardziej prawdopodobne jest więc, że to on wysłał te wiadomości.

Co jest oczywiście niemożliwe. Martwy człowiek nie może wysyłać esemesów.

A potem przypominam sobie słowa Corbana, obietnicę, którą Will kazał mu złożyć, przysięgając na grób własnej matki: *Obiecałem, że jeśli kiedykolwiek coś mu się przydarzy, to się tobą zaopiekuję.* Czy to Corban jest osobą stojącą za zablokowanym numerem, anonimowym obrońcą, który spełnia obietnicę złożoną zmarłemu przyjacielowi? Przez chwilę zastanawiam się nad tą możliwością, ale coś mi nie pasuje, coś nie gra.

Olśnienie przychodzi nagle. Przecież Corban również nie wiedział o przeszłości Willa w Seattle. Gdy się o niej dowiedział,

był tak samo zaskoczony jak ja. Albo to, albo jest światowej klasy aktorem.

Frustracja pali moją pierś, wrzucam wsteczny bieg i wciskam gaz, ruszając w stronę domu. Skąd mam wziąć pomoc? Czy powinnam skontaktować się z policją i kazać im namierzyć numer telefonu 678? A może powinnam opowiedzieć im o Nicku, który grozi, że mnie zniszczy, jeśli nie odzyska pieniędzy? Może to Nick stoi za tymi wiadomościami?

Ale co, jeśli Dave ma rację? Mogę zostać pociągnięta do odpowiedzialności. I mogą spróbować zabrać mi pierścionek. Rozcapieram palce na kierownicy, brylanciki połyskują w promieniach słońca, wpadających przez przednią szybę. Wyobrażam sobie, jak ściągam go z palca i wrzucam do torby na materiał dowodowy, i czuję, jak panika rośnie mi w gardle. Przypominam sobie łagodny uśmiech Willa, gdy mi go zakładał, tego ranka, gdy zginął, i zaciskam dłoń w pięść.

Żeby mi go zabrać, będą musieli odciąć mi palec.

Mam przestarzały system. To właśnie facet od alarmu – brzuchaty mężczyzna, który każe nazywać się Dużym Jimem – mówi mi od razu, gdy przekraczam próg swego domu. Coś z moimi panelami i czujnikami ruchu, które są zbyt stare do nowej technologii, która obecnie działa przez GSM, a nie przez linie telefoniczne. Próbuje mi to wyjaśnić w chaotyczny sposób, używając zdecydowanie zbyt wielu słów.

Przerywam mu w połowie drogi donikąd i uśmiecham się, żeby złagodzić ostre pytanie.

– Czy w którymś momencie podał mi pan cenę?

Duży Jim uśmiecha się do mnie szeroko, odsłaniając krzywe i żółte zęby.

– Zaraz podam cenę, ale chciałem być delikatny, żeby pani nie odstraszyć.

– To jak odrywanie plastra. Proszę mi ją podać i będzie z głowy. Ten sposób jest mniej bolesny.

– Sześćset dolarów. – Podaje mi napisaną odręcznie ofertę

i puka się długopisem w usta. – To za zainstalowanie nowych urządzeń, czujników wybitych szyb na parterze, wymianę starych paneli i dodanie nowych na ścianie w sypialni, tak żeby pani system łąpał się na nasz pakiet podstawowy.

Mam wrażenie, że mój telefon komórkowy parzy mnie w kieszeni, a groźba świeci w mojej głowie niczym błyskawica. Powiedz mi, gdzie Will ukrył pieniądze, albo wkrótce do niego dołączysz.

– A ile za wasz najlepszy system? – pytam.

Jedna z krzaczastych brwi Dużego Jima podnosi się.

– Mówi pani o kamerach, domofonach nadawczo-odbiorczych i przyciskach alarmowych?

– To najlepsze, co macie?

– Tak, proszę pani, najlepsze z najlepszych. Do tego system monitoringu, którym może pani sterować z telefonu lub komputera.

– Biorę.

– Ale przecież nie podałem pani jeszcze ceny.

– Zapłacę, ile będzie trzeba. A jeśli zainstaluje pan to jeszcze dzisiaj, otrzyma pan dodatkowy bonus w postaci domowego posiłku i wysokiego napiwku. Sądząc po zapachu, obstawiam spaghetti. – Posyłam mu uśmiech pod tytułem: „To twój szczęśliwy dzień”. – Pulpety mamy są najlepsze na świecie.

Prostuje się i zaczyna chichotać.

– Umowa stoi.

Zostawiam go, żeby zabrał się do pracy, i ruszam korytarzem w stronę kuchni, gdzie mama szaleje przy piecu i miesza w garze tak wielkim, że można by wyżywić cały blok. Słyszy, jak rzucam torbę na blat, i uśmiecha się do mnie przez ramię.

– Cześć, kochanie. Przyszłaś w samą porę. Za piętnaście minut będzie kolacja.

– Cudownie. – Całuję ją w policzek, wdycham zapach pomidorów, czosnku i przypraw, i w tym samym czasie zaczyna mi burczeć w brzuchu i zbierać się na mdłości. – Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko, ale właśnie zaproponowałam kolację facetowi od alarmu.

Moja mama się rozpromienia. Najbardziej na świecie kocha karmić obcych ludzi, którzy będą umieli to docenić, a wszystko w Dużym Jimie mówi, że potrafi docenić dobre jedzenie. Wyciera ręce w fartuszek i podchodzi do deski do krojenia na wypie, żeby pokroić ogórka na sałatkę.

– Gdzieś ty była przez całe popołudnie? Myślałam, że wychodzisz na godzinę czy dwie.

– Och, musiałam załatwić kilka spraw, a wiesz, jak wygląda ruch uliczny w Atlancie. Czasami godziny szczytu zaczynają się już o czwartej. Powrót do domu zajął mi całą wieczność. – Odkręcam wodę i myję ręce. – Pomóc ci?

Wskazuje miskę pełną szalotek.

– Pokrój je, dobrze?

Zaczyna opowiadać o swoich pomysłach na pogrzeb, wymienia miejsca, które chciałaby sprawdzić, i ulga rozluźnia mięśnie spięte w moich ramionach. Mama albo nie zauważyła, że coś jest nie tak, albo udaje, że tego nie widzi. Ale moja prośba do Dave'a była jak najbardziej zasadna. Dopóki nie dowiem się, jak poważne są zarzuty Nicka, nie zamierzam mówić moim rodzicom o brakujących czterech i pół milionach dolarów. I tak są już dostatecznie zmartwieni, więc dodanie pogroźek i możliwości rozprawy sądowej sprawi, że się załamiam.

Ale kolejnym powodem – i tak, po wydarzeniach z ostatnich kilku dni może on zdawać się irracjonalny – jest to, że nie chcę jeszcze bardziej niszczyć ich pamięci o Willu. Moi rodzice zawsze za nim przepadali, z tych samych względów co Dave – dlatego, że Will tak strasznie mnie kochał. Myśl o tym, jak się krzywią, jak patrzą oskarżycielsko za każdym razem, gdy w Boże Narodzenie czy urodziny padnie jego imię, sprawia, że robi mi się ciężko na żołądku, tak jakby na jego dnie leżał wielki kamień.

Dave wchodzi tylnymi drzwiami, niesie iPada i butelkę piwa, modne okulary wiszą na dekolcie koszulki polo. – Dlaczego się ze mną rozłączyłaś?

Wspaniałą rzeczą w posiadaniu bliźniaka jest to, że nie musisz powiedzieć ani słowa, a on wie, o czym myślisz. Dopóki to, o czym myślisz, nie ma pozostać tajemnicą – i to jest najgorszą

cechą posiadania bliźniaka.

Problem polega na tym, że znam Dave'a i wiem, że jeśli powiem mu o pogroźkach, przyklei się do mojego boku i nigdy nie odejdzie. Kocham mojego brata na zabój, ale myśl o tym, że ciągle nade mną wisi, sprawia, że wszystko zaczyna mnie swędzieć, a skóra za bardzo się napina.

– Wcale się nie rozłączyłam – kłamię. – Coś musiało przerwać połączenie.

Mruży oczy.

– To dlaczego nie oddzwoniłaś?

– Przecież już kończyliśmy rozmowę. Co jeszcze chciałaś mi powiedzieć? Poza tym jechałam do domu. Pomyślałam, że lepiej będzie porozmawiać osobiście.

Wyjmuję z lodówki butelkę wody i się do niego odwracam.

– Na przykład tak jak teraz. Teraz możemy dokończyć rozmowę.

Telefon wibruje mi w kieszeni, wibruje skóra na moim biodrze, podnosząc zarówno puls, jak i temperaturę ciała. Odpinam bluzę i ją ściągam, rzucam na blat obok torby.

Dave przekrzywia głowę i mi się przygląda, błądzi wzrokiem po mojej twarzy.

– Co z tobą? Czemu jesteś taka czerwona? Czego mi nie mówisz?

– Niczego. Wszystko ci powiedziałam.

Podnosi ręce do góry.

– To nie ma sensu.

– Tak samo jak ta rozmowa.

Mama wzdycha tak jak miliony razy wcześniej. To, co w jej uszach brzmi jak kłótnia, to normalny sposób komunikowania się mnie i Dave'a... ale teraz rzeczywiście się sprzecząmy. On próbuje odkryć moją tajemnicę, a ja trzymam brakujący element w kieszeni.

– Przysięgam, jesteście gorsi niż niemowlaki. – Podaje Dave'owi stos talerzy. – Nakryj do stołu, dobrze?

Dave patrzy na mnie groźnie, a potem idzie do stołu.

Gdy tylko odwraca się do mnie plecami, wyjmuję telefon z kieszeni.

678-555-8214: Do twojej informacji, wiem, jak obejść system alarmowy.

NIEZNANY NUMER: Iris, po co ten alarm? Czy coś się stało?

Rozdział dwudziesty pierwszy

Przez całą kolację mam wrażenie, że do mojego uda przyciśnięty jest kawałek plutonu, który promieniuje trucizną w mojej kieszeni. Jeśli wcześniej miałam wątpliwości co do tego, czy te dwa numery pochodzą z innych źródeł, to teraz już ich nie mam. Nie ma szans, aby Wiem, jak obejść system alarmowy i Czy coś się stało? zostały napisane przez te same kciuki.

Chyba że ktoś próbuje doprowadzić mnie do szaleństwa. Myśl ta sprawia, że do mojego żołądka wlewa się kwas, a klopsiki i spaghetti zamieniają się w wywołującą mdłości papkę. Bo to możliwe, że ktoś chce, bym zwariowała. Może nawet jest to ta sama osoba, która wysłała list z charakterem pisma mojego męża. Ze szkoleń, jakie przeszłam, wynika, że mógł on zostać wysłany jedynie przez socjopatę.

– Iris, skarbie, czy ty w ogóle słuchasz, o czym my mówimy? – pyta mama, siedząca po drugiej stronie stołu.

Zamieram z widelcem, który właśnie wkładałam w spaghetti, i spoglądam znad talerza. Widzę, że mama patrzy na mnie ze zmartwionym wyrazem twarzy.

– Przepraszam, co?

– Właśnie rozmawialiśmy o naszych planach i o tym, że w ten weekend James musi wracać do domu.

James to potwierdza i uśmiecha się przepraszająco.

– W poniedziałek mam same operacje i naprawdę muszę być w domu dwa lub trzy dni wcześniej, żeby to ogarnąć. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

– Nie musisz przepraszać mnie za to, że masz własne życie i pracę. Jedź. Pewnie, że jedź. Nic mi nie będzie.

– Wróć w następny weekend i wtedy zobaczymy, na czym stoimy. – Mówi to do wszystkich, ale głównie do Dave’a – i wtedy do mnie dociera, że James planuje wrócić do Savannah sam. Zostawia tutaj mojego brata.

Rozglądam się po pozostałych członkach rodziny i zastanawiam się, co jeszcze umknęło mi z ich rozmowy.

– A jakie są wasze plany?

– Zostajemy – odpowiadają niemal jednocześnie.

– Nie musicie wracać do pracy? – pytam rodziców, a potem zwracam się do Dave’a: – A co z twoją pracą? Nie masz w przyszłym tygodniu żadnych spotkań?

– Poprosiłem kolegę, żeby się nimi zajął. – Unosi ramię na zasadzie, że to nic wielkiego, ale wiem, że jest w poważnych kłopotach. Praca w nieruchomościach to ciężki biznes, a rekiny w jego biurze są bardzo krwiożercze, zawsze próbują ukraść sobie klientów. Zalewa mnie poczucie winy.

Patrzę na mamę, potem na tatę, którzy siedzą podejrzanie cicho. Spoglądają na mnie z milionem emocji: zmartwieniem, determinacją, uporem. Oni też nie wyjadą w ten weekend. Tak naprawdę to mama wygląda, jakby miała zamiar przykuć się łańcuchem do krzesła, a krzesło przykręcić do podłogi.

– Naprawdę nie musicie zostawać. Nic mi nie będzie.

Mama wygląda na obrażoną, że w ogóle przyszło mi to do głowy, i kręci głową, zanim jeszcze kończę zdanie.

– Ja i twój ojciec wszystko już sobie załatwiliśmy w pracy. Oboje z radością pozostaniemy tak długo, jak długo będziesz nas potrzebować.

Moją klatkę piersiową zalewa ciepła fala miłości do mojej cudownej mamy. Gdyby mogła, wprowadziłaby się do mnie i wpychałaby we mnie trzy posiłki dziennie do czasu, aż znowu zacznę chodzić na randki. Czy to dziwne, że potrzebuję trochę czasu sam na sam? Nie jestem introwertyczką. Kocham moją rodzinę i zwykle żałuję, że nie mieszkają bliżej. Nowe wdowy z reguły bardzo boją się tej chwili, gdy rodzina się pakuje i wraca do swojego życia, a ona zostaje sama ze swoim smutkiem. A ja próbuję przekonać moją rodzinę, żeby wyjechała.

Odkładam widelec i mówię najdelikatniej, jak tylko potrafię:

– To cudowne, że tutaj jesteście, i chociaż doceniam, że cała wasza czwórka tak bardzo dbała o mnie w zeszłym tygodniu – naprawdę bardzo to doceniam – to teraz rzadko będę bywać

w domu. Wracam do pracy w poniedziałek rano.

Mama unosi wysoko brwi.

– Tak szybko?

Kiwam głową.

– To właśnie kazałabym sobie zrobić, gdybym była swoją pacjentką. Wrócić do normalnego życia i rutyny, stworzyć sobie nową normalność. I, szczerze mówiąc, w pewnym sensie nie mogę się doczekać przebywania w towarzystwie dzieciaków, których życie jest jeszcze bardziej popieprzone niż moje. Może mi to trochę pomoże. – Gdy mama nie zmienia wyrazu twarzy, sięgam ponad stołem i przykrywam jej dłoń swoją. – Mamo, wiem, co robię. Naprawdę.

Patrzy na tatę, który wzrusza ramionami na zasadzie „to twoja decyzja”. Kręci głową i robi jeszcze bardziej uparty wyraz twarzy.

– Nie podoba mi się, że będziesz tutaj sama.

– Pójdę na kolację z Elizabeth albo zaproszę ją na drinka. Nie widziałam się z nią ani nie rozmawiałam – tak jak z żadną z moich przyjaciółek – od czasu nabożeństwa. Będzie dobrze.

– To świetny pomysł. Rób, co należy – mówi mama. – Ja będę nadal planować pogrzeb, a teraz, gdy trochę się ociepliło, wypadaloby trochę odświeżyć twoje skrzynki na kwiaty...

Próbuję pójść na kompromis.

– Może wróćcie do domu na kilka dni, załatwcie tam wszystkie bieżące sprawy, a potem wróćcie za tydzień? Wtedy spędzimy razem cały weekend.

– Mam lepszy pomysł – mówi Dave, który jak zwykle chce mnie uratować. – Może w przyszły weekend wszyscy spotkamy się u mamy i taty? My mamy bliżej, a rodzice nie będą musieli znowu wyjeżdżać.

Kiwam głową z entuzjazmem.

– Szczerze mówiąc, nie miałabym nic przeciwko wyjazdowi z miasta.

– Nie wiem... – Mama zaczyna się wahać.

– Jules, nic jej nie będzie – mówi tata i puszcza mi oko. – Prawda, konusie?

– Oczywiście. I wyjadę w piątek od razu po szkole, żeby zdążyć

na kolację.

Przegłosowana mama niechętnie się na to godzi, a tata kieruje rozmowę na weekendowe plany. W mieście jest nowa restauracja z grillem, do której koniecznie chce się wybrać, i może moglibyśmy wszyscy pójść do nowego kina, dają tam wino i mają wielkie wygodne fotele. Uśmiecham się i mruczę, tak jakby ten pomysł bardzo mi się spodobał. Liczę minuty do czasu, gdy wreszcie zostanę sama.

Muszę coś zrobić, a nie uda mi się to, jeśli oni będą obok mnie.

Po kolacji wyjmuję z torby pusty czek i studolarowy napiwek dla Dużego Jima, daję je tacie i idę na górę. Adrenalina, która przez cały dzień pomagała mi funkcjonować, już dawno ze mnie zeszała, a wyczerpanie przytłacza mnie niczym ołowiany koc.

Duży Jim stoi przy drzwiach od mojej sypialni i pakuje swoją skrzynkę z narzędziami. Potykam się o jego wielki bucior.

– Uwaga – mówi i łapie mnie w pasie, żebym się nie przewróciła. – Połamane kości nikomu się nie przydadzą.

Nie mówię mu, że teraz już zostałam sama, ani tego, że złamana kość boli o wiele mniej niż złamane serce. Zbieram się i mówię, że nic mi nie jest.

Na ścianie nad jego głową wisi nowiutki panel od alarmu.

– Właśnie miałem panią tutaj zawołać. – Wstaje i wyciera dłonie o spodnie. – Ma pani chwilę, żebym mógł wyjaśnić pani, jak to działa?

Pieką mnie oczy, mój mózg przypomina papkę, a ciało pragnie jedynie wejść pod kołdrę, ale i tak kiwam głową.

– Proszę mi to wyjaśnić.

– W porządku. Na razie ustawiłem w systemie kod domyślny, ale gdy tylko skończę, powinna zmienić go pani na własny. Używa pani tego kodu, by włączać i wyłączać system oraz wprowadzać zmiany w panelu ustawień, proszę więc mieć pewność, że zna pani ten kod na pamięć. A widzi pani te guziczki? – Wskazuje pionowy rząd kwadracików i symboli policji, straży pożarnej i pogotowia. – To są pani przyciski antynapadowe.

Kolejne dwa ma pani przy łóżku, schowane za każdym stolikiem nocnym. Musi pani przytrzymać je przez co najmniej trzy sekundy i rzeczywiście musi pani potrzebować pomocy, ponieważ pojawimy się tutaj uzbrojeni po zęby i nikt nie będzie zadawać pytań. Jeśli okaże się, że to fałszywy alarm, zapłaci pani porządny rachunek.

– Rozumiem.

– Dobrze. Teraz pani kod pod przymusem to cyfry ze środka klawiatury: 2580. To kolejny kod, który powinna pani zmienić od razu po moim wyjściu.

– Dlaczego miałabym użyć tego kodu zamiast wcisnąć przycisk alarmowy?

– Bo ktoś może przystawić pani broń do głowy i patrzeć pani przez ramię, jak rozbraja pani system.

Otwieram szeroko oczy.

– I to się zdarza?

Kiwa głową, potrząsając mięsistym podbródkiem.

– Właśnie przydarzyło się to pewnej młodej parze z Buckhead. Dwaj uzbrojeni mężczyźni zaskoczyli męża, który wracał z garażu, i zmusili ich do przekazania całej gotówki i wszystkich cennych przedmiotów. Mąż użył kodu pod przymusem i pewnie tylko dlatego małżeństwo jeszcze żyje.

– Jezu. – Staram się uspokoić, ale mi się to nie udaje. Myśl o tym, że ktoś mógłby włamać się do mojego domu, grozić mi bronią i czekać, aż dam mu cztery i pół miliona dolarów, których przecież nie mam, sprawia, że pod moją skórą zaczyna maszerować armia mrówek.

Duży Jim wskazuje numer telefonu na 800 od wewnętrznej strony klapki od klawiatury.

– Po moim wyjściu proszę natychmiast zadzwonić pod ten numer i ustalić swoje hasło. To dodatkowy środek bezpieczeństwa. Nasi operatorzy będą prosili o hasło za każdym razem, gdy zadzwonią. Jeśli obok pani będzie stał zły facet, proszę podać złe hasło, i to będzie sygnał do wysłania ochrony. Proszę się nie martwić, jeśli zapomni pani którąś z tych zasad. Wszystko zostało wyjaśnione w instrukcji obsługi, którą

zostawię pani przed wyjściem.

– Proszę dać ją mojemu tacie, dobrze? Ma też dla pana pieniądze, a mama grzeje dla pana kolację, może pan ją zjeść, gdy tylko będzie pan gotowy.

Duży Jim klepie się po brzuchu i szczerzy zęby.

– Niemal zawsze jestem gotowy.

Po jego wyjściu wyskakuję z trampków, wyjmuję telefon z kieszeni i padam na łóżko. Nie ma żadnej nowej wiadomości i nie wiem, czy mam odczuwać ulgę, czy rozczarowanie. Może jedno i drugie. Ulgę z jednej strony, a rozczarowanie z drugiej.

Włączam wąż z numerem na 678, ten, który kończy się dwiema groźbami. *Powiedz mi, gdzie Will ukrył pieniądze, albo wkrótce do niego dołączysz. Do twojej informacji, wiem jak obejść system alarmowy.* Nie ma szansy, żebym mu odpisała.

Włączam więc konwersację z zablokowanym numerem. *Iris, po co ten alarm? Czy coś się stało?*

Myślę, kto mógłby martwić się o mnie poza osobami, które właśnie sprzątają mi w kuchni – moi koledzy, przyjaciółki, mili sąsiedzi po lewej i po drugiej stronie ulicy. Żadna z tych osób nie pisałaby do mnie z zastrzeżonego numeru. Przyciskam palce do oczu i je pocieram. Może jestem zbyt zmęczona. Zestresowana. Wykończona i zdezorientowana faktem, że leżę w łóżku, które kiedyś dzieliłam z Willem. To wszystko nie ma najmniejszego sensu.

Zanim jestem w stanie rozważyć wady i zalety rozmowy z osobą, która znajduje się po drugiej stronie zastrzeżonego numeru, moje kciuki zaczynają gorączkowo pisać.

Dlaczego cię to obchodzi? Kim jesteś?

Odpowiedź pojawia się na moim ekranie dwie sekundy później, tak jakby ten ktoś czekał na mnie przez cały ten czas z kciukami przyciśniętymi do ekranu.

Jestem przyjacielem i chcę, żebyś była bezpieczna. Powiedz mi, kto cię prześladowa i dlaczego. Chcę pomóc.

JA: Nie graj ze mną w żadne gierki. Skoro wiesz, że byłam w Seattle i zamontowałam alarm, to wiesz też o skradzionych pieniądzech.

NIEZNANY NUMER: Wiem o pieniądzech. Ale nie wiem, czy ty wiesz.

Gdy piszę kolejne słowa, mam serce w gardle.

JA: Czy to ty je ukradłeś?

NIEZNANY NUMER: To zależy od tego, komu wierzysz.

Po przeczytaniu ostatniej wiadomości mam wrażenie, jakby ktoś strzelił mi z bicza. Jak na razie jedyna teoria, jaką słyszałam, mówi o tym, że to Will ukradł te pieniądze, co oznacza...

To niemożliwe. Martwy człowiek nie może wysyłać esemesów. Zastanawiam się nad kolejnym ruchem, kiedy na ekranie pojawia się kolejna wiadomość.

NIEZNANY NUMER: Powiedz mi, co mogę zrobić, by ci pomóc.

JA: Nie sądzę. Chyba że powiesz mi, kim jesteś.

NIEZNANY NUMER: Wierz mi, niczego więcej nie pragnę. Ale lepiej będzie i dla mnie, i dla ciebie, jeśli ci nie powiem.

JA: Jaki więc to ma sens? Po co w ogóle wysyłasz do mnie te wiadomości?

NIEZNANY NUMER: Bo nie mogę być obok ciebie.

Rozdział dwudziesty drugi

Kancelaria adwokacka Rogers, Sheffield i Shea znajduje się w samym centrum, wysoko w chmurach nad Peachtree Street. Ich recepcja ma wszystko, czego można oczekiwać od najbardziej prestiżowej firmy prawniczej Atlanty. Nowoczesne wyposażenie, szklane ściany, z których rozciągają się cudowne widoki na centrum miasta, i ciemnowłosa recepcjonistkę, która równie dobrze mogłaby być modelką.

– Iris Griffith, przyszedłam na spotkanie z Evanem Sheffieldem.

Wskazuje mi rząd skórzanych krzeseł przy oknie.

– Jego asystentka zaraz wyjdzie. Czy w tym czasie mogę zaproponować pani coś do picia?

– Z chęcią napiłabym się wody, dziękuję.

A najchętniej to bym stąd związała. Zjechałabym windą z powrotem na parking, pobiegłabym do samochodu i szybko pojechałabym do domu. Nie chodzi o to, że boję się powiedzieć mu prawdę, chociaż przyznanie, że mój mąż jest kłamcą i złodziejem nie jest proste. Nie, moja chęć wyjścia stąd jest powodowana strachem. Gdy widziałam Evana po raz ostatni, jego oczy były przerażone i od tej pory mnie prześladowały. Jego asystentka prowadzi mnie do narożnego gabinetu. Evan siedzi przy okrągłym stole przy ścianie. Od czasu, gdy widziałam go po raz ostatni, zapuścił brodę, ma kolor brudnego blondu i albo jest środkowym palcem pokazanym światu korporacji, albo wyznaniem, że jego żałoba jest zbyt trudna, by miał siłę się ogolić.

Podnoszę rękę.

– Cześć, Evanie.

Jego marynarka wisi na krześle obok, rękawy ma podwinięte do łokci. Próbuje wyglądać na zrelaksowanego, ale wcale mu to nie wychodzi. Jest zgarbiony, ma zwieszona ramiona, a jego twarz wygląda na udręczoną. Podnosi swoje wielkie ciało z krzesła

i wyciąga długą rękę ponad stołem, potrząsa moją dłońią nad wiaderkiem z lodem i tacką z każdym możliwym rodzajem wody mineralnej.

– Iris, dobrze znowu cię widzieć. Spytałbym, jak się trzymasz, ale nienawidzę tego pytania, poza tym jestem pewien, że znam na nie odpowiedź.

Oczywiście, że zna. Przecież wie, jak to jest, gdy Liberty Airlines zrobiły w jego życiu dziurę, która nigdy nie zniknie, tak samo jak dziura w jego psychice. Wie, że można siedzieć przez kilka godzin, patrzeć się przed siebie i torturować się wszelkimi możliwymi scenariuszami co-by-było-gdyby. Co by się stało, gdyby utknęła w korkach? Co by się stało, gdyby zrezygnowała z miejsca dla kuponu wartego pięćset dolarów, które linie lotnicze rozdają na zachętę, gdy dany lot jest przepełniony? Co by się stało, gdyby... Doskonale to wszystko zna, nie muszę więc mówić tego na głos.

– Dziękuję, że tak szybko się ze mną spotkałeś – mówię. – Wiem, że musiałeś zmienić plany.

Macha ręką.

– To ty jesteś psychologiem. Czy to dziwne, że chciałem się z tobą spotkać?

Opadam na krzesło po przekątnej od niego, jego szczerość sprawia, że moje ramiona trochę się rozluźniają.

– To zabawne, właśnie zastanawiałam się, jak by to dziwnie wyglądało, gdybym stąd zwiąła.

– Czyżby z powodu mojego błyskotliwego dowcipu i porywającej osobowości? – Uśmiecha się skromnie i wskazuje swoje masywne ciało. – Budowę ciała Hermana Munstera i urok He-Mana?

– Tak naprawdę to chodzi o twoje oczy. – Patrzę w nie, są tak straszne, jak zapamiętałam. Piękna zieleń mchu, ale z czerwonymi obwódkami. A otaczająca je skóra jest opuchnięta i pełna zmarszczek, które – jak już wiem – biorą się z rozpacz. – Patrzenie w nie rani moje serce.

Krzywi się, ale nie spuszcza wzroku.

– A patrzenie w twoje rani mnie.

– Musisz być zatem bardzo odporny.

Śmieje się, ale jego śmiech pozbawiony jest humoru.

– W tych dniach wszystko jest takie względne, prawda?

Nie wiem, co mam mu na to odpowiedzieć, więc milczę. Zamiast tego wyglądam przez okno i patrzę, jak para jastrzębi nurkuje w białych chmurach. Podczas gdy Dave i ja ganialiśmy po Seattle za przeszłością Willa, około trzydziestoosobowa grupa ludzi wsiadła do prywatnego odrzutowca Liberty Airlines i poleciała na miejsce katastrofy. Widziałam zdjęcia w „Huffington Post”, profil Evana wyróżniał się na tle poważnych postaci, trzymających się za ręce i tulących się na polu przesiąkniętym tymi, których stracili. Zobaczyłam ich i pomyślałam sobie – ja bym nie mogła. Co to o mnie mówi – a przecież, do diabła, jestem psychologiem! – skoro oni mogą, a ja nie?

– Jedna z lekcji, które odebrałem w ciągu ostatniego tygodnia – mówi Evan, przywołując mnie z powrotem – jest taka, że nikt nie rozumie, przez co przechodzimy. Ludzie sądzą, że rozumieją, i wiele z nich tego właśnie pragnie, ale nie rozumieją. Nie tak naprawdę. Dopóki ktoś nie straci najbliższych w taki sposób jak my, to tego nie zrozumie. – Smutek wzbiera niczym nagły przypływ, jest intensywny i wszechogarniający. Evan właśnie podał powód, dla którego żałobnicy coraz częściej zbierają się w grupy. Jesteśmy obcymi na tej samej łodzi, oboje jesteśmy uwięzieni w zapadlisku smutku. Chociaż świadomość, że nie pójdę na dno sama, jest odrobinę pocieszająca.

– Nie chodzi tylko o utratę Willa, chodzi... – Przerrywam, szukam właściwego słowa.

Ale albo Evan już to sobie przemyślał, albo jego mózg jest znacznie szybszy niż mój.

– Chodzi o przerażenie wywołane tym, jak...

Natychmiast kiwam głową.

– Właśnie. Chodzi o przerażenie wywołane tym, jak to się stało. To tam właśnie znajduję się, gdy tylko zamknę oczy. Widzę jego łzy. Słyszę jego krzyki. Jego przerażenie wali w moją klatkę piersiową. To tak, jakbym nie mogła przestać odtwarzać tych okropnych ostatnich minut, wczuwając się w niego, gdy samolot

zaczął spadać z nieba.

Wypowiadam te słowa i bum – płaczę. Dlatego nie chciałam tutaj przyjechać, to dlatego żadna siła na tej planecie nie mogła mnie zmusić do wejścia na to pole kukurydzy. Kto powiedział, że Bóg daje ci tyle, ile jesteś w stanie znieść, pieprzył głupoty, bo ten smutek, który ciągle uderza we mnie niczym ciężarówka, ten ciężar tęsknoty za Willem, która ściska mnie z każdej strony, aż wreszcie nie jestem w stanie oddychać – kiedyś mnie zabije.

Evan przysuwa mi pudełko z chusteczkami.

– Cały czas zapominam, że to moje nowe życie. Kilka razy miałem już zostawić wiadomość na poczcie głosowej Susanny albo wchodziłem w środku nocy do pokoju córki z ciepłą butelką, i dopiero wtedy sobie przypomniałem. Łóżeczko jest puste. Moja żona i córka nie żyją.

– Jezu, Evan – mówię łamiącym się głosem. Wyciągam chusteczkę z pudełka i wycieram nią sobie policzki. – Kilka dni temu zadzwoniła do mnie jakaś dziennikarka i twierdziła, że pilot był niewyspany i na kacu. Coś o...

– Wieczorze kawalerskim, już o tym wiem. Wysłałem kogoś do Miami, żeby się rozejrzył. Jak dotąd nic nie udało mu się ustalić.

– A czy rozmawiał z Tiffany Rivero?

– Z kim?

Szybko streszczam mu moją rozmowę z Leslie Thomas. Milknie. Wyraz jego twarzy się nie zmienia. Gdyby nie purpurowy rumieniec, który pojawia się na jego szyi, pomyślałabym, że mnie nie słyszał.

– Historia jeszcze nie została ujawniona, więc może ona...

Wali pięścią w stół, lód w kubelku na lodzie grzechocze.

– Wiedziałem. Wiedziałem, że ci skurwiele coś ukrywają. Samolot nie spada tak po prostu z nieba, chyba że... – Przerzywa, zaczyna dyszeć, bierze trzy szybkie oddechy, a potem zaczyna przeglądać dokumenty na biurku. – Jeśli to prawda, jeśli ktokolwiek w kokpicie popełnił choćby najmniejszy błąd, to misją mojego życia będzie wykończenie tych linii lotniczych i wszystkich pracowników. Gwarantuję ci to.

– Psycholog we mnie mówi, że zemsta nic ci nie da. Twoja żona

i córeczka, mój Will... wszyscy nadal będą martwi.

– A co mówi wdowa w tobie?

Nawet przez chwilę nie muszę zastanawiać się nad odpowiedzią.

– Wdowa we mnie mówi: zniszcz tych drani.

– Oczywiście. Osobiście porozmawiam z tą Tiffany, jeśli będzie trzeba, to do niej polecę. – Przejeżdża dłonią po twarzy, jego wściekłość znika tak szybko, jak się pojawiła, zamienia się w cierpienie. – Boże, dopomóż, bo jeśli moje dziewczyny zginęły tylko dlatego, że jakiś dupek był zbyt arogancki, by zadzwonić do pracy i wziąć wolne...

Po wspomnieniu swojej rodziny ponownie wygląda, jakby miał się rozpłakać, a ja doskonale wiem, jak on się czuje – tak jakby jego emocje miały zespół mnogiej osobowości. Dlaczego nazywają to żałobą, skoro tak naprawdę to jest pełna paleta okropnych emocji, mieszanina żalu, wściekłości, poczucia winy i samotności, owiniętych w jedno małe słowo?

– Nie jestem w stanie utrzymać pokarmu w żołądku. – Słyszę swój głos. Szczerość Evana coś we mnie wyzwoliła i słowa te wyszły ze mnie same. – Wszystko smakuje jak tektura, nawet jeśli padam z głodu. Jem, a potem zaraz wymiotuję. I za każdym razem, gdy wiszę nad toaletą, wyrzuając sobie jelita, mam ten mały dreszczyk emocji, bo myślę, że może jestem w ciąży.

– Zakładam, że ty i Will się staraliście?

Kiwam głową.

– Ale bardzo krótko, więc szanse są naprawdę bardzo małe. Młodości mają prawdopodobnie podłoże psychosomatyczne, albo może to podświadomość, albo po prostu złamane serce, nie wiem. Nie mogę jednak przestać myśleć, że gdybym miała dziecko, gdybym miała w sobie tę malutką fasolkę, to wszystko stałoby się odrobinę łatwiejsze.

– Wydaje mi się, że stałoby się o wiele łatwiejsze. Bo miałabyś kogoś, dla kogo mogłabyś żyć.

Jego słowa są niczym ostrzeżenie dla mojego psychotycznego mózgu.

– Sugerujesz, że nie masz dla kogo żyć?

– Mówię, że to straszne, że czasami myślę, że mam. Zwłaszcza o czwartej rano, gdy stoję w ciemnym, pustym pokoju mojej córeczki i wpatruję się w jej puste łóżeczko, podczas gdy jej płacz odbija się echem w mojej głowie.

Współczucie dla tego człowieka wali mnie prosto w pierś i mówi mi, że nawet jeśli moje serce rozpadło się na tysiące kawałków, to nadal może być jeszcze gorzej. Sięgam ponad stołem i ściskam jego wielką dłoń. W tym geście są zawarte jednocześnie empatia, współczucie i solidarność.

Cofa rękę i chowa głowę w dłoniach, wypuszcza powietrze przez palce.

– Przepraszam. Nie po to tutaj przyjechałaś, żebym wyplakiwał ci się na ramieniu. – Patrzy w górę, na jego twarzy pojawia się maska półprofesjonalisty. – Wspominałaś o tym, że potrzebujesz porady prawnej. Czy to ma coś wspólnego z katastrofą?

– Nie. Tak. No cóż, w pewnym sensie, ale bardziej przypomina to *Strefę mroku*. – Zmuszam się do śmiechu, ale jest zbyt głośny i gwałtowny niczym kichnięcie. A potem staję się poważna. – Muszę wiedzieć, czy można pociągnąć mnie do odpowiedzialności za domniemane przestępstwa męża.

Jego twarz pozostaje obojętna.

– O jakich przestępstwach teraz mówimy?

– Głównie o sprzeniewierzeniu.

– Głównie, co? – Nasypuje lodu do dwóch szklanek i popycha jedną w moją stronę, a potem prosi o wybranie butelki wody. Wybieram Perrier, otwiera ją dla mnie. – Chyba najpierw powinienem cię ostrzec, że sprawy naszych klientów stają się poufne dopiero po wpłaceniu zaliczki. – Już chcę go spytać, czy mówi poważnie – zawsze myślałam, że tak było tylko w Hollywood – gdy dodaje: – Gdybyśmy siedzieli w barze, powiedziałbym, żebyś kupiła mi piwo, ale ponieważ w nim nie siedzimy, wystarczy kilka dolców.

Wyjmuję z portfela pięć banknotów jednodolarowych i przesuwam je po stole.

– Zaczynij od początku – mówi, chowając pieniądze do kieszeni.

I tak właśnie robię. Mówię mu wszystko, począwszy od poranku

dnia, w którym nastąpiła katastrofa. Mówię mu o konferencji w Orlando i pracy w Seattle, której tak naprawdę nie było. Opowiadam mu o tym, jak karta kondolencyjna zaprowadziła mnie do trenera Millera, Rainier Vista i pożaru. Opowiadam o liście i kawie z Corbanem oraz o tym, że Will poprosił, żeby się mną zaopiekował. Opowiadam mu o spacerze po BeltLine z Nickiem, o bieglej sądowej, która właśnie przegląda księgi rachunkowe AppSec w poszukiwaniu czterech i pół miliona brakujących dolarów. Opowiadam mu o pierścionku od Cartiera i wiadomościach zarówno z zablokowanego numeru, jak i spod numeru na 678, oraz o tym, że groźby skłoniły mnie do założenia najlepszego możliwego systemu alarmowego. Słowa wypływają ze mnie bez wahania, bez najmniejszego wysiłku. Odczuwam ogromną ulgę, że wreszcie mogę komuś o tym opowiedzieć. Evan słucha mnie ze spokojnym wyrazem twarzy, nie zapisując ani jednego słowa w swym notesie.

Gdy kończę, odsuwa notes i opiera przedramiona na stole.

– Dobrze, najpierw najważniejsze. Liberty Airlines opublikowały nazwisko Willa, zanim się z tobą skontaktowały?

– Tak. To było tylko jakieś pół godziny, ale na tyle długo, że moja mama zadzwoniła do mnie przed nimi.

– Co za niekompetentni głupcy. – Kręci głową i się krzywi. – Wiesz, że teraz możesz podać każdą możliwą cenę, prawda? Jeśli zagroźisz, że ujawnisz ich wpadkę prasie, zapłacą ci każdą kwotę, byleby tylko cię uciszyć.

Przypomina mi się twarz Ann Margaret Myers, jej maska przesadnego współczucia w Centrum Pomocy dla Rodzin, gdy położyła na biurku czek na pięćdziesiąt cztery tysiące dolarów, i jej chytry uśmieszek, kiedy powiedziała mi, że dostaję jeszcze więcej.

– Nic od nich nie chcę, a już na pewno nie ich cholernych pieniędzy.

– Teraz tak mówisz, ale co będzie za kilka miesięcy, gdy rachunków będzie coraz więcej, a na twoim koncie będzie pojawiać się jedna wypłata mniej? A co, jeśli jesteś w ciąży? Będziesz potrzebowała każdego centa.

– Nie, nie będę. Kilka dni temu znalazłam polisy ubezpieczenia na życie Willa. Są trzy, na kwotę dwóch i pół miliona dolarów. Finansowo dam sobie radę.

Przekrzywia głowę.

– Czy ty mi mówisz, że nie wiedziałaś o tych polisach?

– Wiedziałam tylko o jednej. Na najniższą kwotę. Dwie pozostałe wykupił, nie wspominając mi o tym ani słowem.

– Jak myślisz, dlaczego to zrobił, i dlaczego na takie kwoty? Średnia krajowa dla kogoś w jego sytuacji, żonatego, bez dzieci, wynosi mniej niż połowę tej kwoty.

– Nigdy bym nie pomyślała, że może coś ukraść albo podpalić, tak więc równie dobrze ty możesz zgadywać. – Wzruszam ramionami.

– Zabójstwo.

– Co?

– Jeśli to on podłożył ogień, w którym zginęły jego matka i te dzieci, to pod względem technicznym popełnił zabójstwo.

Po moim kręgosłupie przebiega dreszcz.

Evan pije wodę, a potem gryzie kostkę lodu.

– No dobrze, dzieje się tutaj kilka rzeczy naraz. Jeśli jego szef jest w stanie udowodnić, że to Will stoi za defraudacją, może pociągnąć cię do odpowiedzialności, ale tylko jeśli Will wykorzystał cokolwiek z tych pieniędzy, aby zapłacić za rzeczy, które posiadacie razem. Prawo w Georgii stanowi, że jeśli którykolwiek z tych funduszy w jakikolwiek sposób ci się przydał, AppSec może i będzie wzywać cię do zwrotu, a być może do zapłaty grzywny. Z pewnością zwrócą się o pierścionek.

Podciągam pierścionek tak wysoko na palcu, jak tylko dam radę, a potem zaciskam dłoń w pięść.

– Dał mi to w dniu, w którym zginął. Żeby mi go zabrać, będą musieli odciąć mi palec.

– Dopilnuję, żeby nie musieli tego robić, ale bardzo prawdopodobne, że będziesz musiała zebrać pieniądze za pierścionek i im je oddać. A jeśli dowiedzą się o wypłacie dwóch i pół miliona z ubezpieczeń, to z pewnością po nie przyjdą.

– Mogą to zrobić?

– Mogą spróbować. I wiem, że pewnie czujesz inaczej, ale jeśli chodzi o odpowiedzialność w kwestiach sprzeniewierzenia, to czas przeszedł jest dobrą rzeczą. Możemy go wykorzystać do wykazania, że w twoim małżeństwie było wiele tajemnic, o których nie miałaś pojęcia. Jego przeszłe życie w Seattle, teść, o którym nigdy nie wiedziałaś, wszystko to będzie działać na naszą korzyść. – Daje mi kilka chwil na przetrwanie tych informacji i dolewa nam wody. – W porządku. Przejdźmy do wiadomości. Zgłosiłaś je na policję?

– Jeszcze nie. Najpierw chciałam porozmawiać z tobą.

– Chociaż bardzo to doceniam – nie masz pojęcia, ile razy udało mi się załatwić jakiegoś kretyna tylko dlatego, że nie pomyślał, by najpierw skontaktować się ze swoim prawnikiem – to do tej pory grożono ci już dwukrotnie.

– Ale groził mi ktoś, kto chce pieniędzy, których nie ukradłam i do których nie mam dostępu. Czy policja nie będzie miała do mnie mnóstwa pytań?

– Możesz na to liczyć, zwłaszcza że szef Willa sam zaczął już dochodzenie. Ale, Iris, jako twój prawnik muszę o to zapytać. Czy powiedziałaś mi już o wszystkim, o czym powinienem wiedzieć? Nie będę mógł ci pomóc, dopóki nie będę znał wszystkich faktów, a nienawidzę działać na oślep.

– Tak, oczywiście. Nie mam o czym kłamać. Naprawdę. Powiedziałaś ci o wszystkim, co pamiętam.

Czuję w piersi poczucie winy, odwracam wzrok, zanim Evan to widzi. Nie powiedziałam mu o jednej rzeczy, jest coś, czego nie śmiem wypowiedzieć na głos. Bo zabrzmiałabym jak wariatka.

– W takim razie... Kładzie obie dłonie na stole, wstaje i kiwa głową w stronę drzwi. – Jedziemy.

– Dokąd?

– Na posterunek policji. Złożyć raport.

– Co, teraz?

Uśmiecha się krzywo. Jego uśmiech jest wymuszony, ale widzę cień starego, zabawnego Evana z czasu sprzed katastrofy, która wyssała z jego życia całą radość.

– Obiecuję, że nie policzę ci dodatkowej opłaty.

Evan zawozi nas na komisariat położony najbliżej mojego domu, w szarym kamiennym budynku na Hosea Williams Drive, który zdaje się zbyt mały, aby służyć miastu liczącemu ponad sześć milionów mieszkańców. Wnętrze jest jak publiczna toaleta, zatłoczone i duszne, i jest wypełnione zapachem mocnego środka czyszczącego wymieszanego ze smrodem ciał i strachu. Mężczyźni w pomiętych ubraniach siedzą ściśnięci na ławce po prawej stronie, ich nadgarstki są przykute do metalowej poręczy. Patrzą na mnie tłustym, oleistym wzrokiem, przysuwam się trochę do Evana.

Sierżant przy biurku, mężczyzna o fryzurze na grizzly, modnej w latach sześćdziesiątych, wita Evana z imienia i nazwiska. Jest to uprzejme, ale w żadnym razie nie przyjacielskie mimo swobodnych manier Evana. Opiera łokieć na biurku, tak jakby był w barze, wyjaśnia sytuację i prosi o formularz do wypełnienia tonem, który sprawia, że wszyscy myślą, iż sierżant jest jego starym kumplem od kieliszka. Mężczyzna przekazuje Evanowi formularz bez komentarza.

– Nie wydaje mi się zbyt miły – szepczę zza dokumentów, gdy ja i Evan siadamy na pustych krzesłach po drugiej stronie.

– Bo mnie nienawidzi. – Evan nie sili się na zniżenie głosu. Opiera się na krzesło, krzyżuje nogi i wzrusza ramionami. – Jestem obrońcą. Zarabiam na życie, broniąc tych samych ludzi, których aresztowali jego koledzy, zadając sobie przy tym wiele trudu. Z jego punktu widzenia gram w złej drużynie.

Policjant wydyma usta i kiwa głową, ale nie patrzy w naszą stronę.

– Czy ja jestem w złej drużynie? – pytam urażona. – Przecież nic nie zrobiłam.

– Będzie dobrze. Po prostu to wypełnij, żebyśmy mogli złożyć zeznania.

Wracam do formularza, a dziesięć minut później idziemy z powrotem do biurka.

– Jest detektyw Dreesch? – pyta Evan.

Sierżant nie podnosi oczy znad dokumentów.

– Nie.

– A detektyw Willoughby?

Długopis zamiera na papierze, rozlega się głośne westchnięcie i mężczyzna opiera się na krześle i odwraca głowę.

– Jest detektyw Johnson.

Evan marszczy czoło.

– Jakiś nowy?

– To jest ona. Tak, prosto z patrolu.

– Doskonale – mówi Evan, ale ton jego głosu mówi mi, że wcale tak nie jest.

– Poczekajcie tutaj. – Policjant macha długopisem ponad naszymi głowami, w stronę rzędu krzeseł, od których właśnie przyszliśmy, i wracamy na nasze miejsca.

Po pełnych czterdziestu minutach przedstawia nas detektyw Johnson, drobnej policjantce o świeżo oczyszczonej twarzy, ładnych rysach i włosach uczesanych w wysoki koński ogon. Ma sztywną postawę i bardzo poważny wyraz twarzy młodej kobiety, która ma coś do udowodnienia i szklane sufity do przebicia głową. Każe nam usiąść przy swoim biurku, na którym panuje nienaganny porządek – anomalia w tym pełnym ścisku i zatłoczonym pomieszczeniu, gdzie większość linii poziomych zdaje się być zasłonięta teczkami z dokumentami i brudnymi kubkami po kawie. Czyta mój formularz i spogląda na mnie spod uniesionych brwi.

– Kto jest sprawcą?

– Mamy nadzieję, że to państwo powiedzą nam to na podstawie numeru telefonu komórkowego – mówi Evan, zanim ja w ogóle nabieram powietrza, by odpowiedzieć. Nie po raz pierwszy myślę, jak bardzo cieszę się, że nie kazał mi przyjechać tutaj samej. Jeszcze nigdy tego nie robiłam, nigdy – aż do Seattle – nie miałam powodu, by iść na komisariat policji, a teraz jestem w takim miejscu drugi raz w ciągu tygodnia. Czuję się kompletnie nieprzygotowana do tego zadania.

– Przy założeniu, że nie jest to komórka na kartę – mówi detektyw Johnson. Przegląda kopie zrzutów ekranu

wydrukowanych przez asystentkę Evana, na których widać rozmowę z numerem na 678. Gdy dociera do pierwszej pogróżki: *Powiedz mi, gdzie Will ukrył pieniądze, albo wkrótce do niego dołączysz, patrzy w górę.*

– Jakie pieniądze?

– Cztery i pół miliona brakujących pieniędzy, rzekomo ukradzionych przez pana Griffitha z miejsca jego zatrudnienia.

Policjantka patrzy na mnie, ale kieruje pytanie do Evana.

– A gdzie teraz jest mąż?

– Był pasażerem na pokładzie lotu numer 23 Liberty Airlines. Pani Griffith jest wdową.

Detektyw otwiera szeroko oczy, ale z tego, co widzę, nie ze współczucia.

– To w takim razie gdzie są teraz te pieniądze?

– O rzekomym sprzeniewierzeniu moja klientka dowiedziała się dopiero wczoraj. Nie wie, gdzie jej mąż mógł przechowywać pieniądze przed śmiercią. Z pewnością nie ma ich na żadnych z ich wspólnych kont. Oczywiście możemy potwierdzić to odpowiednimi wyciągami.

Detektyw Johnson opiera się na krześle, nagle zdaje się o wiele bardziej zainteresowana tematem.

– W porządku, postawię sprawę jasno. Pani Griffith, ukradzione miliony...

– Rzekomo – przerywa Evan. – Z tego, co wiem, nie wniesiono żadnego formalnego oskarżenia.

Patrzy na niego groźnie.

– Pan Griffith rzekomo oddał się z ponad czterema milionami dolarów, po czym zniknął w katastrofie lotniczej.

– Nie zniknął – mówi Evan, ostrożnie dobierając zarówno słowa, jak i ton. – Zginął i to w najgorszy sposób, jaki można sobie wyobrazić.

– I w tym czasie pieniądze również zniknęły.

Evan się prostuje.

– Pani detektyw, nie podoba mi się to, co pani insynuuje. W zeszłym tygodniu pani Griffith straciła męża, tak samo jak sto siedemdziesiąt osiem innych rodzin, które straciły mężów, żony,

rodziców i dzieci. Z pewnością nie można oskarżyć go o to, o co pani planuje.

Ale oczywiście Evan doskonale wie, o co ona oskarża Willa. Tak samo jak ja. Moje serce zaczyna trzepotać niczym ptak w klatce, bo ja też wiedziałam. Nad tą samą kwestią zastanawiałam się przez większą część ostatnich dziewięciu dni. Dostałam wręcz obsesję na tym punkcie. Analizowałam to pod każdym możliwym kątem, przemyślałam każdą możliwość i za każdym razem pojawiała się tylko jedna odpowiedź.

Evan czyta to z mojej twarzy. Nie mówi ani słowa, ale widzę jego spojrzenie. Każe mi ono się zamknąć, zachować dla siebie to, co myślę.

– Proszę pana, nikogo o nic nie oskarżam. Próbuję jedynie zrozumieć sytuację, tak by wiedzieć, jakie kroki musimy podjąć, żeby zapewnić bezpieczeństwo pani Griffith. – Zwraca się do mnie. – Chciałabym usłyszeć to od pani Griffith.

– Nie mam do dodania nic poza tym, że numer na 678 znalazłam na rachunku. Will podał go jako własny.

– Czy pani mąż ma jakikolwiek powód, by pani grozić?

Evan wali dłonią w biurko i pochyla się do przodu.

– Pani detektyw, jej mąż nie żyje. Pamięta pani?

Kobieta nie odrywa ode mnie spojrzenia.

– Ma powód?

– W żadnym razie.

– I jest pani pewna, że pani mąż leciał tym samolotem? – Nie jest to ani pytanie, ani stwierdzenie, ale coś pomiędzy. – Jest pani absolutnie pewna?

Mam ochotę przeskoczyć przez to biurko, objąć ją i pocałować w usta, ponieważ nie, nie jestem pewna. Nie jestem pewna od czasu, gdy mama zadzwoniła do mnie jeszcze przed telefonem z Liberty Airlines. A co, jeśli to była zmyłka, bo Will siedział gdzieś za komputerem i umieścił swoje nazwisko na tej liście pasażerów?

– Nie – mówię w tym samym czasie, gdy Evan warczy:

– Oczywiście, że jest pewna.

Detektyw nie zwraca na niego uwagi, intensywnie się we mnie

wpatruje.

– Nie, nie jest pani pewna, czy nie, to nie jest prawda?

Przełykam ślinę i patrzę przeprasząco na Evana, który kręci głową.

– Nie, nie jestem pewna.

Evan z całych sił powstrzymuje się przed wybuchem, łapie mnie za ramię, ściąga z krzesła, prowadzi mnie na koniec sali, do pustego miejsca przy ścianie, i wciska mnie między szafkę a automat z wodą.

– Nawet nie wiem, od czego zacząć. Nie, chrzanić to. Wiem. Iris, Will nie żyje.

– Rzekomo – mówię, używając jego własnego sformułowania. Wyrzuca ręce do góry. – Posłuchaj, wiem, że to brzmi dziwnie...

– To wcale nie brzmi dziwnie. To brzmi szaleńczo. Nazwisko Willa znajdowało się na liście pasażerów. Na miejscu katastrofy znaleziono jego obrączkę.

– W nietkniętym stanie! Jak to w ogóle możliwe? I nadal nie znaleziono jego DNA.

– Bo cały czas wyjmują z ziemi ludzkie szczątki! Jezu, Iris, pomyśl o tym! Zanim zidentyfikują wszystkich, miną miesiące.

– Dobrze, a co z wiadomościami z zablokowanego numeru? Mój wyjazd do Seattle zagrażał tylko Willowi. Mógł wysledzić mój telefon i sprawdzić, kiedy tam byłam i kiedy wróciłam. I z całą pewnością potrafiłby wysłać mi wiadomość z numeru, którego nie można zidentyfikować. No i jeszcze list, który w tajemniczy sposób zjawił się w mojej łazience, z pismem Willa i stemplem pocztowym z datą po katastrofie. A w liście ktoś napisał, że mu przykro. Chyba z powodu odejścia, tego, że myślałam, że nie żyje, z powodu tego, że złamał mi serce.

– List nie pojawił się w tajemniczy sposób, tylko został doręczony przez amerykańską pocztę. Może mieć i dziesięć lat. Wiesz, jak trudno jest upozorować własną śmierć?

– Wiesz, już to robiłam, już prowadziłam ze sobą taką sprzeczkę. Cały czas od nowa, milion razy. I oczywiście wiem, że brzmię jak wariatka. To dlatego siedzę cicho już od tygodnia, chociaż powinnam posłuchać mojego przeczucia, które mówi mi,

że on żyje. Że mam znaleźć pieniądze, bo gdzie będą pieniądze, tam będzie i Will.

Evan przejeżdża dłonią po twarzy.

– Szkoda, że nie powiedziałaś mi tego, zanim przestąpiliśmy próg tych drzwi.

– Żebyś mógł oddać mi moje pięć dolców i kazał spadać? – Drocę się z nim, mówię żartobliwym tonem – tak wygląda moja żalosna próba przeproszenia go, chociaż wcale nie jest mi przykro. Jeśli pani detektyw i ja mamy rację, jeśli Will żyje, to nigdy nie przeproszę za to, co robię, i powiem, by go odnaleźć.

Ale Evan wcale się nie uśmiecha.

– Nie, żebym mógł ci powiedzieć, że upozorowanie swojej śmierci nie jest nielegalne pod względem technicznym, ale nie da się tego zrobić, nie popełniając przestępstwa. Poza sfalszowaniem tożsamości i uchyleniem się od płacenia podatków, co z tymi pieniędzmi z Liberty Airlines i ubezpieczeń Willa? Jeśli je weźmiesz, to oznacza kradzież.

Jego słowa sprawiają, że przestaję się uśmiechać.

– Och.

– Właśnie. Och. – Patrzy ponad moim ramieniem i robi obojętną minę. Odwracam się i widzę, że detektyw nadal siedzi przy swoim biurku z wyrazem twarzy, którego nie potrafię odczytać. Evan odwraca się do niej plecami i staje między nami tak, żebym widziała tylko jego.

– Dobra, mamy nowy plan. Wracamy tam, wyjaśniamy pani detektyw Jak Jej Tam, że jesteś wdową w żałobie i masz bardzo bujną wyobraźnię i życzeniowe myślenie, a potem stąd znikamy.

W drodze powrotnej do biura ja i Evan zgadzamy się co do kilku spraw. Po pierwsze na przełożenie kłótni o to, czy on żyje, czy nie, do czasu, aż linie lotnicze znajdą biologiczny dowód na to, że Will znajdował się w tym samolocie, albo aż ja otrzymam kolejną wiadomość z zastrzeżonego numeru.

Mam również zapisywać każdą wiadomość, jaką otrzymam z obu numerów – robić printscreeny i zapisywać je na wspólnym

koncie Dropbox, które założył dla nas asystentka Evana. Poza tym Evan ma podać numer 678 prywatnemu detektywowi, z którym pracował już w przeszłości w takich sprawach.

– Policja w Atlancie jest dobra – mówi, zatrzymując samochód za moim na zadaszonym parkingu – ale strasznie przepracowana i niedofinansowana. Mój człowiek zrobi to szybciej. W tym czasie ty włącz alarm w domu i zadzwoń do mnie, gdy tylko otrzymasz kolejną groźbę, dobrze?

Zgadzam się, ale nie chwytam za klamkę. – Evanie, chciałam cię przeprosić za to, co się tam wydarzyło. Wiem, że powinnam była powiedzieć ci o moich podejrzeniach na długo, zanim usiedliśmy z tamtą panią detektyw, ale kto mógłby powiedzieć coś takiego? Z pewnością nie osoba przy zdrowych zmysłach. Dopóki ktoś inny nie powiedział na głos, że Will może nadal żyć, nie pozwalałam sobie nawet na myślenie o tym, bo nie chciałam robić sobie fałszywych nadziei. – Kręcę głową. – Chyba kiepsko idzie mi wyjaśnianie tego, prawda? To wszystko nie ma najmniejszego sensu.

– To ma sens. I nie oszalałaś, to sytuacja jest szalona. A w mojej reakcji chodziło mniej o prawnika dbającego o interesy klienta, a bardziej o to, żebyś nie ucieszyła się, że twój mąż jednak żyje, a potem się nie rozczarowała. I ci zazdrościłem. Wiem, że wychodzę na żałosnego dupka, ale nie ma sprawy. Jestem nędznym i żałosnym dupkiem.

– Straciłeś swoją rodzinę. Masz prawo się tak zachowywać.

Nagle cienie pod jego oczami zdają się być ciemniejsze, a zmarszczka na czole głębsza.

Żegnamy się, szarpnięciem za klamkę u drzwi, a potem do głowy przychodzi mi jeszcze jedna rzecz.

– Jak ona się nazywała?

– Kto, ta detektyw?

– Nie. Kręcę głową. – Twoja córka. Jak nazywaliście ją wy i Susanna?

Przez długą chwilę siedzi nieruchomo.

– Emmaline. – Odchrząkuje i wypowiada to słowo raz jeszcze, tym razem z cichym szacunkiem. – Emmaline. Nazywaliście ją

Emmą.

– Pięknie. – Szybko ściskam jego dłoń, a potem wysiadam. –
Będę myślała o niej za każdym razem, gdy usłyszę to imię.

Rozdział dwudziesty trzeci

W niedzielę mama nie chce wyjechać.

– W zamrażarce są dwie zapiekanki, obie na tyle duże, że można obdzielić nimi połowę armii – mówi. Stoimy na ganku i patrzymy, jak tata wkłada ostatnie walizki do bagażnika. Dave i James wyjechali wczoraj po południu, a teraz mama przeciąga swój pobyt do granic możliwości. – Pomyślałam, że może w tym tygodniu będziesz chciała zaprosić swoje przyjaciółki. Zadzwoń do Lisy, Elizabeth lub Christy. Poprosisz, żeby dotzymały ci towarzystwa.

– Świetny pomysł. – Nie jestem tak entuzjastycznie nastawiona, jak wynika to z tonu mojego głosu. Kocham swoje przyjaciółki, ale po niemal dwóch tygodniach ciągłego towarzystwa nie mogę się doczekać odrobiny spokoju. Ostatecznie żałoba to coś, co przeżywa się w samotności.

– I zamroziłam ci zupę w porcjach. Pomyślałam, że może zabierzesz ją sobie do pracy na lunch czy coś. A w plastikowej torebce masz zamrożone ciasteczka. Gdy będziesz chciała zjeść coś słodkiego, po prostu wstaw je do piekarnika.

– Mamo, w lodówce jest tyle jedzenia, że z pewnością wystarczy mi aż do Bożego Narodzenia.

– Wiem, ja tylko... – Ze zmartwienia marszczy czoło. – Czy jesteś pewna, że dasz sobie radę? To straszne, że będziesz tutaj taka sama.

– Przez większość czasu w ogóle mnie tutaj nie będzie. Będę chodzić do pracy i prawdopodobnie brać nadgodziny. Jest to sezon przyjęć na studia, więc jestem pewna, że będę mieć wiele okazji do pracy.

– Jules, to tylko pięć dni! – krzyczy tata z dołu. – Nic jej nie będzie.

Już chce zaprotestować, gdy ja biorę ją pod rękę i do siebie przyciągam.

– Mamo, tata ma rację. Nic mi nie będzie. Obiecuję.
Uśmiecha się przez łzy.

– Wiesz, to ja powinnam pocieszać ciebie. Nie na odwrót.

– Jeśli poczujesz się lepiej, to obiecuję, że w piątek, kiedy się zobaczymy, będę wielka, gruba i zrozpaczona.
Śmieje się i mocno mnie przytula.

– Zadzwoń, gdy tylko będziesz chciała, dobrze? Mogę tu być za trzy i pół godziny.

– Wiem.

– I przejrzyj te miejsca, tak jak obiecałaś, dobrze? Zostawiłam adresy na blacie w kuchni.

– Przejrzę je, obiecuję.

Odprawiam ją do samochodu, ponownie kilka razy przytulam, uśmiecham się i macham, dopóki tata nie skręca za róg. A potem wracam do domu.

Popołudnie rozciąga się przede mną niczym otwarta, pusta droga.

I wiem, jak ją wypełnić.

W domu wydaję telefon z kieszeni. – Siri, gdzie można ukryć cztery i pół miliona dolarów?

Siri wypłuu listę możliwych odpowiedzi, z których wynika, że milion ciasno zapakowanych banknotów jednodolarowych zmieściłby się w torbie spożywczej, szufladzie lodówki i kuchence mikrofalowej. Informacje te są zarówno przydatne, jak i absurdalne. Dlaczego ktokolwiek miałby chcieć milion dolarów w banknotach jednodolarowych?

Ale w porządku, załóżmy, że Will spakował pieniądze po kilkaset lub kilka tysięcy, to i tak byłoby tego bardzo dużo. Nawet z nowym alarmem dom ten nie jest tak pilnie strzeżony jak bank i istnieje naprawdę niewiele miejsc, w których zmieściłoby się tak dużo gotówki. Ale, z drugiej strony, Will jest umysłem ścisłym. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że można schować gotówkę do torby i ze sobą taszczyć. Każdy ruch finansów odbywałby się tam, gdzie czuł się najbezpieczniej: czyli

w internecie.

No dobrze, czyli... czego mam szukać? Numeru konta nabazgranego na kawałku papieru? Porzuconej i zapomnianej pamięci flash? Klucza do skrzynki depozytowej? Jęczę na myśl o tym, że będę musiała szukać czegoś nieokreślonego o wielkości paznokcia u mojego małego palca.

Postanawiam zacząć od poddasza i posuwać się na dół. Wywalam wszystkie pudła i torby, sprawdzam za krokwiemi dachowymi i w walizkach, przeszukuję szafy i miejsca pod łóżkiem. Odsuwam meble i dywany. Przynoszę śrubokręt z kuchni i otwieram każdą kratkę wentylacyjną, wkładam rękę tak głęboko, jak się da. Sprawdzam w lodówce i zbiornikach na wodę w toalecie.

Cały dom to emocjonalne pole minowe, w każdym pomieszczeniu jest pełno materiałów wybuchowych. Marynarka Willa wisząca na haczyku przy drzwiach. Jego ulubiony sok pomarańczowy w lodówce, stojący za kartonem śmietanki, której nigdy nie będzie miał okazji nalać sobie do kawy. Oprawiony, wiszący w holu plakat, który wybraliśmy razem podczas wycieczki do Nowego Jorku, poduszki na kanapie, których jego zdaniem zawsze było za dużo, jego maszynka do golenia i opróżniona do połowy butelka płynu po goleniu na jego zlewie. Odkręcam nakrętkę i przysuwam butelkę do nosa, znajomy zapach sprawia, że jednocześnie się uśmiecham i zaczynam płakać.

Nagle nie mogę oddychać. Znam naukową teorię stojącą za moją reakcją – że opuszka węchowa jest połączona z obszarami mózgu, które regulują emocje i pamięć – ale i tak czuję się zaatakowana przez ten nagły przyptyk Willa. Widzę go. Czuję go. Słyszę jego głos w moim uchu, czuję opuszki palców ześlizgujące się po skórze na moich plecach. To wrażenie jest tak przytłaczające, że naprawdę zaczynam szukać Willa w lustrze, ale za mną jest tylko ściana. Smutek osiada w moim brzuchu niczym ołów, zakręcam butelkę, stawiam ją na moim zlewie i opadam na stołek przy toalecie.

Stuwatowe żarówki nad moją głową nie są dla mnie łaskawe.

Tłuste włosy, zapadnięta skóra, pryszcz na podbródku.

Wstaję, odkręcam prysznic i schylam się do dolnej szuflady, gdzie trzymam maseczki do twarzy. Otwieram ją i moje serce staje, a potem rusza niczym silnik pociągu towarowego, z każdą chwilą rozpędza się coraz bardziej. Na pudełkach i tubkach znajduje się kolejny liścik, tym razem na jasnoniebieskiej samoprzylepnej karteczce.

Iris, przestań szukać. Zostaw to. Jeśli tego nie zrobisz, nie dam rady cię chronić.

Czuję, jak na mojej skórze pojawia się gęsia skórka mimo tego, że z otwartych drzwi prysznic płynie ku mnie gorąca para. Odwracam się, wyczuwając Willa, tak jakby nadal tutaj był, jakby stał tuż za mną. Kto to tutaj podłożył? Jak? Kiedy? Nie otwierałam tej szuflady, odkąd... ostatni raz otwierałam ją przed katastrofą? Tak, jestem tego pewna.

Nagle moją klatkę piersiową ściska mnóstwo emocji. Euforia. I ekscytacja, krzycząca we mnie „A nie mówiłam?”. Ulga tak ogromna, że uginają mi się kolana i opadam na stołek.

Will żyje. Musi żyć. Oto dowód – liścik napisany jego charakterem pisma.

Z mojego gardła wydobywa się histeryczny dźwięk – na wpół śmiech, na wpół krzyk – i mówię sobie, że muszę wziąć się w garść. Gdybym siedziała u siebie w gabinecie jako pacjentka, wyjaśniłabym sama sobie, że życząc sobie, by Will żył, idealizuję swoje fantazje zamiast brać udział w rzeczywistości jego śmierci. Że wykorzystując swoje wyparcie jako mechanizm obronny, opóźniam to, co muszę zrobić – czyli przeżyć żałobę po mężu. A jednak nie potrafię przekonać się do żadnej z tych rzeczy, bo wiadomość jest jednoznaczna.

Przestań szukać. Zostaw to.

I tym razem liścik trafił do mnie bez koperty. Co oznacza, że Will musiał podrzucić go osobiście.

Zdejmuję telefon z toaletki i wpisuję pytanie, które cały czas wraca w mojej głowie już od pierwszej wiadomości.

Will, czy to ty?

Moje serce zaciska się jak pięść.

Odpowiedź nadchodzi trzydzieści sekund później.

NIEZNANY NUMER: Iris...

JA: Iris, co? To proste pytanie z prostą odpowiedzią, tak albo nie. Albo jesteś, albo nie.

NIEZNANY NUMER: W tej sytuacji nie ma nic prostego.

Zalewa mnie fala gwałtownej wściekłości i nagle czuję, że mam dość tej zabawy. Chcę odpowiedzi. Jeśli to Will zadał sobie tyle trudu, żeby zakraść się do naszego domu i zostawić mi pisane odręcznie liściki, to przynajmniej mógłby przyznać, że to on. Szybko piszę kciukami odpowiedź.

JA: Odpowiedz na to cholerne pytanie. Czy jesteś, czy nie jesteś mężczyzną, który patrząc mi w oczy, przysięgał, że dopóki śmierć nas nie rozłączy?

Wstrzymuję oddech i czekam na odpowiedź, która nie nadchodzi.

Ja: Pisz! Czy to ty?

Wpatruję się w ekran, chcę, aby osoba na drugim końcu wreszcie mi odpowiedziała.

NIEZNANY NUMER: Tak bardzo mi przykro. Nie chcę, żebyś musiała borykać się z którymkolwiek z moich problemów.

Zaczynam szlochać.

JA: Muszę to usłyszeć. Masz mi to powiedzieć.

NIEZNANY NUMER: Tak. Tak strasznie mi przykro, ale to ja. To Will.

Jego odpowiedź wyzwala wszelkie emocje, które przez ostatnie dwanaście dni trzymałam w ryzach. Udręka. Wściekłość. Żal. Ulga. Rozpacz. Wybuchają we mnie w brzydkich szlochach, nadchodzą falami tak silnymi i szybkimi, że nie jestem w stanie złapać oddechu. Mój mąż żyje.

Wybieram numer i gdy słyszę sygnał, coś do mnie dociera. Will żyje, a jednak wymyślił skomplikowany plan, aby wszyscy – w tym ja, jego żona, jego ulubiona osoba na tej planecie – myśleli, że nie żyje. Jakimś cudem umieścił swoje nazwisko na liście pasażerów, wiedząc, że złamie mi to serce. Rozłączam się po trzecim sygnale.

Z początku dochodzi to do mnie bardzo powoli, niczym burza pomrukująca w oddali. Mój oddech staje się płytki i szybki. Palce u stóp i rąk zaczynają drżeć. Wpatruję się w kartkę i czuję, jak w moim żołądku tworzy się coś zimnego i twardego. Wije się w moim ciele i wpełza pod skórę, pali się niczym nafta we krwi i nagle zaczynam się trząść. Will zostawił mnie specjalnie, i to dla pieniędzy. Dla czterech i pół miliona dolarów.

Jeszcze nigdy nikt nie sprawił, że poczułam się tak bezwartościowa.

Po prysznicu schodzę na dół bosą i z mokrymi włosami. W którymś momencie pod gorącym prysznicem, gdy szorowałam skórę tak mocno, że prawie ją zerwałam, moja wściekłość zamieniła się w determinację. Will chce, żebym przestała szukać? Chce, żebym zostawiła tę sprawę w spokoju? Przykro mi, ale nie ma szans, żeby mnie powstrzymać.

W kuchni włączam czajnik i wyjmuję kubek z szafki. Zaczynam szukać w spiżarni herbaty i wtedy dostaję trzy kolejne wiadomości, przechodzące jedna w drugą.

NIEZNANY NUMER: Przepraszam za wszystko. Musisz wiedzieć, że jesteś ostatnią osobą na tej planecie, którą kiedykolwiek chciałem skrzywdzić.

NIEZNANY NUMER: Nie chcę wciągać cię w moje kłopoty i nie chcę, żebyś musiała kłamać. Jeśli policja przyjdzie mnie szukać, jeśli skonfiskuje twój telefon i odnajdzie ten numer, to nie ma sprawy. Nie ma szans, żeby go wyśledzili. Nie ma szans, żeby cię w to wciągnęli.

NIEZNANY NUMER: Iris, jesteś tam? Proszę, porozmawiaj ze mną.

Zaciskam zęby, wyłączam dźwięk i chowam telefon do szuflady ze sztućcami.

Pewnego razu, kiedy Will i ja jeszcze się ze sobą spotykaliśmy, wystawił mnie. I siedziałam w szpilkach i seksownej czarnej sukience w barze, oszołomiona martini z cytryną i nową miłością, a on zapomniał o naszej randce. Wiedziałam już wtedy, że jest pracoholikiem, i doszłam do wniosku, że tak dał się wciągnąć w programowanie, że stracił poczucie czasu. Wpół do siódmej zamieniła się w siódmą, a potem w ósmą. Moje zmartwienie zamieniło się w irytację, a potem w gniew. Wreszcie położyłam na barze dwie dwudziestki i zadzwoniłam po taksówkę, a w drodze do domu wysłałam złośliwą wiadomość. Szkoda, że nie przyszedł na randkę, napisałam, bo to była nasza ostatnia randka.

Musiał odczytać esemesa gdzieś około jedenastej, bo wtedy zaczął atak na mój telefon.

Przepraszał. Błagał o wybaczenie. Zasugerował, żebyśmy następnego dnia nie poszli do pracy, tak by mógł mi to wynagrodzić. Obiecał, że dobrze się przygotowuje. Nie

odpowiedziałam na żadną wiadomość.

Ale jego wiadomości wreszcie do mnie przemówiły i około północy pękłam. Napisałam, że idę spać i że pogadamy o tym jutro.

Gdy piętnaście minut później zjawił się pod moimi drzwiami, nadal trzęsący się ze zdenerwowania, wpuściłam go. Próbowałam być wściekła, naprawdę, ale przeszło mi, gdy przycisnął swoje ciało do mojego, gdy poczułam jego puls na szyi, czy całował mnie miękkimi ustami, a silnymi ramionami zaprowadził mnie korytarzem do sypialni. Kiedy następnego ranka budzik zadzwonił na moim stoliku nocnym, ja i Will nadal byliśmy bardzo zajęci i żadne z nas nie myślało o pracy.

Ale zapomnienie o randce to nie to samo co wybranie pieniędzy zamiast mnie i nie to samo co złamanie serca swojej żonie przez upozorowanie własnej śmierci. Tym razem nie dam się uspokoić.

Zostawiam telefon w ciemnej szufladzie z widelcami, nożami i łyżkami, i biorę laptop ze stołu. Muszę się cofnąć, skoncentrować na faktach i zacząć od początku. Cztery i pół miliona to niemało. Nie da się tak po prostu zabrać takich pieniędzy z konta firmowego i nie zostać złapanym. Może jeśli zorientuję się, w jaki sposób to zrobił, znajdę jakąś wskazówkę.

Zanoszę komputer na kanapę i wpisuję w Google „schematy defraudacji pieniędzy w korporacji”. Jakiś dyrektor finansowy z Kalifornii zwinął prawie dziewięćdziesiąt milionów. Szef chicagowskiego zakładu przetwórstwa mięsnego uciekł z ponad siedemdziesięcioma milionami. Wiceprezes firmy z Zachodniego Wybrzeża ukradł sześćdziesiąt pięć milionów dolarów, biorąc łapówki, a następnie przepuścił wszystko w kasynie. Bliżej mnie, kierownik świadczeń pracowniczych w Savannah, zarobił ponad czterdzieści milionów na sfałszowanych przelewach bankowych. I wtedy mój wzrok pada na historię na dole strony, a moje serce przyspiesza. Drżącymi palcami klikam w link, który przenosi mnie na stronę internetową poświęconą największym nierozwiązanym zagadkom w naszym kraju.

W połowie lat dziewięćdziesiątych mężczyzna o imieniu Javier Cardozo został oskarżony o kradzież ponad siedemdziesięciu

trzech milionów swojemu pracodawcy, bankowi hipotecznemu w Bostonie. Kiedy policja przybyła do jego domu, aby go aresztować, i stanęła w jego drzwiach, zastała włączony telewizor i na wpół zjedzony, ciepły jeszcze makaron na blacie w kuchni, ale nigdzie nie było Javiera. Zniknęli zarówno on, jak i jego pieniądze, całutkie siedemdziesiąt trzy miliony dolarów.

Czy za rok lub dwa nazwisko Willa zostanie dodane do tej listy?

Wracam do schematów defraudacji i przewijam linki. Dowiaduję się z nich dwóch rzeczy. Po pierwsze, cztery i pół miliona to niska kwota. Jestem pewna, że Nick i zarząd AppSec sądzą inaczej, ale w porównaniu z innymi takimi przestępstwami jest to naprawdę trzecia lub czwarta liga.

Po drugie, pieniądze niemal zawsze są zabierane przez kogoś, kto ma bezpośredni dostęp do ksiąg rachunkowych. Przez urzędnika, szefa działu finansowego, kogoś, kto zajmuje się rozliczeniami lub listą płac. Will był inżynierem oprogramowania. Jego umiejętności programistyczne mogły przynieść korzyści AppSec, ale jak mógł wydostać stamtąd pieniądze? Ktoś jeszcze musiał brać w tym udział. Ktoś postawiony wyżej w tej firmie, ktoś, kto albo torował Willowi drogę, albo zacierał po nim ślady.

Co sprowadza mnie z powrotem do Nicka. Nie wspomniał o innych dochodzeniach, ale znowu celowo wszystkiego mi nie mówił i właściwie zwyczajnie mi groził. Powiedział mi też, że może zapłacić za to głową, i należy zakładać, że jest zdesperowany. Opadam z powrotem na kanapę, odsuwam komputer i biorę do ręki notes taty. Otwieram go na nowej stronie i spisuję to, co wiem:

1. Z AppSec zniknęły pieniądze. Cztery i pół miliona dolarów – a może być i więcej.

2. Nick uważa, że to Will je ukradł, i szczerze mówiąc, ja też.

3. Will musiał przenieść środki z konta AppSec na jedno kontrolowane przez siebie konto, robiąc wiele przelewów w ciągu wielu miesięcy, jeśli nie lat.

4. Nie ma tych pieniędzy w domu, ale może być wskazówka dotycząca tego, gdzie Will je ukrył.

5. Nick chce odzyskać pieniądze. Tak samo jak osoba, która kryje się za numerem 678 – i ten ktoś jest w stanie za nie zabić. Czy to ta sama osoba?

Przy ostatnim zdaniu moje serce gwałtownie się kurczy, a krew pulsuje mi w głowie. Ktokolwiek to jest, to już nie napisał, ale to tylko kwestia czasu. Nie wysyła się komuś takiej groźby – *Powiedz mi, gdzie Will ukrył pieniądze, albo wkrótce do niego dołączysz* – tylko po to, żeby potem zniknąć.

I jeśli mam mu wierzyć, to wie, w jaki sposób obejść alarm.

Słyszę na zewnątrz ryk kosiarki. Po drugiej stronie ulicy zaczyna szczekać jakiś pies. Jedno i drugie sprawia, że mój puls gwałtownie przyśpiesza. Schodzę na dół, zamykam wszystkie drzwi i wbijam kod na podświetlonej klawiaturze systemu alarmowego. Mówię sobie, że nic mi nie będzie. Jestem bezpieczna dzięki najlepszemu systemowi alarmowemu, jaki tylko można sobie kupić.

Ale moje serce nadal nie chce się uspokoić.

Rozdział dwudziesty czwarty

Ryk kosiarki do trawy brzmi, jakby dochodził z drugiej strony mojego kuchennego okna. Odwracam się na kanapie i dostrzegam wysoką, ciemną postać, która po chwili znika za rogiem domu.

– Co do dia...?

Zeskakuję z kanapy i biegnę do bocznego okna, przez szybę patrzę na spoconego Corbana bez koszulki. Ma spuszczoną głowę, mięśnie ramion są spięte, gdy pcha kosiarkę przez trawnik znajdujący się z boku i tyłu domu. Za nim widzę idealnie równe rzędy skoszonej do połowy trawy. Druga połowa nadal jest dzika i zarośnięta, bo mamy bardzo mokrą wiosnę i gwałtownie rosnące temperatury.

Niewiele myśląc, otwieram tylne drzwi i nagle rozlega się syrena. Zaskoczony Corban podnosi głowę i zamiera. Zasłaniam uszy dłońmi.

– O cholera!

Nie ma szans, żeby słyszał mnie w tym hałasie. Pochyla się i wyłącza kosiarkę, tak jakby mogło to pomóc.

– Poczekaj! – Biegnę korytarzem na przód domu i wbijam kod. Wycie natychmiast się kończy, następuje sekunda lub dwie błogiej ciszy, a potem rozlega się dzwonek telefonu stacjonarnego.

Zdejmuję słuchawkę z bazy w kuchni i idę w stronę ogrodu, pragnąc, by moje serce wreszcie się uspokoiło. Dobrze, że przynajmniej wiem, że alarm działa. Każdy intruz w promieniu kilkuset kilometrów albo jest już głuchy, albo leży martwy na podłodze, bo dostał ataku serca.

– Słucham?

– Otrzymaliśmy powiadomienie o alarmie na 4538 Ashland Avenue. Czy mamy przysłać patrol?

– Nie, przepraszam. To fałszywy alarm, z mojej winy. Cały czas

próbuję się do tego przyzwyczaić i zapomniałam wyłączyć alarm, zanim otworzyłam drzwi.

– Czy może pani potwierdzić błąd?

– Myślałam, że właśnie to zrobiłam? – Wychodzę na słońce w ogrodzie, gdzie na końcu tarasu stoi Corban z rękami na biodrach. Macham do niego ręką, dając znać, że wszystko jest w porządku, a on ponownie rusza w stronę kosiarki.

– Proszę pani, musi mi pani podać hasło.

A, prawda, hasło. Duży Jim powiedział, że będą prosić o nie za każdym razem, gdy będą ze mną rozmawiać – dzięki temu operator będzie wiedział, że wszystko u mnie w porządku.

– Rugby.

– Dziękuję. Miłego dnia.

Rzucam telefon na kamienny stół i odwracam się w stronę Corbana. Macham przeprasząco ręką.

– Co ty tutaj robisz?

Corban wskazuje za siebie, na świeżo skoszoną trawę, a potem na mnie.

– Koszę twój trawnik.

– Widzę, tylko że... Moi ogrodnicy będą naprawdę zaskoczeni, gdy przyjadą tutaj we wtorek rano. Pomyślą, że ich oszukuję.

Corban uśmiecha się zuchwale.

– Lepiej trzymać ich w napięciu. Mężczyźni pracują ciężiej, jeśli podejrzewają, że mają konkurencję.

Zanim udaje mi się odpowiedzieć, pociąga za sznur, włącza kosiarkę i wraca do pracy.

Kiedy kończy, wynoszę z kuchni na taras dwa heinekeny i opadam na jedno z krzesel, stojących w późnopołudniowym słońcu. Wdycham zapach świeżo skoszonej trawy i smakuję piwo na języku, patrząc, jak Corban pcha kosiarkę w tę i z powrotem, tak jakby nic nie ważyła.

Jest naprawdę pięknym człowiekiem. Smukły, ciemny i gładki od potu, mięśnie nabrzmiały pod skórą. Może to dlatego Will nas sobie nie przedstawił, może bał się konkurencji? Musiał widzieć, jak na siłowni dziewczyny szaleją za Corbanem. Może Will bał się, że będę zachowywać się tak samo?

Myślę o mężu i w jednej chwili moje serce zaczyna radośnie trzepotać, a potem powraca znajomy ból, tak samo ostry i ciężki jak poprzednio. W moich żyłach płyną wspomnienia. Will wolał pieniądze ode mnie, od nas. Dobrze. Gniew jest dobry. Ponieważ ból sprawi, że będę płakać, a jeśli zacznę, to chyba nie będę w stanie się zatrzymać.

Corban dochodzi do końca trawnika, wyłącza kosiarkę i w ogrodzie panuje cisza.

Podnoszę w górę drugą butelkę.

– Oto piwo w nagrodę za twój wysiłek.

– Dzięki. – Corban wyciąga koszulkę z tylnej kieszeni spodni i używa jej do wytarcia twarzy, chodząc po świeżo ściętej trawie.

– Nie ma nic lepszego niż zimne piwo po koszeniu trawy. Nic. – Bierze ode mnie piwo, kiwa głową z wdzięcznością i podnosi butelkę szyjką w moją stronę. – Zdrowie.

Oboje pijemy. Corban siada na krześle obok mnie.

– No dobrze – mówię. – Czy koszenie mojego trawnika podpada pod kategorię opiekowania się mną?

– Tak, i gdy tutaj jestem, równie dobrze mogę zająć się czymś innym. Może pomalować ci jakiś pokój albo naprawić kran? Mogę również czyścić rynny. A kiedy ostatnio wymieniałaś olej w swoim samochodzie?

Czuję ukłucie na wspomnienie tego deszczowego ranka dwanaście dni temu, gdy Will spytał mnie o to samo, kiedy leżeliśmy wtuleni w siebie w łóżku, ale przełykam wszystko razem z kolejnym łykiem piwa.

– Czyli jesteś taką złotą rączką, tak?

Uśmiecha się skromne półgębkiem.

– To jedna z niewielu zalet dorastania z zespołem nadpobudliwości ruchowej. Gdy nie możesz usiedzieć w miejscu dłużej niż trzydzieści sekund, uczysz się robić wiele rzeczy. Poza tym nie miałem ojca, który mógłby zająć się różnymi sprawami. Byłem najstarszym z pięciorga dzieci i mama potrzebowała każdej możliwej pomocy.

Psycholog we mnie wkracza do akcji, zanim udaje mi się go powstrzymać.

– To bardzo duża odpowiedzialność jak na dzieciaka.

Wzrusza jednym ramieniem.

– Nie przeszkadzało mi to. Lubiałem rządzić resztą dzieci. Nie, żeby moje siostry kiedykolwiek mnie słuchały. Nadal nie słuchają. Są uparte jak osły tak samo jak nasza mama. – Uśmiecha się na wspomnienie swojej rodziny.

– Dlaczego Will nigdy nas sobie nie przedstawił? To znaczy najwyraźniej dużo ci o mnie opowiadał, ale ukrywał przede mną waszą przyjaźń. Jak myślisz, dlaczego to zrobił?

Jeśli Corban jest zaskoczony moją nagłą zmianą tematu, to nie daje tego po sobie poznać. Opiera się na krześle i wypuszcza głośno powietrze z płuc.

– Zadałem sobie to pytanie jakiś milion razy. Will nie był zbyt spontaniczny, jestem więc pewien, że miał długą listę dobrze przemyślanych powodów, ale i tak nie potrafię znaleźć żadnego wyjaśnienia. Może nasza przyjaźń nie była tak dobra, jak mi się wydawało. To znaczy, może ja myślałem, że jesteśmy ze sobą blisko, a było inaczej.

– A mimo to przyjechałeś, żeby skosić wдове trawnik.

– Wcale nie mam do ciebie daleko. Mój dom znajduje się tuż za granicami. – Wiem, że Corban żartuje, próbując załagodzić fakt, że moralny obowiązek kazał mu przyjechać tutaj aż z przedmieść Atlanty, ale w jego tonie słyszę, że wcale nie jest mu wesoło. Jest zraniony, zasmucony faktem, że mój mąż trzymał w tajemnicy przede mną ich przyjaźń, co w moim odczuciu sprawia, że jego dzisiejszy przyjazd tutaj staje się jeszcze bardziej uroczy.

– Dziękuję, Corbanie. Nie musiałeś tego robić, ale naprawdę doceniam fakt, że się mną opiekujesz.

– Cieszę się. Bo szczerze mówiąc, teraz, kiedy wiem to, co wiem... – Przez chwilę wygląda na zmieszanego. – Zastanawiam się, czy to nie ja byłem problemem.

Odstawiam piwo na kamienną podkładkę pod piwo.

– Co masz na myśli?

– Mówiłem ci już, że ostatnio Will dziwnie się zachowywał. Widziałem to, rejestrowałem, ale nigdy, ani razu nie zareagowałem. Nawet wtedy, gdy kazał mi obiecać sobie, że będę

się tobą opiekować. Bądźmy szczerzy. Nie prosisz przyjaciela, żeby zaopiekował się twoją żoną, jeśli nie martwisz się, że coś złego się wydarzy. Ale ja ani razu nie usiadłem z nim i nie powiedziałem: „Ej, stary, co z tobą? Potrzebujesz pomocy?”. – Podnosi oba ramiona, a potem je zwiesza. – Wygląda na to, że w tej relacji to ja byłem beznadziejnym przyjacielem, a nie Will.

Piję piwo, ale chłodny napój nie splukuje guli, która pojawiła się w moim gardle. Corban może i był beznadziejnym przyjacielem, ale jaka byłem ja? Jaka żona nie zauważa, że jej mąż wpadł w takie tarapaty, że aż musi sfignować własną śmierć? Byłam jeszcze bardziej beznadziejna. Odpowiedź ta sprawia, że kręci mi się w głowie i zaczynam się kołysać, jakbym nagle stała się niezacumowaną łodzią. Stawiam obie stopy na cementowych płytach i opieram dłonie na twardym siedzeniu pode mną, szukając kontaktu z ziemią.

Pod pewnymi względami wyznanie Corbana sprawia, że znajdujemy się w podobnej sytuacji. Jeśli chodzi o mojego męża, oboje zostaliśmy zdradzeni i oboje zawiedliśmy. To jedyna wymówka, jaką mam, gdy wypowiadam kolejne słowa.

– Z firmy Willa zniknęło trochę pieniędzy – mówię i patrzę na wiewiórkę kołyszącą się na gałęzi u sąsiada. Nie jestem w stanie znieść zaskoczenia, które – jak sobie wyobrażam – maluje się na twarzy Corbana. Albo, co gorsza – osądu. – Dużo pieniędzy. Cztery i pół miliona, a może i więcej. Tak przynajmniej twierdzi jego szef. Do tej pory nie wysunięto żadnych oskarżeń, ale to tylko kwestia czasu. Ludzie w AppSec są niemal pewni, że to Will.

Zapada długa cisza.

Patrzę na Corbana, który wpatruje się we mnie z kamiennym wyrazem twarzy. Wytrzymuje tak jeszcze przez kilka sekund, a potem przyciska dłoń do nagiego brzucha i wybucha śmiechem.

– Corbanie, jestem poważna. To nie jest dowcip.

Patrzy na mnie z niedowierzaniem.

– Will Griffith jeździł starym gruchotem z dziurą w podłodze i kiepsko działającą dźwignią zmiany biegów. Przecież gdyby nagle się wzbogacił, chyba kupiłby sobie lepszy samochód? Albo, cholera, kupiłby sobie portfel, który nie musiałyby być sklejonny

taśmą?

– Kupił biżuterię.

– Proszę cię. Jedyłą biżuterią, jaką kiedykolwiek nosił, była obrączka ślubna, którą dostał od ciebie. I zanim cokolwiek powiesz, jego zegarek się nie liczy. Jestem pewien, że jest z plastiku.

– Dla mnie. – Obracam rękę, cartier błyszczą w słońcu. – Kupił biżuterię dla mnie.

Uśmiech Corbana nagle znika.

– Ale ten pierścioneł nie jest żadnym dowodem. Will nie lubił wydawać na siebie pieniędzy, ale z chęcią wydawał je na ciebie. Prawdopodobnie oszczędzał na niego całymi miesiącami albo wziął kredyt. Nieważne. Chodzi o to, że miał dobrą pracę. Zarabiał dostatecznie dużo, żeby od czasu do czasu zaszaleć.

– Zapłacił gotówką.

– W porządku, przyznaję, nie wygląda to zbyt dobrze, ale nie wiem... – Przetyka ślinę, zwątpienie pojawia się na jego twarzy niczym cień. – Myślisz, że zabrał te pieniądze?

Wzruszam ramionami.

– Jeśli tak, to nie ma ich na naszym koncie. W domu też ich nie ma.

– To gdzie jeszcze mogą być?

Nie odpowiadam, powala mnie tęsknota za Willem. Może i dożyję do osiemdziesiątki i spłacę dom, który kupiliśmy razem z Willem, ale będę spłacać go sama. Nogi Willa nie będą grzały moich zimnych stóp, jego uśmiech nie będzie już sklejać mojego złamanego serca. Jestem wściekła, że wybrał pieniądze zamiast mnie, ale bez niego jestem również zagubiona.

– Wiem – mówi łagodnie Corban. – Ja też za nim tęsknię.

Kiwam głową i próbuję przywrócić dawny gniew, ale najwyraźniej mnie on opuścił. Jedyne, do czego jestem teraz zdolna, to jeszcze więcej smutku. Wywołanego Willem, mną i Corbanem, który nosił w sercu żalobę po przyjacielu.

– Jestem ci winna przeprosiny.

Odwraca głowę w moją stronę i marszczy czoło.

– Za co?

– Znalazłam liścik. Właściwie to dwa. Oba napisane charakterem pisma Willa, ale pojawiły się już po katastrofie.

Zaskakuję go tak, że milknie. Dojście do siebie zajmuje mu kilka sekund.

– I co... co tam było napisane?

– W pierwszym było „Tak bardzo mi przykro”. W drugim ktoś napisał mi, że znajduję się w niebezpieczeństwie i że mam przestać grzebać w przeszłości Willa. Po katastrofie pojechałam do Seattle. Rozmawiałam z ludźmi, którzy go pamiętają. – Kręcę głową. – Dowiedziałam się mnóstwa rzeczy, żadna z nich nie była dobra.

– Jakich rzeczy? Co się stało?

– Narkotyki. Podpalenie. W zależności od tego, komu uwierzyć, może nawet zabójstwo. Poznałam jego ojca, który rzekomo zmarł bardzo dawno temu – chociaż nie był w stanie nic mi powiedzieć. Ma alzheimera i to w bardzo zaawansowanym stadium. Ale nie o to mi chodzi. Chodzi mi o to, że gdy wtedy spotkaliśmy się na kawę, to podejrzewałam ciebie. Myślałam, że to ty wysłałeś liścik, żeby... nie wiem, znęcać się nade mną psychicznie albo coś w tym stylu.

Prostuje się z oburzenia.

– Ja bym nigdy...

– Wiem. – Uśmiecham się. – I dlatego przepraszam.

Odwzajemnia uśmiech.

– Wybaczam.

– Tak po prostu?

– Tak po prostu.

Siedzimy przez chwilę, każde z nas zanurzone w myślach. Opieram się na krześle, Corban robi to samo, wyciąga swoje długie nogi i zamyka oczy w słońcu. Kilka domów dalej rozlega się pisk – dzieciaki bawią się w ogródku – słychać również cichy szum ruchu ulicznego.

– Poczekaj – mówi Corban i nagle otwiera oczy. – Skoro to nie ja wysłałem te liściki, to kto to zrobił?

Nie odpowiadam, a może odpowiadam. Corban przygląda mi się uważnie, a po sposobie, w jaki ściąga usta, widzę, że czyta

w moich myślach.

Jego oczy stają się wielkie i okrągłe.

– Nie.

Waham się tylko przez sekundę. Po sposobie, w jaki dzisiaj reagował na moje słowa, mój instynkt mówi mi, że mogę mu zaufać.

– Dostałam również kilka wiadomości.

– I co w nich było?

– Wiele rzeczy. Ale w ostatnich przyznał, że to on.

– Nie. Nie. To... – Zastłania usta dłonią i kręci głową, kiwa się do przodu i do tyłu jak pies, który próbuje połknąć kość. – To niemożliwe. To jakieś szaleństwo!

– Oczywiście, że to szaleństwo, tak samo jak kradzież czterech i pół miliona dolarów swojemu pracodawcy. Sam mówiłeś, że Will dziwnie się zachowywał. A co, jeśli stanął przed wyborem: albo idzie do więzienia, albo znika? A co, jeśli nie kochał mnie na tyle, by postąpić tak, jak powinien?

Gdy wypowiadam te słowa, mój głos się łamie, a oczy wypełniają się łzami i dzieje się to, czego obawiałam się wcześniej – że jeśli zacznę płakać, to nie będę umiała przestać. Czuję, że rana znowu zostaje rozerwana, obejmuję się rękami w talii, składam się na pół i szlocham. I nie jest to ładny płacz. To płacz, który wyciska powietrze z moich płuc i wykrzywia twarz, która staje się czerwona i zasmarkana. Bo to właśnie o to chodzi, prawda? Ostatecznie okazuje się, że Will mnie nie kochał.

Biedny Corban, wygląda na całkowicie zagubionego. Nie ma pojęcia, co zrobić ze szlochającą pseudowdową, więc nie rusza się z miejsca, jest sztywny i niepewny, wpatruje się w moją twarz, tak jakby czegoś szukał. Pewnie jakiejś wskazówki, która pomoże mu mnie uspokoić.

Dochodzę do siebie po bardzo długim czasie, z mojego nosa wreszcie przestaje lać się katar, a szluchy i jęki zamieniają się w ciche łkanie. Gdy wreszcie jestem w stanie nabrać powietrza, Corban podaje mi koszulkę, żebym wytarła sobie twarz. Materiał pachnie trawą, wodą kolońską i mężczyzną i zapach ten sprawia, że jeszcze bardziej tęsknię za swoim mężem.

– Nie rozumiem tylko jednej rzeczy.

Śmieję się ironicznie.

– Tylko jednej? Bo ja nie rozumiem miliona.

Dopija piwo.

– Skoro Will żyje, to gdzie teraz jest? Dokąd wyjechał?

Ponownie wzruszam ramionami.

– Oczywiście tam, gdzie są pieniądze.

Rozdział dwudziesty piąty

Tej nocy nie śpię. Wściekłość rozrywa moje żyły niczym kaktus, dźga mnie swoimi kolcami. Za każdym razem, gdy już mam zasnąć, przypominam sobie o telefonie w szufladzie, leżącym wśród noży i widelców, wibrującym od wiadomości od Willa.

Ile wysłał do tej pory? Dziesięć? Dwadzieścia? Czterdzieści? Patrząc wściekle na sufit, zaciskam zęby tak mocno, że aż boli mnie szczęka, i powtarzam sobie, że mam to gdzieś.

Gdyby Dave nadal tutaj był, poszłabym do niego do pokoju i wyprosiłabym kolejną z jego magicznych niebieskich tabletek. Po wczorajszym dniu – nie, po dwóch ostatnich tygodniach – przydałaby mi się cała noc spokojnego snu, choćby po to, żeby trzymać mnie z daleka od mojego telefonu.

Rano mój mózg, nasiąknięty adrenaliną i wściekłością, jest odrętwiały, ale odrzucam kołdrę z ulgą. Idę pod prysznic i myję zęby tak jak każdego normalnego poniedziałkowego poranka. Suszę włosy i się maluję. Zakładam spódniczkę i bluzkę, ulubione szpilki i schodzę na dół napić się kawy. Potrzebuję normalności.

Normalna wdowa wzięłaby dzisiaj chorobowe. Spędziłaby dzień w łóżku, zawinięta w szlafrok swego zmarłego męża, pochłaniałaby oreo maczane w maśle orzechowym i ukrywałaby się przed światem. Każdy normalny szef by to zrozumiał. Ted odpowiedziałby mi całym mnóstwem frazesów, powiedziałby mi, żebym się nie śpieszyła, że potrzebuję czasu, że mój gabinet będzie na mnie czekał.

Tyle że ja nie jestem normalną wdową, prawda? Mój mąż – ten sam mąż, który trzynaście dni temu spadał w boeingu 737 – tak naprawdę nie jest martwy, co oznacza, że nie jestem wdową.

Podczas parzenia kawy zerkam do szuflady ze sztuccami. Ekran telefonu jest czarny. Wciskam guzik i nic. Bateria padła.

– Ha! – warczę w pustej kuchni i z trzaskiem zamykam szufladę. To jest jak mały rodzaj zwycięstwa.

Co Will mógłby powiedzieć, żeby to naprawić? Jaką mógłby mieć wymówkę? A jeśli zadał sobie tak wiele trudu, by upozorować własną śmierć, to po co mi o tym wszystkim napisał? Skąd wie, że nie pójdę z telefonem na policję, która nie zrobi z tego dowodu rzeczowego?

Ostatnia myśl sprawia, że zatrzymuję się w kuchni. Czy naprawdę byłabym w stanie zrobić własnego męża? Czy powinnam? Zawsze uważałam, że kradzież jest przestępstwem, za które powinna spotkać człowieka kara, ale na myśl o tym, że mój mąż, mój Will, miałby gnić gdzieś za kratkami, robi mi się niedobrze.

A potem przypominam sobie jego matkę i tych dwoje biednych dzieci śpiących w swoich łóżkach, gdy ogień zajmował ich budynek. A co, jeśli to Will podłożył ogień? A co, gdyby trafił do więzienia i gdybyśmy już nigdy się nie spotkali? Jakże inaczej wyglądałoby moje życie. Jakie byłoby puste.

Mam tyle pytań. Może powinnam go wysłuchać, sprawdzić, co ma do powiedzenia, a dopiero potem podejmować decyzję.

Kawa skończyła się parzyć, przelewam ją więc do wielkiego podróżnego kubka. Ze spiżarni zabieram batonika z granolą, z blatu biorę klucze i torbę, a z szuflady wydaję telefon z rozładowaną baterią.

Później. Później go wysłucham.

Gdy skręcam do Lake Forrest na piętnaście minut przed pierwszym dzwonkiem, na parkingu roi się od licealistów. Patrzą na mnie zza swoich designerskich okularów przeciwsłonecznych, nie próbując nawet ukryć swoich spojrzeń. Jestem jak temat dla jednego z ich psychologicznych eksperymentów, obcą, która właśnie przyleciała z planety Wdowa. Szukają u mnie objawów tego, że obcy wyssali mi mózg i zastąpili własnym.

Josh Woodruff, z najstarszej klasy, wysiada z samochodu obok mnie i zerka na mnie znad składanego dachu swojego kabrioletu.

– Dzień dobry, pani Griffith. Wszystko w porządku?

Krzywię się i zamykam samochód. Uśmiecham się najbardziej

promiennie, jak się da.

– Dzień dobry, Josh. Jakieś nowe wieści?

Na jego twarzy maluje się udawana skromność i zaczyna wymieniać pisma z uczelni, jakie otrzymał – wszystkie pozytywne i z najlepszych szkół, ale jego rodzicom nic się nie podoba. – Jednak nadal nic z Harvardu.

– Niezależnie od wszystkiego powinieneś być dumny. I tak masz już imponującą listę uczelni, które chcą cię mieć u siebie.

Wzrusza ramionami.

– Tata nadal uruchamia wszystkie swoje kontakty, mam więc nadzieję, że wkrótce dostanę odpowiedź.

– Trzymam kciuki! – Staram się mówić tak radośnie, jak tylko się da, chociaż dla tych dzieciaków szczęście nie ma większego znaczenia. Dla nich sukces składa się tylko z dwóch rzeczy – ciężkiej pracy i sieci kontaktów. Pieniądze to rzecz nadana z góry, a porażka nie wchodzi w grę.

Josh uśmiecha się zdawkowo, a potem czeka, aż się odwróce i ruszę w stronę budynku.

Poranne powietrze jest chłodne, jednak mam wrażenie, że parking jest wielką górą, na którą muszę się wspiąć w temperaturze czterdziestu stopni. Człapię po asfalcie, próbując nie spocić się we wczesnoporannym słońcu, ale jedwabna bluzka już lepi mi się do skóry.

– Cześć, Bridget. Dzień dobry, Isabello. Wyglądacie dzisiaj wyjątkowo radośnie.

Wcale tak nie wyglądają. Wyglądają jak dwie półprzytomne nastolatki, które przez przypadek trafiły na zajęcia z analizy matematycznej.

– Pani Griffith, wszystko w porządku? – pyta jedna z nich.

Przełykam westchnienie.

– Wspaniale, dziękuję.

Bridget macha ręką w stronę mojej bluzki.

– Ale ma pani świadomość, że założyła pani bluzkę na lewą stronę, tak?

Patrzę w dół i, szlag, ma rację. Przy pasie powiewa mi metka, a szwy są wyraźne i poszarpane. Krzyżuję ręce na piersi i próbuję

wytrzymać jej spojrzenie.

– Zmienię to, gdy tylko wejdę do środka.

– I ma pani tylko jeden kolczyk – dodaje Isabella.

Dotykam palcami uszu, kciuk natrafia na pusty płatek. Czuję, że oblewam się rumieńcem. Jezu. Nic dziwnego, że dzieciaki zatrzymują się, żeby popatrzeć, jak człapię przez parking, zerkają na biedną wdowę, która przyszła do szkoły, wyglądając jak niepościelone łóżko. Wyjmuję drugi kolczyk i wrzucam go do torebki, a w tym samym czasie sprawdzam spódniczkę i zerkam na szpilki. Dzięki Bogu, takie same.

– Dziś rano bardzo mi się śpieszyło. Najwyraźniej.

– Najwyraźniej – odpowiadają chórem.

Odwracam się bez słowa i ruszam w stronę budynku. Na czele mojej listy znajdują się warsztaty z wrażliwości.

Gdy wchodzę do mojego gabinetu, widzę Avę. Nie jestem zaskoczona jej widokiem – nikt nie korzysta z otwartych drzwi u pani psycholog częściej niż Ava – i z reguły siedzi na stołku w rogu; na jego oparciu powinno znajdować się jej nazwisko tak jak na krześle reżysera. Dzisiaj jednak stoi sztywno na środku pokoju, plecak wisi jej przez ramię, białymi palcami przytrzymuje pasek.

I zdaje się, że jest trochę zdyszana.

– Ktoś mi powiedział, że pani wraca, ale...

– Dzień dobry, Avo. Jak tam twój weekend?

Przestępuje z nogi na nogę i macha palcem z idealnym manicure. Zerka ze zdenerwowaniem na kogoś, kto stoi na korytarzu.

– Słucham?

Omijam ją i przechodzę na drugą stronę biurka, rzucam torbę na podłogę, a potem opadam na krzesło. Ze stojącego obok ekranu komputera zdjęcia uśmiecha się do mnie Will – zrobiłam mu je w zeszłym roku na Music Midtown. Otwieram dolną szufladę i wrzucam do niej zdjęcie razem z ramką.

– Pytałam, jak tam twój weekend.

– Och. Chyba w porządku. – Przygryza dolną wargę, pełną i pomalowaną błyszczkiem. Błądzi wzrokiem po pokoju. – Pan Rawlings powiedział nam, że przez jakiś czas pani nie wróci.

Zawsze lubiłam Teda, ale na myśl o tym, że wypowiada na sali te słowa współczującym tonem, ściąga brew i sugeruje, że siedzę w domu i rozpadam się na kawałki, ledwo jestem w stanie powstrzymać się od grymasu. Nie chcę niczyjego współczucia. Nie zasługuję na nie.

– Chciałam zadzwonić – mówi – ale nie miałam pani numeru... – Ava podchodzi do biurka, świadomie wkracza w moje pole widzenia. – I myślałam o tym, żeby do pani zajrzeć, ale nie wiedziałam, co pani powie, jeśli wpadnę tak bez zapowiedzi.

Patrzę na nią.

– Dlaczego?

Marszczy swoje ładne czoło.

– Dlaczego nie wiedziałam, co pani powie?

– Dlaczego miałabyś wpaść do mnie bez zapowiedzi? Dlaczego w ogóle miałabyś to rozważać? – Pytania wyskakują z moich ust niczym wściekłe oskarżenia i wiem, że jestem niegrzeczna i nierozsądna, ale nie potrafię się powstrzymać. Za dużo się dzieje – rozmawiam z Avą, widzę, jak wymachuje rękami, patrzę na nią oskarżycielsko, w torebce mam telefon z rozładowaną baterią – i mam przeładowane zmysły. To tak, jakbym oglądała telewizję przy włączony radiu i jednocześnie próbowała z kimś rozmawiać. Muszę pozbyć się chociaż jednego hałasu.

– Bo ja... – Jest bardzo wytrącona z równowagi, potem zaczyna coś mamrotać, ale jej słowa rozpływają się w powietrzu. Odsuwa się od biurka, rzuca plecak na podłogę i siada, sztywna jak struna, na krześle w rogu. Korytarz pod drzwiami mojego gabinetu jest cichy, reszta dzieciaków siedzi w klasach. – Chciałam się dowiedzieć, jak pani się miewa. Martwiłam się.

Moją wściekłość wzbudzają nie tylko jej słowa, lecz także jej ton, wahanie i niepewność. Powinnam ją przeprosić. Powinnam otworzyć usta i powiedzieć, że przepraszam, że zrobiłam sobie z niej emocjonalny worek treningowy, ale nie jestem w stanie się do tego zmusić. Czuję się zbyt niepewnie z tym, dokąd zmierza ta

rozmowa, więc odbijam piłeczkę.

– Doceniam twoją troskę. Dziękuję. A jak wygląda sprawa z Charlotte Wilbanks? Jakies nowe kłótnie, o których powinnam wiedzieć?

Ładne niebieskie oczy Avy robią się wielkie, patrzy na mnie z niedowierzaniem. Nie jest w stanie wydusić z siebie ani słowa przez dobre dziesięć sekund.

– Walka z Charlotte jest bezcelowa.

– Dobrze, że tak mówisz. To bardzo dojrzała postawa. A co z tobą i Adamem Nightingale'em? Nadal ze sobą jesteście?

– Niech ona go sobie weźmie. Adam chce tylko albo grać na gitarze, albo uprawiać seks i... szczerze? – Krzywi się. – Ani jedno, ani drugie nie wychodzi mu zbyt dobrze. – Opiera się na krześle i przygląda mi się z czułością, o którą bym jej nie podejrzewała. – Moja mama odeszła.

Najpierw myślę, że się przesłyszałam.

– Jak to: odeszła? Dokąd?

– Odeszła od nas. Od mojego ojca. Wyprowadziła się do Sandy Springs z jakimś mechanikiem Bruce'em. – Mówi to tak, jakby mówiła o pogodzie, obojętnie i rzeczowo. – Najwyraźniej się kochają czy jakoś tak.

Pochyliłam się do przodu i wypuszczam powietrze.

– No dobrze. Wow. To... To musi być dla ciebie ogromna zmiana.

– No raczej. Powinna pani zobaczyć mój pokój u Bruce'a. Malutki jest. – Uśmiecha się półgębkiem, żeby dać mi znać, że nie do końca jest poważna.

– Chodziło mi o rozstanie twoich rodziców.

Ava przekłada na przód pasemko włosów i owija je sobie wokół palca.

– Nie wiem. To nie tak, że mój tata był najlepszym mężem na świecie. Prawie nigdy nie ma go w domu, a jak już jest, to siedzi przy komputerze i rozmawia przez telefon. Nie jestem pewna, czy w ogóle zauważył jej odejście. A mama wydaje się teraz dużo szczęśliwsza. Dosłownie cały czas się uśmiecha.

– Rozwód jest trudny dla wszystkich stron, ale wiesz, że to

sprawa między twoimi rodzicami, prawda? To nie ma nic wspólnego z tobą.

Kiwa głową, jakby nie do końca mi wierzyła.

– Chce pani wiedzieć, co jest w tym wszystkim najbardziej szalone? Mama zabrała ze sobą tylko to, co miała na grzbiecie. Zostawiła biżuterię, samochód, a nawet torebkę Birkin. W zeszłe Boże Narodzenie nie mogła żyć bez różowego rolexa wysadzanego brylantami, a teraz jedyne, czego pragnie, to opieka naprzemienna.

– To brzmi tak, jakby znalazła coś znacznie bardziej wartościowego.

Myślę o Willu, o tym, jak puste jest moje życie bez niego, jak wrócił i rozwala mi telefon wiadomościami, których nie odważę się przeczytać, i nagle czuję ukłucie w samym środku klatki piersiowej.

Ava unosi kościste ramię.

– Bruce jest chyba w porządku.

– Miałam na myśli ciebie. Może i zostawiła twojego ojca, ale wygląda na to, że nadal jest z tobą bardzo silnie związana.

Po raz pierwszy Ava nie próbuje powstrzymać się od uśmiechu. Po prostu na mnie patrzy i pozwala, by szczęście rozświetliło jej twarz. Naprawdę jest piękną dziewczyną i już mam jej powiedzieć, że powinna się częściej uśmiechać, gdy nagle patrzę na to wszystko z szerszej perspektywy.

– Jak na tę sytuację wyglądasz na zaskakująco spokojną. Dlaczego?

Odwija włosy z palca, przerzuca je z powrotem za ramię i poprawia sweter z Lake Forrest.

– Szczerze? Dzięki pani. Przez to, co stało się z pani mężem. Takie rzeczy sprawiają, że uświadamiasz sobie, co tak naprawdę jest ważne – i to nie jest kolejny rolex, prawda? Bo życie jest zbyt krótkie, żeby skupiać się na niewłaściwych rzeczach.

I tak po prostu zaczynam płakać. Przez siebie, przez Willa, przez Awę i jej matkę. Jest to chwila, dla której pracuje każdy psycholog, ten przełom, gdy uczeń zrzuca z siebie ogromny багаż emocjonalny. Jednak nie jestem w stanie wydusić z siebie ani

słowa, bo mam własny bagaż.

– Ale... – Podnosi plecak z podłogi i wstaje – nie chciałam doprowadzić pani do płaczu. Chciałam tylko, żeby pani wiedziała, że jeśli tylko będzie mnie pani potrzebować, to będę w swoim małym pokoiku w Sandy Springs i że muszę pani za to podziękować. – Jej szeroki uśmiech przybiera bardziej uroczystą formę, a jej głos robi się chrapliwy. – Pani Griffith, mówię poważnie. Dziękuję i naprawdę jest mi bardzo, bardzo przykro z powodu pani męża.

Po jej wyjściu ocieram łzy rękawem i dzwonię do Evana z telefonu stacjonarnego.

– Cześć, to ja.

– Nareszcie. Zostawiłem ci chyba kilkanaście wiadomości na poczcie głosowej. Zapomniałaś telefonu z domu czy jak?

Zaczynam szukać torebki na podłodze, popycham ją stopą daleko pod biurko, gdzie zaplątuje się w kable od komputera.

– Padła mi bateria.

– No to może podłącz go do ładowarki? Rozmawiałem z kelnerką.

– I co powiedziała?

– Nic, i w tym cały problem. Mam nadzieję, że na żywo będzie bardziej rozmowna, dlatego chciałbym polecić do niej jeszcze w tym tygodniu. Razem z tobą. Moje rozmiary z reguły odstrasza ludzi, poza tym sądzę, że przyda się obecność innej kobiety, która akurat przez przypadek jest psychologiem.

– Pewnie masz rację. Z radością pomogę ci w każdy możliwy sposób.

– Świetnie. Moja asystentka poprzesuwa kilka spraw w grafiku. Gdy już wszystko ustawi, poda ci, kiedy dokładnie wylatujemy.

– Może być.

– Rozmawiałem również z moim starym kumplem, którego firma specjalizuje się w korporacyjnych oszustwach księgowych, i wszyscy w mieście już wiedzą, że AppSec opóźnia wejście na giełdę, bo nie potrafią sami się ogarnąć. Wszyscy inwestorzy VC

się wycofali. Nie chcą mieć z nimi nic wspólnego.

– Co to jest VC?

– Venture capital. Inwestują pieniądze w firmy takie jak AppSec w zamian za akcje. Firmy zazwyczaj używają ich do przyływu gotówki. AppSec jeszcze trzy lata temu miał kilku potencjalnych entuzjastycznych inwestorów, ale w tym roku był już tylko jeden i chciał stu procent akcji, więc sytuacja jest niepewna.

– Evan, jestem psychologiem szkolnym. Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– To oznacza, że jeśli szef Willa myśli, że w najbliższym czasie AppSec wejdzie na giełdę, to kompletnie się pogubił. Ta firma znajduje się w głębokim kryzysie finansowym, a w jej księgach rachunkowych panuje chaos. Nic dziwnego, że nawet się nie zorientowali, że ktoś wyprowadził im cztery i pół miliona dolarów.

Rozlega się dzwonek, z klas wybiegają hałaśliwi nastolatki. Wyciągam przewód telefoniczny, obchodzę biurko i dochodzę do drzwi mojego gabinetu. Jeszcze nigdy tego nie zrobiłam – nigdy, a pracuję tutaj ponad sześć lat – i uczniowie to zauważają. Unoszą brwi z zaskoczeniem w chwili, gdy zamykam im drzwi przed nosem.

– Dobrze – mówię, wracając na krzesło przy biurku – ale to jeszcze nie wyjaśnia, jakim cudem inżynier oprogramowania byłby w stanie wykraść z firmy taką sumę i nikt się nie zorientował. Czy nie powinien mieć kogoś, kto podpisywałby za niego czeki?

– Nie, jeśli przeniósł te pieniądze elektronicznie. I prawdopodobnie nawet nie musiał zbyt mocno zacierać śladów, co jest zarówno dobrą, jak i złą wiadomością. Złą dla złodzieja, ale dobrą dla policjantów. Wystarczy tylko, że pójdą śladem dokumentów.

– Nie byłabym taka pewna. Will jest geniuszem i nie zostawiłby za sobą oczywistych śladów.

Zwłaszcza jeśli mam rację i Will ukrywa się z pieniędzmi. Dopilnuje, żeby nie udało się nic wyśledzić. Tak naprawdę to jestem w stanie się założyć, że to ja jestem jedynym ogniwem,

jakie może do niego prowadzić, a niedziałający telefon w mojej kieszeni jest jedyną wskazówką.

Słyszę, jak po drugiej stronie słuchawki Evan szeleści jakimiś papierami.

– Wykonałem kilka telefonów. Spróbuję ustalić, kto prowadzi dochodzenie w AppSec – dzięki temu może będę wiedział, gdzie szukają tych pieniędzy. Tymczasem powiedz mi, co zrobiłaś z czekiem od Liberty Airlines?

– Podarłam go. – Nie wspominam, że gdybym tylko mogła wepchnąć go Ann Margaret do gardła, uczyniłabym to bez namysłu.

– I nie zwróciłaś się o wypłatę pieniędzy z polis ubezpieczeniowych, prawda?

– Nie.

– Dobrze. Nie rób tego. Ponieważ jesteś żoną Willa, będziesz pierwszą osobą, którą będą podejrzewać o współpracę. I nie wolno ci dotykać ani centa pochodzącego z niepewnego źródła. Czy w najbliższej przyszłości poradzisz sobie finansowo?

Szybko dodaję wszystko w głowie, sprawdzam, jakie mam miesięczne koszty – kredyt, media, samochód, opłaty za ubezpieczenie – i nie podoba mi się to, co otrzymuję. Jeśli chodzi o wypłatę, to szkoły prywatne są strasznie skąpe, a Will zarabiał dwa razy tyle co ja. Mogłabym sprzedać jego samochód, ale Corban miał rację. Jest stary i prawdopodobnie niewarty więcej niż kilka tysięcy dolarów. Nie jestem pewna, w jaki sposób dam radę spłacać kredyt hipoteczny teraz, gdy moje dochody spadły o dwie trzecie, ale wiem, że prędzej umrę z głodu niż sprzedam wymarzony dom, kupiony przeze mnie i Willa.

– Iris, jeśli potrzebujesz pomocy, to ja z chęcią...

– Wszystko w porządku. – Krzywię się i staram się mówić z pewnością siebie. – Dzięki, Evanie, ale nie martw się. Coś wymyślę.

– Po prostu nie chcę dać im żadnego powodu, aby się ciebie uczepili.

– Rozumiem. – Tym razem mój ton mówi, że temat jest zamknięty.

– Jasne. Skoro już mam cię na linii, to powiedz mi, czy jest jeszcze coś, o czym powinienem wiedzieć? Jakies dokumenty, o których podpisanie poprosił cię Will, a może oprócz pierścionka jakieś inne wartościowe przedmioty, kupione przez niego za nie wiadomo jakie pieniądze? Samochody, wakacje, meble, wszystko, czego nie znalazłaś na wspólnych kontach?

– Nie, nic nie przychodzi mi do głowy. Chociaż dzwonię, żeby ci powiedzieć, dlaczego pozwoliłam, żeby padła mi bateria w telefonie.

– Kolejne wiadomości? Masz robić printscreeny i wysyłać je na Dropboxa, pamiętasz?

Opieram się i wyglądam przez okno na parking, lśniące w słońcu samochody i dalej, na drzewa.

– To by oznaczało, że muszę dotknąć swojego telefonu.

– Takie straszne są te groźby?

– To nie groźby. Chodzi o wiadomości z tego drugiego numeru, zablokowanego. Wiem, kto za nimi stoi.

– Tak? Kto?

Przerywam, żeby spróbować zmusić się do wypowiedzenia tego słowa, ale Evan nie ma w sobie za grosz cierpliwości.

– Jezu Chryste, powiesz, że to Will, prawda? – Przestał mówić neutralnym tonem prawnika, nagle stał się sceptyczny.

– Tak. – Gdy wypowiadam to słowo, moje serce nagle wierzga. – To prawda. To on.

– Skąd wiesz? Skąd wiesz, że to naprawdę on, a nie ktoś, kto tylko się za niego podaje?

– Bo wiem. Bo w taki właśnie sposób się ze sobą kłócimy. Ja się wściekam i go ignoruję, a on bombarduje mój telefon wymówkami i przeprosinami. Ale, o mój Boże, Evan, to naprawdę on.

– I co powiedział?

– Nie wiem. – Myślę o tych wiadomościach i czuję, jak wzbierają we mnie emocje, kradną mi oddech i zabierają powietrze. – Nie jestem w stanie spojrzeć na te wiadomości. Nie tknęłam telefonu od wczorajszego popołudnia.

Następuje cisza, długa i ciężka, czuję, że muszę się bronić.

– Lepiej niż ktokolwiek inny wiesz, przez jakie piekło przeszłam w ciągu tych ostatnich dni, a teraz dowiaduję się, że to nieprawda! Że to była tylko jakaś chora sztuczka, żeby mógł uciec z kilkoma milionami dolarów! No nie, do cholery. Ewanie, jestem na niego niewiarygodnie wściekła. Naprawdę nie wiem, co ze sobą zrobić.

Evan wypuszcza głośno powietrze.

– Iris, próbuję postawić się na twoim miejscu, naprawdę, ale gdybym nagle się dowiedział, że Susanna i Emma żyją, nie byłoby nic, co mogłoby mnie powstrzymać przed spotkaniem z nimi. Pewnie, że byłbym wściekły o to, co musiałem przejść przez ostatnie dwa tygodnie, ale najważniejsza byłaby ogromna ulga, jaką bym wtedy odczuwał.

– To co innego. Dzięki córce twoja hipotetyczna sytuacja jest zupełnie inna od mojej. Will jest człowiekiem dorosłym, a nie niewinnym dzieckiem. – Ale nawet gdy wypowiadam te słowa, w mojej głowie pojawia się coś poza gniewem. Wyciągam nogę i zacznę szukać nią torby z telefonem.

– Miłość to miłość. I skąd masz wiedzieć, czy można to wybaczyć, czy nie, jeśli nie chcesz spojrzeć na telefon? – Przerywa, żeby te słowa do mnie dotarły, a potem najwyraźniej wpada na inny pomysł. – Ej, cały czas zapominam spytać. Kto ci powiedział, że tego zablokowanego numeru nie da się wysledzić?

– Co? A, jakiś geek w Best Buy w Seattle. Powiedział, że wiadomości pochodzą z aplikacji, odpowiednika Snapchata dla esemesów. Po wysłaniu wiadomości skasowany zostaje cały ślad po niej.

– Tak czy siak, wydaje mi się, że nie zaszkodzi, jeśli spojrzysz na niego jakiś inny ekspert. O której kończysz pracę?

– Oficjalnie? O piątej, ale mogę wyjść po trzeciej.

Podaje mi adres w mojej dzielnicy, na Little Five Points. Zapisuję go sobie na karteczce.

– Spytaj o Zeke’a. Zadzwoń i uprzedź go, że zajrzysz do niego około czwartej.

– W porządku.

– Ach i jeszcze: Iris, podłącz telefon.

Rozdział dwudziesty szósty

Sprawdzam notatkę na karteczce i napis na oknie Sam's Record Shop, starego sklepu muzycznego w Little Five Points. Z podanego przez Evana adresu wynika, że dobrze trafiłam. Wchodzę przez szklane drzwi i rozglądam się wokół.

Miejsce tętni życiem. Widzę dziesiątki hipisów i hipsterów, kiwających głowami w takt leżącej w słuchawkach muzyki i przeglądających stare winylowe okładki. Przeciskam się obok nich i idę w stronę ładnej dziewczyny za kasą w głębi sklepu.

Na mój widok jej wściekle różowe usta rozchylają się w leniwym uśmiechu.

– Cześć, jak się masz?

Jej głos jest powolny – na pewno jest naćpana.

– Szukam Zeke'a. Czeka na mnie.

Wskazuje jasnożółte drzwi po mojej prawej stronie.

– Tam powinnaś go znaleźć.

Dziękuję jej i idę na zaplecze, które składa się niemal wyłącznie z długiego korytarza ze znajdującymi się przy nim składzikami – bo z pewnością nie można nazwać ich pokojami. Zaglądam do każdego z nich, znajduję stopy nieopisanych pudełek i mnóstwo opakowań po jedzeniu na wynos, ale nie widzę żadnych ludzi.

W ostatnim pomieszczeniu po lewej jest mnóstwo części komputerowych – konsoli, kostek pamięci i na wpół rozebranych laptopów. Na podłodze widać się kable od ethernetu i rozgałęźniki, a za nimi siedzi ktoś, kto wygląda bardziej na surfera niż na informatyka. Potargane włosy, półprzymknięte oczy, znoszona koszulka i bojówki, na szyi skórzane rzemienie i koraliki. Ale wali w klawiaturę, zakładam więc, że to osoba, o którą mi chodzi.

Pukam w drzwi i... nic. Próbuję raz jeszcze, tym razem mocniej, i odchrząkuję.

– Dzień dobry, Zeke?

Zerka w górę.

– To zależy.

– Przysłał mnie tutaj Evan Sheffield. To ja jestem Iris Griffith. Powiedział, że możesz mi pomóc z moim telefonem.

Nie odwracając wzroku od ekranu, Zeke wyciąga rękę, a ja ją ściskam. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że wcale nie chodziło o przywitanie.

– Twój telefon – mówi zniecierpliwiony.

No dobrze. Wyjmuję go z torby i podaję mężczyźnie.

Podłącza go kablem do komputera i bez słowa zabiera się do pracy. Jego palce fruują po klawiaturze, a mnie powala fala nostalgii. Bardzo tęsknię za Willem. Za głośnym waleniem w przyciski, za długimi łańcuchami symboli i numerami przewalającymi się po ekranie... Siadam na krawędzi krzesła przy ścianie.

– Ktoś w Best Buy powiedział mi, że numer wykorzystuje aplikację, przez co nie da się go namierzyć.

Zeke prycha.

– I ty mu uwierzyłaś?

Powstrzymuję się przed zjadliwą odpowiedzią.

– Myślisz, że uda ci się go wyśledzić?

– Daj mi pięć minut. – Na mój telefon przychodzi kolejna wiadomość, patrzy na ekran. – Trzeba przyznać, że gościu jest męczący.

Przygryzam wargę i rozglądam się po pokoju, czytam bezsensowne bazgroły na białej tablicy, przyglądam się kablom i ładowarkom w skrzyni na podłodze, staram się skupić na wszystkim poza moim telefonem. Ale i tak słyszę nagle swój głos:

– Ile jest wiadomości?

Zeke przestaje pisać.

– Osiemdziesiąt trzy.

– Wyświadczy mi przysługę, dobrze? Przeczytaj mi ostatnią.

Patrzy na mnie dziwnie, ale przejeżdża palcem po ekranie mojego iPhone'a.

– Napisał: *Gdybym mógł cofnąć czas i zacząć wszystko od nowa, zmieniłbym wszystko – poza tobą.*

Szloch próbuje wyrwać mi się z gardła, ale go przełykam,

skupiam się na wściekłości. Will żyje. Odszedł z własnego wyboru. Wybrał pieniądze zamiast mnie, jego rzekomej ulubionej osoby na tej planecie. Nawet gdyby mógł wrócić, nawet gdybyśmy mogli zacząć wszystko od nowa, to czy ja bym tego chciała?

Ale chociaż wściekłość szaleje w moim wnętrzu niczym rój szaleńczo głodnych termitów, wiem, że odpowiedź brzmi: tak. Nie powinnam, ale zgodziłabym się na to, bo może udałoby mi się coś zmienić. Może następnym razem wybrałby mnie zamiast pieniędzy. Co minutę z bólu serca rodzą się naiwne myśli.

Po kolejnych kilku minutach stukania w klawiaturę Zeke odrywa wzrok od monitora i na mnie patrzy.

– W dzisiejszych czasach są tysiące sposobów na zachowanie anonimowości w internecie, a ten gość wybrał akurat ten nieskuteczny. – Pisze coś na karteczce, odrywa ją i mi podaje razem z telefonem. Adres w Atlancie, którego nie znam.

– Serio? I zajęło ci to... całe cztery minuty?

Po raz pierwszy, odkąd przeszłam przez jego drzwi, Zeke szczerzy zęby, które oślepiają mnie w niebieskim świetle.

– To dlatego tyle mi płacą.

Dom znajduje się w Vinings, na przedmieściach od północnej strony Atlanty, ma wielospadowy dach i jest zbudowany z cegły i kamienia. Jest tutaj milion takich samych domów – tworzą nowo zbudowane osiedla, w których wszystko do siebie pasuje. Dokładnie przystrzyżone trawniki z pięknymi rabatami rododendronów. Podwójne latarnie po obu stronach drzwi wejściowych i przynajmniej jedno okno wykuszowe. Dekoracyjne okiennice i skrzynki pocztowe przy krawężniku.

Przejeżdżam powoli obok, szukam oznak życia, ale żadnych nie widzę. Światła w środku są wyłączone, ale dopiero dochodzi godzina kolacji w słoneczny wiosenny dzień, więc dlaczego miałyby być włączone? Nie ma też żadnych oznak ruchu, żadnych cieni w oknach. Jeśli Will tutaj jest, to go nie widzę.

No dobrze. Ale i tak sam pomyśl, że Will miałyby ukrywać się

w tym domu, jest pozbawiony sensu. Jeśli ma pieniądze, po co miałby się zatrzymywać na przedmieściach Atlanty? Dlaczego nie zniknął za granicą albo przynajmniej w górach sąsiedniego stanu? Jest za mądry, a Vinings znajduje się zbyt blisko domu.

Parkuję za rogiem, chowam telefon od kieszeni spódniczki i idę na palcach przez ogród sąsiada, próbując nie wbijać obcasów w idealny trawnik. Otoczenie jest tak nowe jak dom, ma co najwyżej kilka lat. Drzewa, które zostały tutaj zasadzone, nadal są nagie i nie można się wśród nich ukryć.

Chyba mnie pogięło. Jestem widocznym celem w biały dzień. Najgorszy Tom Podglądacz w historii Tomów Podglądaczy – i do tego w spódniczce i szpilkach.

Podchodzę do okna w kuchni i przyciskam nos do szyby. Widzę krzesło odsunięte od laptopa, którego ekran jest ciemny, obok stoi prosty biały kubek. Poranna kawa czy popołudniowa herbata? Nie umiem tego powiedzieć. Poza tym w kuchni jest ciemno i pusto.

Czaję się za tylnymi drzwiami. Obok sterty gazet leżą ubłocone tenisówki – męskie. Ten, kto tutaj mieszka, lubi biegać i oddaje gazety na makulaturę – Will nie robił żadnej z tych rzeczy. Woli siłownię i czyta wiadomości online. Przedzieram się przez krzaki i idę do następnego okna.

Salon również jest pusty, a znajdujące się w nim meble i przedmioty zbyt ogólne, żeby móc wysnuć jakiegokolwiek wnioski odnośnie do mieszkającej tutaj osoby. Kanapa, dwa krzesła, dwa stoły, kilka lamp. Szukam czegoś osobistego, zdjęć, książek czy ubrań, ale nic nie widzę. Pomijając buty i laptopa, miejsce to mogłoby być domem na pokaz.

Nagle na korytarzu zapala się światło, a moje serce najpierw przestaje bić, a potem zaczyna walić jak szalone. Co zrobię, jeśli to Will? Zemdleję w krzakach? Wpadnę przez okno? Łapię się parapetu, wstrzymuję oddech i czekam.

Gdy widzę mężczyznę, który wychodzi zza rogu, rozczarowanie pęka w moim brzuchu niczym wielki balon. To nie Will, ale natychmiast rozpoznaję tego człowieka. Wysoki, szerokie ramiona, skóra koloru ziaren kawy. Wczoraj widziałam jej dość

dużo, gdy kosił trawę w moim ogródku.

Zaczynam dopasowywać elementy układanki w moim mózgu, umieszczam je tam, gdzie pasują. Dom. Will. Corban. Jeśli jest to adres, z którego wysyłane są wiadomości z zablokowanego numeru, z którego Will pisze do mnie, odkąd wyjechałam do Seattle, to co robi tutaj Corban? I gdzie jest Will? Niezależnie od tego, jak przestawiam elementy układanki, nie potrafię ich ze sobą połączyć.

Corban idzie dalej do pokoju, a ja przechodzę pod kolejne okno, próbując śledzić jego ruchy. Pochyliła się nad telefonem komórkowym, przejeżdża kciukiem po ekranie. Widzi coś i zamiera, a potem marszczy czoło.

Nagle odczuwam ogromny lęk, coś we mnie wyje, niczym alarm w luksusowym sportowym samochodzie Avy, który włącza się za każdym razem, gdy zbliża się zderzakiem do jakiejś przeszkody. Coś w środku mówi mi, że znajduję się w niebezpieczeństwie. Może na krawędzi wąwozu lub klifu.

Bez ostrzeżenia podnosi głowę i patrzy w okno.

Moje okno.

Jakby dokładnie wiedział, gdzie patrzeć.

Padam na ziemię, wstrzymuję oddech i nasłuchuję, ale moje serce wali tak mocno, że prawie nic nie słyszę. Czy on mnie widział? Czy właśnie wychodzi na zewnątrz? Nie czekam, żeby się dowiedzieć. Wbijam nogi w ziemię i zaczynam się czołgać, ze strachu mam serce w gardle. Igły sosnowe wbijają mi się w dłonie i skórę, ubrania drą się o jeżyny, ale się nie zatrzymują. Schylam głowę i przedzieram się dalej. Kilkanaście metrów do końca domu, a potem co? Gdy tylko dotrę do ogrodu, będę świetnie widoczna.

Pozostaje mi się tylko modlić, żeby nie wyszedł na zewnątrz.

Słyszę trzaśnięcie drzwiami, szczekanie psa i to mi wystarczy. Wybiegam z krzaków i rzucam się do ucieczki przez ogród do samochodu.

Opadam na fotel kierowcy i drżącą ręką próbuję włożyć kluczyki do stacyjki. Odjeżdżając, ryzykuję i zerkam w stronę domu Corbana, który stoi w drzwiach i osłania oczy przed

słońcem.

I się uśmiecha.

Kilka minut później wjeżdżam samochodem między dwa SUV-y na parkingu Home Depot i staram się uspokoić oddech. Nie jestem już zdyszana po biegu przez ogród Corbana, ale cały czas ciężko mi się oddycha i mam wrażenie, że powietrze utknęło mi w płucach. Nadymam policzki i wstrzymuję oddech, tak jak nauczył mnie Corban – co za ironia losu – na nabożeństwie. Pomaga. Gdy wypuszczam powietrze, moje płuca trochę się rozluźniają.

Corban mnie widział. Nie tylko mnie widział, lecz także bez problemu mógł mnie złapać. Nie jestem sportowcem, a wysokie obcasy i ołówkowa spódnica nie są najlepszym strojem do biegu na sto metrów. W czasie, w którym nieporadnie biegłam do samochodu, Corban mógł mnie złapać. Dwa razy.

Ale nawet nie próbował.

I nie wyglądał na zaskoczonego. I do tego się uśmiechał.

Komórka wbija mi się w kość łonową, wyjmuję ją z kieszeni spódniczki. Patrzę na ciemny ekran i przypominam sobie wieczorne spotkanie informacyjne, jakie Ted i ja zorganizowaliśmy dla rodziców kilka miesięcy temu. Tematem była cyberprzemoc. Niecałe pół godziny po rozpoczęciu spotkania kontrolę nad nim przejęli rodzice, którzy zainstalowali lokalizatory GPS swoim dzieciom – oczywiście bez ich wiedzy. Z dumą oznajmili nam, że szpiegowanie dzieci to nadane im przez Boga święte prawo rodzica, a ja popełniłam błąd i zadałam na głos pytanie, czy to nie jest już przekroczenie pewnej granicy. Resztę wieczoru Ted spędził na uspokajaniu wszystkich.

Chodzi o to, że wiem o istnieniu takiej technologii.

Lokalizatory, o których mówili ci rodzice, były niewidoczne i pracowały sobie w tle. Wystarczyło tylko wziąć czyjś telefon do ręki na tyle długo, by zainstalować oprogramowane i bingo, od tej pory wiesz, gdzie ten ktoś przebywa. Powoli zaczynam coś sobie uświadamiać, coś pojawia się na powierzchni mojego

umysłu, i gdyby nie te wiadomości od Willa, wyrzuciłabym telefon przez okno.

A potem uświadamiam sobie coś innego i z wrażenia znowu nie mogę oddychać.

Zablokowany numer zaprowadził mnie do Corbana, nie do Willa.

Drżącymi palcami włączam telefon i przeglądam wiadomości – wszystkie osiemdziesiąt siedem.

Pełne żalu przeprosiny. Szczegółowe wyjaśnienia i bicie się w pierś. Pisze wszystko poza jednym. Siedemnaście razy pisze, że mnie kocha. Ale ani razu nie pisze słów, które chcę przeczytać. Naszych słów. Ani razu nie pisze, że jestem jego ulubioną osobą, co oznacza, że osoba, która do mnie pisze, również nie jest moja.

Co oznacza... co? Że Will nie żyje? Chociaż jestem wściekła jak diabli, że wybrał pieniądze zamiast mnie, nie chcę w to uwierzyć. A co z liścikami z przeprosinami i ostrzeżeniami, żebym przestała grzebać w przeszłości? Jeśli Corban stoi za esemesami, to może za liścikami też?

Zwieszam ramiona, wspomnienia tego dnia wałą we mnie osłabiającymi falami. Czuję, że to nadchodzi. Znajome łaskotanie w płucach, pieczenie w oczach i zaciskająca się krtań. Wszystkie oznaki tego, że jestem na granicy ataku.

Gdy zaczęły przychodzić listy i wiadomości, wołałam uwierzyć, że to Will znajdował się po drugiej stronie. Potrzebowałam w to wierzyć. W obliczu katastrofy i spalonego pola kukurydzy wybrałam spojrzenie na wszystko w inny sposób, tak jak robiłam to w naszym małżeństwie. Will nie lubił rozmawiać o swojej przeszłości. W jego opowieściach było mnóstwo dziur. Ilekroć pojawiała się jakaś niespójność, ja przekonywałam samą siebie, że to jakiś głupi błąd, kazałam sobie nie zwracać na to uwagi. Zawsze myślałam, że liczy się tylko teraźniejszość.

Tyle że jak można kochać kogoś, kogo tak naprawdę się nie zna?

Odpowiedź rodzi się i namnaża w moim brzuchu, podgryza smutek, zjada go całego i wymiotuje ostrą kulkę wściekłości – wywołaną nie tylko zdradą Willa, lecz także tym, że dałam się na to nabrać.

Miłość i poświęcenie. Szczerość. Zaufanie. Widzimy to, co chcemy zobaczyć. Zbieramy informacje, wykorzystujemy je lub ignorujemy, aby kształtować własne przekonania, dokonywać własnych wyborów, wstrzymywać miłość lub swobodnie ją dawać.

Rzucam telefon na fotel pasażera i wrzucam bieg, jadę z powrotem w stronę autostrady.

Mój mąż nie żyje.

Moje serce jest złamane.

Moje oczy są teraz szeroko otwarte.

Pomimo ruchu w godzinach szczytu wracam do Little Five Points w czasie krótszym niż jedna godzina. Jest przed siódmą, zaraz zamykają, niebo robi się różowo-fioletowe.

Wnętrze sklepu z płytami jest puste, z wyjątkiem ładnej dziewczyny za ladą. Liczy pieniądze i na dźwięk dzwonka przy drzwiach podnosi palec. Nie czekam, idę w stronę jasnożółtych drzwi, jeszcze zanim ma czas, by oderwać wzrok od pieniędzy.

Znajduję Zeke'a dokładnie tam, gdzie wcześniej, nadal stuka na klawiaturze na zapleczu.

– Wróciłaś – mówi, nie odrywając wzroku od monitora.

Rzucam komórkę na biurko.

– Przegapiłeś lokalizator.

– Nie, widziałem go. – Patrzy w górę, a potem na moje potargane włosy i podartą bluzkę, rozerwany rękaw. – Co ci się u diabła stało?

– Lokalizator mi się stał. Byłoby miło, gdybyś mi o nim wspomniał.

– Nie pytałaś.

Nie jestem w stanie stłumić westchnienia.

– Czy możesz się go pozbyć? Proszę? I mam jeszcze jeden numer, który musisz sprawdzić. To numer na 678, na samej górze wiadomości.

Przejeżdża palcem po ekranie i włącza wiadomości. Do pierwszych dwóch dołączyły dwie kolejne, mroczne obietnice bólu i śmierci, jeśli nie zbiorę tych pieniędzy.

– To jest naprawdę popieprzone.

– Co ty powiesz. Miałam nadzieję, że dasz radę powiedzieć mi, kto to jest.

– Ten gość też przepuścił numer przez stronę firmy, ale... – Wciska kilka guzików w telefonie i marszczy czoło. – Hmm. To dziwne. Poczekaj, to może chwilę potrwać.

– Skoro już w niej grzebiez, to czy widzisz jeszcze coś podejrzanego, o czym powinnam wiedzieć?

Wyjmuje ze stojącego na podłodze pudełka ładowarkę i mi ją podaje.

– Wyrzuć resztę ładowarek albo jeszcze lepiej, przynieś je do mnie. Zawsze zbieram wszystkie szperacze.

Nie mam pojęcia, co to jest szperacz, ale i tak wrzucam ładowarkę do torby.

Wraca do mojego telefonu, przejeżdża palcem po ekranie.

– Jak dokładnie mam to wszystko sprawdzać?

– Udaj, że to telefon twojej dziewczyny.

W jego oczach pojawia się błysk, wskazuje ręką na stojące za mną krzesło.

– W takim razie siadaj, bo trochę tutaj zostaniesz.

Rozdział dwudziesty siódmy

Nad ravioli w Cafe Intermezzo w Midtown opowiadam Evanowi o najnowszych wydarzeniach. O tym, jak Zeke wyszedł numer telefonu i podał mi adres w Vinings, i jak znalazłam tam Corbana Hayesa. O tym, jak uciekłam z powrotem do Zeke'a, który zdjął lokalizator z mojej komórki oraz aplikację, która ściągała historię moich telefonów i wiadomości. Że gdy wychodziłam, cały czas pracował nad numerem 678, tym, z którego dostałam kolejne dwie pogróżki.

– Z jakichś względów namierzenie tego telefonu jest trudniejsze niż tego zablokowanego. Zake obiecał, że zadzwoni, gdy tylko mu się to uda.

Evan nadal jest w swoim nienagannym garniturze w prążki, w którym chodzi do pracy i który musiał być szyty na miarę, ale przerzucił marynarkę przez krzesło, poluzował kołnierzyk i podwinął rękawy. W połączeniu z gęstą brodą mógłby wyglądać czarująco, gdyby nie jego smutne oczy.

– Ale ten drugi numer – mówi i wyciąga nad stołem swoją długą rękę, żeby podać mi telefon – ten zablokowany, który, jak myślałaś, należał do Willa, tak naprawdę należy do Corbana Hayesa?

– Nie. Zeke zlokalizował adres w Vinings. I gdy zajrzałam przez okno z tyłu, zobaczyłam Corbana Hayesa.

Uniósł wysoko brwi.

– Zajrzałaś przez okno z tyłu? Czyś ty zwariowała do reszty?

– To zabawne, że o to pytasz, bo – tak. Zwariowałam. Albo to, albo prześladuje mnie zmarły mąż. Wybieraj.

Opiera się na stole i pochyla się tak mocno, że stół zaczyna się chwiać.

– Iris, ja nie żartuję. Jeśli ten facet wysyła ci wiadomości i udaje, że jest twoim zmarłym mężem, to dzieje się coś większego. Nie powinnaś przebywać w jego towarzystwie i z pewnością nie

powinnaś łązić po jego ogrodzie. A co, jeśli cię zauważył?

– Zauważył.

Evan siedzi, jakby czekał na cios.

– Corban mnie widział. Najpierw przez okno, a potem, gdy biegłam przez jego trawnik. To dlatego tak wyglądam. Zaplątałam się w krzakach. – Wsadzam palec w jedną z dziur w moim rękawie i znajduję obrzęknięte zadrapanie na skórze. – Ale mnie nie gonił. Stał i patrzył, jak odjeżdżam. A teraz to najgorsze – uśmiechał się.

– Sądzisz, że w tym wszystkim najstraszniejszy jest uśmiech?

Normalnie śmiałabym się z poważnego wyrazu twarzy Evana, ale w tym kontekście nic mnie nie bawi. Poza tym Evan ma rację. Uśmiech Corbana nie był najgorszą rzeczą.

Podnosi widelec, dźga nim poduszczkę ravioli, a potem z brzękiem rzuca go na talerz.

– Nie podoba mi się to. Ten facet udaje Willa, co oznacza, że jest przebiegły i niebezpieczny. I zbyt wiele wie. – Kręci głową i podnosi widelec. – Nie wiem, jakie ma motywy, ale stanowi zagrożenie. Nie możesz jechać do domu. Nie jesteś tam bezpieczna.

– Mam nowiotki alarm, najnowszy na rynku – tak przynajmniej twierdził facet, który go instalował. Kamery, przyciski alarmowe i te sprawy.

– Iris, żaden alarm nie powstrzyma zdeterminowanego przestępcy. Widziałem to już tyle razy, że mam pewność. Będziesz bezpieczna gdzie indziej. W domu przyjaciółki, w hotelu, a jeśli nie masz pieniędzy, możesz zamieszkać w moim pokoju gościnnym.

Nie odpowiadam, głównie dlatego, że nie wiem, co powiedzieć. Adwokat i klientka. Koleżanka wdowa. Przyjaciółka. Już teraz jest tutaj za dużo związków, za dużo dróg, które mogą potencjalnie się skrzyżować. Jego propozycja jest bardzo miła, ale mieszkanie z nim zdaje mi się bardzo złym pomysłem.

– Widzę, że moja propozycja cię przestraszyła, powinnaś więc wiedzieć, że pokój ma własną łazienkę i zamek w drzwiach, i że nie proszę o to tylko dla ciebie. – Wzrusza ramionami, ale ma

bardzo poważny wyraz twarzy. – Ten, kto powiedział, że najgorsza chwila to ta, w której twoja rodzina i przyjaciele pakują się i wyjeżdżają, miał całkowitą rację. W moim domu jest zdecydowanie za cicho. Miło będzie mieć kogoś do towarzystwa.

Gdy to mówi, zamyka oczy, tak jakby chodziło nie o mnie, a o Susannę i Emmę. Wiem, że jego propozycja płynie ze szczerego serca, ale również wzięła się z miłości, straty i tęsknoty. I tak już mam wrażenie, że ładuję się w jego życie z buciarzami, a przecież nawet jeszcze nie byłam w jego domu.

Otwieram usta, by grzecznie odmówić, ale Evan chyba to wyczuwa, bo mi przerywa.

– Przemysśl to, dobrze? Pokój może być do twojej dyspozycji w każdej chwili. A jeśli nie chcesz, to obiecaj mi, że rozważysz zamieszkanie z przyjaciółką albo z kimś z rodziny.

Kiwam głową i się uśmiecham, a Evan wraca do swojego makaronu.

– No dobrze. Spytałaś Zeke’a, czy może ustalić pochodzenie oprogramowania szpiegującego?

– Nie. Nie wiedziałam, że istnieje taka możliwość.

– Ja też nie jestem tego pewien, ale jeśli ktoś może to zrobić, to właśnie on. A tymczasem – i nie wierzę, że w ogóle muszę to mówić – trzymaj się z daleka od Corbana Hayesa. Jeśli napisze po raz kolejny, udając, że jest Willem, to – powtarzam – nie angażuj się w rozmowę. Jeśli ponownie zadzwoni lub pojawi się w twoim domu, dzwoń na policję, a do ich przyjazdu wszystko dokumentuj. Będzie nam to potrzebne do sądowego zakazu zbliżania się.

Mój telefon zaczyna wibrować na stole, na ekranie pojawia się twarz Dave’a.

– To mój brat. Mogę?

Evan macha ręką w moją stronę.

– No pewnie.

Odbieram, zatykając palcem drugie ucho, tak żeby móc słyszeć brata w zatłoczonej restauracji.

– Cześć, mogę oddzwonić później? Właśnie jestem na kolacji.

– Nie. Nie ma szans. Wiesz, ile wiadomości ci zostawiłem?

Trzynaście, a mama dzwoniła co najmniej dwa razy tyle. Szaleje ze zmartwienia. Gdzieś ty u diabła była?

– Przepraszam, ale nie uwierzyłbyś, co się działo w ciągu ostatnich kilku dni.

Szybko opowiadam mu o tym, co się wydarzyło, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni – czyli zaledwie dwa dni temu, ale zdarzyło się tyle, że równie dobrze mogłyby to być dwa miesiące. Opowiadam o najważniejszych sprawach, o Tiffany, o drugim liście, o wiadomościach, w których ktoś pisał, że jest Willem, o tym, że Zeke ustalił adres w Vinings.

Gdy dochodzę do części, w której Corban dostrzegł mnie przez okno, Dave mi przerywa.

– Iris, cholera. Dzwoniłaś na policję?

– Ja i Evan właśnie będziemy to omawiać i to dlatego muszę już kończyć. Zadzwońisz do mamy? Powiedz jej, że nic mi nie jest i że zadzwonię rano.

– Powiem jej, ale przecież wiesz, że i tak będzie wydzwaniać. Sugeruję, żebyś wyświadczyła nam wszystkim przysługę i odebrała. Aha, a widziałaś maila od policji z Seattle?

– Nie, a co? Napisali, kiedy możemy spodziewać się raportu?

– Już go wysłali.

– Całość?

– Całość. O pożarze, o dowodach świadczących przeciwko Willowi, wszystko.

– I? Co tam napisano?

– Cholera wie. To jak czytanie czegoś po hiszpańsku. Rozumiem tylko co czwarte albo co piąte słowo. W każdym razie zerknij na to, gdy będziesz miała okazję, i do mnie oddzwon. Może razem uda nam się jakoś przetłumaczyć ten policyjny żargon.

Patrzę na Evana, który właśnie macza kawałek chleba w sosie.

– Mam lepszy pomysł.

Evan zgadza się spojrzeć na raport policji, ale tylko wtedy, jeśli pokażę mu go na laptopie w moim domu. Chociaż żadne z nas nie mówi tego na głos, oboje doskonale znamy powód tego

ultimatum. Evan chce mieć pewność, że nikt nie czai się w cieniu moich pustych pokoi, a po dzisiejszych odkryciach i moim biegu po ogrodzie Corbana chcę, żeby wszystko sprawdził.

Na tle nocnego nieba mój dom wygląda jak czarny cień – i to mimo latarni, rzucających na ulicę złote światło.

– Nie będę kłamać – mówię, szukając klucza do domu. – Czuję się bezpieczniej, gdy wchodzisz tam ze mną. Gdy wychodziłam rano, jakoś nie dotarło do mnie, że mogę nie wrócić do domu przed zmrokiem.

Evan świeci swoim iPhonem na moją klamkę, żebym więcej widziała.

– Tak. Tu jest trochę strasznie.

Otwieram drzwi i system alarmowy wita mnie wysokim, przeraźliwym dźwiękiem. Biegnę do klawiatury i wbijam kod, podczas gdy Evan szuka włącznika światła. Znajduje go i korytarz zalewa światło.

– Alarm jest włączony, co oznacza, że nikogo tutaj nie ma. – Wskazuję czujniki ruchu, zamontowane wysoko w rogu korytarza. – Mam takie coś w każdym pokoju, a facet, który je zakładał, powiedział, że są na tyle czułe, że widzą w ciemności.

Evan nie wygląda na przekonanego. Wygląda zza rogu do salonu, a potem odwraca głowę w drugą stronę.

– Ale ja i tak przejdę się po wszystkich pokojach. Nie masz nic przeciwko, prawda?

– Nie, wręcz przeciwnie. Będę ci bardzo wdzięczna.

Zamykam zasuwę w drzwiach, resetuję alarm i macham na Evana, żeby poszedł za mną do kuchni. Po drodze włączam kolejne światła.

– Chcesz coś do picia? Mam wodę, piwo i wino, a jeśli chcesz, również coś mocniejszego.

Otwiera drzwi do spiżarni, po chwili je zamyka.

– Z chęcią napiłbym się wina. Dziękuję.

Pozwalam mu chodzić po moim domu, zaglądać za drzwi i sprawdzać klamki oraz okna, podczas gdy ja odkorkowuję butelkę pinot noir. Razem z dwoma kieliszkami zanoszę ją do blatu i włączam na laptopie maila z komisariatu policji w Seattle.

Kilka minut później pojawia się Evan. Wygląda na zrelaksowanego.

– Czysto?

– Czysto. – Siada na stołku barowym i marszczy czoło. – To wygląda jak raport z wypadku.

Przesuwam kieliszek po blacie i pochylam się, żeby zajrzeć mu przez ramię.

– Tak, i co z tego?

– Czyli tak naprawdę nie mówi nam to nic nowego. Wybuchł pożar, w którym zginęła mama Willa i dwoje dzieci sąsiadki, a w mieszkaniu obok znaleziono substancję łatwopalną, ale co dalej?

Wzruszam ramionami.

– Co z tym przypisanym funkcjonariuszem? Willowi kogoś przydzielono. Ja i Dave pomyśleliśmy, że może on będzie wiedział coś więcej.

Evan przegląda plik.

– Wyatt Laurie. Mówi ci coś to nazwisko?

– Nie.

– Zobaczę, czy jutro uda mi się go namierzyć. Czy twój brat sprawdzał raporty z sądu?

– Nie.

– W nich jest opis sytuacji po pożarze. I informacja o tym, czy były jakieś nakazy przeszukiwania albo wniesiono oskarżenia, albo, jeszcze lepiej, czy sprawa trafiła do sądu. W ten sposób uda nam się złożyć całą historię do kupy.

Rozczarowanie jest tak wielkie, że nagle czuję ciężar w nogach.

– Och.

Patrzy na mnie i delikatnie trąca ramieniem moje ramię.

– Iris, nie jest tak źle. Komisariaty policji może i są powolne i ociążałe, ale raporty sądowe są ogólnodostępne i czasami można je przeczytać online. – Klika myszką, jego wielkie palce wpisują coś na klawiaturze. – O, proszę, sąd okręgowy dla zachodniej części Waszyngtonu. Możesz jeszcze raz mi przypomnieć, w którym to było roku?

– Dziewięćdziesiątym ósmym albo dziewiątym.

– Hmm, dane cyfrowe mogą nie sięgać tak daleko wstecz, ale powinniśmy znaleźć co najmniej jedno lub dwa trafienia. Prawdopodobnie będą to podsumowania, ale może poznamy przynajmniej zarys tej historii. – Wypełnia formularz online i klika „Wyślij”. Dwie sekundy później na ekranie pojawiają się wyniki. – Bingo. Masz drukarkę?

Ja i Evan siedzimy na przeciwległych końcach kanapy, na poduszkach przed sobą rozkładamy wydruki. Nie ma ich aż tak wiele. Kilka raportów sądowych, artykułów prasowych o pożarze i niewiele więcej. Jak na razie nie dowiedzieliśmy się niczego nowego.

Po części problemem jest to, co powiedział Evan: większość tego, co udało się znaleźć w internecie, to dane niepełne, akapit lub dwa podsumowujące to, co powinno zająć kilka stron.

Druga sprawa to to, że dowody przeciwko Willowi były co najwyżej poszlakowe. Kanister z benzyną, zakupiony w 1997 roku, nie został połączony z nikim w Rainier Vista. Mieszkanie, w którym wybuchł pożar, było otwarte i niezamieszkałe, a policji nie udało się zidentyfikować żadnych dodatkowych śladów DNA. A jakby tego było mało, okazało się, że policjant prowadzący śledztwo był kokainistą. Sprawa została oddalona na długo przed podjęciem decyzji przez ławę przysięgłych.

Rzucam na kanapę kartkę, którą właśnie czytam, czuję, jak narasta we mnie frustracja.

– Mam wrażenie, że to wszystko jest kompletnie pozbawione sensu. To znaczy, zaczęłam to, bo chciałam poznać przeszłość Willa, ale teraz... Teraz nie jestem już taka pewna. To znaczy, to nie zmieni biegu wydarzeń. Po prostu nie widzę w tym sensu.

Evan nie wygląda na takiego pewnego.

– Jeśli jest coś, czego nauczyłem się w mojej pracy, to to, że trzeba kopać tak długo, aż będzie się miało pełny obraz. Jeśli chcesz wiedzieć, co Will myślał na tygodnie, miesiące czy nawet lata przed katastrofą, musisz znać podstawowe wydarzenia z jego życia, które ukształtowały go jako człowieka. – Macha

jedną z kartek. – Powiedziałbym, że pożar łapie się do tej grupy.

Wzruszam niechętnie ramionami i wracamy do czytania.

Z wydruków dowiaduję się, że poza starym mężczyzną, z którym ja i Dave rozmawialiśmy w świetlicy środowiskowej, najważniejszym świadkiem była Cornelia Huck, sąsiadka z lokalu 47c, znajdującego się obok mieszkania, w którym wybuchł pożar. Na początku procesu pani Huck zeznała, że w noc pożaru słyszała, jak rodzice Willa się kłócą, ale były tam trzy głosy, nie dwa. Dwa dorosłe i jeden nastoletni. Pani Huck rozróżniała je, bo miała kilkoro dzieci – chociaż od razu zeznała, że nie przyjaźniły się one z Willem.

Po północy awantura ucichła. Półtorej godziny później budynek stał w płomieniach. Pani Huck udało się uciec, chociaż wszystko straciła – i tak jak większość mieszkańców była nieubezpieczona.

– Myślisz, że pani Huck miała tam coś do ugrania? – pytam, sięgając po wino. Wypowiadam jej nazwisko i coś mi dzwięczy, z tyłu głowy pojawia się jakieś wspomnienie.

– Najprawdopodobniej. Zwłaszcza że była niepopularna, bo ciągle wydzwaniła na 911 i oskarżała Griffithów o zakłócanie porządku. Mówiła, cytując: „W takim wrzasku nie jestem w stanie myśleć”.

– A gdzie są jej dzieci? Wspomina o nich podczas procesu, ale w raportach z miejsca pożaru nie widzę o nich żadnej informacji.

– Jeśli nie ma ich na liście świadków ani ofiar, to możemy założyć, że były tylko obserwatorami.

I nagle sobie przypominam. Przyjaciel Willa z liceum, ten, którego nigdy nie poznałam, bo wyjechał na Kostarykę i uczy turystów surfowania. Nazywa się Huck. Zawsze zakładałam, że Huck to imię, ale teraz nie jestem już tego taka pewna. Czyżby to był któryś z dzieciaków z sąsiedztwa?

Opieram głowę na skórzanej sofie, zamykam oczy i zaczynam się zastanawiać, jak rozwiązać zagadki, z którymi mam do czynienia w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Powinam zacząć od katastrofy? Od Rainier Vista? Od liścików i wiadomości? Wracam myślami do poranka, gdy widziałam Willa po raz ostatni, gdy nasze małżeństwo zdawało się najprostszą rzeczą na ziemi.

Dzięki sobie czuliśmy się lżejsi, lepsi, szczęśliwsi. Czy gdybym wiedziała o nim to wszystko, nadal bym się tak czuła?

Kręcę głową, strząsam z siebie te myśli.

– I co teraz?

Jest już za kwadrans dziesiąta w środku tygodnia i jedyne, czego pragnę, to pójść spać.

– Jutro rano zlecę zajęcie się tym mojej asystentce i zobaczymy, czy uda jej się odkopać coś ciekawego.

– Nie, miałam na myśli Corbana. Czy powinnam iść na policję?

– I co im powiesz?

– Eee, wszystko, co powiedziałam ci dzisiaj wieczorem. O wiadomościach, śledzeniu, o tym przerażającym uśmiechu, gdy odjeżdżałam.

– Przerażający uśmiech nie jest przestępstwem, tak samo jak wiadomości.

Prostuję się na kanapie.

– Ale on udaje, że jest moim zmarłym mężem!

– Może. Póki co wiemy na pewno, że Zeke wyszedł zablokowany numer i ustalił adres domu, w którym Corban był fizycznie obecny, ale kto powiedział, że Will nie ukrywa się w piwnicy? Nie wiemy, czy to Corban miał w ręce telefon, z którego wysyłano wiadomości, ani czy w ogóle tam mieszka. Jeśli już, to ty możesz zostać oskarżona. O wtargnięcie na czyjąś posesję. Wiem, że to frustrujące, chodzi mi tylko o to, że zanim pójdziemy na policję, musimy mieć więcej informacji.

– No dobrze, a co z lokalizatorem?

– Znowu: nie możemy udowodnić, że to Corban ci go zainstalował. I niestety w tym przypadku technologia jest lata świetlne przed wymiarem sprawiedliwości. Te aplikacje śledzące nie są nielegalne i o ile Zeke nie wskaże Corbana, używając sposobów zgodnych z prawem, a nie swoich podejrzanych hakerskich umiejętności, ciężko będzie udowodnić Corbanowi, że jest winien.

– A czy od tego nie jest policja?

– Policja może podjąć działania jedynie na podstawie konkretnych dowodów, a takich jeszcze nie mamy. W tym

momencie wszelkie podejrzenia to tylko podejrzenia.

– A co z zakazem zbliżania się?

– Możemy spróbować wystąpić o tymczasowy zakaz, ale nie za bardzo mamy podstawy. Będziemy musieli wykazać, że jego zachowanie miało charakter nękania i było poniżające, i że bałaś się o swoje bezpieczeństwo. A to będzie trudne, bo poczęstowałaś gościa piwem po tym, jak skosił ci trawnik.

Wzdycham głęboko.

– Posłuchaj, nie chcę wyszukiwać problemów. Po prostu mówię ci, jak to wygląda. Najlepszym sposobem działania jest załatwienie sobie prywatnego detektywa w tej sprawie, a potem obmyślenie następnych kroków na podstawie tego, co uda mu się znaleźć. Czy twoim zdaniem brzmi to sensownie?

Bardzo powoli kiwam głową.

– Świetnie. – Klepie się po kolanach i wstaje. Uśmiecha się do mnie, zgarbiony, z rękami w kieszeniach. Nagle znika prawnik, a zostaje bardzo smutny chłopiec, na którego patrzenie łamie mi serce. – Na pewno dasz sobie tutaj radę?

– Oczywiście. – Słyszę strach w swoim głosie, próbuję więc go zatuszować i się uśmiecham. Po sposobie, w jaki zaciska usta, wiem, że kiepsko mi poszło.

– Jeśli nie chcesz u mnie mieszkać, zawsze możesz pojechać do hotelu.

– Nic mi nie będzie. Mam najlepszy alarm, pamiętasz?

– Jasne.

Podaje mi rękę i pomaga wstać z kanapy. Odprowadzam go do drzwi wejściowych. Wyciąga rękę do klamki, a potem zamiera i się odwraca.

– Czy Zeke dał ci znać, co z tym numerem na 678?

Wydjmuję telefon z kieszeni i go sprawdzam.

– Nie. Nic nie mam.

– Ciekawe, dlaczego trwa to tak długo. Zadzwoń do niego w drodze do domu. Jeśli udało mu się coś ustalić, to dam ci znać. A jutro porozmawiamy o spotkaniu z Tiffany.

– Dobrze.

– W porządku. Bądź rozsądna. Zamykaj wszystkie drzwi.

Nikommu nie otwieraj. Ufaj swojej intuicji. Jeśli będziesz miała choćby najmniejsze podejrzenia, od razu wzywaj ochronę. Od tego jest.

– Evanie, serio. Nic mi nie będzie.

Uspokaja się, otwiera drzwi i włącza się alarm.

– O cholera! – Rzucam się do klawiatury i wbijam kod. Ogłuszające wycie cichnie. Z doświadczenia wiem, co się za chwilę wydarzy. Biegnę do kuchni po telefon, który już dzwoni.

– Rugby, rugby, rugby – mówię na powitanie. – Przepraszam! Obiecuję, że to już ostatni raz.

– Pani Griffith, miło mi słyszeć, że wszystko w porządku. Miłej nocy.

Odkładam słuchawkę na bazę i wracam na korytarz. Powoli się uspokajam.

Evan stoi tam, gdzie stał, z rękami w kieszeniach. Uśmiecha się szeroko.

– No cóż, przynajmniej wiemy, że to działa.

– Sąsiedzi mnie znienawidzą.

Szybko mnie przytula, obejmuje mnie rękami modliszki i otacza obcym zapachem szamponu i płynu po goleniu. Przez ułamek sekundy wracam myślami do propozycji zatrzymania się w jego pokoju gościnnym, ale potem przytulenie robi się dziwne. Zbyt blisko, za szybko, jego broda nie powinna wtulać się w moją głowę, a dłoń, ciepła i sucha, nie powinna znaleźć się na mojej szyi.

Wyswabadam się z jego objęć i się odsuwam.

– Uważaj na siebie, dobrze? – Kiwam głową, a on się uśmiecha.
– Zadzwoń rano.

Wychodzi przed drzwi, a potem czeka, aż zasunę wszystkie zasuwę. Macha ręką w stronę aparatury alarmowej, a ja przewracam oczami, wbijam kod i podnoszę kciuk do góry, gdy system się uzbraja. Kiedy Evan jest już pewien, że jestem bezpieczna, biegnie do samochodu i odjeżdża.

Wyłączam światło na ganku, a po chwili namysłu ponownie je włączam. Jeśli kiedykolwiek będę spać przy wszystkich zapalonych światłach, to właśnie dzisiaj. Przytulałam twarz do

szyby i wyglądam na zewnątrz, patrzę na rząd wiktoriańskich domów po drugiej stronie ulicy, ich sylwetki mającą w ciemności. W niektórych oknach na górze pali się światło, wszystkie pogrążone są w ciszy.

– Już myślałem, że nigdy sobie nie pójdzie. – Słyszę za sobą znajomy głos i moje serce zamiera z przerażenia.

Rozdział dwudziesty ósmy

Stoję bardzo spokojnie, panika zaczyna ryczeć mi w uszach.

– Co... Jak się tutaj dostałeś? Jak ominąłeś alarm?

Corban wychodzi z cienia pokoju ubrany niczym zły facet z filmów o Jamesie Bondzie. Granatowe dżinsy, mahoniowy sweter, czarne tenisówki, wszystko eleganckie i modne, i ciemne niczym cienie na zewnątrz. Wygląda, jakby potrafił wdrapać się na ściany mojego domu i wskoczyć przez okno, nie wydając z siebie żadnego dźwięku. Kto wie? Może tak właśnie dostał się do środka.

– Od twojego męża inżyniera dowiedziałem się między innymi, jak obejść alarm. – Na jego twarzy pojawia się ten sam przerażający uśmiech. Przeraża mnie on bardziej, niż gdy widziałam go po południu, kiedy uciekałam spod jego domu. – Przecież ci mówiłem, że umiem to zrobić. Powinnaś była mnie posłuchać.

Dopiero po kilku sekundach jego słowa do mnie docierają, a po kolejnych kilku zaczynam rozumieć ich znaczenie. Czego powinnam była posłuchać? I nagle już wiem. Corban odnosi się do wiadomości z numeru na 678.

– Sekunda. To ty wysłałeś tę wiadomość? To ty wysyłałeś mi te esemesy?

Podnosi obie ręce, ogarniając przestrzeń wokół nas – mój korytarz, mój dom – i traktuję to jako tak. Co również oznacza, że wysłał także tego drugiego esemesa. Natychmiast przypominam sobie groźbę: *Powiedz mi, gdzie Will ukrył pieniądze, albo wkrótce do niego dołączysz.*

Patrzę Corbanowi w oczy, czarne i szalone, i myślę, że by to zrobił. Zabiłby mnie bez namysłu.

Ale po co? Po co miałyby wysyłać mi groźby z jednego numeru i jednocześnie udawać, że jest Willem? To przecież bez sensu. Ryk w moich uszach cichnie, robię się otępiąta, jakbym

znajdowała się na dnie oceanu.

– Posłuchaj, nie wiem, gdzie są te pieniądze. Kilka dni temu jeszcze nawet o nich nie wiedziałam.

– Oczywiście, że nie wiesz. – Jego słowa się ze mną zgadzają, ale jego głos – nie. Ton jego głosu mówi, że wiem, gdzie są pieniądze, i że jeśli będzie musiał, spełni prośbę.

Pot leje mi się między piersiami, gdy się cofam, zbliżam się do klawiatury alarmu, kombinując, jakby tu odwrócić uwagę Corbana na trzy sekundy. Trzy sekundy, żeby aktywować przycisk alarmowy! Co za kretyn to wymyślił? Kiedy jesteś spanikowana, trzy sekundy to cała wieczność.

Cofam się o kolejnych kilkanaście centymetrów.

– Corbanie, mówię poważnie. Przetrzęsnęłam dom od góry do dołu i nie ma żadnych pieniędzy. Jeśli mi nie wierzysz, to sam poszukaj.

Mruży oczy i patrzy na panel za moim ramieniem.

– Chyba nie sądzisz, że jestem aż tak głupi, co?

Moim zdaniem jest to pytanie retoryczne. Nie odpowiadam.

Łapie mnie za nadgarstek i ciągnie korytarzem, w głąb domu, jak najdalej od przycisków na klawiaturze alarmu.

Zataczam się, szukam zarysu broni przy jego pasie, kształtu noża pod obcisłymi ubraniami. Z tego, co widzę, nie jest uzbrojony – ale też nie musi być. Jego wysportowane ciało jest dostateczną bronią.

Wpycha mnie do kuchni i obraca, przyciska mnie do zlewu.

– Iris, jaki był plan? Opłakiwać Willa przez miesiąc lub dwa, a potem zgarnąć kasę z ubezpieczenia i wyjechać z miasta pod jakimś kretyńskim pozorem rodem z *Jedź, módl się, Kochaj*? Może chciałaś wszystkim wmówić, że wyjedziesz „odnaleźć siebie”? – Każde pytanie zakończone jest prychnięciem, patrzy na mnie wściekle. – Chyba stać was na więcej.

Nie wiem, co powiedzieć, ale on najwyraźniej czeka na odpowiedź, a ja jestem w stanie wydusić z siebie tylko:

– Ja... nie wiem, o czym ty mówisz.

Spogląda na mnie z obrzydzeniem.

– Gdzie on na ciebie czeka? W Ameryce Południowej?

W Europie Wschodniej? W Meksyku? – Znowu prycha, jego spocona głowa błyszczy w kuchennym świetle. – A nie, w Meksyku jest zbyt gorąco. Oboje wiemy, że Will woli chłodniejsze klimaty.

Kręcę głową, moje serce wali jeszcze szybciej. Próbuję dodać dwa do dwóch, znaleźć jakąś logikę w osiemdziesięciu siedmiu wiadomościach od Corbana udającego, że jest moim zmarłym mężem, i słowach, które teraz wypowiada. Mówi tak, jakby Will wciąż żył.

Ale przecież już raz próbował wyprowadzić mnie w pole.

Przez chwilę zastanawiam się nad tym, czy jego złudzenia mogą być prawdziwe. Jeśli sądzi, że jestem w zмовie z Willem, to gra w tę grę może być niezłą strategią.

Potem jednak Corban robi dwa kroki do przodu, gruba żyła na jego szyi pulsuje z wściekłości i nienawiści, i tchórzę.

– Wiem, że te wiadomości były od ciebie. Wiadomości i te dwa listy. Nie są od Willa, prawda?

Śmieje się okrutnie i złośliwie.

– Zawsze myślałem, że to zbyt duży zbieg okoliczności. AppSpec rozpoczyna śledztwo dokładnie w chwili, w której on wsiada na pokład samolotu, lecącego do najbardziej znienawidzonego przez niego miasta na świecie. – Kręci głową. – Nie, nigdy bym w to nie uwierzył. Ale muszę coś ci przyznać. Te wczorajsze łyzy wyglądały na bardzo prawdziwe. Byłabyś rewelacyjną aktorką.

Cofa się, a ja go omijam, wchodzę głębiej do kuchni, ale za każdym razem, gdy znajduję się więcej niż metr przed nim, Corban robi wielki krok i się do mnie zbliża. To jak zabawa w kotka i myszkę, przyprawiający o obłęd taniec wokół mojej wyspy kuchennej. Teraz jednak jestem już prawie na korytarzu. Przystaję, obliczając odległość do tylnych drzwi. Jeśli się do nich dostanę, wystarczy je otworzyć i alarm natychmiast się włączy. Czy uda mi się do nich dotrzeć?

Na widok wyrazu mojej twarzy Corban zaczyna się śmiać.

– Widziałas kiedyś, jak biegają czarni mężczyźni? Nawet nie próbuj.

Kieruję rozmowę na bezpieczniejszy temat.

– Nie udaję. Jestem wdową w żałobie, która dowiedziała się, że mężczyzna, którego poślubiła, jest złodziejem, który ukradł swemu pracodawcy cztery i pół miliona dolarów.

– Pięć.

– Co?

– Pięć milionów i to ja je ukradłem. Ja. To ja wymyśliłem plan. Will tylko go wykonał. – Wypina pierś i dźga się kciukiem w sam środek. – Wiesz, jakie to było skomplikowane? Ile warstw musiałem ominąć, żeby położyć ręce na CSS? Tak genialny plan mógł udać się tylko komuś o wyjątkowych umiejętnościach i niebezpiecznej inteligencji. To dzięki mnie odeszliśmy z pięcioma milionami dolarów.

Ale przecież nikt nie odszedł z żadnymi pieniędzmi, prawda? Nick ich złapał.

I nagle dociera do mnie, że Corban jest osobowością narcystyczną. I prawdopodobnie również borderline. Nadmierne chwalenie się jest tylko jedną, ale klasyczną cechą zaburzeń osobowości, co wyjaśnia, dlaczego nie zauważyłam tego wcześniej. Narcyzi są trudni do zdiagnozowania, ponieważ często są w stanie ukryć przed światem swoje zaburzenia.

– Co to jest CSS? – pytam, wsuwając dłonie do tylnych kieszeni spodni. To ruch swobodny, ale i celowy. Mam tam telefon, zimny i twardy, ale jednocześnie pocieszający. Wyłączam dźwięk. Przy odrobinie szczęścia Corban nie zorientuje się, że go tutaj mam.

– Crunch Security Systems, systemy zabezpieczeń antykryzysowych. Akcje AppSec nabyte w ramach kapitału podwyższonego ryzyka w 2013 roku. To ja powiedziałem Willowi, aby przeniósł akcje do spółki, którą założyłem na Bahamach, a potem kazałem je zlikwidować. Sam nigdy by na to nie wpadł. Może i świetnie radzi sobie z komputerami, ale gdy chodzi o biznes, jest beznadziejny.

Unoszę brew i udaję, że mi zaimponował, chociaż prawie go nie słucham. Potrzebuję tylko, żeby cały czas mówił, żeby umieścić między nami tyle słów, ile się da.

– Ale Will musiał coś spieprzyć, bo w AppSec się zorientowali. Rozmawiałam z szefem Willa. Powiedział mi, że zatrudnili biegłą

sądową, która ma wyśledzić pieniądze, i że wszystko wskazuje na Willa.

Czuję wibrowanie na biodrze, ktoś dzwoni. Czy mogę spróbować odebrać tak, żeby Corban się nie zorientował?

Corban wzrusza ramieniem.

– Wiedzieliśmy, że wreszcie się dowiedzą.

Jego obojętność robi na mnie takie wrażenie, że moje palce zamierają na telefonie. Stoję przez chwilę, przyglądam się wyдутым ustom Corbana, przypominam sobie o dwóch nowych ubezpieczeniach na życie i liście obowiązków domowych, które Will przekazał mi wtedy rano w łóżku, i nagle wszystko wskazuje na swoje miejsce.

Kręcę głową, wściekła, że wcześniej na to nie wpadłam.

– Mielicie zamiar zniknąć, prawda? Obaj. Ty i Will i tak planowaliście już ucieczkę, tak więc gdy samolot spadł w tym samym czasie, gdy zniknęły pieniądze, założyłeś, że Will je ze sobą zabrał.

Mój telefon przestaje wibrować, przełącza rozmówcę na pocztę głosową, a potem zaczyna wibrować od nowa.

– On zabrał wszystkie pieniądze. Sama mi o tym powiedziałaś.

Marszczę czoło, próbując przypomnieć sobie, kiedy ja mogłam coś takiego powiedzieć.

– Tak?

Kiwa głową.

– Kiedy powiedziałaś mi o liście w szufladzie, pamiętasz? Tym, który podrzucił ci Will. – Moje serce wali jeszcze szybciej pod wpływem tego, co on sugeruje, zanim jednak jestem w stanie o to spytać, robi dwa kroki do przodu. Cofnęłabym się, ale nie mam gdzie uciekać. Jestem już przyciśnięta do blatu. – Ale popełnił jeden fatalny błąd.

– Jaki? – Mój głos się łamie, jestem wściekła, że brzmię na taką przerażoną.

Uśmiecha się, odsłania zęby wilkołaka, lśniące na tle czarnej jak węgiel skóry.

– Zostawił tutaj swoją ładną żonkę, samą jak palec.

Czuję mrowienie na skórze, przełykam gwałtowne mdłości.

– Wiesz, rozumiem, co Will w tobie widzi. Poza tym, co oczywiste. Jesteś mądra, zabawna i masz w sobie to coś. – Macha ręką w moim kierunku, jego wzrok ześlizguje się niżej i niżej. – Delikatna. Seksowna. Will jest prawdziwym szczęściarzem.

– Był – poprawiam go. Ze strachu i szoku nie jestem w stanie trzeźwo myśleć. Słowo to pada z moich ust bardzo powoli i jest lepkie.

Krzyżuje ręce na piersi i przygląda mi się spod przymrużonych powiek.

– Wiesz, przez jakiś czas byłem przekonany, że brałaś w tym wszystkim udział. Ale potem nie wypadłaś z roli, nawet gdy myślałaś, że moje wiadomości pochodzą od niego. Albo naprawdę nie wiedziałaś, albo przez cały ten czas ty i Will byliście krok przede mną.

– Nie kłamię. Naprawdę nie miałam pojęcia.

– Tak, zaczynam w to wierzyć. – Odsuwa się od blatu, podchodzi bliżej, jeszcze bliżej, aż wreszcie od zapachu jego wody kolońskiej przewraca mi się w żołądku. – Wykurzmy tego szczura z jego kryjówki. Co ty na to?

– Co masz na myśli?

– To, że mi nie odpowie. – Zaczyna szukać telefonu w swojej kieszeni. – Ale sprawdźmy, czy odpowie tobie.

Zanim jestem w stanie wydusić z siebie choćby jedno słowo, obejmuje mnie za szyję, przyciska moją skroń do swojej i robi selfie. Błysk lampy świetlnej jest oszałamiający, a ja jestem zbyt zszokowana, by zrobić cokolwiek poza gapieniem się.

Gdy mrugam, by białe plamy zniknęły mi z pola widzenia, Corban pisze coś na swoim telefonie. Do maila dołącza zdjęcie – żadnego tematu czy treści, tylko zdjęcie przedstawiające uśmiechniętego Corbana i bladą mnie – i je wysyła. Niemal natychmiast dostaje odpowiedź.

– Dobre wieści – mówi, odwracając telefon w moją stronę, żebym mogła zobaczyć wiadomość. – Twój mąż żyje i ma się dobrze.

Jeśli ją zranisz, poderżnę ci gardło.

Mimo wszystko, mimo ostrego przerażenia, mimo szaleńca, który umie obejść alarm i który może mnie zabić, natychmiast pojawia się euforia.

Will żyje.

Mój telefon wibruje i tym razem wyjmuję go z kieszeni. Corban mnie nie powstrzymuje, opiera się biodrem o blat i mnie obserwuje, na jego twarzy błąka się ten sam straszny uśmiech.

Numer telefonu składa się z długiego rzędu cyfr, tak jakby ktoś dzwonił z zagranicy. Przesuwam kciukiem po ekranie i dociskam telefon do ucha, moje serce wali tak głośno, że mój głos jest ledwo słyszalny.

– Słucham?

– Iris, wynoś się stamtąd.

Natychmiast zaczynam szlochać. Marzyłam o tym głosie przez ostatnie dwa tygodnie. Modliłam się do Boga, w którego nie do końca wierzę, żeby dał mi jeszcze jedną szansę na usłyszenie tego głosu, a teraz wreszcie – wreszcie – słyszę go w telefonie i jedyne, do czego jestem zdolna, to płacz.

– Will?

– Słyszałaś, co powiedziałem? Corban jest niebezpieczny. Żeby mnie dorwać, zrobi ci krzywdę albo jeszcze gorzej. Już jadę, ale ty musisz się stamtąd wydostać. Nie obchodzi mnie, jak, po prostu ucieknij i wezwij pomoc. Możesz to dla mnie zrobić?

Will już jedzie! Wiem, że wypowiedział wiele innych słów, ale ja usłyszałam tylko „już jadę”. Mój mąż jedzie do domu.

– Po... pośpiesz się.

Corban wyrwa mi telefon.

– Tak, stary. Lepiej się pośpiesz. Bo czeka na ciebie twoja ładna żonka. Och, i nie zapomnij moich pieniędzy. Ten twój mały wyczyn będzie ci słono kosztował.

Próbuję odzyskać telefon, podskakuję, żeby mu go wyrwać, ale Corban bez trudu trzyma mnie jedną ręką.

– Billy, ale ona ma temperamencik. Założę się, że w łóżku to prawdziwa kocica. Założę się, że przewraca meble i krzyczy jak gwiazda porno, prawda?

Na dźwięk jego słów, na widok szalonego błysku w jego oku czuję falę mdłości. Próbuję się cofnąć, ale on zaciska palce na moim ramieniu.

Po drugiej stronie linii słyszeć jakiś hałas, ale nie rozumiem żadnego ze słów. Corban uśmiecha się jeszcze szerzej.

Patrzy na mnie, jego oczy stają się puste.

– Nie martw się. Na pewno znajdziemy sobie jakieś zajęcie.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Dzwonek przy drzwiach rozlega się mniej niż dwadzieścia minut później. Serce staje mi w gardle. Jakim cudem Will już tutaj jest?

I gdzie on się ukrywał? W altanie ogrodowej? I po co dzwoni do drzwi zamiast użyć własnych kluczy albo, jeszcze lepiej, wpaść przez okno, żeby zaskoczyć przeciwnika atakiem? To nie ma żadnego sensu.

Corban patrzy na zegarek i marszczy czoło. Po wyrazie jego twarzy widzę, że myśli to samo.

Rozlega się nieco dramatyczne ostre pukanie, a potem stłumiony głos Evana.

– Ej, Iris, nie śpisz jeszcze? Chyba zostawiłem u ciebie mój portfel.

– Ale pracowita noc – żartuje Corban, ale przez zaciśnięte zęby.

Zaglądam do sąsiedniego pokoju, dostrzegam lśniąca skórę wystającą spomiędzy wydruków na stoliku kawowym. Portfel Evana. Wyjął go z kieszeni z tyłu, żeby usiąść, musiał położyć go tutaj i o nim zapomnieć.

– I co teraz? – pytam.

Corban patrzy na mnie przez kilka sekund, zastanawia się, co zrobić, jak rozwiązać ten problem. Widzę, że zupełnie nie martwi się Evanem.

Martwi się, że w jakiś sposób ja dam znać Evanowi, że coś jest nie tak. To ja jestem problemem.

– Rozkoduj alarm z telefonu. Nie chcę, żebyś zbliżała się do tych przycisków alarmowych.

Evan puka raz jeszcze, tym razem mocniej i pięścią.

– Iris, jesteś tam?

– Nieważne, ja to zrobię. – Corban włącza aplikację alarmu na swoim telefonie – na swoim telefonie, co wyjaśnia, w jaki sposób ominął mój alarm – i klawiatura przy drzwiach wejściowych pika

trzy razy. Łapie mnie za ramię i przyciąga do siebie, jego palce zaciskają się na moich mięśniach tak mocno, że mogą zostawić siniaki. – Daj mu jego portfel i się go pozbądź, rozumiesz? W przeciwnym razie skręcę mu kark i to na twoich oczach.

Kiwam głową i przełykam ślinę. Nie wątpię, że byłby w stanie to uczynić, mimo rozmiarów Evana.

– Grzeczna dziewczynka. – Łapie mnie za ramiona, odwraca i mocno popycha. – A teraz idź już.

Mogę teraz zrobić kilka rzeczy. Dać Evanowi jakiś znak. Użyć specjalnego kodu, gdy będę ponownie zbroić alarm. Rzucić się do ucieczki. Wierzę jednak, że wtedy Corban mógłby zrobić krzywdę Evanowi i jeszcze kazać mi na to patrzeć, a tego nie byłabym w stanie znieść. Poza tym ucieczka albo wezwanie policji oznacza, że już nigdy nie zobaczę Willa.

Dlatego też biorę portfel, uśmiecham się i idę korytarzem. Macham do Evana przez szybę tak swobodnie, jak tylko się da. Wygląda, jakby na mój widok poczuł ulgę, chociaż cały czas ma ściągnięte ramiona. Otwieram drzwi.

– Gdzie byłaś? – pyta Evan. – Próbowałem się do ciebie dodzwonić.

– Przepraszam. – Kątem oka dostrzegam ruch w salonie. Corban schował się w cieniu. – Miałam wyłączony dzwonek.

– Och. – Podnosi stopę, tak jakby chciał wejść do środka, ale ja się nie ruszam.

Stoję sztywno, trzymam drzwi i blokuję wejście ciałem.

Następuje długa cisza.

Wyciągam przed siebie jego portfel.

– Proszę. Znalazłam go na stole.

Bierze portfel, patrzy na mnie dziwnie, a potem zagląda przez okno. Moje serce zamiera.

Poza beżową sofą w tym pokoju praktycznie nie ma mebli. Jeśli Corban nadal tam stoi, przyciśnięty do ściany, to Evan z pewnością go zobaczy.

Ale Evan się prostuje i mruga, jakby jedynym, co zobaczył, był pusty pokój.

– Rozmawiałem z Zeke'em. Numer na 678 to niestety ślepy

zaułek. Karta prepaid bez nazwiska i adresu. Nie da się go wyśledzić.

Udaję rozczarowanie.

– Och. W porządku. No cóż, podziękuj mu za to, że przynajmniej spróbował. Dobranoc.

Chcę zamknąć drzwi, ale Evan przytrzymuje je dłonią.

– Co się z tobą dzieje?

Patrzę mu w oczy i wytrzymuję jego spojrzenie.

– Po prostu jestem wykończona. Właśnie szykowałam się do pójścia na górę spać.

Przekrzywia głowę i delikatnie marszczy czoło.

– Wyglądasz, jakbyś płakała.

– To był ciężki dzień.

– Och. No cóż, jeśli chcesz pogadać... – Urywa i patrzy ponad moim ramieniem, wyciąga szyję, żeby zajrzeć do domu i zobaczyć tyle, ile się da, czyli niewiele. Poza schodami i korytarzem widzi prawdopodobnie niezbyt dużo. – No cóż, dobrze, nie chcę cię zatrzymywać. Dzięki. – Podnosi portfel i macha nim, a ustami pyta bezgłośnie: Nic ci nie jest?

Uśmiecham się uspokajająco.

– Bardzo proszę. Jutro do ciebie zadzwonię.

A potem zamykam mu drzwi przed nosem, zasuwam zasuwę i wracam korytarzem w głąb domu.

Gdy wchodzę do kuchni, cała się trzęsę. Corban wychodzi z cienia i podnosi palec. Słuchamy, jak Evan wsiada do samochodu, włącza silnik i odjeżdża.

– I co teraz?

Corban uśmiecha się szeroko niczym kot z Cheshire.

– Teraz czekamy.

Zegar na skrzynce kablowej mówi, że jest już przed jedenastą. Minęła ponad godzina, odkąd oddałam Evanowi portfel, czyli musiałam być przekonująca. Jeśli zawiadomił policję, policja już dawno by przyjechała.

A tymczasem nadal czekamy na Willa.

– Max Talmey – mówi Corban, przestaje chodzić i się do mnie odwraca. Siedzę skulona na sofie. – Założę się, że to nazwisko nic ci nie mówi, co?

Kręcę głową. Mam wrażenie, że nie śpię od tygodni, a teraz, gdy adrenalina zniknęła, ledwo jestem w stanie usiedzieć prosto.

Corban dochodzi do końca dywanu i odwraca się, wymachuje pięścią w powietrzu.

– A Dennis Sciama i Andrea del Verrocchio? Nie?

– Nie. – Tłumię ziewnięcie.

– To są mentorzy Alberta Einsteina, Stephena Hawkinga i Leonarda da Vinci.

– Och.

Fakt, że Corban cały czas gada, w ogóle mi nie pomaga. Już dawno przestałam go słuchać.

– Dlaczego to Willowi przypisuje się wszystkie zasługi? Co jest nie tak z naszym społeczeństwem, że doceniamy tylko rozgrywającego, a reszty drużyny już nie? Głównych wokalistów, a nie resztę zespołu? A przecież w rzeczywistości to my jesteśmy geniuszami. Bez nas nigdy nie wyszliby z mroku.

Narcystyczne zaburzenie osobowości Corbana jest wręcz podręcznikowe. Olbrzymie poczucie własnej wartości, zabieganie o władzę i sukces i wyraźny brak empatii. Wykazuje wszystkie objawy. W swoim maniakałnym stanie nie stara się już ukrywać żadnego z nich.

– Lubię Netę Snook – mówię. Narcyz najbardziej w świecie lubi wyrazy uznania, na które swoim zdaniem zasługuje.

– Kogo?

– Pilotkę, która nauczyła latać Amelię Earhart.

– Właśnie! – Dźga palcem w moją twarz. – Rozumiesz, o co mi chodzi.

Rozumiem, że nie chodzi tylko o to, że Will zabrał pieniądze. Chodzi o to, że Will zabrał pieniądze i uciekł. Corban czuje się opuszczony. Czuje się odrzucony i zepchnięty na boczny tor, i to właśnie te emocje wywołały jego wściekłość.

Znowu zaczyna chodzić i rozpoczyna kolejną tyradę na temat tego, jak nikt nie docenia jego geniuszu. Jak przeniesienie akcji,

a nie pieniędzy na Bahamy było jego pomysłem. Że to on wiedział, kiedy sprzedać akcje za najlepszą cenę. Gdyby nie on, Will nadal sprzedawałby na rogu ulicy woreczki z trawką. Narcyzi uwielbiają grać rolę ofiary.

Zatrzymuje się, spoglądając na mnie w dół.

– Zaczynam myśleć, że twój mąż nas wystawił.

– Nie zrobiłby tego. – Mówię to z o wiele większą pewnością siebie, niż czuję. Przecież Will udowodnił już, że kocha pieniądze bardziej ode mnie. Dlaczego nie pozwolić Corbanowi spełnić groźby i mnie zgwałcić? Dlaczego nie pozwolić mu się zemścić?

Tyle że powiedział, że już jedzie. Powiedział mi, że jest w drodze. Tak strasznie mi przykro, mówi Will w mojej głowie, tak wyraźnie, jakby stał obok, jakby siedział na kanapie. Przez chwilę widzę go jadącego piaszczystą meksykańską drogą, jedną ręką otwiera okno.

Nie, Corban miał rację w jednej sprawie. Willowi nie spodobałoby się w Meksyku. Tam jest za gorąco.

Corban patrzy na tylne drzwi.

– Słyszałaś to?

Podnoszę się na kanapie, wyteżam słuch.

– Co?

– Ciii! – Przekrzywia głowę, a potem podnosi palec. – To. Słyszałaś?

Wydaje mi się, że może i coś usłyszałam, jakby chrupnięcie za oknem, a może to trzask gałęzi tuż przed tym, jak pies sąsiadów rusza do ataku. Jego szczekanie niesie się po całej okolicy, zaczynają szczekać również inne psy. To jak w tej scenie w bajce, gdzie psy informują się o zaginionych dalmatyńczykach.

Tyle że tym razem ostrzegają Corbana, że ktoś znajduje się tuż pod moim oknem.

Odwracam się na kanapie i opieram dłonie o szybę, próbuję dostrzec coś na zewnątrz, ale wszystko przypomina tylko czarną, niekończącą się dziurę. Gdzieś niedaleko jakiś pies dostaje szału.

Dzwoni telefon stacjonarny.

Corban marszczy czoło i widzę, że myśli o tym samym, o czym myślę ja: dlaczego Will nie zadzwonił na moją komórkę tak jak

poprzednio?

Telefon dzwoni raz jeszcze.

– Mam...?

– Nie ruszaj się – warczy. Zdejmuje słuchawkę z bazy i patrzy na ekranik. – Numer na 770. – Odczytuje na głos resztę cyfr. – Rozpoznajesz go?

Kręcę głową.

– Chyba nie.

Włącza się automatyczna sekretarka, osoba dzwoniąca się rozłącza. Jeśli pod oknem nadal ktoś jest, to go nie słyszę.

Psy bardzo głośno szczekają, a moje serce wali jak szalone. Dwie sekundy później telefon dzwoni raz jeszcze.

Tym razem Corban odbiera po pierwszym sygnale.

– Słucham. – To nie jest pytanie, ale żądanie.

Wyraz jego twarzy natychmiast się zmienia, tak jakby chmury nagle zasłoniły słońce. Jest zaskoczony tym, kto dzwoni, i nie jest to miła niespodzianka.

– Żle to zrozumiałeś, przyjacielu. Jestem tu jako gość. Iris jest...

Dzwoniący mu przerywa, a ponieważ Corban mu na to pozwala, domyślam się, że chce go uspokoić. Narcyzi są mistrzami manipulacji i choć milczy, sugerując, że słucha rozmówcy, cały czas coś robi. Patrzy w okna, zbiera się w sobie niczym grzechotnik szykujący się do skoku.

– Z chęcią to zrobię – mówi pochlebczym tonem. – Ale właśnie zaczął działać jej środek nasenny. Nie wiem, czy wiesz, ale ostatnio straciła męża i kiepsko to znosi.

W domu obok zapala się światło, widzę na zewnątrz co najmniej trzy sylwetki. Mrugam, postacie rozplływają się w cieniu.

Głos Corbana staje się zimny jak lód.

– Widzę.

Co on widzi? Bo ja nic. Czy Will jest już pod moim oknem? Gdzie on jest? Przyglądam się oknom, wyrazowi twarzy Corbana, ale nic z tego nie rozumiem.

Corban wyciąga w moją stronę słuchawkę, puka nią w moją głowę.

– Powiedz policji, że nic ci nie jest, że to wszystko to jedno wielkie nieporozumienie. Powiedz, że jestem twoim gościem i że mają się wynosić z twojej posiadłości. – Gdy nie mogę wydusić z siebie ani słowa, robi zniesmaczoną minę. – Nieważne, sam to zrobię. Wynoście się z jej posiadłości, dupki.

Rzuca słuchawkę na podłogę i wzdycha.

– Wygląda na to, że mamy mały problem.

W każdej innej sytuacji słowa Corbana mogłyby być zabawne, ale teraz wprawiają mnie one w jeszcze większe osłupienie. Z tego, co widzę, dom jest otoczony przez policję, a Corban patrzy na mnie, jakby nie wiedział, co ze mną zrobić. A to niedobrze. Człowiek, który znalazł się pod ścianą, nie ma nic do stracenia. Ten, kto znajduje się po drugiej stronie szyby, musi strzelać, i to natychmiast.

Ale czy policja by to zrobiła? Czy strzeliliby do nieuzbrojonego człowieka? Corban myśli chyba dokładnie to samo, bo unosi ręce do góry. Uśmiecha się, a jego uśmiech mówi: chłopcy, idźcie sobie stąd. Nie ma tu nic do oglądania.

Następne wydarzenia widzę bardzo dokładnie. Widzę, jak kula przebija okno, zostawiając dziurę na samym środku szyby. Jak przelatuje obok mnie, iskra ze srebra i metalu. Jak trafia Corbana, jego głowa odskakuje do tyłu, a mózg się rozbryzguje, tak jakby Jackson Pollock malował na mnie i na ścianie. Jak jego ciało uderza z hukiem o podłogę, ponad dziewięćdziesiąt kilo mocnych kości i mięśni.

A potem tylne drzwi wybuchają i wpada przez nie armia umundurowanych policjantów. Mają uniesioną broń, wszyscy celują w Corbana.

Jeden z nich opada na kolana i próbuje wyczuć puls. Może i jest to standardowa procedura, ale w tym przypadku jest zupełnie niepotrzebna. Corban ma wprowadzić otwarte oczy, ale brakuje mu sporego kawałka czoła.

Obok mnie kuca jakaś policjantka.

– Proszę pani, nic pani nie jest?

Przejeżdża dłońmi po mojej twarzy i szyi, dotyka mojej drżącej skóry. Kiedy się odsuwa, jej ręce są całe we krwi.

– To... to nie moja – mówię, ale szczękają mi zęby, a słowa nikną wśród wrzasków.

Wrzeszczy głównie stojący za nią wielki, ciemnowłosy mężczyzna.

– Który z was, cholerne dupki, strzelał? – Jego twarz jest purpurowa i wrzeszczy tak, że z jego ust tryska ślina. – Podejrzany był nieuzbrojony. Kto strzelił, do cholery?

Policjantka go ignoruje, sięga po koc z sofy i zarzuca go na moje trzęsące się ramiona.

– Musimy panią rozgrzać. Jest pani w szoku. – Odwraca się i krzyczy przez pokój: – Wezwijcie pogotowie!

Przychodzą sanitariusze z noszami. Jeden z nich podchodzi do mnie z torbą lekarską. Mierzy mi ciśnienie i sprawdza narządy wewnętrzne. Słyszę urywki rozmów wokół mnie.

Policja otoczyła mój dom, a potem wszyscy padli na ziemię i czekali.

Negocjator policyjny zadzwonił do Corbana na mój numer stacjonarny.

Plan polegał na tym, żeby go uspokoić.

Nikt nie miał strzelać.

A jednak ktoś trafił go w lewą skroń.

I nikt nie chce wziąć za to odpowiedzialności.

Dociera do mnie odpowiedź, zrywam się z sofy, przeskakuję nad stolikiem, przeciskam między ludźmi. Ktoś mnie łapie, ale ja go strząsam, wyskakuję przez tylne drzwi.

– Will! – Psy ponownie zaczynają szczekać, teraz nawet jeszcze głośniejsze. – Will!

Biegnę przez ogród do płotu, rozglądam się, próbuję dostrzec coś w ciemnościach. Wpadam w histerię, próbuję odnaleźć mojego męża, który – jestem tego pewna – zastrzelił Corbana.

Przykładam dłoń do ust i wołam jego imię, chociaż wiem, że już go nie ma. Nie ma go tutaj od dawna.

Uświadamiam to sobie i czuję, jakby ktoś kopnął mnie w brzuch. Przewracam się, obejmuję się rękami i wyję. Wściekłość i rozpacz przepływają przez moje ciało falami.

Po chwili jakieś znajome mocne ręce łapią mnie za ramiona

i obejmują.

– Nic ci nie jest – mówi Evan i przytula mnie z całych sił. – Mam cię.

Rozdział trzydziesty

– Pani Griffith – mówi kobiecy głos. Patrzę znad piersi Evana i widzę stojącą na skraju trawnika detektyw Johnson, tę, z którą w zeszłym tygodniu rozmawialiśmy na komisariacie. – Gdy będzie pani gotowa, będziemy chcieli zadać pani kilka pytań.

Wcale nie jestem gotowa. Trzęsę się na całym ciele, moje mięśnie się spinają, jest mi niedobrze. Adrenalinowy kac połączony z przerażeniem i wyczerpaniem fizycznym. Łapię oburącz koszulę Evana i próbuję nabrać powietrza do płuc. Ogródek zaczyna wirować.

– Chyba muszę usiąść.

Evan natychmiast się zmienia – przełącza się z trybu przyjaciela i pocieszyciela na tryb prawnika.

– Moja klientka potrzebuje kilku chwil, żeby do siebie dojść.

Detektyw Johnson patrzy mi w oczy przez kilka sekund.

– Daję wam dziesięć minut, ale musimy przeprowadzić ją gdzie indziej. Ogród to teraz miejsce zbrodni, wszyscy je niszczyacie.

Evan patrzy w stronę domu i tuzina policjantów, chodzących po moim jasno oświetlonym domu, robiących zdjęcia i zbierających materiały dowodowe.

– Porozmawiajmy w moim samochodzie – mówi i prowadzi mnie z boku domu.

– Dobrze.

Po chwili detektyw woła za nami:

– Ale nie opuszczajcie terenu posesji! Panie Sheffield, dziesięć minut i po nią przyjdę. Rozumie pan?

– Tak.

Przed domem widzę długą linię pustych radiowozów i karettek, migoczą tylko ich czerwone i niebieskie światła. Kilku policjantów stoi przy skrzynce na listy i powstrzymuje grupkę ciekawskich sąsiadów. Patrzą z zaskoczeniem, gdy idziemy podjazdem. Evan szybko tłumaczy coś funkcjonariuszowi. Jeden

z policjantów potwierdza przez walkie-talkie wersję Evana z wersją detektyw Johnson, a potem macha ręką, że możemy przejść.

– Nie odzywaj się ani słowem, dopóki nie będziemy w samochodzie – mruczy Evan.

Zaciskam usta, pozwalam mu wsadzić się na fotel pasażera w jego range roverze. Gdy już jestem w środku, Evan obiega samochód, wsiada do niego i trzaska drzwiami.

– Iris, cholera. Dlaczego nic nie powiedziałaś? Dlaczego nie dałaś żadnego znaku?

– Bo czekałam na Willa. Evan, rozmawiałam z nim. Zadzwoił na telefon.

– Czyj telefon? – Evan nie wydaje się tym wszystkim zaskoczony, ale wygląda na zaniepokojonego.

– Mój.

Gdy wypowiadam te słowa, nagle coś sobie uświadamiam i zaczynam szukać telefonu w kieszeni. Will do mnie zadzwonił, co oznacza, że mam jego numer. Mogę do niego oddzwonić! Włączam listę ostatnich połączeń i wciskam wybieranie numeru na samej górze. Kilka sekund później słyszę trzy melodyjne piknięcia, a potem nagranie po francusku, dostatecznie łatwe i wolne, żebym zrozumiała, o co chodzi. Wybrany numer nie istnieje.

– Jak to możliwe? Przecież dzwonił do mnie z tego numeru jeszcze godzinę temu.

Rozłączam się, wybieram raz jeszcze, w moich oczach pojawiają się łzy rozpacz i wściekłości, bo słyszę tę samą wiadomość.

– Cholera! – Próbuje raz jeszcze.

Evan obejmuje dłonią moje dłonie, próbuje mnie uspokoić.

– W porządku. Coś wymyślimy. Znajdziemy go.

Kiwam głową szybko i histerycznie, ale od razu czuję ulgę. Jak dotąd Evan zrobił wszystko, co obiecał, a nawet więcej. Wypuszczam powietrze i zwieszam ramiona. Jeśli mówi, że pomoże mi znaleźć Willa, to z pewnością tak będzie.

Kiedy Evan widzi, że się uspokoiłam, opiera się na swoim fotelu.

– W porządku. Opowiedz mi o wszystkim, zaczynając od chwili,

w której wyszedłem.

Słowa wydobywają się ze mnie w szaleńczym tempie, potykają się jedno o drugie, a potem nabierają olbrzymiej prędkości. Moja historia jest nieprawdopodobna, ale Evan mi nie przerywa, nawet nie kiwa głową. Cały czas wpatruje mi się w twarz.

– To Will zastrzelił Corbana. Jestem tego pewna. Zadzwoił na policję, a gdy zobaczył, że im się nie uda, sam strzelił.

– Iris, to nie Will zadzwonił na policję, tylko ja.

– Co?

Przejeżdża dłonią po twarzy, wbija palce w brodę i kiwa głową.

– Po tym, jak oddałaś mi portfel, cały czas miałem wrażenie, że coś jest nie tak. Przez całą drogę do domu myślałem, co pominąłem, szukałem jakiegoś sygnału, że coś jest nie tak. I wreszcie na to wpadłem. Nie miałaś włączonego alarmu. Ani kiedy otwierałaś drzwi, ani kiedy je zamykałaś. Nie uzbroiłaś systemu.

– Bo czekaliśmy na Willa.

– Ty tak mówisz.

– Co? Nie wierzysz mi?

– Nie, wierzę. Wierzę ci, ale jeśli masz rację, jeśli to Will pociągnął za spust, to oznacza, że ponosi winę za coś o wiele więcej niż tylko sprzeniewierzenie. Gdy policja dojdzie do tego, że nie strzelał żaden z funkcjonariuszy, zaczną traktować śmierć Corbana jak zabójstwo. I zaczną szukać mordercy.

Mój umysł jest wykończony nocnymi wydarzeniami, próbami tłumienia emocji, tak więc słowa Evana docierają do mnie dopiero po kilku sekundach. Ale gdy tak się staje, gdy rozumiem ich znaczenie, prostuję się i znowu zaczynam mówić wysokim, histerycznym tonem.

– Ale to nie tak! Will zabił Corbana, bo inaczej Corban zabiłby mnie.

– Iris, Corban był nieuzbrojony.

– No i? Ludzie mogą zabijać gołymi rękami, zwłaszcza gdy są tak silni jak Corban. A Will go znał. Wiedział, do czego on jest zdolny.

– Uspokój się! Jestem po twojej stronie, pamiętasz? I cieszę się

jak diabli, że ktoś zastrzelił tego sukinsyna, zanim ten zdołał tknąć cię palcem, ale musisz zwolnić i pomyśleć, w którym miejscu policja zacznie dochodzenie. Zwłaszcza jeśli dowie się, że Corban przyjechał tutaj ze względu na pieniądze. To daje Willowi motyw. I powód popełnienia morderstwa.

Ogarnia mnie coś ciężkiego i nieprzyjemnego i po chwili uświadamiam sobie, że to rozczarowanie. Absurd. Czego ja się spodziewałam? Że Will wróci do domu? Że przeprosi i będzie błagać o wybaczenie, a ja jakimś cudem znajdę sposób, by wszystko mu wybaczyć? A potem wrócimy do wspólnego życia jak gdyby nigdy nic? Poza wszystkimi kłamstwami i zdradami, którymi Will splamił nasze małżeństwo, nadal brakuje pięciu milionów dolarów, a teraz jeszcze zamordowano człowieka – straszego, okrutnego i nieobliczalnego. Tego nie da się cofnąć.

Evan patrzy ponad moim ramieniem i zamiera. Odwracam się i widzę detektyw Johnson, stojącą na moim ganku i nas obserwującą.

– Już nabrała podejrzeń – mówi Evan i spogląda na mnie. – Niezależnie od tego, co jej powiesz, będzie szukała nieścisłości.

– Każesz mi kłamać?

– Oczywiście, że nie. Ale masz dobrze przemyśleć każde swoje słowo.

Patrzę na niego z ukosa i myślę sobie, że nadal jest to jedno i to samo.

– Nie masz zbyt dużo czasu. – Detektyw Johnson musiała dać mu znak, bo kiwa głową ponad moim ramieniem. – Posłuchaj, spróbuję powiedzieć, że jesteś wyczerpana emocjonalnie i w szoku, może uda się odwlec najważniejsze pytania o dzień lub dwa, ale dzisiaj i tak będziesz musiała złożyć zeznania. Zanim cię wypuści, będzie chciała mieć podstawowe informacje.

Wzdycham, próbuję uporządkować myśli, ale jest ich zbyt dużo, a ja jestem zbyt zmęczona. Z wyczerpania zrobiłam się ospała, mam wrażenie, że moje komórki mózgowie pływają w syropie z sorgo. Opieram głowę o zagłówek i zamykam oczy, tylko na sekundę.

Jakaś ciepła dłoń obejmuje mój nadgarstek.

- Iris, słyszysz mnie?
- Tak. – Otwieram oczy i wzdycham, szukam klamki w drzwiach. – Miejmy to już za sobą.

Kiedy wiesz, czego szukać, zauważenie kłamstwa jest całkiem proste. Widzisz je w nagłych ruchach głowy, a czasami, gdy dana osoba przesadza, w braku owych ruchów. Widzisz w zmianie sposobu oddychania albo w tym, że ktoś podaje zbyt dużo informacji, powtarza poszczególne frazy i podaje nieistotne szczegóły. W sposobie, w jaki szura stopami, dotyka ust albo kładzie dłoń na szyi. To podstawowa psychologia, fizyczne sygnały, że ciało nie zgadza się ze słowami wydobywającymi się z jego ust.

Więc kiedy detektyw Johnson pyta mnie, jaki był mój związek z Corbanem Hayesem, patrzę na nią ze spokojem.

– Był przyjacielem Willa z siłowni.

Cała nasza trójka stoi na podjeździe mojego domu, ja i Evan ramię w ramię, a detektyw Johnson pisze coś szaleńczo w swoim notesie. Psy wreszcie się uspokoiły, ale powietrze zrobiło się chłodne, a na ulicy zapanował ruch.

Do tej pory media dowiedziały się już o wieczornych wydarzeniach w moim domu. Przy krawężniku stoją wozy reporterskie, talerze satelitarne skierowane są w stronę gwiazd. Przed nimi stoi kilkunastu reporterów, którzy kierują swoje kamery i mikrofony w stronę mojego trawnika. Evan staje przede mną, z całych sił próbując zapobiec temu, by moja twarz trafiła do porannych wiadomości.

Detektyw Johnson kontynuuje, jak gdyby w ogóle ich nie widziała.

– O której przyjechał?

– Około dziesiątej. – Staram się mówić spokojnie i statecznie i podawać tylko tyle informacji, by odpowiedzieć na zadane pytania. Ni mniej, ni więcej.

– Dlaczego został tak długo?

– Bo cały czas wierzył w to, że mój mąż nadal żyje. Twierdził, że

Will był mu winien pieniądze.

Słyszając to, unosi brwi.

– W zeszły czwartek, gdy państwo do mnie przyszli, kiedy spytałam, czy jest pani pewna, że pani mąż wsiadł do tego samolotu, odparła pani, że nie. Pani też myślała, że on może nadal żyć.

– To były bardzo emocjonujące tygodnie.

Powiedz prawdę, ale w mylący sposób – to jest klucz do kłamstwa. Detektyw Johnson spisuje moją odpowiedź na swojej podkładce, a potem maluje duży znak zapytania. Znam jej następne pytanie, jeszcze zanim je wypowiada.

– A jak jest teraz? Czy teraz pani myśli, że pani mąż nadal żyje? Marszczę czoło.

– To by chyba oznaczało, że oszalałam tak jak Corban, prawda?

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

A jej odpowiedź nie jest też pytaniem – nie mam więc zamiaru na to odpowiadać.

– Pani Griffith, czy pani mąż miał broń?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Czy kiedykolwiek polował lub chodził na strzelnicę?

– Pyta mnie pani, czy wiedział, jak używać broni?

– Tak.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– To wystarczy. Jest już późno. – Evan obejmuje mnie w ramionach. – Zadzwoń do pani rano, żeby umówić się na pełne przesłuchanie. Oczywiście po tym, jak pani Griffith wypocznie.

Detektyw Johnson nie wygląda na zbyt zachwyconą tym faktem, ale ustępuje. Gdy odwracam się w stronę samochodu Evana, czuję jej wzrok między moimi łopatkami.

Dziennikarze są już gotowi, startują do mnie niczym konie wyścigowe, biegną przez trawnik z mikrofonami i kamerami. Krzyczą moje imię i wykrzykują pytania, których nie rozumiem.

– Bez komentarza – warczy Evan, osłaniając mnie ręką, a potem pomaga mi wsiąść do SUV-a. Dwie sekundy później jego silnik ryczy i odjeżdżamy.

– Powinnaś odpocząć – mówi, gdy skręcamy za róg. Radio jest włączone, cicho gra jakaś stacja country, a samochód pachnie jak Evan, skórą i przyprawami korzennymi. – Obudzę cię, gdy dojedziemy na miejsce.

Zanurzam się w fotelu i głośno ziewam.

– Czyli gdzie?

– Do mnie do domu. I zanim spróbujesz zaprotestować: nie zawiozę cię do hotelu, więc możesz sobie odpuścić.

Odpuszczam sobie. I tak jestem zbyt zmęczona, by się kłócić. Zamykam oczy i nawet nie zauważam, kiedy odpływam.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Budzę się w obcym pokoju i dopiero po sekundzie lub dwóch przypominam sobie, gdzie jestem. W pokoju gościnnym u Evana, z prywatną łazienką i zamkiem w drzwiach. Miał rację, łóżko jest wyjątkowo wygodne. Wyciągam się na wielkim materacu i zastanawiam się, jak ja tutaj trafiłam. Ostatnie, co pamiętam, to Evan mówiący mi, żebym odpoczęła. Gdy zamknęłam oczy, nawet nie wyjechaliśmy jeszcze z mojej ulicy.

Przypominam sobie migawki z zeszłej nocy. Czarną postać, wychodzącą z cieni mojego pokoju. Głos Willa w moim uchu, każący mi uciekać. Okrutny uśmiech Corbana. Jego mózg rozbryzgany na mojej ścianie, gęsta i lepka maź, wydobywająca się z jego czaszki. Tyle krwi.

Fala mdłości nadchodzi bez ostrzeżenia. Wyskakuję z łóżka i biegnę do łazienki, ledwo udaje mi się zdążyć na czas. Ostatni posiłek jadłam bardzo dawno temu, więc w żołądku mam mało pokarmu, ale i tak zwracam wszystko raz po razie. Spuszczam wodę, ale mdłości nie mijają, kręci mi się w głowie.

Jestem pewna, że Will tam był. Jak daleko? W odległości kilkunastu metrów? Jego głos mnie prześladuje – *Iris, wynoś się stamtąd. Już jadę.* Mimo gróźb ze strony Corbana i mojego przerażenia jedyne, co czułam, gdy usłyszałam słowa Willa, to ulga. Ulga, że żyje, że po mnie przyjedzie, że wreszcie, po całej tej tragedii, znowu go zobaczę.

A teraz? A teraz czuję na barkach ważące dziesięć ton rozczarowanie, że nie przyjechał, i strach przed tym, co jeszcze nastąpi.

Myję zęby nową szczoteczką do zębów i pastą z minitubki stojącej na blacie w łazience, wybieram koszulkę i legginsy do jogi ze stosu ubrań Susanny, które Evan pozostawił dla mnie na komodzie, a potem wychodzę na korytarz.

Dom Evana jest przepiękny. Wysokie sufity, wspianała

sztukateria, słoneczne, przestronne pokoje urządzone w neutralnych kolorach, z których każdy jest ładniejszy od poprzedniego. Idę nieśpiesznie korytarzem, spoglądam to na lewo, to na prawo, podziwiam wspaniałą gust Susanny. Aż wreszcie dochodzę do zamkniętych drzwi. Ostatni pokój po lewej, wiem, do kogo należy. Jestem pewna, że jeśli otworzę drzwi, zobaczę pomalowane na różowo ściany.

Przy schodach zatrzymuję się przy ścianie ze zdjęciami, portretami ślubnymi i fotografiami z wakacji oraz zdjęciami dziecka. Na środku wisi czarno-białe zdjęcie przedstawiające przepiękną ciemnowłosą kobietę z niemowlęciem na piersi. Czuję ścisk w sercu, żal mi tych dwóch osób, których nigdy nie znałam, ale najbardziej współczuję mężczyźnie, którego słyszę na dole. Czy codziennie przechodzi obok tych zdjęć? Czy zasłania oczy? Odwraca wzrok? Ja nie byłabym w stanie tego znieść.

Schodzę na dół. Gdy tylko dociera do mnie zapach jedzenia, nadchodzi kolejna fala mdłości. Przeczekuję ją, a potem idę do kuchni. Są tam czarne szafki i połyskujące dodatki ze stali nierdzewnej. Evan stoi za wyspą i kroci czerwoną paprykę w paski.

– Cześć – mówię.

Podnosi głowę i nagle nabiera ostro powietrza przez nos.

To odruch, jedna z tych mimowolnych reakcji na ból, wersja płucna wzdrygnięcia się. Wiem, że tak jest, bo mnie też się to zdarza – wspomnienia nachodzą mnie w najmniej oczekiwanej chwili.

– Przepraszam – mówię i ruszam w stronę korytarza. – Przebiorę się.

– Nie, nie, w porządku, nic mi nie jest. – Odchrząkuje i kręci głową. – No dobrze, może nie do końca w porządku, ale będzie dobrze. Już niedługo.

I właśnie dlatego nie chciałam tutaj przyjeżdżać. Bo wdarłam się we wspomnienia, które nie należą do mnie, weszłam na terytorium, na które nie powinnam wchodzić.

– Jesteś pewien? – Pociągam koszulkę Susanny. – Bo ja mogę się przebrać.

– Nie, nie rób tego. Twoje ubrania są brudne. Pomyślałem sobie, że nosicie mniej więcej ten sam rozmiar. – Macha do mnie ostrzem noża i wskazuje miejsce po drugiej stronie wyspy. – Chodź, usiądź. Właśnie robię kolację.

Kolację? Rozglądam się za zegarem.

– Która godzina?

– Po szóstej. Spałaś prawie siedemnaście godzin.

Otwieram szeroko oczy, opadam na taboret.

– Siedemnaście godzin, jak to możliwe? Nie spałam tak długo... od pierwszej klasy, gdy Scott Smith zaraził mnie mononukleozą. I proszę, zasnęłam bez niebieskich tabletek mojego brata.

Evan prycha.

– Jeśli w ciągu ostatnich dwóch tygodni czegoś się nauczyłem, to tego, że rozpacz jest wyczerpująca.

– Muszę zadzwonić do szefa. On...

– Nie ma potrzeby, już rozmawiałem z Tedem. I z twoją mamą też. Jest niesamowita. Powiedziała, że masz do niej zadzwonić, gdy tylko będziesz mogła. A Ted powiedział, żebyś wróciła do szkoły, kiedy będziesz gotowa.

– A co z policją?

– Detektyw Johnson była znacznie mniej wyrozumiała. Powiedziała, że jeśli nie obudzisz się do rana, to osobiście tutaj przyjedzie, żeby sobie ciebie obejrzeć. Zapewniłem ją, że to nie będzie konieczne, i że jutro z rana podjedziemy do komisariatu i złożysz zeznania.

– Podała jakieś nowe informacje?

– Tak. Pomyślałem, że powiem ci o wszystkim przy kolacji. I ułożymy jakiś plan. – Wskazuje kciukiem za siebie, w stronę płyty kuchennej, znad której unosi się już czarny dym. – Robię enchiladas.

– Dobrze, ale... eee...

Evan odwraca się, żeby zobaczyć, o co mi chodzi. Rzuca się w stronę patelni, zdejmuje ją z ognia, ale jest za późno. Jej zawartość przypomina już zwęglony cement.

Wrzuca wszystko do zlewu, a potem odkręca wodę. Rozlega się głośny syk.

– Nowy plan. Jaką pizzę lubisz?

– Chcę do ciebie przyjechać i z tobą zostać – mówi mama przez telefon i wyobrażam sobie, jak stoi już na korytarzu ze spakowaną torbą i kluczami do samochodu w dłoni. – Kiedy mogę być?

Siedzę przy stole kuchennym Evana i patrzę, jak szoruje patelnię druciakiem. Wygląda na to, że nie czyni żadnych postępów. Za każdym razem, gdy splukuje pianę, zaczyna szorowanie od nowa.

– Gdy tylko odzyskam dom. – W przeciwieństwie do rozhisteryzowanej mamy staram się mówić spokojnym głosem. – To nadal jest miejsce zbrodni, a ja mieszkam u Evana.

Kiedy Evan słyszy swoje imię, kiwa do mnie głową.

– Uroczy człowiek – mówi mama. – Uściśnij go mocno ode mnie, dobrze? Powiedz mu, że nigdy nie dam rady mu się odwdziaczyć. Powiedz mu to teraz.

Zalewa mnie fala ciepła i się uśmiecham, bo mama ma rację. Evan Sheffield jest prawdziwym klejnotem. Jest jednym z tych dobrych facetów. Mimo strasznych wydarzeń, które doprowadziły do połączenia się naszych światów, czuję się, jakbym pod jakimś względem wygrała nagrodę.

– Mama mówi, że nigdy nie da rady ci się odwdziaczyć.

Evan patrzy znad zlewozmywaka i się uśmiecha, a potem wywala patelnię do śmieci.

– Powiedz jej, że lubię ciasto. Zwłaszcza wiśniowe.

Mama obiecuje, że wkrótce mu takie upiecze. A potem wzdycha i ze stresu, i z ulgi.

– Tak bardzo się cieszę, że nic ci nie jest.

Gadamy jeszcze chwilę, ale nie mówię jej o tym, że rozmawiałam z Willem. Nie jestem gotowa. Najpierw ja i Evan musimy ułożyć jakiś plan, a dopóki nie będę wiedziała, co powiedzieć detektyw Johnson, nie chcę mieszać w te kłamstwa i półprawdy nikogo innego, a już na pewno nie moją mamę. Udaję zmęczoną i obiecuję, że następnego dnia porozmawiam z nią

dłużej, i kończymy rozmowę.

Evan przesuwając w moją stronę butelkę zimnego piwa i opada na fotel.

– Policja znalazła brakujące pieniądze AppSec.

– Wszystkie?

– Prawie. Wygląda na to, że brakuje kilkuset patyków. – Przerywa, żeby napić się piwa. – Na komputerze Corbana znaleźli wyciągi.

Ta świadomość jest jak odsłonięcie pomnika, kiedy ktoś ściąga prześcieradło i wszystko zostaje odsłonięte. Natychmiast wszystko rozumiem. Ani przez chwilę nie wątpię, jak i skąd te pieniądze tam się wzięły.

– Will. Przełał te pieniądze, żeby zrobić Corbana.

Evan wzrusza ramionami, ale po jego minie widzę, że się ze mną zgadza.

– Corban pracował w banku, który zajmował się wszystkimi transakcjami AppSec. On...

– Najpierw przeniósł akcje do firmy, którą otworzył na Bahamach, a potem sprzedał je za wysoką cenę. Wiem. Opowiadał mi o tym z tysiąc razy. Ale dlaczego Will miałby porzucić wszystkie te pieniądze? Skoro zadał sobie aż tyle trudu, by je ukraść, to dlaczego nie przełał tyłu, by skierować podejrzenia na Corbana, i nie uciekł z resztą?

– Może nie chodziło tylko o zrobienie Corbana. Może chciał oczyścić się z zarzutów. Skoro pieniądze się znalazły, policja nie będzie miała powodu, by dalej go szukać.

– Tyle że teraz podejrzewają go o zabójstwo.

– Być może. Ale z tego, co wiem, mają tylko trochę trawy wydeptanej przy waszej szopie i kulę, którą koroner wydułbał z czaszki Corbana. Dopóki nie znajdą broni, do niczego im się to nie przyda.

– A jej nie znajdą. Nie wiem, co Will z nią zrobił, wiem jednak, że ta broń nigdy nie zostanie odnaleziona.

Evan pije piwo, a potem kręci głową.

– Jeszcze przedwczoraj powiedziałbym, że nie ma szans. Że nie można popełnić takiego przestępstwa i się nie pomylić. Nikt nie

jest tak mądry. Ale twój mąż może i taki jest, bo mimo tego, co się tutaj dzieje, Liberty Airlines udało się znaleźć na miejscu katastrofy jego teczkę. Była zniszczona i brudna, kilka dni padał na nią deszcz, ale laptop nadal znajdował się w jednym kawałku. Został wysłany do laboratorium do analizy, ale kto wie, czy – i czy w ogóle – uda się coś z niego wyciągnąć.

Ja już wiem. Wiem, co znajdą na tym laptopie – nic. Nie ma ani jednego dowodu na to, że Will miał swój udział w przekręcie w AppSec. Jestem wręcz pewna, że każdy bajt danych, jaki zostanie odzyskany z laptopa, będzie świadczyć o czymś przeciwnym: że Will był pracownikiem idealnym, który nigdy nie wpadłby na kradzież pieniędzy z firmy.

– Posłuchaj, uważam cię za przyjaciółkę, co oznacza, że wiem, przed jakim dylematem stoisz. Jeśli policja dowie się, że Will żyje, jeśli uda jej się połączyć z nim śmierć Corbana, to Will pójdzie do więzienia. Bez wątplenia. Wiem, że po tym wszystkim byłoby to dla ciebie druzgocące.

Kiwam głową i czekam na „ale”, które pędzi w moją stronę niczym pocisk rakietowy.

– Ale. Jako twój адвокат, muszę poradzić ci, żebyś nie kłamała. Krzywoprzysięstwo to poważne przestępstwo. Jako żona masz ten przywilej, że nie musisz ujawniać treści rozmowy telefonicznej, jednak jeśli spytają, czy rozmawiałaś z Willem od czasu katastrofy, a ty skłamiesz, to nadal będzie obowiązywać mnie dyskrecja, ale nie będę mógł cię bronić.

– Rozumiem. I nigdy nie postawiłabym cię w takiej sytuacji.

– Wczoraj wieczorem byłaś już bardzo blisko. – Jego głos jest stanowczy, ale i łagodny.

– To się już nie powtórzy.

– W porządku. – Kiwa głową, uderzając obiema rękami w stół, jakby sprawa była załatwiona. – No i? Co powiesz? Dla nas obojga będzie lepiej, jeśli będę o tym wiedział, zanim jutro rano wejdziemy na komisariat.

Wyobrażam sobie mojego męża stojącego w cieniu przy szopie, z wściekłym wyrazem twarzy, celującego z broni do mężczyzny. Wyobrażam sobie, jak bez wahania naciska spust, jak kula rusza

śmiertelnym torem, i robi mi się słabo. Tak, zrobił to dla mnie, żeby mnie ocalić, ale i tak... Zamordował człowieka, zastrzelił go, i, gdy się temu bliżej przyjrzeć, poszło głównie o pieniądze.

A potem widzę mojego męża klęczącego w tej alejce w Krogerze, szczęście i zdenerwowanie na jego twarzy, gdy wypowiedział te trzy krótkie słowa, które tak bardzo chciałam usłyszeć. *Wyjdiesz za mnie?* Pamiętam radość, która we mnie wybuchła, łzy, które polały się po moich policzkach, gdy odpowiedziałam „tak”. *Tak, tak, tak.*

Czy naprawdę mogę się przyznać? Powiedzieć policji, że mój mąż żyje? Że jest mordercą?

Zamykam oczy.

– Nie mam pojęcia.

Rozlega się dzwonek do drzwi, zwiastujący przybycie kolacji.

– Przemyśl to i daj mi znać, dobrze? – mówi Evan, ściska moją dłoń, a potem wstaje. – Rób, co uważasz za stosowne. Jeśli nie będę mógł być twoim prawnikiem, zawsze będę mógł być twoim przyjacielem.

Rozdział trzydziesty drugi

Sadzę w skrzynce ostatnie fioletowe floksy i uklepuję ziemię. Jest cudowny niedzielny poranek, w Atlancie wreszcie nadeszła wiosna. Jasne słońce, niska wilgotność powietrza i wszędzie kwiaty – w oknach, na ulicach, w różowych i białych barwach na drzewach. Kwiaty zakrywają miasto warstwą żółtego pyłku, dusząc mnie alergiami tak ciężkimi jak mój strach.

Jest dzień trzydziesty trzeci – nie to, że liczę – i nadal nie ma śladu Willa.

– W tym mieście jest ponad dwanaście tysięcy kamer monitorujących i ich liczba stale rośnie – powiedziała detektyw Johnson zaledwie kilka dni temu. – Nie da się chodzić po mieście i nie zostać gdzieś nagrany.

Jej słowa były w równym stopniu obietnicą, co ostrzeżeniem. Według Liberty Airlines i Departamentu Zdrowia Publicznego stanu Georgia William Matthew Griffith nie żyje. Według detektyw Johnson i Wydziału Policji w Atlancie sprawa nie jest jednak tak oczywista. Nie znaleziono zabójcy Corbana. Ale w miejscu katastrofy nie znaleziono DNA Willa.

Ale ponieważ jest akt zgonu, po ostrej wymianie listów między firmami ubezpieczeniowymi a kancelarią Evana w zeszłym tygodniu Evan wręczył mi trzy czekie z długimi rzędami zer. Zrobiłam tak, jak mi doradził, i wpłaciłam je na oprocentowane konto, żeby czekały, aż będziemy mieli pewność – ja oczywiście już ją mam.

Ale jak na razie jestem jedyna.

Will świetnie zatarł po sobie ślady. Policja nie zdołała połączyć z nim żadnego numeru telefonu. Ani z mojej komórki, ani z komórki Corbana. Nie byli również w stanie znaleźć na komputerze Willa ani jednego pliku, który świadczyłby o popełnieniu przez niego przestępstwa. Jediną przyczyną, dla której podejrzewają, że on żyje, jestem ja – ponieważ

powiedziałam prawdę detektyw Johnson. Tamtego ranka złożyłam zeznania, tak jakbym chciała się oczyścić, pozbyć wszelkich toksyn. Powiedziałam jej wszystko, zaczynając od poranka w dniu katastrofy. Nie wyglądała na zaskoczoną, ale dopóki nie znajdzie jakichś dowodów na to, że on żyje albo nie, to – jak powiedziała – najlepiej nie ruszać pieniędzy.

– Cześć, Iris! – krzyczy sąsiadka Celeste z naprzeciwka. Wskazuje gestem kwiaty, które właśnie posadziłam w miejscu krzewów zdeptanych przez policję i dziennikarzy. – Ładnie to wygląda!

Wycieram ręce i wstaję.

– Dziękuję. Próbuję jakoś to ogarnąć, zanim jutro wystawię dom na sprzedaż.

Gdy wypowiadam te słowa, czuję gwałtowny ból w piersi. Mimo milionów zebranych na koncie w banku muszę sprzedać dom. Sama nie dam rady spłacać kredytu hipotecznego, a moje karty kredytowe są już na debetach przez opłacanie opieki dla ojca Willa. Przeniosłam go z tej okropnej placówki do prywatnego zakładu opieki, pięknego budynku o słonecznych pokojach i miłym, uśmiechniętym personelu. Miesięczne rachunki mnie zabijają i choć Evan zapewnia, że pieniądze nie będą problemem, kiedy zrobi porządek z Liberty Airlines – historia Tiffany się potwierdziła, kobieta dostarczyła nawet kilka obciążających zdjęć z wieczoru kawalerskiego – to dochodzenie będzie trwało całymi miesiącami albo nawet latami. Moja brokerka zapewnia mnie, że nie ma lepszego czasu na sprzedaż niż teraz: „To wiosna na kwitnącym rynku nieruchomości. W tej chwili dostaniesz najwyższą cenę” – i mam ochotę nią potrząsnąć. Ty kretynko, nie sprzedaję domu dla zysku. Sprzedaję go, bo potrzebuję gotówki.

Powtarzam sobie, że to tylko dom, coś nieżywego, a sprzedanie go nie wymaże wspomnień, jakie są związane z tym miejscem, ale nadal mnie to boli. Mimo pustego łóżka, mimo rozlanej tutaj krwi, nie chcę stąd odchodzić. Zaledwie miesiąc temu Will i ja próbowaliśmy wypełnić to miejsce dziećmi.

– Och, nie. Przeprowadzasz się? – Robi smutną minę i rozgląda się wokół. Praktycznie słyszę jej myśli: *Kogo będziemy*

obgadywać, gdy się wyprowadzisz?

Kiwam głową.

– To miejsce jest zbyt duże tylko dla mnie.

Kolejne uklucie, tak samo ostre jak pierwsze. Tego ranka, gdy nastąpiła katastrofa, tak strasznie chciałam być w ciąży. I byłam – oficjalnie przez prawie tydzień. Okazało się, że trafiłam w statystyki, że była to jedna na dziesięć ciąż, kończących się we wczesnym stadium – płakałam niemal tak samo długo. Powtarzam sobie, że tak jest lepiej, że dziecko połączyłoby mnie i Willa na zawsze i nierozzerwalnie, i że nasz związek byłby o wiele bardziej skomplikowany niż małżeństwo. Ale nadal odczuwam ogromny ból na myśl o tym, co by było, gdyby.

Celeste uśmiecha się promiennie.

– Na pewno będzie nam ciebie brakowało.

Nie wątpię. Dziennikarze najwyraźniej stracili już zainteresowanie moją historią – ale sąsiedzi jeszcze nie. Dzwonią do moich drzwi przez cały dzień, wpadają do mnie z zapiekankami i lasagne, zasypują pytaniami na temat tamtej nocy w nadziei, że podam im jakiś pikantny szczegół, o którym nie słyszeli jeszcze w telewizji.

Moje pięć minut sławy sprawiło, że stałam się najbardziej popularną mieszkanką Inman Park.

Ale ja robię tak jak teraz z Celeste – uśmiecham się i grzecznie im dziękuję, a potem wracam do swoich spraw.

Gdy idę do domu, dzwoni do mnie Evan.

– Cześć.

– Cześć – odpowiadam i od razu się uśmiecham. Ja i Evan rozmawiamy kilka razy dziennie i nasze rozmowy zawsze zaczynają się w jeden sposób. – Co słychać?

– O drugiej będą Braves przeciwko Cards. Mam miejsca za łóżką dla zawodników. Chcesz ze mną pójść?

Ja i Evan mamy wspólną jeszcze jedną cechę – uwielbiamy oglądać sport. W ciągu ostatnich kilku tygodni odkryliśmy, że oprócz tego, iż oboje straciliśmy naszych małżonków, łączy nas wiele zainteresowań i dziwactw. To dziwne, gdy się o tym pomyśli, jak jedno wydarzenie, które łączy dwoje ludzi, może

jednocześnie ich rozdzielać. Może kiedyś, kiedy minie bardzo dużo czasu, to, co mamy, rozwinie się w coś innego. Ale jeszcze nie teraz. Nie w najbliższym czasie. Oboje mamy przed sobą jeszcze mnóstwo żałoby i smutku.

– Pewnie – odpowiadam. – Ale to twoja kolej na kupowanie hot... – Wchodzę do kuchni i go widzę. Widzę Willa. Powietrze ucieka mi z płuc.

Jest zaniedbany, schudł od czasu, gdy widziałam go po raz ostatni. Zmarszczki na jego twarzy są głębsze, rozcinają czoło i skórę wokół ust. Nawet jego ciemne włosy posiwiły na skroniach. Ale nadal jest tak samo przystojny. Na jego widok moje ciało drętwieje.

– Co się stało? – pyta Evan, jego głos nagle staje się poważny. – Wszystko w porządku?

– Tak. – Moja krtań się zaciska i wypowiedziane słowo dziwnie brzmi. Jest bezkształtne i niewyraźne nawet w moich uszach.

Po drugiej stronie słuchawki zapada cisza.

– Przyszedł? Czeka. Nie odpowiadaj. Po prostu... bądź ostrożna i zadzwoń do mnie później. – Rozłącza się.

Rzucam telefon na blat, nie spuszczam wzroku z Willa. Łapię się marmuru i czekam na przyptyw nienawiści i wściekłości, który powinien teraz nastąpić. Szykuję się na niego, ale nie nadchodzi. Czuję tylko ulgę i nagłą miłość, otaczającą moje serce niczym ciepła warstwa miodu. Cholera, nadal kocham tego człowieka. Nadal go kocham. Mimo wszystkich tych kłamstw i zdrady prawdopodobnie zawsze będę go kochać.

– Boże, jak ja za tobą tęskniłam – szepczę.

Biegnę do niego, rzucam się na niego.

Nie spodziewał się tego. Cofa się, ale utrzymuje równowagę. Obejmuje moje pośladki, ja łapię go za szyję, a potem już nie wiem, kto co robi. Wiem tylko, że mnie całuje, a ja odwzajemniam pocałunek. Jeszcze nigdy nie mieliśmy trzydziestu trzech dni rozłąki.

Ale potem wraca mi zdrowy rozsądek. Wyswobadzam się z jego objęć, cofam rękę i z całej siły walę go w policzek. Plaśnięcie jest bardzo głośne, niemal ogłuszające w cichej kuchni. Will stoi

nieruchomo. Cofam się i uderzam go raz jeszcze w miejsce, w którym na policzku widać już różowy odcisk mojej dłoni. Will trochę się wzdryga, ale podnosi głowę i czeka na kolejne ciosy. Zachowuje się niemal tak, jakby ich pragnął. Jakby cieszył się z bólu.

Gdy nie uderzam po raz trzeci, jego twarz się zapada.

– Miałaś mnie nie szukać. Miałaś nigdy nie dowiedzieć się prawdy.

– A jaka jest prawda? Bo po ostatnim miesiącu jestem pewna, że każde twoje słowo było kłamstwem.

Kręci głową.

– Nigdy nie kłamałem w kwestii moich uczuć do ciebie. Nigdy. To była w stu procentach prawda.

Czuję bolesną kulę nad sercem. Rozglądam się po kuchni, która nagle stała się obca i znajoma jednocześnie, na notatki na lodówce, zdjęcia przy barze i marmurowe blaty, które wybraliśmy razem podczas weekendowej wycieczki do Karoliny Południowej, i zbiera mi się na płacz.

– Ale i tak wolałaś pieniądze zamiast mnie.

Nie potwierdza, ale i nie zaprzecza.

– Oddałem pieniądze. Pamiętasz?

– Wcale ich nie oddałeś. Przełałeś je Corbanowi, i po co? Żeby policja przestała szukać ciebie i pomyślała, że nie żyjesz!

– Zrobiłem to dla ciebie. Zabiłem dla ciebie Hucka. Policja by tego nie zrobiła, chyba że dostrzegłaby broń, ale Huck był chorym sukinsynem i bez wahania skrzyłby ci kark gołymi rękami, gdyby tylko wiedział, że na niego patrzę. Nie mogłem mu na to pozwolić.

Huck? Marszczę czoło.

– Myślałam, że Huck mieszka na Kostaryce.

– Huck to Corban. Nazywa się Corban Huck, nie Hayes. – I nagle wszystko ma sens. Dzieciak, który mieszkał na tym samym piętrze w Rainier Vista, syn kobiety, która zeznała, że słyszała trzy głosy kłócące się w noc pożaru, to Corban. Corban to Huck. Najlepszy kumpel Willa, który rzekomo prowadził szkołę surfingu na Kostaryce, podczas gdy cały czas był tutaj, w Atlancie.

Kłamstwa z każdej strony.

Krzyżuję ręce na piersi, opieram się biodrem o blat.

– Will, powiedz. Pora na prawdę. Masz mi wszystko powiedzieć.

Tyle przestrzeni między nami nie było nawet podczas naszych największych kłótni.

Zaledwie miesiąc temu byśmy wszystko obgadali, usiedlibyśmy na środku kanapy, ja wtuliłabym się pod jego ramię. Trzymalibyśmy się za ręce, tak by nasze palce się dotykały, łagodzilibyśmy ostre słowa pieśzczotą lub pocałunkiem. Dzisiaj jednak oddzielają nas cztery poduszki kanapy i stolik kawowy.

Will pochyła się do przodu, opiera łokcie na kolanach, układa równo stos magazynów na stoliku. Próbuje zająć czymś ręce i dobrać odpowiednie słowa. Obok czasopism stoją dwie butelki z lodowatą wodą. W popołudniowym słońcu zaczęła się już na nich skraplać para. Patrę jak po jednej z nich spływa kropla wody, na dole jest już wielka i ciężka.

– Powtarzałem sobie, że to nieważne, że nie wiesz o mnie całej prawdy – mówi Will, cały czas patrząc w dół. – Mam na myśli tę część mojego życia. Rainier Vista. Moich rodziców. Myślałem, że mogę trzymać to przed tobą w tajemnicy, ponieważ się z tego wyrwałem. Zostawiłem to wszystko za sobą. – Patrzy na mój wyraz twarzy, próbuje rozpoznać moją reakcję i chyba nie podoba mu się to, co widzi, bo marszczy czoło. – Musisz wiedzieć, że nie jestem już tą osobą.

Staram się panować nad swoim głosem i reakcjami.

– Kto podłożył ogień?

– Nie miałem z nim nic wspólnego. To Huck. – Gdy nie odpowiadam, Will odwraca wzrok, przerywa, tak jakby w myślach dodawał sobie otuchy. – Ale, dobrze, tak. Wiedziałem, co chce zrobić. Wiedziałem i nie próbowałem go powstrzymać. Nie chodziłem też po korytarzu i nie waliłem w drzwi, nie ostrzegałem ludzi, żeby uciekali.

– Och, Will...

Mój głos się łamie, zapada długa cisza.

Patrzy na mnie, widzę poczucie winy.

– Wiem. Wiem, rozumiesz? Do końca życia będę słyszał krzyki tej matki. Będę widział ciała tych dzieci wynoszone w workach. Ale, na Boga, to nie ja zapaliłem tę zapałkę.

– Ale tej nocy zginęła również twoja matka.

– Ta kobieta nie zasługuje na moje łzy, nie po tym, co zrobiła. – Nie jest zły ani rozgoryczony, po prostu zrezygnowany, że matka nie zasługuje na jego uczucia. – Tak samo jak człowiek, za którego wyszła.

– Will, widziałam go w Seattle. Źle z nim.

– Chcesz usłyszeć, że mi go szkoda? Bo wcale mi nie szkoda i ty też nie powinnaś go żałować. I nie powinnaś płacić za opiekę nad nim. Każdy mężczyzna, który budzi swojego dzieciaka w środku nocy tylko po to, żeby rozwalić mu wargę, nie zasługuje ani na centa twoich pieniędzy. Umyłem od tego ręce, nie chcę mieć nic wspólnego z nikim z Rainier Vista.

– A Huck?

Kręci głową, opiera się na sofie.

– Nie wiem, jak mnie znalazł, ale nasze ponowne spotkanie wcale nie było miłe. Nie dał mi wyboru. Powiedział, że albo przeniosę dla niego te akcje, albo o wszystkim ci powie. Był szalonym sukinsynem, ale doskonale znał piętę achillesową każdego człowieka. Wiedział, że jesteś moja i że tak wiele dla mnie znaczysz.

Zamykam na chwilę oczy, słowa wracają do mnie niczym fala mdłości. *Wykurzmy tego szczura z jego kryjówek. Co ty na to?* Corban może i pociągał za sznurki, ale to Will popełnił przestępstwo. Po pierwsze, ukradł pieniądze z AppSec, a po drugie, pociągnął za spust. Fakt, że ktoś mu groził, nie oznacza jeszcze, że mój mąż jest bez winy.

Czuję w piersi stary, znajomy ból, ale go przełykam.

– Mów dalej. – Otwieram oczy. – Co się wydarzyło?

– Resztę znasz. Nick się dowiedział. Odszedłem.

– Nie, chodzi mi o to, co miało się stać po przeniesieniu tych akcji? Will, nie da się żyć długo i szczęśliwie po kradzieży pięciu milionów dolarów.

– Wiem, ale... Musiałem to zrobić. Nie było innej możliwości.
– Mogłeś powiedzieć mi prawdę.
– Nie mogłem. – Gwałtownie kręci głową. – Nic nie rozumiesz. Nigdy nie byłem z taką dziewczyną jak ty. Tak inteligentną, zabawną i miłą. I tak cholernie piękną. – Patrzy na mnie i otwiera usta. – Jak mógłbym się w tobie nie zakochać? Chociażby przez to, jak na mnie patrzyłaś.
– A jak ja na ciebie patrzyłam?
– Jakbym był dobry. Jakbym był coś wart.
Kiwam głową, bo to prawda. Sądziłam, że on jest dobry. Że jest coś wart. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że jest złodziejem, kłamcą albo zabójcą. Która część mężczyzny, którego tak kochałam, była prawdziwa? Która część nas?
Płaczę, łzy szybko spływają po moich policzkach. Powstrzymywałam się dostatecznie długo, poza tym nie ma tutaj nikogo poza nami. Nie ma powodu, by dłużej się powstrzymywać.
– Huck wysyłał mi wiadomości i udawał ciebie.
– Wiem. Dlatego wiedziałem, że zaczął tracić nad sobą kontrolę. I z tego powodu wróciłem.
– To nie ty je wysyłałeś?
– Tylko kilka pierwszych, gdy śledziłem ciebie i Dave'a w Seattle. Wiedziałem, co tam robicie, i chciałem, żebyście przestali. Kiedy tego nie zrobiliście, kiedy się dowiedziałem, co Huck miał zamiar zrobić, podrzuciłem ten liścik do twojej szuflady, bo się martwiłem... ale reszta... – Kręci głową. – Wszystko od niego.
– Ale dlaczego?
– Żeby doprowadzić cię do szaleństwa albo wyczuć, ile wiesz. Albo jedno i drugie. Nie był najbardziej racjonalnie myślącą osobą na tej planecie.
– A katastrofa?
Gdy słyszy oskarżycielski ton w moim głosie, prostuje się.
– Nie miałem nic wspólnego z katastrofą.
– To jakim cudem twoje nazwisko znalazło się na liście?
– Leciałem do Orlando, pamiętasz? Ja...
Podnoszę rękę, żeby go uciszyć.

– Rozmawiałam z Jessicą. Nie było żadnej konferencji.

– Nie, ale był ten facet... – Krzywi się. – Za czterdzieści tysięcy miał mi dać nową tożsamość i sprawić, że zniknę. Miałem się z nim spotkać w Key West.

Myślę o tym poranku w łóżku, o tym, w jaki sposób zaskoczył mnie pierścionkiem, o wyrazie jego twarzy, gdy wsuwał mi go na palec, i łzy ponownie leją mi się z oczu.

Gestem daję mu znać, żeby mówił dalej.

Nabiera głęboko powietrza, a potem szybko mówi.

– W każdym razie spóźniłem się na lot i czekałem przy bramce na następny, gdy spadł samolot Liberty. To było niemalże zbyt łatwe. Zdziwiłabyś się, ile jest dziur w zabezpieczeniach przeciw hakerom w systemie Liberty, jak łatwo było kupić sobie bilet i wprowadzić swoje nazwisko na listę pasażerów. Dopiero gdy się dowiedziałem, że samolot leciał do Seattle, dotarło do mnie, ile mogę mieć przez to problemów.

Myślę o Susannie przyciskającej Emmę do piersi, gdy samolot spadał z nieba, i o udręczonym wzroku Evana na nabożeństwie.

– Ci biedni ludzie! Ich biedne rodziny. A ja przez całe dwa tygodnie myślałam, że jesteś jedną z ofiar, których ciała rozpadły się na miliony kawałków na polu kukurydzy! Wiesz, jak ja to przeżyłam?

– Tak, i bardzo mi przykro. Nawet nie jestem w stanie powiedzieć ci, jak bardzo.

Patrzę w dół, na dłonie zaciśnięte na podołku, na dwa pierścionki, które mój mąż wsunął mi na palce. A potem przyciskam dłoń do piersi, gdzie na łańcuszku nadal wisi jego obrączka.

– A co z twoją obrączką? Co z teczką i laptopem?

– Podrzucone. – Krzywi się. – Za pieniądze ludzie są w stanie zrobić dosłownie wszystko.

Ludzie tacy jak ty, myślę, i znowu czuję w piersi ból niczym ogromny głaz. Domagałam się prawdy, ale teraz mam ochotę zasłonić uszy dłońmi i udawać, że nigdy nie usłyszałam tych słów. Mam ochotę wcisnąć CTRL+ALT+DEL i wymusić restart. Nie jestem w stanie znieść tej prawdy. Mój mąż jest potworem.

– Widzisz? – pyta. – Już to robisz.

– Co?

– Inaczej na mnie patrzysz. Tak jakbyś się zastanawiała, jak ty w ogóle mogłaś mnie kochać.

Milczę, bo to prawda. Dokładnie nad tym się zastanawiam.

Will odwraca wzrok, patrzy na oprawioną w ramkę fotografię Rolling Stones, którą dałam mu w zeszłym roku na urodziny.

– Dajesz wykłady na temat natury i wychowywania tych biednych dzieciaków, a mimo to nie potrafisz postawić się na moim miejscu. Nie wyobrażasz sobie, jak to jest, gdy twój ojciec jest zbyt zajęty biciem ciebie, żeby utrzymać jakąkolwiek pracę, a matka jest zbyt pijana, by ją to obeszło. Albo jak to jest zjeść kanapkę ze spleśniałego chleba z zepsutym majonezem i cieszyć się, że w ogóle masz coś w żołądku. Twoje życie jest tak bardzo oddalone od takiego piekła, że nawet nie jesteś w stanie go sobie wyobrazić.

Po usłyszeniu tych słów czuję ciężar na sercu, które jednocześnie staje się jeszcze twardsze. Owszem, doświadczenie nauczyło mnie nie obwiniać dziecka za problematyczne zachowanie jego rodziców. Dzieci są produktami swoich rodziców, a kiepscy rodzice albo rodzice nieistniejący puszczają w świat dziecko z bagażem emocjonalnym, który nie jest jego winą. Powtarzałam to tyle razy, że Will wie, że moim zdaniem to prawda. Wie, że nie będę winić go za błędy rodziców.

Jednak wie również, że uczę moich uczniów, że mają pozbyć się bagażu i stać się odpowiedzialni. Uczę ich odpowiedzialności za swoje zachowanie i działanie, przestrzegania zasad i życia zgodnie z oczekiwaniami. Tę część też mu powtarzałam, ale tak jak ja wybierałam to, w co chciałam wierzyć, tak on wybierał to, co chciał słyszeć.

– Nie miałam pojęcia o twoim życiu, bo nigdy mi o nim nie opowiadałeś. Nawet nie próbowałeś. Jak mam wyobrazić sobie coś, o czym nie wiem?

Nie po raz pierwszy tego dnia Will zaczyna się bronić. Siada na krawędzi kanapy i marszczy czoło.

– Iris, daj spokój. Zejdź na ziemię. Co byś powiedziała, gdybym

ci o tym wszystkim powiedział? A co, gdybym zabrał cię na kawę tego pierwszego dnia i powiedział, że ja i Huck mamy plan, genialny plan ucieczki z gotówką, o jakiej nigdy nawet nie śniliśmy? Dałabyś mi swój numer telefonu? Zgodziłabyś się na drugą randkę? – Kręci głową. – Nie sądzę.

– Will, to co zrobiliście ty i Huck, było złe. To, co zrobiliście twoim rodzicom, tym biednym dzieciom i ich matce, AppSec, mnie. Naszemu małżeństwu. A co by było, gdyby ten samolot nie spadł? Miałaś zamiar tak po prostu wylecieć na Florydę i zniknąć? Czy chociaż przez chwilę zastanowiłaś się, jak ja będę się czuła?

– Myślałem tylko o tobie. Nawet po moim wyjeździe. Iris, chciałem mieć z tobą dzieci i się razem zestarzeć. Chciałem, żeby nasze małżeństwo trwało wiecznie. Ale nie mogłem cofnąć ustaleń z Huckiem. Groził, że powie ci prawdę o mnie, a potem Nick dowiedział się o akcjach, domyślił się, że to ja je przeniosłem. Nie mogłem tutaj zostać.

– Bo chciałaś mieć pieniądze.

Zaciska dłonie w pięści, aż knykcie stają się białe.

– Nie! Nie z powodu pieniędzy! To nie miało nic wspólnego z cholernymi pieniędzmi!

– W takim razie dlaczego? Dlaczego nie mogłaś zostać?

Zaciska szczękę i odwraca wzrok.

– Mów, do diabła!

– Bo wolałbym, żebyś myślała, że jestem martwy, rozumiesz?

Ciska we mnie słowami niczym bronią i wygląda na tak zaskoczonego, że posłał je w moją stronę, jak ja, że jestem celem. *Wolałby, żebyś myślała, że jest martwy, niż co?* Czekam na wyjaśnienie, jego wyzywający wyraz twarzy zamienia się w rozpacz. Zniekształca to jego rysy twarzy jak zbyt ciasna maska.

– Spieprzyłem tyle spraw i chciałem, żeby chociaż spuścizna po mnie pozostała odpowiednia. Chciałem, żebyś myślała, że zginąłem w tym samolocie, tak żebyś nigdy nie poznała prawdy. Chciałem, żebyś miała szczęśliwe wspomnienia o mężczyźnie, w którym się zakochałaś, mężczyźnie, którego widziałaś za

każdym razem, gdy na mnie patrzyłaś. Chciałem być tym mężczyzną w twoich wspomnieniach.

Jego słowa łamią mi serce, jestem teraz bardziej skołowana niż kiedykolwiek. Zginęli ludzie. Zniknęły miliony dolarów. To, co Will zrobił, jest złe na wielu poziomach i wiem, że powinnam gotować się z wściekłości. Wiem, że powinnam czuć złość, zmieszanie, a nawet nienawiść.

A mimo to, patrząc w piękną, zniszczoną twarz mojego męża, nie potrafię przywołać niczego poza cierpieniem. Ogromnym smutkiem wywołanym przez człowieka, który wolał upozorować własną śmierć niż zdradzić prawdę.

Zbiera mi się na szloch, co przeraża nas oboje.

– Powinnam cię nienawidzić. Chcę cię nienawidzić. Chcę być chora psychicznie, bo siedzę w tym samym pokoju co ty, ale nie jestem. Nie. Nadal cię kocham i gardzę sobą za to.

Podchodzi bliżej. Siada na kanapie, potem się do mnie przysuwa, znajduje się kilkanaście centymetrów ode mnie.

– Zawsze będę cię kochać.

Wiem, że ta jedna, jedyna rzecz jest prawdą. Każda osoba może się jakoś zrehabilitować. Na korzyść Willa działa to, że potrafi kochać.

– I co teraz? – Znowu zaczynam płakać, bo znam odpowiedź: *Teraz on wyjdzie. Zniknie.*

Splata palce z moimi, przejeżdża kciukiem po cartierze, który sam tam założył, pierścionku, który powinnam oddać, chociaż doskonale wiem, że będę go nosić aż do śmierci.

– Wyjedź ze mną. Zamieszkamy na zboczu góry z widokiem na ocean i będziemy spać pod gwiazdami. Możemy zniknąć, tylko ty i ja.

Zanim kończy mówić ostatnie słowo, ja kręcę głową. Nie mogłabym zostawić Dave'a, nie mogłabym zrobić tego moim rodzicom. Ledwo byłam w stanie rozważyć przeprowadzkę na drugą stronę kraju, a co dopiero zniknięcie. Lepiej niż ktokolwiek inny wiem, co to robi z ludźmi, którzy zostają.

Uśmiecha się i jest to najsmutniejszy uśmiech, jaki kiedykolwiek widziałam.

– Warto było spróbować.

Przejeżdża palcem po mojej ręce, drzę. Nie gra fair i doskonale o tym wie. Moja skóra zawsze była zbyt wrażliwa.

– Przestań – szepczę, ale tak naprawdę to wcale nie mam tego na myśli, ani trochę.

– Nie mogę przestać i nie mogę odejść. – Obejmuje mnie w pasie, ja obejmuję go w ramionach. Ten ruch jest naturalny, tak jakby nie było żadnego innego miejsca, w którym powinny znajdować się teraz nasze ręce. – Nie bez pożegnania z moją ulubioną osobą na tej planecie.

Czyli to koniec. To pożegnanie. Przypominam sobie wszystkie powody, dla których powinnam cieszyć się z jego odejścia. Pieniądze. Kłamstwa i oszustwa. Jego umierający ojciec i jego zmarła matka. Corban i dwoje martwych dzieci. Zwłaszcza dzieci. Nie jest mężczyzną, którego poślubiłam. Chcę go nienawidzić za to, co zrobił.

Ale potem patrzę mu w oczy i znowu wygląda jak mój mąż, mężczyzna, który tańczył ze mną na szczycie Stone Mountain, podczas gdy patrzyła na nas garstka turystów, który wsunął pierścienek na mój palec i dziękował mi, gdy odpowiedziałam „tak”, który, gdy widziałam go po raz ostatni, poprosił mnie o małą dziewczynkę, wyglądającą tak jak ja. Widzę go i pamiętam, jaki kiedyś był, jacy my byliśmy, i moje serce ponownie rozpada się na kawałki.

Całuje mnie, a ja mu na to pozwalam. Nie – to coś więcej. Całuje mnie, a ja wkładam w jego usta trzydzieści trzy dni bólu serca, rozpacz i ulgi. To jak pierwszy i ostatni pocałunek i wszystkie pocałunki pomiędzy, i nagle nie mogę wymyślić ani jednego powodu do walki, przecież to ma być nasze ostatnie pożegnanie. Nie jestem w stanie zrozumieć nawet najmniejszego fragmentu jego strasznej, bolesnej przeszłości. On mnie chce. Ja chcę go odzyskać. Nie dam już rady walczyć.

Biorę go za rękę, ściągam z kanapy i prowadzę na górę. Po drodze zrzucamy swoje ubrania, zostawiamy stosy bawełny i dżinsu na schodach, na półpiętrze, na podłodze przy łóżku – naszym łóżku.

Gdy oboje jesteśmy nadzy, kładzie mnie na materacu i bierze mnie czule, z szacunkiem i miłością. Przejeżdża wierzchem palca po obrączce – jego obrączce – wiszącej na łańcuszku na mojej piersi.

– Piękna dziewczyno.

Podnoszę rękę w odpowiedzi, zapraszająco.

Kochamy się i wydaje mi się to najbardziej naturalną rzeczą na świecie – a jednocześnie najbardziej rozdzierającą serce. Ile razy leżeliśmy tak jak teraz, słodcy, słoni i tak doskonale sobie znani? Co najmniej kilka tysięcy.

A jednak ten raz będzie naszym ostatnim.

Jego usta podróżują po mojej skórze. Całuje moją szyję, piersi, kocha każdy centymetr kwadratowy mojego ciała. Czuję, jak w moim podbrzuszu buduje się orgazm, wiruje tuż poza zasięgiem, i zamykam oczy, łapię oburącz prześcieradło i czekam.

Może chodzi o zemstę, może o to, że chcę zranić Willa w ten sam sposób, w jaki on zranił mnie, może chcę odpłacić zdradą za jego zdradę. Może chodzi po prostu o sprawiedliwość, o to, żeby Will odpowiedział za pożar, pieniądze i zniszczenie niewinnych żyć. A może o wszystko po trochu. Może i nie do końca wiem, co mną kieruje, ale mój następny ruch jest bardzo pewny. Ani przez chwilę nie wątpię, że jest właściwy.

Otwieram oczy, mąż porusza się nade mną. Odrzuca głowę do tyłu, zamyka oczy z przyjemności i wiem, że to moment krytyczny. Jego moment krytyczny. Będzie trwał jeszcze co najmniej przez kilka oddechów.

Sięgam na tył stolika nocnego i wciskam przycisk alarmowy.

Wystarczą trzy sekundy.

Podziękowania

Pisanie jest samotnym przedsięwzięciem, ale ta książka nie istniałaby bez następujących osób:

Dziękuję mojej agentce literackiej, Nikki Terpilowski, która nigdy nie sładzi i wie, co należy poprawić w tekście, ale wypowiada to w taki sposób, że się uśmiecham. Dziękuję za to, że zawsze walczysz po mojej stronie. Mojej redaktorce Liz Stein dziękuję za to, że pokochała tę historię i traktowała ją jak własną. Wasza błyskotliwość i wytrwałość pomogły ukształtować to, czym jest ona teraz.

Dziękuję również wszystkim ciężko pracującym i oddanym ludziom za kulisami w MIRA Books, bardzo cieszę się, że mogę należeć do waszego zespołu.

Laurze Drake, nadzwyczajnej krytyczce, oraz pierwszym czytelniczkom: Koreen Myers, Colleen Oakley i Alexandrze Ratcliff.

Andreo Peskind Katz, miałaś rację. Jesteś doskonałą czytelniczką beta, zgłosiłaś się na ochotnika i znalazłaś się na szczycie mojej listy.

Moje podziękowania należą się również Scottowi Mastersonowi, którego głos słyszałam w głowie za każdym razem, gdy mówił Evan. Dziękuję za odpowiedzi na moje głupie pytania i za wypełnienie jednej z najważniejszych cech Evana.

Wspaniałym dziewczynom z Altitude, moi pierwszym czytelniczkom i cheerleaderkom: Nancy Davis, Marquette Dreesch, Angelique Kilkelly, Jen Robinson, Amandzie Saprą i Tracy Willoughby. Dziewczyny, gdy was widzę, to wiem, że jest to najlepszy dzień w miesiącu.

Moim rodzicom, Diane i Bobowi Maleskim, za ich niekończącą się zachętę i przemyślane opinie. Mam nadzieję, że ta książka napełni was dumą.

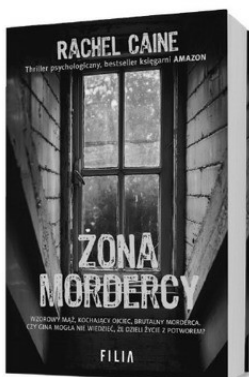
I wreszcie, moi ulubieni ludzie na tej planecie. Isabella, jesteś

mistrzem w wymyślaniu zwrotów akcji. Na pewno nie chcesz być pisarką? Ewoud i Evan, dziękuję za cierpliwość i zachętę, i przepraszam za całe jedzenie na wynos. Oddaję wam moje serce.

Mój ojciec to potwór. Gwałcił, torturował i zabijał dziewczyny niewiele starsze od nas. Czy ten potwór tkwił w nim cały czas?



Wzorowy mąż, kochający ojciec, brutalny morderca. Czy Gina mogła nie wiedzieć, że dzieli życie z potworem?



**Wciągające thrillery psychologiczne
bestsellerowej autorki księgarń AMAZON**

FILIA